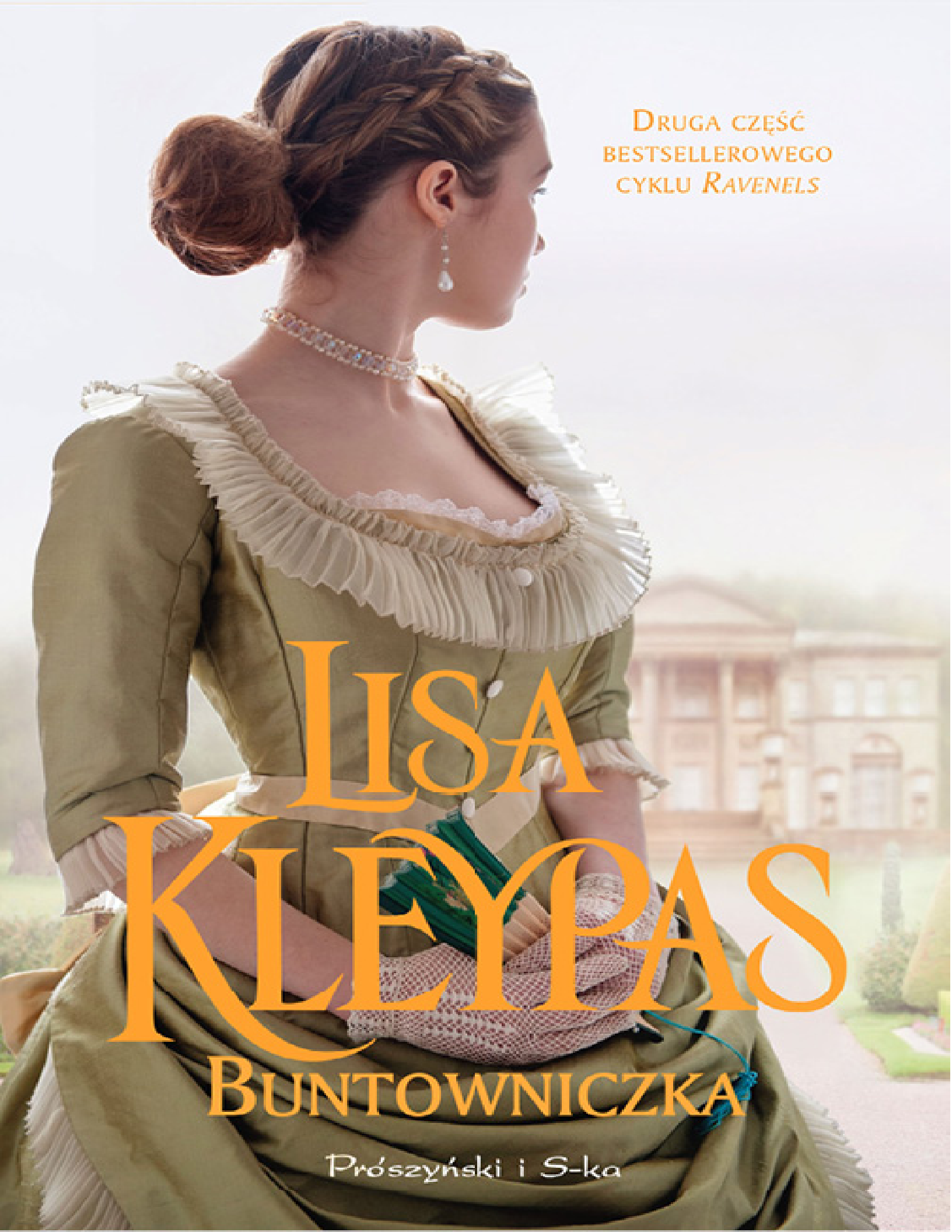
Druga część
bestsellerowego
cyklu Ravenels
Lisa
Kleypas
Buntowniczka
Prószyński i S-ka

Lisa Kleypas

Buntowniczka

Przełożyła
Małgorzata Fabianowska

Prószyński i S-ka

Tytuł oryginału
MARRYING WINTERBORNE

Copyright © 2016 by Lisa Kleypas
All rights reserved

Projekt okładki
Ewa Wójcik

Zdjęcie na okładce
© Lee Avison/Trevillion Images

Redaktor prowadzący
Joanna Maciuk

Redakcja
Anna Płaskoń-Sokołowska

Korekta
Katarzyna Kusojć
Marianna Chałupczak

ISBN 978-83-8169-628-9

Warszawa 2019

Wydawca
Prószyński Media Sp. z o.o.
02-697 Warszawa, ul. Rzymowskiego 28
www.proszynski.pl

Rozdział 1

Panie Winterborne, jakaś dama chce się z panem widzieć.

Rhys z niezadowoleniem zmarszczył brwi i uniósł głowę znad papierów leżących na biurku. Sekretarka, pani Fernsby, stała w progu gabinetu, mierząc go czujnym spojrzeniem zza okrągłych szkieł. Była kobietą w średnim wieku, schludną i powściągliwą, o dość pulchnej figurze.

– Przecież wiesz, że o tej porze nie przyjmuję interesantów. – Do porannego rytuału Rhysa należało czytanie poczty przez pierwsze pół godziny urzędowania, w absolutnej ciszy i spokoju.

– Tak, proszę pana, ale gościem jest kobieta, która…

– Nie chcę jej widzieć, nawet gdyby była królową – warknął. – Odpraw ją!

Wargi pani Fernsby zacisnęły się w wąską linię – znak dezaprobaty. Odwróciła się energicznie i odeszła, wybijając obcasami rytm szybki jak seria wystrzałów.

Rhys powrócił do przerwanej lektury listu. Jawna irytacja była luksusem, na który rzadko sobie pozwalał, ale w ostatnim tygodniu chmura ponurego nastroju wisiała nad jego umysłem i sercem, powodując, że miał ochotę zmieść każdego, kto nieopatrznie ośmielił się stanąć mu na drodze.

A wszystko przez kobietę, którą znał lepiej, niżby tego pragnął.

Lady Helen Ravenel. Kobieta arystokratyczna i pełna ogłady, a zarazem subtelna i nieśmiała. Jego absolutne przeciwieństwo.

Ich okres narzeczeński przetrwał zaledwie dwa tygodnie, zanim Rhys do reszty go zrujnował. W czasie ostatniego spotkania z Helen był niecierpliwy i porywczy. Wreszcie udało mu się pocałować ją tak,

jak od dawna pragnął. Zesztywniała w jego ramionach, odrzucając go. Nie mogła dobitniej wyrazić swojej pogardy dla niego. Z jej strony scena zakończyła się łzami, z jego – kipiącym gniewem.

Nazajutrz Kathleen, lady Trenear, żona nieżyjącego brata Helen, zjawiła się, aby powiadomić Rhysa, że Helen bardzo to wszystko przeżyła i dostała ataku migreny. „Nie chce cię więcej widzieć", dodała na koniec.

Rhys nie mógł winić Helen, że zerwała zaręczyny. Najwyraźniej do siebie nie pasowali. Zamiar poślubienia córki utytułowanego angielskiego rodu przez takiego parweniusza jak on najwyraźniej nie pasował do porządku ustanowionego przez Boga. Pomimo swojej wielkiej fortuny Rhys nie posiadał manier ani erudycji dżentelmena. Nie wyglądał nawet na dżentelmena – z tą swoją smagłą cerą, czarnymi włosami i plebejską krzepą.

W wieku trzydziestu lat Rhys mógł już się pochwalić przekształceniem skromnego sklepu swojego ojca przy High Street w największy dom handlowy świata. Posiadał fabryki, składy, ziemie uprawne, pralnie i kamienice. Zasiadał w zarządach kompanii żeglugowych i kolejowych. A jednak był boleśnie świadom, że bez względu na to, ile jeszcze osiągnie, zawsze pozostanie synem skromnego walijskiego sklepikarza.

Gorzki tok jego myśli przerwało ponowne pukanie do drzwi. Z niedowierzaniem popatrzył na panią Fernsby, która znów stanęła w progu.

– Czego chcesz tym razem?

Sekretarka poprawiła binokle na nosie i odparła stanowczo:

– Jeśli nie każe pan wyprowadzić tej kobiety siłą, będzie się tu dobijać, dopóki pan z nią nie porozmawia.

Irytacja Rhysa zmieniła się w zaciekawienie. Żadna z kobiet, które znał, czy to z wyższej, czy z niższej sfery, nie śmiałaby tak bezczelnie domagać się jego uwagi.

– Jak się nazywa?

– Nie powiedziała.

Rhys z niedowierzaniem pokręcił głową. Jakim cudem ta nieznajoma przedarła się przez jego biurowe kordony? Opłacał całą armię ludzi, którzy mieli go chronić przed podobnymi najściami.

Wtem przyszła mu do głowy niedorzeczna myśl – i choć natychmiast ją stłumił, jego puls przyspieszył.

– Jak wygląda? – zdołał zapytać z nagle ściśniętym gardłem.

– Nosi żałobę, ma welon na twarzy. Szczupła, łagodny głos. – Po chwili wahania sekretarka dodała: – Akcent ma czysto salonowy.

Rhys już się domyślał, o kogo chodzi. Jego pierś przeszyła bolesna tęsknota.

– *Yr Dduw*[1] – mruknął.

Ciągle nie mógł uwierzyć, że chodzi o Helen. Jednak wszystko na to wskazywało. Bez słowa podniósł się zza biurka i w kilku długich krokach dopadł drzwi, wymijając zaskoczoną panią Fernsby.

– Panie Winterborne! – zawołała, goniąc za nim. – Pańska marynarka…

Rhys jednak już jej nie słyszał. Pędził biurowym korytarzem, aż znalazł się we foyer, gdzie ustawiono okryte skórą fotele. Na widok swojego gościa zatrzymał się gwałtownie, wstrzymując oddech.

Chociaż twarz Helen zakrywał welon, poznał ją po idealnej figurze, foremnej i smukłej niczym wierzbowa witka. Zmusił się, żeby podejść bliżej. Niezdolny wykrztusić słowa, stał przed nią, kipiąc urazą, a jednocześnie z bezsilnym pożądaniem wciągając w nozdrza jej słodki zapach. Widok tej kobiety momentalnie go podniecił, przyspieszając puls i zalewając ciało gwałtowną falą gorąca.

Stukot maszyn do pisania niosący się z jednej z sal przylegających do holu rozbijał ciszę.

Helen była szalona, przychodząc tu bez towarzystwa. Ryzykowała swoją reputację. Trzeba jak najszybciej odesłać ją do domu, zanim ktoś zobaczy, kim jest.

Najpierw jednak Rhys musiał się dowiedzieć, co ją do niego sprowadza. Coś ważnego musiało sprawić, że osoba tak cicha i niewinna zdecydowała się na tak ryzykowny krok.

Przez ramię zerknął na panią Fernsby.

– Mój gość za moment opuści nasze biuro. Do tego czasu zadbaj, żeby nikt nam nie przeszkadzał.

– Tak, proszę pana.

Spojrzenie Rhysa wróciło do Helen.

– Chodź – mruknął i ruszył w stronę gabinetu.

Szła obok niego w milczeniu; słychać było tylko szelest spódnic, ocierających się o ściany korytarza. Strój Helen był lekko niemodny i podniszczony, typowy dla arystokratek, których czas świetności minął. Czy dlatego tu przyszła? Czyżby rodzina Ravenelów tak bardzo potrzebowała pieniędzy, że Helen w desperacji zmieniła zdanie i jest gotowa się zniżyć do małżeństwa z nim?

Mój Boże, pomyślał Rhys z gorzką nadzieją, przecież marzę o tym, by przyszła tu i błagała mnie, abym ją przyjął z powrotem. Oczywiście nie przyjmie jej, ale wcześniej da jej poznać smak mąk, których doświadczał od tygodnia. Powinna zresztą wiedzieć, że nikt, kto ośmieli się mu sprzeciwić, nie może liczyć na wybaczenie czy choćby na litość.

Weszli do gabinetu – przestronnego, cichego pomieszczenia z podwójnymi, wielkimi oknami i grubym, miękkim dywanem, wyścielającym podłogę. Stojące pośrodku duże orzechowe biurko na cokole było zawalone stosami dokumentów i listów.

Rhys zamknął drzwi, podszedł do biurka, wziął z niego klepsydrę i przekręcił ją ostentacyjnym gestem. Piasek miał się przesypać do dolnej komory dokładnie za kwadrans. Czuł potrzebę zaznaczenia, że znajdują się teraz w jego świecie, w którym rządzi on i w którymi liczy się czas.

Odwrócił się i spojrzał na Helen, teatralnie unosząc brwi.

– Czemu zawdzięczam tę niespodziewaną…

Jego głos zamarł, kiedy Helen odrzuciła welon i popatrzyła na niego ze spokojną, głęboką powagą, wobec której zawsze czuł się bezbronny. Jej oczy miały srebrzystoniebieską barwę chmur zasnuwających nocą tarczę księżyca. Proste, delikatne, jasnopopielate włosy były upięte w gładki kok, lecz jedno pasmo wymknęło się z niewoli szpilek i grzebieni, zwisając nad lewym uchem.

Do licha, czy ona musi być tak piękna?

– Proszę, wybacz mi – powiedziała Helen, nie spuszczając wzroku z Rhysa. – Skorzystałam z pierwszej nadarzającej się okazji, żeby do ciebie przyjść.

– Nie powinnaś się tu znaleźć.

– Są sprawy, o których koniecznie muszę z tobą porozmawiać. – Helen nieśmiało zerknęła na fotel stojący w pobliżu. – Jeśli pozwolisz…

– Jasne, siadaj – powiedział Rhys, ale nie ruszył się, żeby podprowadzić ją do fotela. Ponieważ Helen nie uważała go za dżentelmena, nie miał zamiaru udawać. Usiadł za biurkiem w swobodnej pozie, wyciągnąwszy nogi przed siebie i skrzyżowawszy ramiona na piersi. – I mów, bo mam mało czasu – zaznaczył, wymownie zerknąwszy na klepsydrę.

Helen usiadła, wygładziła spódnicę, po czym eleganckim ruchem zdjęła rękawiczki, pociągając za czubki palców.

Rhys poczuł suchość w ustach, gdy z czarnego jedwabiu wyłoniły się białe smukłe dłonie. Kiedy składał wizytę w Eversby Priory, jej rodzinnej posiadłości, grała dla niego na pianinie. Był zafascynowany sprawnością tych dłoni, śmigających nad klawiaturą niczym małe, białe ptaki. Z jakiegoś powodu nadal nosiła pierścionek zaręczynowy, który jej podarował. Czysty brylant o rozetowym szlifie na moment zahaczył o rękawiczkę.

Kiedy odrzucony welon opadł do tyłu jak czarna mgła, Helen śmielej odpowiedziała na intensywne spojrzenie mężczyzny, wytrzymując je przez dłuższą chwilę. Delikatny rumieniec zalał jej policzki.

– Panie Winterborne, to nie ja kazałam mojej szwagierce, aby przyszła do ciebie tydzień temu, choć wiedziałam, jakie są intencje Kathleen…

– Powiedziała, że jesteś chora.

– Bolała mnie głowa, nic więcej.

– Pewnie przeze mnie.

– Kathleen zrobiła z tego chorobę.

– Powiedziała mi, że nie chcesz mnie więcej widzieć.

Rumieniec Helen przybrał pąsowy odcień.

– Nie musiała ci tego powtarzać! – wykrzyknęła zmieszana i zawstydzona. – Nie to miałam na myśli. Głowa mi pękała, ale próbowałam przemyśleć sobie wszystko, co się wydarzyło poprzedniego dnia. Kiedy przyszedłeś i… – Z wysiłkiem oderwała spojrzenie od Rhysa i opuściła je na złożone na kolanach dłonie.

Smuga blasku z okna ześlizgnęła się po jej włosach. Ręce miała zaciśnięte, a jednocześnie zaokrąglone, jakby trzymała w nich coś bardzo kruchego. – Muszę z tobą o tym pomówić – podjęła spokojniejszym głosem. – Bardzo mi zależy, żebyśmy… znaleźli porozumienie.

W tym momencie w Rhysie coś umarło. Tylu ludzi liczyło na jego finansowe wsparcie, że bezbłędnie potrafił rozpoznać, z czym przychodzą. Pod tym względem Helen się od nich nie różniła – ona też chciała uzyskać coś dla siebie. Jakkolwiek nie mógł jej za to winić, nie miał ochoty usłyszeć za chwilę, że jest jej coś winien i dlaczego. Wolałby raczej od razu zapłacić i mieć problem z głowy.

Bóg jeden wie, skąd mu się wzięła nikła, szalona nadzieja, że może jednak Helen chodzi o coś innego niż pieniądze. Z drugiej strony świat od wieków jest tak urządzony i zawsze będzie. Mężczyźni rozglądają się za pięknymi kobietami, a piękne kobiety sprzedają swoją urodę za pieniądze. Upodlił Helen, wyciągając po nią swoje prostackie łapska, i teraz będzie żądała zadośćuczynienia.

Usiadł prosto, sięgnął do szuflady biurka, otworzył ją i wyjął swoją prywatną książeczkę czekową. Wziął pióro, wpisał sumę dziesięciu tysięcy funtów, dla swojej wiadomości odnotował na lewym marginesie cel wypłaty, po czym wydarł czek, podszedł do Helen i wręczył go jej.

– Nikt nie musi wiedzieć, skąd masz te pieniądze – powiedział służbowym tonem. – Jeśli nie posiadasz własnego konta w banku, załatwię ci je. – Żaden bank nie zgodzi się, żeby kobieta sama otworzyła u nich konto. – Obiecuję, że wszystko zostanie załatwione dyskretnie.

Helen patrzyła w osłupieniu to na niego, to na czek.

– Dlaczego… – Gwałtownie wciągnęła powietrze, kiedy zobaczyła sumę. W jej oczach błysnęło przerażenie. – Dlaczego? – powtórzyła.

Rhys zmarszczył brwi, zaskoczony jej reakcją.

– Powiedziałaś, że chcesz porozumienia. Czyżbym źle cię zrozumiał?

– Tak, bo… Ja po prostu chcę, żebyśmy się nawzajem zrozumieli – wyjaśniła, nerwowymi ruchami drąc czek na strzępki. – Nie potrzebuję pieniędzy. A nawet gdybym potrzebowała, nigdy nie

prosiłabym o nie ciebie. – Strzępki papieru opadły na podłogę jak płatki śniegu.

Osłupiały Rhys patrzył, jak Helen unicestwia małą fortunę, którą jej podarował. Wstyd i zakłopotanie ogarnęły go na myśl, że tak mylnie odczytał jej intencje. Do diaska, czego ona w takim razie chce? Po co tu przyszła?

Helen odetchnęła głęboko, a potem jeszcze raz, z wolna odzyskując spokój. Wstała i podeszła do Rhysa.

– W naszej rodzinnej posiadłości zyskaliśmy… niespodziewany przypływ gotówki. Teraz mamy środki, aby zapewnić posag mnie i moim siostrom.

Rhys wpatrywał się w nią w osłupieniu. Rysy zastygły mu w nieruchomą maskę, lecz mózg pracował na najwyższych obrotach, analizując to, co przed chwilą usłyszał. Podeszła zbyt blisko. Delikatna woń wanilii i orchidei z każdym oddechem wsączała się w jego płuca. Ciało płonęło żarem. Miał ochotę rzucić ją na blat biurka i… Z wysiłkiem przegnał lubieżną wizję. Po raz pierwszy tutaj, w biurowym otoczeniu swojego gabinetu, wytwornie ubrany, w wyglancowanych oksfordzkich półbutach, poczuł się jak nieokrzesany brutal. W desperackiej próbie ustanowienia bezpiecznego dystansu pomiędzy sobą a tą kobietą zaczął się cofać, aż natrafił na krawędź biurka i mimowolnie przyjął półsiedzącą pozycję.

Tymczasem Helen zbliżała się nieubłaganie. Fałdy sukni szeleściły delikatnie, ocierając się o jej uda. Była niczym postać z walijskiej legendy; nimfa, która narodziła się z jeziornej mgły. W niezwykłej delikatności jej porcelanowej cery i jasnych włosów, kontrastujących z ciemnymi rzęsami i brwiami, było coś nieziemskiego. A te oczy… niczym chłodne, krystaliczne jeziora, obramowane czernią.

Powiedziała coś o nagłym przypływie gotówki. Co miała na myśli? Niespodziewany spadek? Dar? A może korzystną inwestycję – choć w tę ostatnią możliwość raczej nie wierzył, znając beztroski stosunek rodu Ravenelów do spraw finansowych. Cokolwiek by to miało być, dla Rhysa stało się jasne, że Helen uwierzyła w koniec kłopotów finansowych swojej rodziny. A skoro może liczyć na posag, stanie się pożądaną partią w Londynie.

Jednak przychodząc do niego, położyła na szali swoją reputację. Mógłby wziąć ją siłą tutaj, w tym gabinecie, i nikt nie kiwnąłby palcem w jej obronie. Ale była bezpieczna, bo Rhys nie wyobrażał sobie, że mógłby zniszczyć tak kruchą i cudowną istotę.

Dla dobra Helen powinien jak najszybciej wyprowadzić ją z firmy. Z wysiłkiem oderwał od niej wzrok i skupił się na odległym punkcie na ścianie pokrytej boazerią.

– Wyprowadzę cię z budynku moim prywatnym wyjściem – mruknął. – Wrócisz do domu bez świadków.

– Nie zwolnię cię z zaręczyn – powiedziała Helen tym swoim łagodnym głosem.

Rhys błyskawicznie powrócił do niej spojrzeniem. W jego pierś znów uderzyły niewidzialne ciosy. Helen spokojnie patrzyła mu w oczy, czekając na odpowiedź.

– Moja pani, oboje wiemy, że jestem ostatnim mężczyzną, którego mogłabyś poślubić. Widzę, jaki wstręt do mnie żywisz.

– Wstręt?

Poirytowany tym udawanym zdziwieniem, ciągnął z jeszcze większą furią:

– Cofasz się przed moim dotykiem. Nie chciałaś ze mną rozmawiać przy stole. Przez większość czasu nawet na mnie nie spojrzałaś. A kiedy w zeszłym tygodniu cię pocałowałem, wyrwałaś się i wybuchnęłaś płaczem.

Był pewien, że zawstydzi Helen, wytykając jej kłamstwo. Ona tymczasem spojrzała na niego z powagą, bezradnie rozchylając usta.

– Jestem okropnie nieśmiała – wyznała w końcu. – Muszę to przemóc. Moje zachowania nie mają nic wspólnego ze wstrętem czy pogardą. Prawda jest taka, że przy tobie robię się nerwowa, bo… – Krwisty rumieniec wzniósł się od jej karku aż do nasady włosów. – Bo jesteś bardzo przystojny – dodała ze skrępowaniem. – I tak mocno stąpasz po ziemi. Nie chcę, żebyś uznał mnie za głupią gęś. A co do tamtego dnia… to był mój pierwszy pocałunek. Nie wiedziałam, co robić, i czułam się… przytłoczona.

Przez chaos, który zapanował w głowie Rhysa, przedarła się myśl o zbawczym biurku, które litościwie zapewniło mu oparcie. Gdyby nie ono, niechybnie by upadł, gdyż nogi się pod nim ugięły. Czy to

możliwe, że pomylił nieśmiałość z niechęcią? Że to, co uważał za wstręt i pogardę, było czystą niewinnością? Miał wrażenie, jakby jego serce z trzaskiem rozpadło się na drobne kawałki. Jak łatwo Helen go rozbroiła! Parę słów i gotów był paść przed nią na kolana.

Jej pierwszy pocałunek! A on skradł go bez pytania!

A przecież nie musiał odgrywać roli wytrawnego uwodziciela. Kobiety same do niego lgnęły i były zachwycone wszystkim, co z nimi wyprawiał, także w łóżku. Znalazły się wśród nich damy z socjety – żona dyplomaty oraz hrabina, której mąż był w ciągłych wojażach. Wychwalały pod niebiosa wigor Rhysa, jego wytrwałość w pościelowych bojach, a przede wszystkim sławiły jego wielkiego zaganiacza.

Istotnie, ciało i charakter miał równie twarde jak łupek ze zboczy Elidir Fawr albo Snowdon, jak Anglicy nazywają słynną górę wznoszącą się nad wsią Llanberis, w której się urodził. Młody Rhys nie miał pojęcia o dobrych manierach i arystokratycznych rodach, za to miał dłonie pełne odcisków, poranione drzazgami, bo przez lata zbijał skrzynki i ładował towary na kolejowe wagony. Obecnie ważył co najmniej dwa razy tyle, co Helen, i był umięśniony jak byk. Gdyby posiadł ją z taką żądzą i jurnością jak inne kobiety, chybaby ją rozdarł.

A niech to szlag! Co mu przychodzi do głowy? Powinien się wystrzegać każdej, nawet najbardziej ulotnej myśli o poślubieniu Helen Ravenel. Jednak za bardzo zaślepiała go własna ambicja – oraz słodycz i eteryczna uroda Helen – aby mógł zrezygnować ze swoich pragnień.

Gorzko świadom własnych ograniczeń, powiedział głosem pozbawionym emocji:

– Było, minęło, Helen. Wkrótce otworzysz sezon towarzyski i poznasz mężczyznę, który jest ci przeznaczony. Czort wie, kto to będzie, ale na pewno nie ja.

Wyprostował się, żeby odejść od biurka, ale Helen szybko stanęła pomiędzy jego szeroko rozstawionymi stopami. Niepewny ucisk dłoni, które oparła na jego piersi, obudził w nim falę zwierzęcego pożądania. Rhys opadł z powrotem na biurko, resztkami sił starając się utrzymać słabnącą kontrolę nad sobą. Włos dzielił go od chwili,

w której złapie tę kobietę i przygwoździ do podłogi. I po prostu ją pochłonie.

– Czy możesz… możesz mnie jeszcze raz pocałować? – zapytała cichutko.

Zamknął oczy, tłumiąc przyspieszony oddech, wściekły na nią i na siebie. Jak okrutnie zabawił się z nim los, stawiając na jego drodze to kruche stworzenie, aby ukarać go za wspinaczkę na wyżyny, których nie powinien sięgać. Aby przypomnieć mu, że nigdy nie będzie tam należał.

– Nigdy nie będę dżentelmenem – powiedział chrapliwym głosem. – Nawet dla ciebie.

– Nie musisz być dżentelmenem. Wystarczy, że będziesz delikatny.

Nikt nigdy nie prosił go o coś takiego. Ku swojej rozpaczy Rhys nie znalazł w sobie delikatności. Zacisnął dłonie na krawędzi biurka tak mocno, że aż blat zatrzeszczał.

Czuł, jak Helen dotyka jego napiętej szczęki. Delikatne opuszki jej palców paliły skórę lodowatym ogniem.

Ciało Rhysa stwardniało jak stal.

1 Słowniczek wyrażeń walijskich znajduje się na końcu książki.

Rozdział 2

Helen lękliwie musnęła wargi Rhysa, próbując skusić je do odpowiedzi. Nie było w tym cienia nacisku czy śmiałej zachęty.

Nie zareagował, więc niepewnie cofnęła rękę. Oddychając nierówno, nie spuszczał z niej czujnego spojrzenia. Walczyła z uciskiem w dołku, zastanawiając się, co teraz zrobić.

Niewiele wiedziała o mężczyznach. Prawie nic. Od urodzenia wraz ze swoimi siostrami Pandorą i Cassandrą żyła w bezpiecznym zaciszu rodzinnej wiejskiej posiadłości. Męska służba zachowywała wobec nich dystans pełen szacunku. Podobnie odnosili się do pańskich córek inni pracownicy, rezydenci czy handlarze przyjeżdżający z miasta.

Zaniedbywana przez rodziców, ignorowana przez Theo, brata, który większość swojego krótkiego życia spędzał w szkołach z internatem albo w Londynie, Helen zwróciła się ku książkom. Żyła w świecie wyobraźni. Jej adoratorami byli Romeo, Heathcliff, pan Darcy, Edward Rochester, sir Lancelot, Sydney Carton i cała gromada złotowłosych książąt z bajek.

Można było się obawiać, że nigdy nie pozna zalotów prawdziwego mężczyzny i już zawsze będzie musiała się zadowalać tymi wyimaginowanymi. Jednak dwa miesiące temu jej kuzyn Devon, który właśnie odziedziczył tytuł po Theo, zaprosił na Boże Narodzenie swojego przyjaciela, Rhysa Winterborne'a. I wszystko się zmieniło.

Pan Winterborne został przywieziony do posiadłości ze złamaną nogą. Wtedy po raz pierwszy go zobaczyła. Wydarzyło się bowiem coś strasznego. Kiedy on i Devon jechali z Londynu do Hampshire,

ich pociąg najechał na jakieś wagony stojące na torach. Obaj mężczyźni cudem uniknęli śmierci, ale doznali obrażeń.

W rezultacie krótka świąteczna wizyta pana Winterborne'a zamieniła się w prawie miesięczną rekonwalescencję w Eversby Priory. Dopiero gdy całkiem wyzdrowiał, wrócił do Londynu. Ale nawet będąc nie w pełni sprawnym, emanował siłą ducha, która fascynowała i zarazem nieuchronnie przyciągała Helen. Łamiąc wszelkie zasady domu, przyłączyła się do opieki nad nim. Prawdę mówiąc, upierała się przy niej. Oficjalnie chodziło o zwykłe ludzkie współczucie i dobre serce, lecz pod tą piękną przykrywką kryła się inna prawda – Helen była niemal chorobliwie zafascynowana tym potężnym, ciemnowłosym mężczyzną o akcencie chropawym jak prosta muzyka.

W miarę jak rekonwalescent wracał do formy, sam też coraz częściej pożądał jej towarzystwa, prosząc, aby godzinami czytała mu i umilała czas rozmową. Po raz pierwszy w życiu Helen czuła, że ktoś jest nią tak bardzo zainteresowany.

Pan Winterborne był oszałamiająco przystojny, choć nie miał w sobie nic ze złotowłosego, bajkowego księcia. Miał w sobie taką zwierzęcą męskość, że na sam jego widok nerwy Helen napinały się jak postronki. Jego rysy były śmiałe, nos wydatny, a usta pełne i wyraziście wykrojone. Skóra nie miała wytwornej bladości, tylko ciepły, nasycony odcień umbry. Całości idealnie dopełniały gęste, czarne jak węgiel włosy. Nie miał ani krztyny gładkiego, arystokratycznego obejścia, ani grama tej znudzonej gracji charakterystycznej dla wyższych sfer. Był wyrobiony, błyskotliwie inteligentny, a jednocześnie wyczuwało się w nim coś nieucywilizowanego. Jakby pod tą atrakcyjną powierzchnią czaiło się niebezpieczeństwo.

Po jego wyjeździe z Hampshire w majątku zapanowały nuda i spokój, a dni znów płynęły jednostajnie. Helen nie mogła się opędzić od myśli o nim… o uroku, kryjącym się za twardą fasadą… o tak rzadkim, choć olśniewającym uśmiechu.

Ku wielkiej konsternacji Helen Rhys nie wydawał się pragnąć jej powrotu. Wiedziała, że jego duma została zraniona przez jej mniemaną niechęć, i bardzo pragnęła opatrzyć tę ranę. Och, gdyby

tylko mogła cofnąć czas do dnia, w którym pocałował ją w Ravenel House. Rozegrałaby sytuację zupełnie inaczej! Niestety, ten mężczyzna potwornie ją onieśmielał. Kiedy ją pocałował, kiedy poczuła jego dłonie na swoim ciele, spanikowała. Padło parę ostrych słów, po których pan Winterborne wyszedł. Wtedy widziała go po raz ostatni.

Gdyby przeżyła choć parę niewinnych dziewczęcych flirtów, gdyby jakiś chłopak skradł jej pocałunek czy dwa – może nie przeżyłaby tego tak mocno. Niestety, Helen nie miała w tych sprawach żadnego doświadczenia. A pan Winterborne nie był niewinnym chłopaczkiem, tylko dojrzałym mężczyzną.

Najdziwniejsze było – tego sekretu nie zdradziłaby nikomu! – że pomimo wzburzenia tym, co się stało, Helen noc po nocy zaczęła śnić, że pan Winterborne ją całuje, mocno, zaborczo, raz po raz. W śmielszych marzeniach rozpinał jej suknię, całował ją jeszcze bardziej pożądliwie i drapieżnie, a wszystko to prowadziło do intrygującego i tajemniczego zakończenia. Budziła się z tych snów podniecona, zdyszana i płonąca wstydem.

Teraz też poczuła, jak w dole jej brzucha narasta burza dziwnych odczuć. Wystarczył sam widok tego mężczyzny.

– Pokaż mi, jak lubisz być całowany – poprosiła głosem pełnym tłumionego drżenia. – Naucz mnie, jak cię zadowolić.

Ku jej zaskoczeniu kącik ust mężczyzny uniósł się w lekkim rozbawieniu.

– Widzę, że się asekurujesz? – zapytał.

Spojrzała na niego zmieszana.

– Ja się asekuruję?

– Chcesz trzymać mnie w odwodzie, dopóki nie będziesz pewna, czy masz zabezpieczony posag.

Helen żachnęła się, słysząc te cyniczne słowa.

– Dlaczego nie możesz uwierzyć, że chcę za ciebie wyjść z powodów innych niż finansowe?

– Jedynym powodem, dla którego mnie przyjęłaś, był fakt, że nie masz posagu.

– To nieprawda.

Rhys mówił dalej, jakby jej nie słyszał:

– Musisz poślubić kogoś ze swojej kasty, moja pani. Mężczyznę o nienagannych manierach i szlachetnym rodowodzie. Takiego, który będzie wiedział, jak cię traktować. Będzie cię trzymał w wiejskiej posiadłości, abyś bez przeszkód mogła pielęgnować orchidee i czytać książki…

– Pragnę czegoś dokładnie przeciwnego! – zaprotestowała żywo. Nie wypadało, by dama podnosiła głos, ale nie dbała już o to. Widziała, że Winterborne chce się jej pozbyć. Jak ma przekonać tego mężczyznę, że naprawdę go pragnie? – Dotąd spędzałam życie, czytając cudze historie – ciągnęła. – Mój świat był… bardzo mały. Wszyscy uważają, że muszę być pielęgnowana i chroniona jak kwiat w oranżerii, bo inaczej zginę. Jeśli poślubię kogoś z mojej kasty, jak powiedziałeś, pozostanę pod tym szklanym kloszem i nigdy nie będę naprawdę sobą. Będę tylko taką kobietą, jaką powinnam być.

– Dlaczego uważasz, że ja traktowałbym cię inaczej?

– Bo ty jesteś inny.

Rzucił jej krótkie, ostre spojrzenie, niczym błysk światła na ostrzu noża. Po paru chwilach napiętej ciszy wyrzucił z siebie gwałtownie:

– Nie znasz mężczyzn, Helen. Lepiej idź do domu. Wkrótce kogoś sobie przygruchasz, a kiedy to się stanie, będziesz na kolanach dziękowała Bogu, że nie wyszłaś za mnie.

Helen poczuła wzbierające pod powiekami łzy. Jak wszystko mogło się tak szybko zawalić? Jak mogła go tak szybko stracić?

– Kathleen nie powinna była się za mną wstawiać – odpowiedziała głosem pełnym żalu. – Myślała, że mnie ochroni, ale…

– Ochroniła cię.

– Nie potrzebowałam obrony przed tobą. – Walka o odzyskanie panowania nad nerwami była jak bieg przez piach; usuwał się Helen spod nóg, nie dając się wyrwać z grząskich emocji. Jakby tego było mało, nie potrafiła już stłumić łkania. – Tamtego dnia położyłam się do łóżka z migreną – ciągnęła. – A kiedy się obudziłam następnego ranka, nasze zaręczyny były zerwane… i s-straciłam ciebie, a przecież…

– Helen, przestań.

– Myślałam, że to tylko nieporozumienie. Miałam wrażenie, że jeśli porozmawiam z tobą w cztery oczy, wszystko s-sobie wyjaśnimy i…

– Wstrząsnął nią kolejny spazm. Targana emocjami, w ostatniej chwili zauważyła, że Rhys pochyla się nad nią, i odruchowo odtrąciła jego ręce.

– Helen, na litość boską, nie płacz… Proszę…

– Nie chciałam cię odepchnąć. Nie wiem, co robić. Jak mam sprawić, żebyś znów mnie zechciał?

Oczekiwała kąśliwej riposty. Albo litości. Ostatnią rzeczą, jakiej się spodziewała, był drżący szept:

– Chcę cię, *cariad*… Chcę cię jak jasna cholera.

Zamrugała, żeby spędzić z oczu zasłonę łez, walcząc z napadem czkawki, jak rozszlochane dziecko. Tym razem nie protestowała, kiedy mocno przyciągnął ją do siebie.

– No już, cicho… – Głos Rhysa zniżył się o oktawę i musnął jej uszy niczym miękki aksamit. – Cicho, *bychan*, moja mała, moja ptaszyno. Nic nie jest warte twoich łez.

– Ty jesteś.

Pan Winterborne trwał nieruchomo. Po długiej chwili powolnym ruchem sięgnął do twarzy Helen i otarł łzę z jej policzka. Rękawy koszuli miał podwinięte do łokci, jak jakiś cieśla albo farmer. Odsłaniały muskularne, owłosione przedramiona i grube przeguby. Mocne objęcia tego mężczyzny działały na Helen kojąco. Bił od niego suchy, przyjemny zapach – zmieszane wonie nakrochmalonego płótna, czystej męskiej skóry i mydła do golenia.

Czuła, jak delikatnie unosi jej twarz. Jego oddech owiał jej policzek, przynosząc zapach mięty. Gdy pojęła, do czego zmierza, mocno zacisnęła powieki. Czuła się tak, jakby ktoś nagle usunął jej podłogę spod stóp.

Coś gorącego musnęło jej górną wargę, tak subtelnie, że ledwo rozpoznała ten dotyk. Za moment poczuła go we wrażliwym kąciku ust, potem na dolnej wardze, gdzie zagościł chwilę dłużej, sugerując coś więcej.

Rhys wsunął dłoń pod welon i dotknął wrażliwego punktu na karku Helen. Jego usta znów pieszczotliwie musnęły jej usta, elektryzując ją jedwabistym dotykiem. Opuszkiem kciuka obrysował kształt dolnej wargi i zmysłowo potarł jej czułą skórę. Szorstki nagniotek pogłębił

doznanie, stymulując zakończenia nerwów. Helen zakręciło się w głowie, jakby ktoś wyssał jej całe powietrze z płuc.

Znowu ją pocałował. Wyprostowała się, pragnąc, aby robił to mocniej i dłużej, tak jak sobie wyśniła. Musiał wyczuć to pragnienie, bo wargami rozchylił jej usta. Z drżeniem otworzyła się na śliski dotyk języka, mimowolnie napawając się jego smakiem, miętowo chłodnym, a zarazem rozpalonym. Rhys chłonął ją niespiesznie, a zarazem tak łapczywie, że niekontrolowane dreszcze wstrząsnęły jej ciałem. Zarzuciła mu ręce na szyję, zanurzając palce w wijących się kędziorach. O tak, tego właśnie pragnęła, aby posiadł swoimi ustami jej usta, tuląc ją do siebie mocno, jakby mieli się ze sobą stopić.

W żadnej z książek, które czytała, nie napisano, że mężczyzna może całować kobietę tak, jakby chciał nią oddychać; jakby jego pocałunki były słowami miłosnego poematu albo miodem, który trzeba spijać. Rhys ujął w dłonie głowę Helen i odchylił do tyłu, odsłaniając napiętą szyję. Zaczął po niej sunąć rozchylonymi ustami, pieszcząc i smakując miękką, jedwabistą skórę. Helen gwałtownie wciągnęła powietrze, gdy natrafił na wrażliwe, zmysłowe miejsce. Nogi ugięły się pod nią, z trudem utrzymując jej ciężar. Rhys przyciągnął ją mocniej do siebie, jego głodne usta znów sięgnęły po jej wargi. Helen nie była już zdolna myśleć, straciła całą wolę. Zostało tylko nagie, mroczne, tłumione pragnienie, które Winterborne podsycał, całując ją z tak niezaspokojoną, ślepą pasją, jakby chciał wyssać z niej duszę.

A potem nagle przestał. Przerwał pocałunek, bezlitośnie odrywając wargi od warg Helen, i wypuścił ją z objęć. Okrzyk protestu wyrwał się jej z gardła, kiedy bezceremonialnie została odstawiona na bok. Zaskoczona i oszołomiona patrzyła, jak Winterborne odchodzi do okna. Choć bardzo szybko odzyskał formę po wypadku kolejowym, nadal lekko utykał. Stał, odwrócony do niej plecami, skupiony na widocznej w oddali zielonej oazie Hyde Parku. Dostrzegła, że jego zaciśnięta dłoń, wsparta o okienną ramę, drży.

Wreszcie głośno wypuścił długo wstrzymywany oddech.

– Nie powinienem tego robić – powiedział.

– Pragnęłam tego. – Helen zaczerwieniła się, zawstydzona własną śmiałością. – I… I żałuję, że pierwszy raz nie był taki jak ten.

Milczał. Z irytacją szarpnął sztywny kołnierzyk koszuli.

Helen dostrzegła, że piasek w klepsydrze się przesypał. Podeszła do biurka i odwróciła ją.

– Powinnam być z tobą bardziej szczera. – Przyglądała się, jak strumień piasku zaczyna na nowo mierzyć nieubłagany upływ sekund. – Ale nie jest mi łatwo zwierzać się ludziom z tego, co myślę i czuję. Poza tym dręczyło mnie coś, co powiedziała Kathleen. Że uważasz mnie wyłącznie za… po prostu za nagrodę, która ci się należy. Bałam się, że ma rację.

Winterborne odwrócił się i oparł plecami o ścianę, krzyżując ramiona na piersi.

– Bo miała rację – potwierdził ku zaskoczeniu Helen. Kącik jego ust skrzywił się gorzko. – Jesteś piękna niczym księżycowy promień, *cariad*, a ja nie mam nic z subtelnego pięknoducha. Jestem tylko zabijaką z Północnej Walii, który ma pociąg do piękna. Zgadza się, uważałem cię za nagrodę. Zawsze nią byłaś. Ale nie tylko dlatego cię pragnąłem.

Przyjemność, jaką sprawił Helen jego komplement, uleciała wraz z ostatnimi zdaniami.

– Czemu użyłeś czasu przeszłego? – Zamrugała niepewnie. – Przecież… nadal mnie pragniesz, prawda?

– Nieważne, czego pragnę. Trenear teraz już nie wyda zgody na ślub.

– Przecież sam to sugerował. Jeśli pokażę mu, że bardzo chcę cię poślubić, na pewno się zgodzi.

Milczenie, które jej odpowiedziało, było nieznośnie długie.

– A więc nikt ci nie powiedział…

Helen popatrzyła na Rhysa pytająco.

Wepchnął dłonie w kieszenie i westchnął.

– Fatalnie się zachowałem, kiedy przyszła Kathleen. Kiedy mi powiedziała, że nie chcesz mnie więcej widzieć… – Urwał i ponuro zacisnął usta.

– Co zrobiłeś? – zapytała Helen, marszcząc brwi.

– Och, nieważne. Trenear przyszedł po nią i nam przerwał. O mało się nie pobiliśmy.

– Co przerwał? I co mu zrobiłeś?

Umknął spojrzeniem w bok i jego napięta szczęka się rozluźniła.

– Obraziłem ją… Propozycją małżeńską.

Oczy Helen rozszerzyły się gwałtownie.

– Mówiłeś to poważnie?

– Ależ skąd – warknął Rhys. – Nie dotknąłbym jej nawet palcem. Chciałem ciebie. Nie interesowała mnie ta mała zołza. Byłem wściekły, że miesza się w moje sprawy.

Helen popatrzyła na niego z naganą.

– Jesteś jej winien przeprosiny.

– Ona mi też – odparował. – Przez nią straciłem żonę.

Choć Helen kusiło, żeby wytknąć mu nielogiczność takiego rozumowania, ugryzła się w język. Wzrastała w rodzinie słynącej z wybuchowych charakterów i uporu, toteż wiedziała, że trzeba wybrać właściwy moment, aby wytknąć komuś jego błędy. A Rhysem w tym momencie targały demony, które nie pozwalały mu myśleć racjonalnie.

Rzeczywiście, fatalnie się zachował. I nawet jeśli Kathleen zechce mu wybaczyć, Devon na pewno tego nie zrobi. Devon bowiem był szaleńczo zakochany w Kathleen, a do tego dochodziły jeszcze chorobliwa zazdrość i zaborczość, które prześladowały pokolenia Ravenelów. Jakkolwiek Devon był bardziej rozsądny niż paru poprzednich earlów, nadal daleko mu było do normalności w tym względzie. Każdy mężczyzna, który ośmielił się wystraszyć czy obrazić Kathleen, zasługiwał na jego dozgonną nienawiść.

Właśnie dlatego Devon od razu wycofał zgodę na zaręczyny. Fakt, że ani on, ani Kathleen nie wspomnieli o tym Helen, był uwłaczający. Na litość boską, jak długo jeszcze będą ją traktowali jak dziecko?

– Moglibyśmy uciec – zaproponowała, choć niezbyt pociągał ją ten pomysł.

Rhys Winterborne skrzywił się i pokręcił głową.

– Albo będzie ślub kościelny, albo żaden. Jeśli uciekniemy razem, nikt nie uwierzy, że zgodziłaś się na to z własnej woli. Do licha, nie

wyobrażam sobie, aby ludzie mówili, że musiałem się posunąć do porwania narzeczonej.

– Nie ma innego wyjścia.

W ciszy, jaka między nimi zapadła, Helen poczuła, jak włoski jeżą się na jej skórze.

– Jest. – Twarz Rhysa się zmieniła, a oczy błysnęły bystrością drapieżcy. Kalkulował.

Wtem, w nagłym przebłysku intuicji, Helen zrozumiała, że ma przed sobą wcielenie pana Winterborne'a, którego ludzie tak się bali i którego podziwiali – pirata przebranego za rekina biznesu.

Rozdział 3

Niesiona chaosem własnych myśli, Helen wycofała się pod jeden z regałów przy ścianie.

– Nie rozumiem – powiedziała, choć bardzo się bała, że jednak rozumie.

Winterborne z wolna zbliżył się do niej.

– Trenear nie będzie nam stawał na drodze, kiedy się zorientuje, że jesteś bez grosza.

– Przecież nie grozi mi ruina… – Coraz trudniej było jej oddychać. Gorset ściskał ją niczym bezlitosne szczęki.

– Ale chcesz mnie poślubić. – Rhys stanął przed nią i oparł się jedną ręką o półkę regału, tuż obok jej głowy. Poczuła się osaczona. – Mam rację?

Z punktu widzenia moralności współżycie pozamałżeńskie było ciężkim grzechem. A jej już niewiele brakowało, żeby znalazła się z nim w łóżku.

Straszna myśl nagle wyssała rumieńce z twarzy Helen. A jeśli Winterborne prześpi się z nią, a potem nie zechce się ożenić? Jeśli naprawdę jest zdolny do takiej mściwości, może przecież odebrać jej cześć i ją porzucić. Na razie żaden dżentelmen nie poprosił jej o rękę. Co będzie, jeśli nie uda się jej założyć rodziny, stworzyć własnego domu? Stanie się ciężarem dla najbliższych; będzie do końca życia zhańbiona i zależna od innych. Jeśli, nie daj Boże, zajdzie w ciążę, ona i dziecko zostaną społecznymi wyrzutkami. Poza tym fatalna pozycja Helen mogłaby zniweczyć małżeńskie szanse jej młodszych sióstr.

– Skąd mogę wiedzieć, że nie wykorzystasz mnie, a potem nie porzucisz? – spytała.

Cień przemknął przez twarz Winterborne'a.

– Pomińmy na razie mój charakter. Zastanów się, jak długo twoim zdaniem Trenear pozwoliłby mi pożyć, gdybym zrobił coś takiego? Zanim dzień by się skończył, już by mnie osaczył i wypatroszył jak jelenia.

– Tak czy owak, może to zrobić – stwierdziła ponuro Helen.

Zignorował jej uwagę.

– Nigdy bym cię nie zostawił. Jeśli wezmę cię do łóżka, zostaniesz na zawsze moja w oczach Boga i ludzi – tak jakbyśmy złożyli śluby nad kamykiem przysięgi.

– Co to znaczy?

– Jest taka ślubna tradycja w Walii. Kobieta i mężczyzna składają małżeńską przysięgę, trzymając w złączonych dłoniach kamyk. Po ceremonii udają się na brzeg jeziora i wrzucają kamyk przysięgi do wody. W ten sposób sama Ziemia staje się częścią ich przysięgi. Odtąd będą ze sobą związani tak długo, jak długo będzie istniał świat. – Uwięził wzrokiem jej spojrzenie. – Daj mi, o co proszę, a nie będziesz musiała już niczego więcej pragnąć.

Znów zyskiwał nad nią władzę. Helen poczuła lekkie uderzenie potu, rozprzestrzeniające się od nasady włosów po całym jej ciele.

– Potrzebuję czasu, żeby to przemyśleć – odparła.

Determinacja Winterborne'a wzrastała, jakby napędzały ją rozterki Helen.

– Dam ci pieniądze i własny dom. Stajnię z rasowymi końmi. Albo pałac i kwitnące miasteczko obok niego oraz armię sług, gotowych na każde twoje skinienie. Nie ma ceny, której nie byłbym gotów zapłacić. Musisz tylko pójść ze mną do łóżka.

Helen drżącymi palcami potarła bolące skronie. Miała nadzieję, że nie zbliża się kolejna migrena.

– O ile pamiętam, powiedziałeś, że mam być bankrutem – rzekła. – Devon musiałby to widzieć.

Zanim skończyła zdanie, Rhys już kręcił głową.

– Muszę dostać przedpłatę. Tak się robi w interesach.

– Ale my nie ubijamy interesu! – zaprotestowała gwałtownie.

Winterborne był nieugięty.

– Chcę rękojmi na wypadek, gdybyś zmieniła zdanie przed ślubem.

– Na pewno tak nie zrobię. Nie ufasz mi?

– Ufam, ale ufałbym bardziej, gdybyś mi się oddała.

Ten człowiek był niemożliwy! Helen przez moment szukała innego wyjścia, sposobów stawienia mu oporu, ale zrezygnowała, bo czuła, że jego postawa umacnia się z każdą sekundą.

– Przemawia przez ciebie urażona duma – stwierdziła z pretensją. – Jesteś urażony i zły, bo myślisz, że cię odrzucam, i pragniesz mnie ukarać, choć w niczym nie zawiniłam.

– Ukarać? – Rhys ironicznie uniósł czarne brwi. – Jeszcze pięć minut temu byłaś zachwycona moimi pocałunkami.

– Twoja oferta zawiera o wiele więcej niż tylko pocałunki.

– To nie jest oferta – sprostował beznamiętnym tonem. – To ultimatum.

Helen wpatrywała się w niego z niedowierzaniem.

Nie miała innego wyboru – mogła tylko się zgodzić albo odmówić. Któregoś dnia może poznać odpowiedniego mężczyznę, którego zaaprobuje jej rodzina. Należącego do któregoś z rodów właścicieli ziemskich, sztywnego i nieciekawego, o wysokim czole, którego poglądy i oczekiwania będzie musiała przyjąć jako własne. Jej życie zostanie zaplanowane, nudny dzień po nudnym dniu, rok po roku.

Albo poślubi Winterborne'a…

Ciągle za mało rozumiała tego człowieka. Jakie miałoby być życie kobiety, której mąż jest właścicielem największego domu towarowego świata? Z jakich ludzi składałoby się jej towarzystwo i jak spędzałaby swoje dni? A sam Winterborne, wyglądający na człowieka, który ma więcej niż parę zatargów ze światem i nigdy nie wybacza? Jaki byłby z niego mąż? Jego świat był tak rozległy, że mogłaby się w nim zagubić, trafić na margines.

Dopiero teraz uświadomiła sobie, że Rhys wpatruje się w nią uważnie, śledząc każde drgnienie jej rysów, więc odwróciła się do niego plecami. Teraz miała przed oczami rzędy książek, katalogów, podręczników i ksiąg rachunkowych. Zamrugała i zaczęła odczytywać tytuły.

Ananasowate: wyczerpujący instruktaż prowadzenia oranżerii.

Storczykowate: rodzaje i gatunki.
Spis znanych orchidei.
Uprawa orchidei.

Książki o orchideach nie mogły się znaleźć przypadkiem w tym gabinecie.

Uprawa orchidei stała się pasją Helen od czasu, kiedy pięć lat temu umarła jej mama, zostawiając w spadku prawie dwieście orchidei w doniczkach. Ponieważ nikt z rodziny nie kwapił się do opieki nad kwiatami, ona je przejęła. Okazały się bardzo wymagające i Helen miała wrażenie, że każda z tych roślin ma swoją osobowość. Początkowo zajmowała się nimi jedynie z poczucia obowiązku, ale z czasem stała się pasjonatką tych pięknych kwiatów. Tak jak kiedyś powiedziała Kathleen, czasem trzeba pokochać coś, jeszcze zanim stanie się kochane.

Z wahaniem musnęła palcami złocony grzbiet, przesuwając je po ręcznie malowanym storczyku.

– Skąd masz te książki? – spytała.

Głos Winterborne'a wypłynął zza jej pleców:

– Kiedy podarowałaś mi orchideę w doniczce, musiałem się nauczyć, jak o nią dbać.

Parę tygodni wcześniej był na obiedzie w Ravenel House i Helen w nagłym odruchu podarowała mu jedną ze swoich orchidei – rzadką odmianę Blue Vanda, najcenniejszą i najbardziej chimeryczną z jej roślin. Nie sprawiał wrażenia szczególnie zachwyconego tym prezentem, ale podziękował jej i ostrożnie przejął kwiat. Jednak w chwili, kiedy ich zaręczyny zostały zerwane, odesłał go z powrotem. Ku swojemu zdumieniu Helen zobaczyła, że delikatna roślina pięknie się rozwinęła pod jego opieką.

– A więc osobiście się nią zajmowałeś – stwierdziła. – Nie przypuszczałam.

– Oczywiście, że tak. Nie chciałem oblać twojego sprawdzianu.

– To nie był sprawdzian, tylko prezent.

– Skoro tak mówisz…

Helen z desperacją obróciła się ku niemu.

– Byłam przekonana, że kwiat u ciebie nie przeżyje, a jednak byłam gotowa cię poślubić – zaznaczyła.

Zacisnął usta.

– A ja nie.

Milczała, usiłując wyważyć swoje myśli i uczucia przed podjęciem najważniejszej decyzji w życiu. Ale czy naprawdę ten krok jest tak poważny? Każde małżeństwo jest ryzykiem.

Nigdy nie wiadomo, jakim mężem będzie mężczyzna, którego poślubisz.

Po raz ostatni Helen rozważyła opcję rezygnacji. Wyobraziła sobie, jak wychodzi z tego biura, wsiada do rodzinnego powozu i wraca do Ravenel House przy South Audley. Świadoma, że to absolutny koniec. Odtąd jej przyszłość nie będzie się różniła od przyszłości wielu innych młodych kobiet w podobnej sytuacji. Zaliczy towarzyski sezon w Londynie; będzie chodziła na tańce i kolacje z ugładzonymi kawalerami – wszystko po to, żeby upolować mężczyznę, który nigdy nie będzie jej rozumiał, podobnie jak ona jego. I pewnie robiłaby wszystko, żeby zepchnąć w niepamięć tę chwilę wielkiej decyzji i nie musieć się zastanawiać, co by było, gdyby powiedziała „tak" panu Winterborne'owi.

Przypomniała sobie, jak dziś rano, przed wyjazdem, rozmawiała z ochmistrzynią, panią Abbott. Była to pulchna kobieta o gładko zaczesanych siwych włosach, która służyła w domu Ravenelów od niepamiętnych czasów. Kiedy usłyszała, że Helen chce wyjść w biały dzień – sama, bez przyzwoitki – zaczęła gwałtownie protestować:

– Pan nam urwie głowy!

– Gdyby się wydało, powiem lordowi Trenearowi, że wymknęłam się potajemnie, bez niczyjej wiedzy – uspokajała ją Helen. – Stangret nie miał wyjścia, bo mu zagroziłam, że jeśli mnie nie zawiezie, pójdę piechotą!

– Panienko, nie warto tak ryzykować!

A jednak kiedy Helen wytłumaczyła poczciwej kobiecie, że chce się zobaczyć z Rhysem Winterborne'em i starać się uratować zaręczyny, pani Abbott zmieniła front.

– Nie mogę cię winić, dziecko – rzekła, kręcąc głową. – Taki mężczyzna jak on…

Helen zaskoczył cień rozmarzenia, który przemknął po twarzy kobiety, na moment łagodząc jej rysy.

– Czyżbyś poważała pana Winterborne'a? – spytała.

– Tak, moja pani. Och, wiem, że w tych sferach uważają go za arywistę. Ale dla prawdziwego Londynu – dla setek tysięcy ludzi, którzy harują dzień w dzień, usiłując wyszarpać od życia coś dla siebie – pan Winterborne jest legendą. Ośmielił się zrobić to, o czym inni nie śmią nawet pomarzyć. Był zwykłym pomagierem w sklepie, a teraz każdy, od żebraka do królowej, zna jego nazwisko. – Gospodyni uśmiechnęła się filuternie i dodała: – Do tego nikt nie zaprzeczy, że przystojny z niego gość, choć czarny jak Cygan. Nie ma takiej kobiety, wysoko czy nisko urodzonej, która by się za nim nie obejrzała!

Miała rację. Helen nie mogła zaprzeczyć, że osobisty urok pana Winterborne'a stał wysoko na liście jej preferencji. Mężczyzna w swoich najpiękniejszych latach, emanujący mocą i energią, niemal zwierzęcym magnetyzmem, przerażał ją i zarazem nieodparcie pociągał. Ale było w nim coś jeszcze… wabik silniejszy niż inne. Zdarzało się to w rzadkich chwilach czułości, na które sobie pozwalał wobec niej, kiedy Helen się wydawało, że głęboko ukryta i zamknięta na siedem spustów skrytka smutku w jej sercu zaraz się otworzy. Rhys Winterborne był jedyną osobą, która kiedykolwiek zbliżyła się do tajemnicy; jedyną osobą, która miała szansę sprawić, że ukryta samotność uleci, wreszcie uwalniając Helen od swojego brzemienia.

Gdyby za niego wyszła, mogłaby tego żałować. Jednocześnie wiedziała, że jeszcze bardziej będzie żałować niewykorzystanej szansy.

Nagle, jakimś cudownym zrządzeniem, chaos myśli w jej głowie zmienił się w porządek. Ogarnął ją spokój, a mgły rozwiały się, odsłaniając jasno wytyczoną ścieżkę.

Helen wzięła głęboki oddech i popatrzyła Rhysowi w oczy.

– Dobrze – powiedziała. – Przyjmuję twoje ultimatum.

Rozdział 4

Przez długą chwilę Rhys nie był w stanie wydusić z siebie słowa. Albo Helen nie wie, co mówi, albo on coś źle usłyszał.

– Uściślijmy – powiedział wreszcie. – Zgadzasz się, abym… – przez chwilę szukał właściwego słowa – wziął cię… tak jak mąż bierze żonę, zgadza się?

– Tak – odparła spokojnie, po raz kolejny wprawiając go w osłupienie. Twarz miała pobladłą, czerwone plamy znaczyły szczyty jej policzków, ale ani we wzroku, ani w głosie nie było cienia wahania.

Musiało być coś, co zostało stłumione; jakiś haczyk, który prędzej czy później wyjdzie na powierzchnię. Ale na razie nie miał czasu o tym myśleć. Ważne, że się zgodziła. Za chwilę może się znaleźć w jego łóżku. Naga. Ta myśl zaburzyła wewnętrzny rytm jego organizmu. Miał wrażenie, że jego serce i płuca przestały się mieścić w piersi.

Z osłupieniem uświadomił sobie, że w tej sytuacji nie może liczyć na swój zdrowy, samczy popęd. Helen była zbyt bezbronna i niewinna.

Zrozumiał, że nie może jej zwyczajnie wydupczyć. Z Helen musi się kochać.

A on nie miał pojęcia o takim kochaniu.

Niech to szlag!

W rzadkich przypadkach, kiedy do jego łóżka trafiały arystokratki, z reguły chciały, żeby brał je ostro, siłą, jakby uważały go za brutala niezdolnego do subtelności. Rhysowi także odpowiadało, że nie musi udawać bliskości ani czułości. Nie był wszak Byronem, złotoustym,

tryskającym poezją znawcą sztuki uwodzenia. Był twardym, prostym Walijczykiem. Miłosne techniki i romanse wolał zostawić Francuzom, którzy byli w tych sprawach niedoścignieni.

Ale Helen była dziewicą. Będzie krew. Ból. I pewnie łzy. A co, jeśli nie okaże się dość delikatny? I Helen się zniechęci? A jeśli…

– Mam dwa warunki – podjęła. – Po pierwsze, muszę wrócić do domu przed kolacją. I po drugie… – Zaczerwieniła się po same uszy. – Chciałabym wymienić ten pierścionek na inny.

Rhys spojrzał na lewą dłoń Helen. Tamtego wieczoru, kiedy jej się oświadczył, dostała od niego pierścionek z brylantem czystej wody o rozetowym szlifie, wielkości przepiórczego jajka. Bezcenny kamień został wydobyty w kopalniach Kimberley w Afryce Południowej, oszlifowany w Paryżu przez słynnego gemmologa i osadzony w platynowej oprawie, wykonanej przez głównego jubilera domu towarowego, Paula Sauveterre'a.

Helen, nie zważając na jego urażoną minę, wyjaśniła krótko:

– Nie lubię go.

– Mówiłaś, że ci się podoba, kiedy ci go wręczałem.

– Nie, nie wyraziłam się tak. Po prostu nie powiedziałam, że go nie lubię, a to różnica. Postanowiłam jednak, że od dziś będę z tobą całkowicie szczera, aby uniknąć nieporozumień.

Rhysowi zrobiło się przykro, że Helen nie zachwycił pierścionek, który dla niej wybrał. Rozumiał jednak, że chce być uczciwa, nawet gdyby prawda była przykra.

Do tego czasu zdanie Helen było lekceważone i rodzina nie liczyła się z nią. Podejrzewał, że sam nieświadomie też tak ją traktował. Przecież mógł zapytać swoją przyszłą narzeczoną, jaki kamień i oprawkę by wolała, zamiast decydować za nią i oczekiwać zachwytu.

Sięgnął po dłoń Helen i przyjrzał się lśniącemu klejnotowi.

– Kupię ci brylant wielkości świątecznego puddingu – obiecał.

– O Boże, tylko nie to! – zaprotestowała natychmiast, znów go zaskakując. – Przeciwnie, kamień ma być jak najmniejszy. Ten sterczy mi na dłoni, nie widzisz? Poza tym jest ciężki, więc obraca mi się na palcu i przeszkadza, kiedy gram na pianinie albo piszę list.

Wolałabym coś mniejszego. I inny kamień, nie diament – dodała po chwili.

– Dlaczego nie diament?

– Bo nie przepadam za nimi. Chyba że są małe i wyglądają jak kropelki albo gwiazdki. Duże są takie twarde i zimne.

– Nic dziwnego, to diamenty. – Rhys rzucił jej sardoniczne spojrzenie. – Każę przysłać całe pudło pierścionków, do wyboru.

Uśmiech rozświetlił twarz Helen.

– Dziękuję.

– Co jeszcze byś chciała? – zapytał. – Czterokonną karetę? Naszyjnik? Futro?

Pokręciła głową.

– Musisz o czymś marzyć – upierał się. Pragnął zasypać ją kosztownymi prezentami, aby wiedziała, jak mu na niej zależy i jak cudowne życie ją czeka.

– Nic więcej nie przychodzi mi do głowy.

– Może nowy instrument? – Gdy poczuł ledwo dostrzegalne drgnienie jej palców, ciągnął z ożywieniem: – Koncertowy fortepian Brinsmead, z nowoczesnym mechanizmem repetycyjnym i mahoniową obudową w stylu Chippendale?

Zaśmiała się bezgłośnie.

– Ależ ty masz pamięć do szczegółów! Tak. Marzę o fortepianie. Po ślubie będę ci grała, co tylko zechcesz.

Ta wizja zachwyciła Rhysa. Wyobraził sobie, jak się relaksuje wieczorami, patrząc na Helen i słuchając jej muzyki. A potem poszliby do sypialni i tam rozbierałby ją powoli, całując każdy fragment jej ciała. I pewnie ciągle nie będzie mógł uwierzyć, że ta eteryczna istota, stworzona z księżycowego światła i muzyki, naprawdę należy do niego. Nagle poczuł przypływ paniki na myśl o tym, że ktoś mógłby mu ją zabrać.

Delikatnie ściągnął pierścionek z brylantem z palca Helen i pomasował opuszkiem kciuka lekki odcisk złotej obrączki na skórze. Cudownie było ją dotykać, czuć, jak jej słodycz i łagodność przenikają jego ciało. Musi wszystko przemyśleć. Trzeba zaraz zacząć przygotowania.

– Gdzie czeka twój powóz? – zapytał.

– Przy stajniach, za magazynem.

– Mam nadzieję, że jest nieoznaczony?

– Nie, to nasz rodzinny powóz – odparła niewinnie.

Dyskrecję diabli wzięli, pomyślał z irytacją Rhys.

Pociągnął Helen do biurka.

– Napisz wiadomość, a ja każę ją dostarczyć stangretowi – polecił.

Skorzystała z krzesła, które jej podsunął.

– Kiedy ma po mnie wrócić?

– Napisz, że już go nie potrzebujesz i że ja bezpiecznie odstawię cię do domu.

– Może napiszę też do sióstr, żeby się nie martwiły?

– Jasne. Czy wiedzą, gdzie jesteś?

– Tak. I wcale nie mają mi za złe. Obie bardzo cię lubią.

– Raczej lubią mój dom towarowy.

Helen stłumiła uśmiech, sięgając po kartkę ze stosiku leżącego na srebrnej tacy.

Na zaproszenie Winterborne'a rodzina Ravenelów pewnego dnia odwiedziła jego sklep po godzinach. Ponieważ ciągle byli w żałobie po zmarłym earlu, musieli ograniczyć swoje publiczne występy. Przez dwie godziny bliźniaczki Cassandra i Pandora zdążyły spenetrować imponująco wielką sklepową powierzchnię. Nieprzytomne ze szczęścia, biegały wśród wystaw, gablot i półek z najnowszymi fasonami ubrań oraz tysiącami kosmetyków, dodatków i biżuterii.

Rhys zauważył, że Helen bezradnie obraca w palcach jego pióro.

– Zbiornik z atramentem jest w oprawce – wyjaśnił, podchodząc do niej. – Po prostu musisz trochę mocniej naciskać stalówkę przy pisaniu.

Pochyliła się nad kartką i niepewnie pociągnęła po niej piórem, po czym ze zdumieniem oderwała stalówkę od papieru, podziwiając gładką linię na papierze.

– Widziałaś już takie pióro? – spytał.

Pokręciła głową.

– Lord Trenear woli zwykłe obsadki i atrament w kałamarzu. Twierdzi, że takie pióra często ciekną.

– Owszem – przyznał Winterborne. – Ale to jest nowy typ, z igłą regulującą przepływ atramentu.

Obserwował, jak Helen dalej eksperymentuje z nowoczesnym piórem, kaligrafując ozdobnym pismem swoje imię i nazwisko. Kiedy skończyła, przyjrzała się krytycznie podpisowi, po czym skreśliła nazwisko panieńskie i dopisała nowe.

Rhys stanął za nią, opierając ręce o biurko po obu jej stronach. Razem wpatrywali się w papier.

„Lady Helen Ravenel Winterborne".

– Ładne nazwisko – mruknęła do siebie Helen.

– Ale nie tak wytworne jak Ravenel.

Obróciła się na krześle i spojrzała w górę, prosto na niego.

– Zaszczytem będzie dla mnie je nosić.

Rhys był przyzwyczajony do bezustannych pochlebstw serwowanych mu przez ludzi, którzy chcieli coś od niego uzyskać. Zwykle odgadywał ich ukryte zamiary z taką łatwością, jakby mieli je wypisane na czole. Jednak spojrzenie Helen było jasne i absolutnie szczere. Prawie nic nie wiedziała o świecie ani tym bardziej o tym, jakiego mężczyznę powinna poślubić. Kiedy spostrzeże swój błąd, będzie już za późno, żeby się wycofać. Gdyby zachował choć resztki uczciwości, natychmiast odesłałby ją do domu.

Ale spojrzenie Rhysa zatrzymało się na nazwisku, które napisała. Lady Helen Winterborne… To przypieczętowało jej los.

– Nasz ślub będzie wspaniały – powiedział. – Cały Londyn będzie o nim mówił.

Nie wydawało się, żeby te słowa porwały Helen, ale też nie protestowała.

Rhys, nie spuszczając oczu z podpisu, łagodnym ruchem musnął palcem jej policzek.

– Pomyśl o naszych dzieciach, *cariad*. Walijska twardość w parze z ambicją Ravenelów. Podbiją świat!

– O ile zdążą, bo pewnie ty podbijesz go wcześniej – powiedziała Helen, sięgając po nową kartkę.

Kiedy dwie wiadomości zostały napisane i zapieczętowane, Rhys wyszedł na korytarz i zawołał panią Fernsby. Sekretarka zjawiła się zdumiewająco szybko. Choć jej zachowanie było jak zwykle profesjonalne, orzechowe oczy z niepohamowaną ciekawością

spoglądały zza okrągłych okularów. Usiłowała zajrzeć do wnętrza gabinetu, ale szerokie plecy jej szefa zasłaniały wejście.

– Tak, panie Winterborne?

Rhys wręczył jej notki.

– Zanieś je do stajni i podaj stangretowi Ravenelów. Mają trafić do jego rąk, nikogo innego – zaznaczył.

Pani Fernsby momentalnie skojarzyła, słysząc nazwisko.

– A więc to lady Helen.

Rzucił jej spojrzenie spod zmrużonych powiek.

– Tylko nikomu ani słowa.

– Naturalnie, sir. Czy coś jeszcze?

– Zanieś to do pana Sauveterre'a. – Wcisnął jej w dłoń pierścionek z brylantem. – I powiedz mu, żeby przyszedł do mnie z całym asortymentem pierścionków w tym rozmiarze, nadających się na zaręczynowe. Oczekuję go najdalej za pół godziny.

Pani Fernsby wstrzymała oddech, obracając w palcach skrzący się klejnot.

– Jeśli go nie zastanę, może poproszę innego jubilera… – zaczęła, ale jej przerwał:

– Chcę Sauveterre'a. W moim gabinecie. Za pół godziny.

Pani Fernsby z roztargnieniem skinęła głową. Jej umysł pracował w przyspieszonym tempie, usiłując poskładać wszystkie elementy w całość.

– Ponadto – kontynuował Rhys – odwołaj wszystkie moje terminy na resztę dnia.

Sekretarka spojrzała na niego z niepokojem. Szef nigdy nie prosił o coś takiego.

– Na całą resztę dnia? – upewniła się. – Jak ja to wytłumaczę ludziom?

Rhys niecierpliwie wzruszył ramionami.

– Wymyśl coś. I powiedz służbie, że zamierzam spędzić spokojne popołudnie z moim gościem. Niech nikt nie śmie mi przeszkadzać, jeśli nie zadzwonię. – Jego spojrzenie spoważniało. – Daj jasno do zrozumienia załodze biura i służbie, że jeśli usłyszę gdziekolwiek choć jedno słowo na temat dzisiejszego dnia, będę zwalniał bez litości.

– Sama ich zwolnię, jeśli na to zasłużą. – Pani Fernsby, która osobiście dobierała pracowników do biura, była dumna z jego sprawnej załogi. – Ale ręczę za ich dyskrecję. – Zacisnęła pierścionek w dłoni i z namysłem popatrzyła na swojego szefa. – Czy mogę zasugerować herbatę? Lady Helen wydaje się kruchą osobą. Ożywczy łyk dobrze jej zrobi przed wizytą jubilera.

Rhys ściągnął brwi.

– Sam powinienem był o tym pomyśleć.

Pani Fernsby nie kryła uśmiechu satysfakcji.

– Bynajmniej, panie Winterborne. Wszak po to mnie pan zatrudnia.

Patrząc, jak sekretarka się oddala, Rhys myślał, że łatwo wybaczyć tej kobiecie wygórowane mniemanie o sobie. Jego zdaniem była najlepszą sekretarką w całym Londynie. Wypełniała swoje obowiązki z perfekcją i łatwością, których mogli jej pozazdrościć męscy konkurenci w tym zawodzie. W swoim czasie wielu sugerowało Rhysowi, że męski sekretarz bardziej odpowiada przedsiębiorcy o jego pozycji. On jednak w tych sprawach słuchał własnej intuicji. Potrafił wyczuć w innych własne zalety – ambicję, determinację i wigor, które doprowadziły go do dzisiejszej pozycji po długiej, mozolnej wspinaczce z nizin na szczyty, od chłopca sklepowego do biznesowego magnata. Nie obchodziło go pochodzenie swoich pracowników, podobnie jak ich wiara, płeć czy erudycja. Musieli świetnie wykonywać swoją robotę – i tyle. Pani Fernsby wkrótce wróciła z zestawem do herbaty, przysłanym ze sklepowej restauracji. Choć sekretarka starała się bardzo dyskretnie postawić tacę na stoliku, Helen zwróciła na nią uwagę.

– Dziękuję, pani Fernsby – powiedziała łagodnie.

Kobieta, mile zaskoczona, obróciła się ku niej.

– Proszę się czuć jak u siebie, lady Helen. Czy czegoś jeszcze pani potrzeba?

Helen uśmiechnęła się.

– Nie, tego właśnie potrzebowałam. Jeszcze raz dziękuję.

Sekretarka zwlekała z wyjściem, ceremonialnie napełniając filiżankę dla Helen, jakby obsługiwała angielską królową. Następnie srebrnymi

szczypczykami sięgnęła do koszyczka udekorowanego białą wstążką i zaczęła wykładać na półmisek kanapki i ciasteczka.

– Wystarczy, Fernsby – powiedział Rhys. – Robota czeka.

– Tak jest, panie Winterborne. – Kobieta posłała mu dyskretne urażone spojrzenie i odłożyła szczypczyki.

Rhys odprowadził ją na korytarz i tam rozmawiali jeszcze przez chwilę. Mówili ściszonymi głosami, jakby nie chcieli, żeby ktoś ich podsłuchał.

– Nie spodziewałaś się, co? – zagadnął z uśmiechem.

Sekretarka odpowiedziała mu poważnym, surowym spojrzeniem.

– Spędzenie z panem paru godzin może zniszczyć reputację tej damy. Chcę wierzyć panu na słowo, że nie zostawi jej pan po tym wszystkim.

Nie zareagował otwarcie, ale był zaskoczony, że ośmieliła się powiedzieć mu coś takiego. Pani Fernsby, najbardziej lojalna z jego pracowników, dotąd zdawała się nie zauważać jego poczynań w tych sprawach, a tym bardziej ich komentować.

– Nigdy nie powiedziałaś słowa na temat kobiet, które mnie odwiedzają – zauważył chłodno. – Skąd nagle takie skrupuły?

– Ona jest damą. Niewinną istotą. Nie chcę się przyłożyć do jej upadku.

Rhys rzucił jej ostrzegawcze spojrzenie.

– Poprosiłem o wybór pierścionków zaręczynowych – wyjaśnił sucho. – Jeśli mam ratować jej honor, muszę go najpierw zrujnować, czyż nie? Zajmij się lepiej swoją pracą.

Pani Fernsby wyprostowała się i nastroszyła niczym rozgniewana kokosz. Wyraźnie nie ufała swojemu pryncypałowi.

– Tak, proszę pana – burknęła i wróciła do biura.

Rhys zamknął drzwi i wrócił do Helen. Siedziała na samej krawędzi fotela, sztywno, jakby połknęła kij, z filiżanką w ręku.

– Ty też się napijesz? – spytała.

Pokręcił głową, nie spuszczając z niej intensywnego spojrzenia. Pani Fernsby miała rację – Helen sprawiała wrażenie eterycznej, kruchej istoty, delikatniejszej, niż zapamiętał. Przegub jej ręki, o skórze jasnej jak kamea, był tak szczupły, że kiedy sięgnęła po czajnik, żeby sobie dolać, Rhys bał się, czy zdoła go utrzymać. Mogła

sobie nie życzyć, aby traktował ją jak cieplarniany kwiatek, ale wydawała się nie mniej krucha.

Chryste, jak ona zniesie wyzwania, które dla niej szykuje?

W następnej chwili napotkał jej spokojny, zdecydowany wzrok i wrażenie kruchości uleciało.

Jakiekolwiek uczucia Helen do niego żywiła, nie było wśród nich strachu. Przyszła tu, wiele ryzykując, i zmusiła go do rozmowy, wykazując siłę woli i zdumiewającą śmiałość.

Ultimatum, jakie jej przedstawił, było bezczelne i nieobyczajne; było przeciwieństwem wszystkiego, do czego aspirował. Ale nie dbał o to. Tylko w ten sposób mógł zyskać pewność, że Helen nie wytnie mu numeru i nie zerwie zaręczyn. Wolał nawet nie myśleć, co by się z nim działo, gdyby ta kobieta znów go odtrąciła.

Helen wrzuciła kostkę cukru do filiżanki.

– Od jak dawna pani Fernsby tu pracuje? – zapytała.

– Od pięciu lat, od kiedy owdowiała. Jej mąż zmarł po ciężkiej chorobie.

Wyraz współczucia przemknął po jej wrażliwej twarzy.

– Biedna kobieta… A jak trafiła do ciebie?

Chociaż Rhys nie miał zwyczaju rozmawiać o prywatnym życiu swoich pracowników, szczere zainteresowanie Helen zachęciło go do mówienia.

– Pomagała mężowi w prowadzeniu sklepu z galanterią, więc zna się na interesach. Kiedy jej małżonek odszedł, złożyła podanie o pracę u Winterborne'a. Celowała w posadę sekretarki dyrektora działu reklamy, ale on nie chciał nawet z nią rozmawiać, gdyż uważał, że tylko mężczyzna może objąć tak odpowiedzialne stanowisko.

Helen nie okazała ani zaskoczenia, ani dezaprobaty.

– Jednak – ciągnął Rhys – uparta Fernsby doprowadziła niemal do apopleksji kierownika działu personalnego, kategorycznie domagając się widzenia ze mną. Kiedy nazajutrz doniesiono mi o tym, posłałem po nią i osobiście przeprowadziłem z nią rozmowę kwalifikacyjną. Spodobały mi się jej przebojowość i ambicja, więc bezzwłocznie zatrudniłem ją jako moją osobistą sekretarkę. – Zachichotał. – Od tej pory dział reklamy nie ma z nią łatwo.

Helen, przetrawiając w myślach jego opowieść, raczyła się przekąskami – brioszką i tartą, tak malutką, że pomieściła zaledwie jedną kandyzowaną wiśnię.

– Ciągle jest dla mnie nowością idea kobiety mającej w przedsiębiorstwie pozycję równą mężczyźnie – przyznała. – Mój ojciec zawsze powiadał, że kobiecy mózg nie potrafi sprostać wyzwaniom pracy zawodowej.

– Zatem potępiasz postępowanie Fernsby?

– Przeciwnie, popieram je w całej rozciągłości – oświadczyła bez wahania Helen. – Kobieta powinna mieć wybór inny niż tylko ożenek albo życie u boku swojej rodziny.

Rhys obrzucił Helen mrocznym spojrzeniem. Zapewne nie była to z jej strony zamierzona złośliwość, lecz tak odebrał jej słowa.

– Może więc zamiast ci się oświadczać, powinienem zaproponować ci posadę w moim sekretariacie?

Filiżanka zatrzymała się w pół drogi do ust Helen.

– Wolę cię poślubić. To będzie dla mnie przygoda.

Rhys jedną ręką przysunął sobie krzesło i usiadł przy kobiecie.

– Na twoim miejscu nie liczyłbym na szczególnie rozrywkowe życie. Będę cię pilnował, żeby żadna przygoda ci się nie przydarzyła.

Helen zerknęła na niego znad krawędzi filiżanki. Jej oczy się uśmiechały.

– Chciałam tylko powiedzieć, że ty jesteś dla mnie jedną wielką przygodą.

Serce Rhysa łomotało jak maszerujący oddział blaszanych żołnierzy. Zawsze traktował kobiety raczej lekceważąco, pozwalając im się adorować. Dotąd żadna nie wyzwoliła z zakamarków jego duszy tak nienasyconego, bolesnego pragnienia. Tylko Helen. Niech Bóg go strzeże, żeby nigdy nie dał jej odczuć, jaką ma nad nim władzę. I oby nigdy nie znalazł się na jej łasce!

Za parę minut w gabinecie pojawił się naczelny jubiler firmy, pan Sauveterre, z czarną skórzaną walizeczką w jednej ręce i składanym stoliczkiem w drugiej. Był drobnym, szczupłym człowiekiem, przedwcześnie łysiejącym od czoła. Miał bystre, przenikliwe spojrzenie. Choć urodził się we Francji, mówił po angielsku bez francuskiego akcentu, gdyż od wczesnego dzieciństwa mieszkał

w Londynie. Jego ojciec, ceniony producent szkła, wspierał artystyczne zdolności syna i załatwił mu praktykę u złotnika. Później Sauveterre ukończył szkołę artystyczną w Paryżu i pracował dla takich sław jak Cartier i Boucheron.

Jako młody, ambitny człowiek, pragnący się wybić Sauveterre od razu zwęszył szansę kariery u Winterborne'a. Miał już imponującą praktykę i niezachwianą wiarę we własny talent oraz – co równie ważne – potrafił milczeć, kiedy trzeba. Dobry jubiler strzeże sekretów swoich klientów, a naczelny jubiler imperium Winterborne'a znał ich mnóstwo, i to naprawdę znacznych.

Sauveterre skłonił się lekko.

– Pani pozwoli. – Postawił walizeczkę na podłodze, rozłożył przed Helen składany stolik i wyjął płaską kasetę z biżuterią. – Rozumiem, że życzy sobie pani obejrzeć pierścionki zaręczynowe? I nie gustuje pani w brylantach?

– Tak, wolałabym coś mniejszego i skromniejszego – odparła Helen. – Pierścionek, który nie będzie mi przeszkadzał w robótkach i w grze na pianinie.

Jubiler nawet nie mrugnął, słysząc, że królewski brylant może być dla kogoś niewygodny.

– Naturalnie, szanowna pani. Zaraz zaprezentuję coś w pani guście. A jeśli nie, zapewniam, że stworzę pierścionek, który panią zadowoli. Czy ma pani na myśli jakiś konkretny kamień?

Helen pokręciła głową, z oszołomieniem wpatrując się w wystawę klejnotów, skrzących się na podkładzie z czarnego aksamitu.

– Może podoba się pani jakiś kolor? – podsunął Sauveterre.

– Niebieski. – Mówiąc to, Helen zerknęła kontrolnie na Rhysa. Niedostrzegalnie skinął głową, potwierdzając, że może wybrać, co zechce.

Jubiler pochylił się nad walizką i zaczął wykładać nowe pierścionki na następną tacę.

– Szafiry… akwamaryny… opale… aleksandryty… ach, a tu mam błękitny topaz, dość rzadki, wydobyty w Uralu, w Rosji…

Przez następne pół godziny Sauveterre siedział obok Helen, prezentując jej rozmaite pierścionki. Rozwodził się nad zaletami szlachetnych kamieni i artyzmem wykonania biżuterii. W jego

towarzystwie Helen szybko poczuła się swobodnie i już po chwili wdali się w ożywioną rozmowę o sztuce i muzyce. Wypytywała go też o pracę w Paryżu. Musiała przyznać, że w towarzystwie Rhysa nigdy nie czuła się tak swobodnie.

Rhysa natomiast opanowywała coraz większa zazdrość. W paru krokach znalazł się przy biurku i sięgnął do słoja z miętówkami. Ów słój, napełniany raz w tygodniu, zawsze stał w rogu blatu. Łapczywie wsunął białą kulkę do ust, podszedł do okna i wpatrzył się w przestrzeń. Przysmak zrobiony z białek kurzych jaj, cukru pudru i miętowego aromatu momentalnie rozpuścił mu się w ustach, zalewając język intensywnym smakiem.

Usłyszał, jak Helen pyta jubilera:

– Co to jest?

– Kamień księżycowy, obramowany drobnymi brylantami.

– Jaki piękny! Skąd ten niezwykły blask?

– To efekt nazywany adularyzacją, milady. Naturalne warstwy kamienia księżycowego załamują światło i zdaje się on świecić od środka.

Rhys, wyczuwając, że coś przyciągnęło uwagę Helen, podszedł, żeby się temu przyjrzeć. Podsunęła mu pierścionek i zaczął go uważnie oglądać. Półszlachetny kamień był gładkim owalem o szlifie kaboszonowym i nieokreślonej barwie. Kiedy nim poruszył, światło dnia wydobyło z jego bladych głębin zimne, jaskrawe błękitne lśnienie.

Pierścionek był wspaniały, ale mimo kręgu brylantów główny kamień wyglądał nieporównywalnie skromniej niż ten, który wcześniej jej podarował. Nie pasował do przyszłej małżonki Winterborne'a. Rhys w duchu przeklinał Sauveterre'a, że śmiał podsunąć Helen taki skromny okaz.

– Helen, przejrzyj jeszcze inne propozycje – powiedział z naciskiem. – To najmniej cenny pierścionek w całej ofercie.

– Dla mnie jest najbardziej cenny – stwierdziła z przekonaniem. – Nigdy nie oceniam wartości rzeczy po tym, ile kosztuje.

– To bardzo szlachetne – skomentował Rhys. Jako kupiec nie pojmował takich argumentów. – Ale pierścionek nie jest dość dobry dla ciebie.

– Jeśli pan sobie zażyczy, mogę powiększyć otaczające brylanty i poszerzyć górkę… – wtrącił dyplomatycznie jubiler, ale Helen mu przerwała:

– Podoba mi się taki, jaki jest.

– To kamień półszlachetny! – warknął Rhys. Każda z jego dotychczasowych kochanek wzgardziłaby takim pozornym klejnotem.

Sauveterre przerwał pełną napięcia ciszę:

– Kamień tej klasy ma większą wartość, niż może pan sądzić, panie Winterborne. Przykładowo jest więcej wart niż przeciętny szafir czy rubin poniżej pierwszej wody…

– Chcę, aby moja żona nosiła pierścionek, który będzie jej godny – oświadczył Rhys tonem nieznoszącym sprzeciwu.

Helen wpatrywała się w niego, nawet nie mrugnąwszy powieką.

– Tylko ten pierścionek mi się podoba. – Jej głos był spokojny i uśmiechała się łagodnie.

Rhys pomyślał, że zaraz ją przekona – zwłaszcza że Helen najwidoczniej nie znała się na klejnotach. Już miał wytoczyć swoje argumenty, kiedy coś w jej wzroku przykuło jego uwagę. Zrozumiał, że nie da się mu zastraszyć.

A niech to piekło pochłonie! Nie ma szans, żeby jej odmówił.

Zacisnął pierścionek w garści i spiorunował jubilera morderczym spojrzeniem.

– Bierzemy go – rzucił.

Kiedy Sauveterre wsuwał do walizki połyskujące klejnotami tacki, Rhys zmełł w ustach piętrowe walijskie przekleństwo. Helen i jubiler rozważnie nie prosili o przetłumaczenie.

Mężczyzna zamknął swoją walizkę, z galanterią ujął dłoń Helen i dwornie się przed nią skłonił.

– Szanowna pani raczy przyjąć moje gratulacje z powodu zaręczyn. Mam nadzieję…

– Na ciebie pora. – Rhys bezceremonialnie popchnął jubilera w stronę drzwi.

– Ale stoliczek…

– Potem go weźmiesz.

Sauveterre szybko zerknął przez ramię na Helen.

– Gdybym mógł czymś jeszcze pani służyć…

– Już posłużyłeś. – Rhys stanowczym ruchem wypchnął go na korytarz i zatrzasnął za nim drzwi.

– Dziękuję – powiedziała Helena w ciszy, która nagle zapadła. – Wiem, że sam nie wybrałbyś tego pierścionka. Ale ja jestem szczęśliwa. – Uśmiechnęła się do niego tak jak nigdy przedtem, samymi kącikami oczu.

Rhys zachodził w głowę, jak mogła być szczęśliwa z powodu zamiany brylantu na kamień księżycowy. Zrozumiał jedno: Helen musi być chroniona przed własną naiwnością.

– Helen – powiedział szorstko – gdy się ma przewagę, nie oddaje się jej tak łatwo.

Odpowiedziała mu pytającym spojrzeniem.

– Przed chwilą zamieniłaś kosztowny pierścionek na drugi, wart ułamka jego ceny – wytłumaczył. – To kiepski interes. Powinnaś zażądać jeszcze czegoś, żeby wyrównać różnicę. Na przykład naszyjnika. Albo diademu.

– Nie potrzebuję diademu.

– Musisz mieć coś jeszcze, żeby rachunek się zgadzał – nalegał.

– W małżeństwie nie ma księgowości.

– We wszystkim jest.

Mina Helen wskazywała, że się z nim nie zgadza. Nie spierała się jednak, tylko podeszła do słoja z miętówkami, uniosła pokrywkę i wciągnęła chłodny, intensywny zapach.

– A więc to stąd – mruknęła. – Wcześniej zauważyłam, że twój oddech pachnie miętą.

– Od dzieciństwa je uwielbiam – przyznał. – Jako młody chłopiec roznosiłem dostawy z cukierni na rogu i właściciel pozwalał mi zabierać pokruszone miętówki. – Zawahał się, po czym zapytał trochę niepewnie: – Nie lubisz miętówek?

Helen uśmiechnęła się leciutko i spojrzała w głąb słoja.

– Dlaczego? Bardzo ładnie pachną. Mogę się poczęstować?

– Ależ naturalnie.

Roztargnionym ruchem sięgnęła po niewielką białą kulkę i ostrożnie włożyła ją do ust. Landrynka rozpuściła się i Helen uderzyła zimna, miętowa fala.

– Och, to jest… – Zakaszlała i ze śmiechem wciągnęła powietrze. Jej oczy koloru zimowego nieba zaszkliły się lekko. – Mocne!

– Może wody? – zapytał Rhys z rozbawieniem. – Nie? W takim razie pozwól, że zrobię to, co mam zrobić. – Ujął jej lewą dłoń i zaczął wsuwać na serdeczny palec pierścionek z księżycowym kamieniem. Nagle się zawahał. – Jak ci się oświadczyłem po raz pierwszy? – Był spięty i obawiał się odrzucenia. Naprawdę nie mógł sobie przypomnieć, co wtedy mówił.

Wyraz rozbawienia przemknął przez twarz Helen.

– Przedstawiłeś obopólne korzyści, a potem tłumaczyłeś, że nasze przyszłe cele są zgodne.

Z zakłopotaniem pokręcił głową.

– Nikt dotąd nie zarzucał mi, że jestem romantyczny – mruknął.

– A gdybyś był romantyczny, jak byś się oświadczył?

Zastanawiał się przez chwilę.

– Zacząłbym od nauczenia cię walijskiego słowa – *hiraeth*. Nie ma odpowiednika w angielskim.

– *Hiraeth* – powtórzyła, naśladując jego „r".

– Tak. Oznacza tęsknotę za czymś, czego już nie ma albo co nigdy nie istniało. Może chodzić o osobę, miejsce czy jakiś okres w życiu… To smutek duszy. *Hiraeth* trwa w Walijczyku, nawet gdy jest bliski szczęścia, przypominając mu, jaki jest ułomny.

Helen zmarszczyła czoło.

– I tak czujesz?

– Od dnia, w którym przyszedłem na świat. – Rhys popatrzył na jej drobną, śliczną twarz. – Ale nie wtedy, kiedy jestem z tobą. Dlatego właśnie chcę cię poślubić.

Helen się uśmiechnęła. Sięgnęła dłonią za jego kark i musnęła skórę pieszczotą tak lekką, jakby ktoś przeciągnął po niej muślinem. A potem, wspinając się na palce, przyciągnęła jego głowę i pocałowała go. Jej wargi były delikatniejsze od kwietnych płatków, wilgotne i jedwabiste. Przeniknęło go nieznane, przedziwne uczucie poddania się; porażająco delikatna słodycz rozmiękczyła jego wnętrze.

Helen przerwała pocałunek i opadła na pięty.

– Widać postęp w twoich oświadczynach – powiedziała i podstawiła dłoń, aby wreszcie wsunął jej pierścionek na palec.

Rozdział 5

Rhys trzymał Helen za rękę, prowadząc ją wewnętrznym pasażem. Był to rodzaj galerii z oknami, która wiodła od drzwi jego gabinetu na jedno z wyższych pięter.

Po raz kolejny tego dnia przeniknęło ją poczucie nierzeczywistości. Sama była tym, co robiła. Krok po kroku opuszczała swoje dawne życie, zamykając sobie drogę powrotu. Przy czym nie była to żadna szalona rejterada, tylko poważna decyzja o konsekwencjach zaważających na jej przyszłości.

Szerokie barki Rhysa zdawały się wypełniać całą klatkę schodową, którą wchodzili na górę. Po chwili stanęli w niewielkim korytarzu, zakończonym eleganckimi, lśniącymi drzwiami, pomalowanymi na czarno. Otworzył je i weszli do dużego pustego budynku. Miał pięć kondygnacji otaczających wielki hol i centralne, paradne schody. Nie było widać żadnej służby. Dom był bardzo czysty i pachniał nowością – świeżą farbą, terpentyną, woskiem do podłóg – ale niewiele w nim było mebli. W pustych, wielkich przestrzeniach dzwoniło echo.

Helen odruchowo pomyślała o przytulnie zagraconym Eversby Priory, pełnym świeżych kwiatów i dzieł sztuki, z podłogami pokrytymi wytartymi wzorzystymi dywanami. W jej domu na stolikach zalegały sterty książek, kredensy i serwantki uginały się od kryształów, porcelany i sreber, a para czarnych spanieli – Napoleon i Josephine – wałęsała się po pokojach, oświetlonych przez lampy z frędzlastymi abażurami. Codziennie podawano popołudniową herbatę z ciepłymi bułeczkami, konfiturami i miodem. Wieczorami była muzyka, gry, słodycze, grzane wino z korzeniami i długie rozmowy, prowadzone z głębokich klubowych foteli. Helen

nigdy nie mieszkała poza Hampshire, słoneczną krainą strumieni i łąk.

Nie byłoby jej łatwo mieszkać w centrum Londynu. Rozglądając się po milczącym, sterylnym otoczeniu, próbowała wyobrazić sobie ten dom jako białe malarskie płótno czekające na kolory. Jej spojrzenie wędrowało po rzędach skrzących się słońcem okien, sięgających sufitu.

– Ładnie tutaj – powiedziała.

– Na razie dom jest zbyt pusty i surowy – odrzekł Rhys. – Ale nie mam czasu go urządzić, muszę doglądać interesu.

Prowadził ją przez długi hol do pokojów w amfiladzie. Nieumeblowany przedpokój wiódł do dużej, kwadratowej sypialni o wysokim, sklepionym suficie i kremowych ścianach. Puls Helen przyspieszył i lekko zakręciło się jej w głowie.

Przynajmniej to pomieszczenie wyglądało na zamieszkane. Pachniało w nim woskiem świec, cedrowymi kadzidełkami i kominkiem. Pod jedną ze ścian ustawiono długą, niską toaletę, na której stały rzeźbiona drewniana kasetka oraz taca z różnymi przedmiotami: kieszonkowym zegarkiem, szczotką i grzebieniem. Na podłodze leżał turecki żółto-czerwony dywan. Masywne mahoniowe łoże z rzeźbionymi kolumnami stało pośrodku przeciwległej ściany.

Helen podeszła do kominka, aby przyjrzeć się rzeczom stojącym na okapie – zegarowi, podwójnemu świecznikowi i wazie z zielonego szkła, w której magazynowano drewniane patyczki do rozpalania lamp i świec. W kominku jaśniał ogień. Czyżby Rhys zawczasu wydał służbie polecenie? Z pewnością byli przygotowani na jego obecność tutaj w samym środku dnia. A sekretarka, pani Fernsby, wiedziała o każdym ruchu szefa.

Brawura tego, co za chwilę miała zrobić, sprawiła, że pod Helen ugięły się nogi. Jednak dokonała wyboru i nie było już drogi powrotnej. A nawet gdyby była, i tak by się nie cofnęła. Poza tym jeśli spojrzeć na całą sytuację z rozumowego punktu widzenia – co właśnie usiłowała zrobić – prędzej czy później będzie musiała się oddać temu mężczyźnie, jak każda panna młoda po ślubie.

Rhys zasłonił okna i pokój pogrążył się w półmroku.

Helen patrzyła w trzaskające płomienie.

– Muszę polegać na tobie… – Starała się nadać swojemu głosowi spokojne brzmienie. – Będziesz mi mówił, co mam robić. – Drżącymi rękami wyciągnęła z włosów długą szpilę i zdjęła kapelusz razem z welonem. Opuściła rękę, trzymając go palcami za wąskie rondo.

Czuła, że Rhys stanął za nią. Położył dłonie na jej barkach, zsunął je do łokci, wrócił do góry i znów w dół – uspokajającymi ruchami masował jej napięte mięśnie. Helen z wahaniem odchyliła się i oparła o jego pierś.

– Byliśmy już w łóżku – usłyszała szept. – Pamiętasz?

Momentalnie się zmieszała.

– Chodzi ci o ten czas w Eversby Priory, kiedy dochodziłeś do siebie po wypadku? – zapytała, czerwieniąc się po uszy. – Ale to nie było łóżko w tym sensie.

– Pamiętam, że płonąłem od gorączki, a noga straszliwie mnie bolała. I wtedy usłyszałem twój głos, a na czole poczułem dotyk chłodnej dłoni. I dałaś mi coś słodkiego do picia.

– Herbatę z orchidei. – Helen zdobyła sporą wiedzę o leczniczych właściwościach roślin, wertując roczniki kobiecych magazynów, które zostały jej po mamie.

– A potem pozwoliłaś mi oprzeć głowę o tutaj. – Jego dłoń przesunęła się do przodu i spoczęła w zagłębieniu pod obojczykiem.

Helen gwałtownie wciągnęła powietrze.

– Nie myślałam, że będziesz coś pamiętał. Byłeś bardzo chory.

– Będę to pamiętał aż do mojego ostatniego tchnienia. – Dłoń Rhysa łagodnym ruchem podkreśliła krągłość jej piersi, na moment drażniąc sutek, który stwardniał rozkosznie. Kapelusz wysunął się z zesztywniałych palców Helen. Zaszokowana stała nieruchomo, słuchając męskiego szeptu, nabrzmiałego pożądaniem: – Nigdy w życiu nie wytężałem całej siły woli, aby zwalczyć sen, jak wtedy, kiedy pragnąłem trwać w twoich ramionach. Żaden, nawet najpiękniejszy sen nie dałby mi takiej przyjemności. – Pochylił głowę i musnął ustami jej kark. – Dlaczego nikt ci tego nie zabronił?

Helen drżała pod erotycznym dotykiem warg mężczyzny sunących po jej skórze.

– Zajmowania się tobą? – spytała lekko rozkojarzonym głosem.

– Tak, tym parweniuszem bez ogłady, obcym, który trafił do waszego domu i w dodatku leżał w łóżku na wpół goły. Mógłbym cię skrzywdzić, zanim ktokolwiek by się zorientował.

– Nie byłeś obcym, tylko przyjacielem rodziny. I nie miałbyś siły, żeby kogokolwiek skrzywdzić.

– I tak powinnaś się trzymać ode mnie z daleka.

– Ktoś musiał ci pomóc – stwierdziła rozsądnie. – Zwłaszcza że zdążyłeś już wystraszyć resztę domowników.

– Słowem, odważyłaś się wejść do leża lwa.

Odwróciła głowę i z uśmiechem spojrzała w jego czarne oczy.

– I miałam rację – nie było żadnego niebezpieczeństwa.

– Czyżby? – W głosie Rhysa zagrała lekko kpiąca nuta. – Nie widzisz, do czego to doprowadziło? Znalazłaś się w mojej sypialni… w rozpiętej sukni…

– Moja suknia nie jest… – Helen urwała, bo nagle poczuła, że cały stanik ma rozpięty, a ciężar spódnic ściąga go w dół. – Och… – Zdenerwowanie znów ją usztywniło, kiedy zrozumiała, że Rhys, zagadując ją i pieszcząc, jednocześnie ją rozbiera. Kurczowo chwyciła ubranie, żeby z niej nie spadło.

– Najpierw porozmawiamy o tym, co ma nastąpić. – Teraz pieścił wargami jej policzek. – Ale oboje musimy się czuć swobodnie.

– Ja się czuję swobodnie. – Helen miała wrażenie, że całe jej jestestwo napięło się niczym mechanizm, któremu za mocno podkręcono sprężynę.

– Tak? A to? – zapytał, przesuwając palcami wzdłuż fiszbinów gorsetu. – Albo to? – Poklepał poduszeczkę z końskiego włosia wypełniającą tiurniurę. – Wątpię, żeby jakakolwiek kobieta czuła się swobodnie w takim rynsztunku. – Mówiąc, powoli rozwiązywał sznurówki. – Zresztą modne damy nie noszą już tiurniur.

– S-skąd to wiesz? – zająknęła się Helen, słysząc, jak tiurniura spada na podłogę.

Rhys zbliżył usta do jej ucha, jakby zdradzał wielki sekret.

– Bielizna i galanteria, drugie piętro, dział dwudziesty trzeci. Ostatni raport dyrektora handlowego mówi, że tiurniury coraz słabiej się sprzedają.

Helen sama już nie wiedziała, czy bardziej ją bulwersuje fakt, że rozmawiają o bieliźnie, czy to, że dłonie mężczyzny swobodnie błądzą pod jej ubraniem. Za moment halka i zewnętrzna okrywa gorsetu wylądowały na podłodze razem z tiurniurą.

– Nigdy nie kupowałam ubrań w domu towarowym – wykrztusiła. – Dziwnie byłoby nosić rzeczy uszyte przez obcych.

– Szyją je kobiety, które dzięki tej pracy utrzymują siebie i swoje rodziny. – Rhys ściągnął rękawy i suknia opadła, wieńcząc stos ubrań.

Helen potarła gęsią skórkę na nagich ramionach.

– Czy te szwaczki pracują w twoim domu towarowym?

– Nie, w fabryce, którą zamierzam kupić.

– Dlaczego… – Urwała i wzdrygnęła się, kiedy odpiął dolną bryklę gorsetu. – Proszę, nie…

Rhys przerwał i popatrzył w jej przerażone oczy.

– Chyba wiesz, że to się robi bez ubrania? – zapytał łagodnie.

– Czy mogę chociaż zostać w koszuli?

– Zgoda, jeśli tak będzie ci łatwiej.

Energicznymi ruchami dalej rozpinał gorset. Helen czekała w napięciu, usiłując się skupić na czymkolwiek, byle nie myśleć o tym, co zaraz się stanie. Nie udało się jej, więc ośmieliła się spojrzeć na Rhysa.

– Masz w tym dużą wprawę – stwierdziła. – Często rozbierasz kobiety? Bo… myślę, że miałeś wiele kochanek.

Uśmiechnął się nieznacznie.

– W każdym razie zawsze jedną naraz. Skąd wiesz o kochankach?

– Mój brat Theo miał jedną. Moje siostry podsłuchały, jak kłócił się z ojcem, i powiedziały mi o tym. Tata zarzucał Theo, że jego utrzymanka jest za droga.

– Bo kochanki są raczej kosztowne.

– Bardziej kosztowne niż żony?

Rhys zerknął na lewą dłoń Helen, która niepewnie spoczywała na gorsie jego koszuli. Księżycowy kamień zdawał się jarzyć własnym wewnętrznym światłem.

– W moim przypadku pewnie tak – stwierdził cierpko. Teraz sięgnął do koka Helen i wysunął z niego po kolei szpilki i grzebienie. Włosy

opadły falami na ramiona i plecy kobiety. Czując, że drży, uspokajająco przesunął dłonią wzdłuż jej kręgosłupa.

– Będę delikatny, *cariad*. Obiecuję, że sprawię ci jak najmniej bólu.

– Ból? – Helen nagle wysunęła się z jego rąk. – Jaki ból?

– Ból dziewicy. – Zerknął na nią z niepokojem. – Nie słyszałaś o tym?

Nerwowo pokręciła głową.

Rhys był wyraźnie zakłopotany.

– Och, w sumie nic takiego. Po prostu… Do licha, czy wy, kobiety, nie gadacie o takich rzeczach? Naprawdę? A co było, jak zaczęły ci się miesięczne krwawienia? Jak ci to tłumaczyły?

– Mama wcześniej nic mi nie mówiła o takich sprawach. To spadło na mnie jak grom z jasnego nieba i było… niepokojące.

– Musiałaś się śmiertelnie przerazić. – Ku zdumieniu Helen Rhys powoli przyciągnął ją do siebie, aż przylgnęła do jego twardej piersi i oparła mu głowę na ramieniu. Nieprzywykła do tak czułego traktowania, trwała spięta w jego uścisku. – Co zrobiłaś, kiedy to się stało? – zapytał.

– Och… nie mogę z tobą o tym rozmawiać.

– Dlaczego?

– Bo mi nie wypada.

– Helen – powiedział z ogromną powagą – znam prawdziwe życie, w tym podstawowe fakty na temat kobiecego ciała. Oczywiście dżentelmen nie powinien pytać o takie rzeczy, ale oboje wiemy, że tym akurat najmniej się przejmuję. – Pocałował ją w czułe miejsce za uchem. – Opowiedz mi, co się działo.

Ponieważ było jasne, że nie zamierza odpuścić, Helen zmusiła się do odpowiedzi.

– Pewnego ranka obudziłam się i… zobaczyłam plamy na mojej nocnej koszuli i prześcieradle. W dole brzucha miałam straszne bóle. Krwawienie nie ustawało i wpadłam w panikę. Pobiegłam do czytelni i zaszyłam się w kącie. Tam znalazł mnie Theo. Mieszkał wtedy w internacie, ale właśnie przyjechał do domu na ferie. Zapytał, dlaczego płaczę, a ja mu powiedziałam. – Helen zamilkła na moment, przypomniawszy sobie wzrok brata, pełen miłości i troski. – Zwykle traktował mnie z dystansem, ale tego dnia był wyjątkowo

czuły. Dał mi złożoną chusteczkę, żebym… wsunęła ją tam, gdzie potrzebowałam. Potem otulił mnie kocem i pomógł mi wrócić do pokoju. Wreszcie posłał po pokojówkę i kazał, żeby mi wytłumaczyła, co się stało, i pokazała, jak używać… – Urwała i zaczerwieniła się po same uszy.

– Wkładek higienicznych? – podsunął Rhys.

Kamizelka, w którą wtulała twarz, tłumiła jej zawstydzony głos.

– Skąd o nich wiesz?

Poczuła przy uchu, jak usta Rhysa rozciągają się w uśmiechu.

– Sprzedają je w moim dziale aptecznym. Co jeszcze powiedziała ci pokojówka?

Pomimo napięcia Helen z ulgą znajdowała spokój w ramionach tego mężczyzny. Był taki duży, ciepły i ładnie pachniał miętą, mydłem do golenia i żywiczną nutą, jak świeżo ścięte drzewo. Ten wybitnie męski zapach był kojący i ekscytujący zarazem.

– Powiedziała, że pewnego dnia, kiedy wyjdę za mąż i będę dzieliła łoże z mężczyzną, miesięczne krwawienia ustaną na jakiś czas i zacznie we mnie rosnąć dziecko.

– Ale nie wspomniała, skąd się ono w tobie weźmie?

Helen pokręciła głową.

– Dodała tylko, że nie przynosi go bocian, jak mówią nianie.

Rhys popatrzył na nią z desperacją i niedowierzaniem.

– Czy wszystkie młode kobiety z wyższych sfer są takimi ignorantkami w tej materii?

– Większość – przyznała. – Mąż decyduje, co panna młoda powinna wiedzieć, i ma ją wszystkiego nauczyć w noc poślubną.

– Mój Boże… Sam już nie wiem, komu współczuć – westchnął Rhys.

– Oczywiście pannie młodej – rozstrzygnęła bez wahania Helen.

Niespodziewanie go to rozbawiło. Zachichotał, ale kiedy poczuł, że Helen sztywnieje, przygarnął ją do siebie mocniej.

– Skarbie, nie śmieję się z ciebie. Po prostu wcześniej nie musiałem nikomu wyjaśniać, jak to jest z seksem. I szczerze ci mówię, nie mam pojęcia, co zrobić, żeby to zabrzmiało pociągająco.

– Och… – szepnęła.

– Nie zdarzy się nic strasznego – zapewnił. – A wiele rzeczy na pewno ci się spodoba. – Przyłożył policzek do jej głowy, a jego głos nabrał kuszącej miękkości. – Najlepiej, jeśli ci wytłumaczę w trakcie, kiedy już będziemy to robić, dobrze? – Czekał cierpliwie, aż niepewnie skinęła głową. – W takim razie idziemy do łóżka.

Helen, chętna, choć pełna wahania, dała się podprowadzić do wielkiego łoża. Nogi miała jak z galarety. Próbowała szybko wsunąć się pod kołdrę, ale Rhys bezceremonialnie pociągnął ją za kostkę, aż znalazła się na krawędzi łóżka.

– Zaczekaj.

Krwisty rumieniec oblał ją aż po szyję. Była prawie naga, nie licząc pończoch, batystowej koszulki i pantalonów ze szparą w kroku.

Rhys, nie puszczając smukłej kostki, odzianej w pończochę, drugą ręką przesunął po nodze Helen. Zmarszczył czoło, kiedy zobaczył, że bawełniana pończocha jest w paru miejscach zacerowana.

– Niedopuszczalne, żeby tak piękne nogi były odziane w taką tandetę – mruknął. Jego dłoń zabłądziła wyżej, do podwiązki i opaski zapiętej na udzie. Stara, rozciągnięta guma dawno przestała być elastyczna i wrzynała się w ciało, znacząc je czerwonym śladem.

Rhys odpiął podwiązkę. Jego mars się pogłębił, kiedy zobaczył storturowaną skórę uda.

– Uch – mruknął z tym swoim walijskim akcentem. Helen słyszała już podobne mruknięcie przy różnych okazjach, kiedy Rhys był czymś mocno zniesmaczony.

Ściągnął jej pończochę i z obrzydzeniem cisnął na dywan razem z podwiązką i gumą, po czym zabrał się do drugiej nogi.

– Muszę je potem założyć – powiedziała Helen, bojąc się o ten ważny element swojego stroju.

– Dostaniesz nowe pończochy. I eleganckie podwiązki z gumami.

– Ale te dobrze mi służyły!

– Masz po nich ślady na skórze. – Rhys zwinął drugą pończochę w kulkę i cisnął prosto w otwarte palenisko kominka. Wylądowała na płonących polanach i momentalnie zajęła się ogniem.

– Dlaczego ją spaliłeś? – W głosie Helen zabrzmiała nuta gniewu.

– Nie była dla ciebie dość dobra.

– Ale była moja!

Rhys nie zamierzał się kajać.

– Przed wyjściem dostaniesz ode mnie tuzin lepszych. Zadowolona?

– Nie. – Z nadąsaną miną Helen odwróciła od niego wzrok.

– To były stare, tandetne, bawełniane pończochy – powiedział ze zniecierpliwieniem. – Wiele razy cerowane. Założę się, że podkuchenne w mojej kuchni noszą lepsze.

Helen, mająca za sobą lata praktyki w roli rodzinnego rozjemcy Ravenelów, przytrzymała język za zębami i policzyła dwa razy do dziesięciu, zanim uznała, że może odpowiedzieć.

– Mam tylko kilka par pończoch – wyjaśniła w końcu. – Zamiast kupować nowe, wolę cerować stare, a zaoszczędzone pieniądze wydać na książki. Może taki kawałek dzianiny nie ma dla ciebie wartości, ale dla mnie jest ważny.

Rhys milczał z brwiami ściągniętymi na czole. Widziała, że jest gotów na dalszy spór. Tymczasem kompletnie ją zaskoczył, kiedy odezwał się łagodnym głosem:

– Przepraszam, Helen. Zachowałem się bezmyślnie. Nie powinienem niszczyć twoich rzeczy.

Wiedząc, że Rhys Winterborne nie należy do mężczyzn skłonnych do przeprosin, a tym bardziej do kajania się, Helen złagodziła swój gniew.

– Przyjmuję przeprosiny.

– Od tej pory będę traktował twoją własność z należnym szacunkiem.

Helen uśmiechnęła się kpiąco.

– Niewiele wniosę do twojego majątku, jeśli nie liczyć dwustu orchidei.

Dłonie Rhysa opadły na jej barki, palce zaczęły się bawić ramiączkami koszulki.

– Zechcesz je zabrać z Hampshire? – zapytał.

– Wątpię, żeby starczyło tu dla nich miejsca.

– Już ja znajdę miejsce.

Popatrzyła na niego wielkimi oczami.

– Naprawdę?

– Oczywiście. – Z uwodzicielską delikatnością gładził krągłości jej ramion. – Musisz mieć wszystko, czego ci potrzeba do szczęścia. Orchidee… książki… czy tkalnię jedwabiu na najcieńsze pończochy.

Śmiech ugrzązł jej w gardle, a puls przyspieszył, kiedy dłonie wzmocniły pieszczotę.

– Błagam, nie kupuj dla mnie wytwórni pończoch.

– Już ją mam. W Whitchurch. – Pochylił się, aby ucałować jasną skórę jej barku. Muśnięcie jego ust było ciepłe i ulotne niczym promień słońca. – Zabiorę cię tam któregoś dnia, jeśli zechcesz. To imponujący widok – rzędy wielkich maszyn przerabiających surowy jedwab na nici cieńsze od twojego włosa.

– Chciałabym to zobaczyć – powiedziała z takim entuzjazmem, że aż się uśmiechnął.

– I zobaczysz. – Przesiał między palcami jej jasne loki. – Będziesz miała stałą dostawę pończoch i wstążek, *cariad*.

Rhys ułożył Helen na łóżku, wsunął ręce pod jej koszulkę i dotarł do wiązania pantalonów. Napięła się i chwyciła go za ręce.

– Jestem bardzo wstydliwa – szepnęła.

Delikatnie musnął wargami jej ucho.

– W jaki sposób wstydliwa dama sobie życzy, abym zdjął jej bieliznę? Szybko czy powoli?

– Szybko… tak myślę.

Ściągnął jej majtki, zanim zdążyła wziąć kolejny oddech, jednym sprawnym ruchem. Jej nagie uda pokryły się gęsią skórką.

Rhys wyprostował się i zaczął rozluźniać węzeł krawata. Helen, rozumiejąc, że zamierza się przed nią rozebrać, wsunęła się w pościel i podciągnęła pod brodę kołdrę z edredonowego puchu. Łóżko było miękkie i czyste; czuła świeżą woń sody do prania. Ten zapach przypominał jej Eversby Priory. Trwała nieruchomo, wpatrzona w ogień na kominku, świadoma każdego ruchu Rhysa na peryferiach jej pola widzenia. Zdążył już zdjąć kołnierzyk i rozpiąć mankiety. Za moment dołączyły do nich kamizelka i koszula.

– Patrz, jeśli masz ochotę – zachęcił lekkim tonem. – W przeciwieństwie do ciebie ja nie jestem wstydliwy.

Helen jeszcze wyżej podciągnęła kołdrę i zaryzykowała nieśmiałe spojrzenie… A potem już nie była w stanie oderwać wzroku.

Bo też widok był fantastyczny. Rhys był ubrany tylko w spodnie, z szelkami zwisającymi z wąskich bioder. Mięśnie torsu sprawiały wrażenie tak twardych, jakby odlano je ze stali. Widać było, że czuje się swobodnie, choć jest półnagi. Usiadł na brzegu łóżka i zaczął zdejmować buty. Na jego plecach także prężyły się twarde muskuły, opięte śniadą, lśniącą skórą. Kiedy wstał i odwrócił się ku niej, Helen zamrugała z zaskoczenia, bo dopiero teraz dostrzegła, że na szerokiej piersi mężczyzny nie ma ani jednego włoska.

Często, gdy w Eversby Priory jej brat nonszalancko paradował po domu w rozchełstanym szlafroku, Helen widziała zarost na jego piersi, wyzierający z wycięcia pod szyją. A kiedy młodszy brat Devona, West, leżał w łóżku z gorączką i przeziębieniem, zauważyła, że on też ma tam zarost. To doprowadziło ją do wniosku, że wszyscy mężczyźni muszą wyglądać w ten sposób.

– Jesteś… jesteś gładki – powiedziała z płonącą twarzą.

Rhys uśmiechnął się nieznacznie.

– Dziedzictwo Winterborne'ów. Mój ojciec i wujowie wyglądali tak samo. – Gdy zaczął rozpinać spodnie, Helen umknęła spojrzeniem w bok. – W młodości to było moim przekleństwem – ciągnął, nie kryjąc żalu. – Miałem pierś gładką jak niemowlak, podczas gdy inni zaczynali już hodować futro. Kumple szydzili ze mnie bezlitośnie. Przez jakiś czas przezywali mnie nawet „borsukiem".

– Borsukiem? – powtórzyła ze zdziwieniem.

– Nigdy nie słyszałaś powiedzenia „goły jak zadek borsuka"? Nie? Długie, sztywne włosy z pędzli do golenia pochodzą z okolic nasady borsuczego ogona. Jest taki kawał, że większość borsuków w Anglii ma zadki wyskubane do łysego.

– Bardzo niełądnie cię potraktowali – powiedziała Helen z naganą.

Rhys zachichotał.

– Takie są chłopaki. Wierz mi, sam nie byłem lepszy. Kiedy podrosłem i miałem już na tyle siły, żeby spuścić im manto, nie śmieli mnie więcej obrażać.

Materac ugiął się pod jego ciężarem, kiedy wszedł do łóżka. O Boże. Zaczęło się! Helen odruchowo zakryła rękami łono i podciągnęła kolana. Jeszcze nigdy nie była tak bezbronna na łasce innego człowieka.

– Spokojnie – dobiegł ją uspokajający głos. – Nic się nie bój. *Yr Duw*, ale jesteś zimna. Czekaj, niech cię ogrzeję.

Drobne, spięte ciało Helen zostało zagarnięte jednym ruchem i przyciśnięte do masy mięśni i gorącej skóry. Lodowate stopy dotknęły owłosionych nóg. Rhys przesunął dłoń na plecy Helen i przygarnął ją jeszcze mocniej. Tulił ją i ogrzewał, a blask ognia z kominka pełgał po łożu. Wreszcie, w cieple, Helen zaczęła się odprężać.

Czuła, jak dłoń wślizguje się pod jej koszulkę i obejmuje pierś. Jej sutek cudownie stwardniał pod tym dotknięciem. Oddech Helen przyspieszył jak w gorączce, kiedy usta Rhysa spadły na jej usta w łagodnie kąsającym pocałunku. Drażnił się z nią, skubiąc i ugniatając jej wargi swoimi. Usiłowała mu odpowiedzieć; nieporadnie i z wahaniem odwzajemnić pieszczotę, płytką jeszcze, ale coraz bardziej ekscytującą. Rhys sięgnął do tasiemek ściągających u góry koszulkę, rozwiązał je i rozluźnił jednym ruchem, odsłaniając nagie kobiece ciało.

– Och… – szepnęła bez tchu. Chciała chwycić materiał, żeby się osłonić, ale ciepła dłoń stanowczo zacisnęła się na jej dłoni. – Och, proszę…

Rhys nie zamierzał jej puścić; przeciwnie – zaczął się sycić odsłoniętą skórą i białymi krągłościami, zwieńczonymi różowymi aureolami. Teraz i jego oddech stał się przyspieszony i nierówny. Koniuszkiem języka przeciągnął po pączku sutka, ogrzewając go palącym oddechem, zanim zassał go do ust. Helen, porażona dreszczem nieznanej, zdrożnej rozkoszy, zafascynowana zupełnie jej nieznanym zachowaniem mężczyzny, ciaśniej przylgnęła do niego, naglona narastającą potrzebą bliskości i… czegoś jeszcze… Wtem przez cienki materiał koszulki poczuła napór czegoś dziwnego, sterczącego i twardego jak klin. Zaskoczona, szarpnęła się w tył.

Rhys uniósł głowę. Bursztynowa poświata kominka zalśniła na jego wilgotnej dolnej wardze.

– Czekaj, nie uciekaj… – szepnął chrapliwie i znów przyciągnął ją do siebie. – To jest… – Z wysiłkiem wciągnął oddech i delikatnie przylgnął do niej biodrami. – Po prostu tak się dzieje ze mną, kiedy cię pragnę. Tam, gdzie czujesz twardość… ta moja część wejdzie

w ciebie. – Dla ilustracji swoich słów naparł na nią delikatnie. – Rozumiesz?

Helen zamarła.

Wielki Boże!

Nic dziwnego, że akt płciowy jest taką tajemnicą. Gdyby kobiety wiedziały, nigdy by się na niego nie zgodziły!

Choć usilnie starała się ukryć przerażenie, Rhys musiał coś wyczytać z jej twarzy, bo rzucił jej spojrzenie zaniepokojone i rozbawione zarazem.

– Wiem, to nie brzmi zbyt romantycznie – dodał przepraszająco.

Helen drżała, jednak zebrała się na odwagę, żeby zadać pytanie:

– W którym miejscu wejdzie?

Zamiast odpowiedzi Rhys uniósł się lekko i przesunął tak, że położył się na Helen. Uspokajająco gładził dłonią kulące się z lęku kobiece ciało. Niespiesznie pieścił wnętrze ud, stopniowo je rozwierając. Z trudem łapała oddech, kiedy sięgnął pod rąbek koszulki. Poczuła leciutkie dotknięcie pomiędzy nogami i palce mężczyzny musnęły delikatne kędziorki.

Zesztywniała, porażona niezwykłym odczuciem, które przeszyło ją, gdy palec mężczyzny znalazł otwór pomiędzy jej nogami i zaczął się w niego zagłębiać, poruszając się i pieszcząc miękkie, wilgotne wnętrze. Helen nie mogła uwierzyć, że jej ciało otwiera się przed tym czułym, choć nieustępliwym dotykiem. Czyżby… Nie, to niemożliwe!

– Tutaj – powiedział cicho, obserwując ją spod zasłony czarnych rzęs.

Helen jęknęła w rozterce i usiłowała cofnąć biodra, aby uniknąć inwazji, lecz Rhys przytrzymał ją stanowczo.

– Kiedy w ciebie wejdę… – jego palec cały zniknął w otworze, cofnął się o cal, a potem znów się zanurzył – …z początku poczujesz ból. – Teraz dotykał wewnętrznych miejsc, o których istnieniu nie miała pojęcia. Czynił to nadzwyczaj czule i delikatnie. – Na szczęście ból jest tylko na początku. Potem już nigdy nie wraca.

Helen zamknęła oczy, zaintrygowana niezwykłym odczuciem, które budziło się w głębi jej ciała. Efemeryczne, niepochwytne, jak ulotne pasmo woni perfum unoszące się w pokoju.

– Będę się w tobie poruszał… o tak… – Subtelna pieszczota nabrała rytmu; palec przesuwał się w jej ciele z coraz większą łatwością, gdyż z każdym ruchem wewnętrzne błony stawały się bardziej gładkie, śliskie, zapraszające. – Aż się w ciebie spuszczę.

– Spuścisz się? – Usta Helen zrobiły się suche jak pustynia.

– Wytrysk. Moment, w którym serce zaczyna walić jak młot i każdym calem swojego ciała walczysz o dojście do celu, który ciągle ci umyka. Istna tortura, ale wolałbym raczej umrzeć, niż przestać. – Zbliżył usta do jej zaczerwienionego ucha i ciągnął zmysłowym, sugestywnym tonem: – Musisz się poddać rytmowi i być dzielna – szeptał. – Bowiem będzie ci się wydawało, że świat zaraz się skończy. I tak się stanie.

– Mało pocieszające – wydusiła z siebie Helen, walcząc z dziwnym, zdrożnym i zarazem piekielnie nęcącym żarem, który ogarniał jej ciało.

Bezbożna nuta śmiechu wdarła się w jej uszy.

– Nie musi być pocieszające. Liczy się piekielna przyjemność i tylko ona.

Wysunął palec, aby przez chwilę znów pieścić miękkie, zamykające się płochliwie krawędzie sekretnej szpary. Kiedy rozchyliły się ponownie, wzmógł pieszczotę, drażniąc różowe fałdy i aksamitne zakamarki, aż spazmy rozkosznych dreszczy przeszyły ciało Helen.

– Czy boli cię, *cariad*?

– Nie, ale…

Helen uznała, że nie ma sensu tłumaczyć Rhysowi tajników wychowania, które uczy, że pewne obszary ciała są zbyt wstydliwe, aby je poznawać, nie mówiąc już o dotykaniu – chyba że chodzi o mycie. Zasady te wdrażała krzepka niania, która wyżywała się w waleniu niegrzecznych dzieci po dłoniach drewnianą linijką, aż robiły się czerwone i opuchnięte. Takich lekcji nie sposób zapomnieć.

– To… jest wstydliwe miejsce – wykrztusiła wreszcie.

– Nie, nie jest – odparł natychmiast.

– Ależ jest. – Rhys pokręcił głową, lecz Helen nie dała się przekonać. – Tak mnie uczono.

Zrobił zdegustowaną minę.

– Kładła ci to do głowy ta sama osoba, która twierdziła, że dzieci znajduje się w kapuście?

Helen, widząc, że go nie przekona, zamilkła z miną wskazującą na urażoną godność. A przynajmniej usiłowała zachować godność w tych trudnych okolicznościach.

– Wielu ludzi wstydzi się swoich pragnień – powiedział Rhys. – Ale ja do nich nie należę. I nie chcę, żebyś ty należała. – Delikatnie położył dłoń na piersi Helen, a potem zaczął sunąć po jej ciele. – Jesteś stworzona do przyjemności, *cariad*. Żadna część twojego ciała nie jest wstydliwa. – Zdawał się nie zauważać, że Helen znów zesztywniała, kiedy jego ręka wsunęła się pomiędzy jej uda. – A już zwłaszcza to słodkie miejsce… Ach, jaka jesteś tam śliczna! Jak jeden z tych twoich storczyków.

– Co? – zapytała speszona, zastanawiając się, czy Rhys z niej nie kpi.

– Tak, przypomina płatki kwiatu. – Z zachwytem obwiódł palcem różowe zewnętrzne fałdy, po czym rozchylił je, udając, że nie zauważa, jak Helen szarpie go za przegub. Kciukiem i palcem wskazującym rozszerzył zapraszająco wejście. – I jeszcze to. Jak kielich kwiatu, prawda?

Dopiero teraz Helen pojęła, co dokładnie ma na myśli i jak celne jest jego porównanie. Zaczerwieniła się tam, gdzie tylko było to możliwe. Gdyby można było zemdleć z zakłopotania, najchętniej by to zrobiła.

Uśmiech przemknął po wargach Rhysa.

– Jak mogłaś o tym nie wiedzieć?

– Nigdy tam nie patrzyłam!

Nie przerywając śledzenia pasjonującej gry uczuć na twarzy Helen, jednym ruchem wysunął palec i zajął się miejscem, w którym jeszcze nie był – w górnej części warg, gdzie krył się maleńki pączek. Kiedy go dotknął i przesunął po nim delikatnie opuszkiem palca, Helen zaczęła się wić w jego uścisku.

– A znajdź mi słowo na to – wymruczał. – Koniuszek w kielichu kwiatu.

– Słupek kwiatu – wykrztusiła zdławionym głosem. Działo się z nią coś niepojętego. Ogień pożerał ją od nóg, buzował w jej brzuchu,

podgrzewając wszystkie odczucia.

Niezmordowany palec po raz kolejny wsunął się w nią, w gorącą, śliską wilgoć. Rozwierała się przed nim coraz bardziej zapraszająco. Co to ma być? Jej ciało wręcz się dopraszało o inwazję, przestawało jej słuchać. Rhys okrywał usta Helen jedwabistymi pocałunkami, delikatnie zasysając jej wargi, jakby pił z najdelikatniejszej chińskiej porcelany. Czubek kciuka, który pozostał na zewnątrz, trafił na najczulszy punkt i nagle elektryzujące napięcie rozprzestrzeniło się w jej ciele niczym fala, która ostrzega przed jeszcze potężniejszą falą odczuć… zbliżającą się… zbyt silną… podobną do bólu… Helen ze stłumionym krzykiem wywinęła się spod mężczyzny, przewróciła się na brzuch i całym ciałem usiłowała stłumić szalone bicie serca.

Rhys natychmiast znalazł się nad nią. Uspokajająco gładził jej rozdygotane członki i szeptał do ucha głosem pełnym aksamitnej perswazji:

– *Cariad*, nie możesz uciekać. Nie będzie bolało, obiecuję. No, odwróć się.

Helen zastygła, kompletnie oszołomiona dręczącą rozkoszą, która coraz silniej brała ją we władanie. Miała wrażenie, że w pewnej chwili stanęło jej serce, tak wielkie było napięcie, które domagało się ujścia.

Rhys odgarnął z jej karku skłębione włosy i pocałował odsłonięte czułe miejsce.

– Czy taką będziesz żoną? Za wcześnie, żebyś zaczęła przejawiać nieposłuszeństwo.

Z trudem zmusiła obrzmiałe wargi do wypowiedzenia słów:

– Jeszcze nie jesteśmy mężem i żoną.

– Nie, i nie będziemy, dopóki całkiem nie dojdę z tobą do porozumienia. – Podsunął dłoń pod jej brzuch. – Odwróć się, Helen.

Odgłos zadowolenia, niemal koci pomruk, zawibrował w gardle mężczyzny, gdy Helen wreszcie go posłuchała. Popatrzył na nią spojrzeniem pełnym świetlistego blasku, jak odbicie gwiazd w nocnych wodach oceanu. Był piękny jak mityczny bóg, który sieje zamęt w głowach nieszczęsnych śmiertelniczek.

I ten bóg miał należeć do niej.

– Chciałabym wiedzieć, co ty czujesz – szepnęła ku swojemu zaskoczeniu.

Rhys wstrzymał oddech i przymknął powieki, kiedy Helen drżącą dłonią sięgnęła do dolnej części jego muskularnego torsu. Z wahaniem objęła palcami twardą, sztywno wzniesioną męskość. Zaskoczył ją dotyk zdumiewająco cienkiej, satynowo gładkiej skóry. Z łatwością przesuwała się po twardej kolumnie. Ścisnęła go lekko, wyczuwając gorące, zwarte ciało, przeniknięte tajemniczym pulsowaniem. Wiedziona niepowstrzymaną ciekawością, zsunęła dłoń niżej i zważyła w niej podwójny ciężar, zamknięty w worku luźnej, chłodnej skóry. Rhys zareagował nieartykułowanym dźwiękiem. Oddychał nierówno. Przynajmniej w tym jednym momencie zdołała nim zawładnąć, tak jak wcześniej on nią.

Jednak triumf trwał krótko, gdyż już za moment zdominował ją rozpalony pożądaniem, nagi i namiętny mężczyzna. Na jej biust i ramiona spadł grad żarłocznych pocałunków. Całował ją, pochłaniając jej usta swoimi, a potem powędrował do piersi i niżej. Pieścił jej piersi i ssał sutki. Coraz bardziej przeszkadzała mu pomięta koszulka, więc chwycił ją obiema rękami i rozdarł jednym ruchem, jakby to był papier, po czym odrzucił na bok, aż poszybowała w powietrzu jak duch. Wreszcie zagarnął Helen pod siebie i poczuła tę dziwną, żywą i gorącą twardość, napierającą na miękkie, drżące, przykryte laskiem kędziorów wejście do jej ciała.

Zsunął się niżej i Helen poczuła dotyk jego warg poniżej pępka. Wilgotna pieszczota przyprawiła ją o stłumiony jęk rozkoszy. Jej szlak szybko dotarł do wilgotnych kędziorków pomiędzy udami i bezwstydnie zmierzał dalej, do najbardziej intymnego kobiecego miejsca.

Rhys wsunął ręce pod nogi Helen i uniósł je, aż zgięte kolana sterczały ponad jego barkami. Wsunął głowę pomiędzy jej uda, czubkiem języka rozchylił delikatne płatki, a kiedy odsłonił wrażliwy słupek, zaczął na nim odprawiać erotyczny taniec, aż z ust Helen wymknął się tłumiony okrzyk. Teraz już nie miał litości. Zassał ciało ustami i lizał, wciągał, młynkował po nim językiem, aż w dole brzucha Helen zaczęła narastać paląca fala. Czuła, że zaraz straci nad sobą kontrolę, że zbliża się coś potężnego i nieuniknionego. Im

bardziej próbowała to powstrzymać, umknąć, tym bardziej potężniało, aż w końcu pochłonęły ją uderzające raz po raz gwałtowne spazmy rozkoszy. Wygięła się w łuk; jej mięśnie na zmianę napinały się i wiotczały, gdy fala błogości rozprzestrzeniała się po całym jej ciele, docierając do czubków palców rąk i nóg. Punkt, od którego wszystko się zaczęło, stał się boleśnie wrażliwy nawet na najlżejsze dotknięcie warg mężczyzny.

Z nieartykułowanym okrzykiem protestu Helen chwyciła Rhysa za głowę, usiłując go odciągnąć, ale trwał nieporuszony jak skała. Przesunął tylko język niżej, aż trafił na drążące wejście do jej ciała – i tam go wsunął. Otworzyła oczy i zobaczyła ciemny zarys jego głowy na tle tańczących odblasków kominka.

– Proszę… – jęknęła słabo, choć nie była pewna, o co właściwie chce prosić.

Rhys obiema dłońmi rozchylił wewnętrzne wargi i szybkimi ruchami kciuków zaczął pieścić maleńki pączek. Ciało Helen kolejny raz zaskoczyło ją i zawstydziło. Ochoczo reagowało na każdy ruch języka i palców, chłonąc rozkoszne dreszcze, jakby chciało zatrzymać je w sobie.

Zanim zdążyła zdać sobie z tego sprawę, nadciągnął finalny spazm rozkoszy. Wbiła pięty w materac, prężąc się w łuk i unosząc biodra, aby przyjąć w siebie tę gorącą falę. Rhys wprawnie podsycał ogień drobnymi, celowymi ruchami.

Za moment, zdyszana i oszołomiona, Helen bezwładnie opadła na łóżko. Tym razem nawet się nie poruszyła, kiedy Rhys oparł się nad nią na łokciach. Coś gładkiego i sztywnego dotknęło jej wilgotnego i rozpalonego krocza. Męski organ, nakierowany dłonią, odnalazł wejście do kobiecego ciała i delikatnie, lecz stanowczo zaczął się wdzierać do wnętrza. Gdy poczuła bolesne pieczenie, instynktownie chciała przed nim uciec, ale Rhys parł nieustępliwie. Jęknęła cicho, kiedy błona napinała się, pulsując żywym ogniem. Wchodził coraz głębiej, aż wreszcie wypełnił ją całą. Już nie miała jak uciec przed nim ani przed bólem.

Rhys ujął głowę Helen w dłonie i popatrzył w jej półprzytomne oczy.

– Przepraszam, że sprawiam ci ból, gołąbeczko. – Głos miał nierówny, chrypliwy. – Spróbuj się na mnie otworzyć.

Leżała nieruchomo, usiłując zrzucić z siebie choć część napięcia. Ale Rhys jej nie puścił. Pocałował Helen w ramię, a potem przesunął ustami wzdłuż szyi, łagodząc nieco ból, jaki jej sprawiał.

– Tak… – szepnął. – Tak to się dzieje.

Do wszystkich odczuć Helen doszło jeszcze zakłopotanie, kiedy poczuła, że przeszkoda ustąpiła i Rhys zaczął się poruszać swobodniej w jej ciele. W nagłym odruchu objęła jego szerokie, muskularne plecy. Ku jej zaskoczeniu mięśnie napięły się jak stal. Zaintrygowana nagłą reakcją na tak lekkie dotknięcie, na próbę przesunęła palcami wzdłuż grzbietu mężczyzny, delikatnie drapiąc skórę paznokciami.

Rhys jęknął i porwała go potężna fala, taka jak wcześniej Helen. Przyspieszył gwałtownie, a potem zamarł, wstrząsany spazmem, i Helen zrozumiała, że doszedł do swojego spełnienia. W nagłym przypływie instynktu opiekuńczego objęła go mocno i przyciągnęła do siebie. Po chwili Rhys odprężył się z przeciągłym westchnieniem i bezwładnie osunął na bok, uważając, żeby jej nie przygnieść.

Dopiero teraz, kiedy było po wszystkim, Helen poczuła, że spomiędzy jej ud wycieka gorąca strużka. Wnętrze piekło ją i paliło, choć zarazem była tam dziwna pustka. Jednocześnie czuła się zaspokojona, ciało miała rozkosznie obolałe i błogo zmęczone. Ciągle nie mogła się nacieszyć dotykiem gładkiego, potężnego ciała u swego boku, emanującego męską siłą. Ostatkiem sił ułożyła się przy Rhysie, opierając głowę w zagłębieniu jego ramienia.

Myśli Helen rozpraszały się, zanim zdołała je zebrać. Choć był środek dnia, miała wrażenie, że wokół panuje noc. A przecież zaraz będzie musiała się ubrać i wyjść w chłodne światło południa, porzucając ciepły azyl, w którym pragnęła tylko spać, spać i spać… Czuła, jak Rhys troskliwie nakrywa ich kołdrą. Na moment przerwał, żeby wyciągnąć coś spod nich – resztkę jej koszulki. Powinna się martwić, jak wróci do domu bez bielizny, ale była tak wyczerpana, że sprawy tego świata mało ją w tej chwili obchodziły.

– Obiecałem, że uszanuję twoje rzeczy – stwierdził z poczuciem winy.

– Byłeś rozkojarzony – szepnęła z wysiłkiem.

Rhys zachichotał cicho.

– Byłem oszalały, oto właściwsze słowo – sprostował. Wytarł jej uda porwanym kawałkiem batystu, cisnął go na dywan, po czym czułym gestem objął głowę Helen. – Pośpij sobie chwilę, *cariad*. Obudzę cię za minutkę.

Za minutkę… Słyszała już u niego to walijskie wyrażenie. Wbrew pozorom oznaczało „później", bez szczególnego pośpiechu. Helen posłuchała. Po raz pierwszy w życiu zasnęła w ramionach mężczyzny.

Przez ponad godzinę Rhys po prostu tulił Helen. Był upojony spełnieniem i pijany szczęściem.

Mógł się w nią wpatrywać bez przerwy. Każdy szczegół ciała Helen na nowo budził w nim dreszcze przyjemności. Te smukłe kształty, krągły zarys jędrnych piersi… Jej rozrzucone jasne włosy, spływające mu po przedramieniu, połyskiwały w świetle płomieni niczym płynny metal. Ale największym cudem była twarz tej kobiety – dziecięco niewinna w głębokim śnie, uwolniona z codziennej powagi. Delikatna miękkość jej ust trafiała wprost do jego serca. Jak to jest, że mając ją przy sobie, na wyciągnięcie ręki, chciałby jeszcze więcej?

Od czasu do czasu rzęsy Helen drgały, przyspieszony oddech rozchylał usta, a palce u rąk i nóg podginały się mimowolnie. W takich chwilach Rhys przytulał ją mocniej. Tej cudownej istocie nieświadomie udało się obudzić w nim czułość, jakiej dotąd nie okazywał nikomu. Zaspokajał kobiety na wszystkie sposoby i dawał im przyjemność, ale nigdy nie kochał się z kobietą tak jak z Helen; tak jakby jego palce chłonęły cudowny eliksir miłości prosto z jej skóry.

Pod kołdrą przesunęła smukłe udo wyżej po jego nodze, tuląc się do niego łonem i piersiami. Jego zaganiacz dziarsko uniósł głowę, gotów do czynu. Znów jej pożądał – kobiety obolałej po swoim pierwszym razie, która nie zdążyła jeszcze zmyć z siebie dziewiczej krwi i jego nasienia. Niespodziewanie, oddając mu się tak całkowicie, osiągnęła nad nim tajemniczą przewagę, którą czuł, lecz nie potrafił

jej jeszcze określić. Musiał się ostro pilnować, żeby nie wziąć pod siebie bezbronnego kobiecego ciała i nie posiąść go jeszcze raz. Zamiast tego chłonął widok pięknej kobiety, ufnie w niego wtulonej.

Płonące polano strzeliło i na palenisku posypały się iskry, na moment rozjaśniając półmrok pokoju. Rhys przyglądał się z upodobaniem, jak złocisty blask maluje skórę koloru kości słoniowej. Ulotnym, delikatnym gestem dotknął krągłego ramienia. Jakie to dziwne, że leży tutaj taki spokojny i ukontentowany, podczas gdy normalnie nie potrafił znieść ani chwili bezczynności. Mógłby tak leżeć godzinami, w samym środku dnia, po prostu patrząc na Helen.

Nie pamiętał, kiedy ostatnio leżał w łóżku o tej porze, nie licząc tamtych trzech tygodni w Eversby Priory, kiedy dochodził do siebie po wypadku kolejowym. Wcześniej nigdy nie chorował. Tymczasem spotkało go coś, czego w życiu najbardziej się obawiał – znalazł się na czyjejś łasce. Jednak leżąc tam, w zamęcie gorączki i bólu, kojarzył chłodne dłonie młodej kobiety i jej kojący głos. Ocierała mu twarz i szyję ręcznikami nasączonymi zimną wodą i podawała słodką herbatę. Była niczym opiekuńczy anioł, wszystko w niej niosło ukojenie – jej delikatność, otaczający ją zapach wanilii, łagodny sposób, w jaki do niego przemawiała. Przez parę najbardziej niezwykłych minut w życiu Rhysa Helen podtrzymywała jego głowę, rozpaloną gorączką, opowiadając mu o starożytnych mitach albo o orchideach. Wiedział, że to wspomnienie będzie do niego wracać aż do ostatnich dni. Po raz pierwszy przestał zazdrościć wszystkim innym mężczyznom, bo wreszcie przeżył coś bliskiego szczęściu. I nie było to coś, na co musiałby polować, a potem pochłonąć, pożreć w paru kęsach… Podawano mu to szczęście łagodnie, spokojnie, małymi porcjami. Było to czyste dobro, które nie żądało niczego w zamian. Od tej pory pragnął go… pragnął jej… bez ustanku.

Ulotne, jasne pasemko włosów falowało na nosie Helen, poruszane każdym jej oddechem. Rhys czułym gestem odgarnął je, łagodnie podkreślając kciukiem łuk cienkiej, ciemnej brwi.

Nadal nie rozumiał, dlaczego do niego przyszła. W pierwszym odruchu sądził, że chodzi o jego pieniądze, ale był coraz bardziej pewien, że się pomylił. Było oczywiste, że nie imponuje jej błękitna

krew ani akademicki umysł, żadną bowiem z tych cech nie mógł się pochwalić.

Powiedziała, że pociąga ją przygoda. Jednak przygody po pewnym czasie zaczynają być męczące i pojawia się pragnienie powrotu do bezpiecznego azylu, który się pochopnie porzuciło. Co będzie, jeśli zapragnie powrócić do dawnego życia?

Z westchnieniem odsunął się od Helen i troskliwie opatulił ją kołdrą. Wstał z łóżka i ubrał się. W chłodniejącym powietrzu sypialni jego umysł przełączył się na swój zwykły, biznesowy tryb, tworząc listy zadań i plany.

Do licha ciężkiego, co mu się wcześniej roiło w głowie? Wielki, wystawny ślub, aby pochwalić się arystokratyczną panną młodą? Czy naprawdę uważał, że to takie ważne? Ty idioto! – przeklął się w myśli, pełen pogardy dla siebie. Na szczęście wreszcie odzyskał jasność myślenia, po całych dniach błądzenia we mgle.

Teraz, kiedy posiadł Helen, nie może już jej oddać. Nawet na chwilę, dopóki ich związku nie przypieczętuje ślub. Wiedział, że musi ją trzymać przy sobie, aby nie znalazła się znów pod wpływem Devona. Jakkolwiek Rhys był przekonany, że Helen szczerze pragnie go poślubić, uważał, że ciągle za mało trzyma się ziemi i zbytnio ulega wpływom. Rodzina może próbować wyrwać ją spod jego władzy. Dzięki Bogu ma jeszcze czas, żeby naprawić swój błąd.

Energicznym krokiem przeszedł do znajdującego się obok gabinetu i zadzwonił po lokaja.

Kiedy mężczyzna się zjawił, Rhys miał już gotowy list.

– Pan mnie wzywał, panie Winterborne? – George, bystry młody mężczyzna, był świetnie wyszkolony i został mu polecony przez jeden z arystokratycznych rodów. Pogarszająca się sytuacja ekonomiczna rodziny sprawiła, że z żalem musieli zrezygnować z części służby, na czym skorzystał Rhys. W czasach, kiedy wiele herbowych rodów przestawało sobie radzić w szybko zmieniającym się świecie, Rhys miał luksusową sytuację i mógł przebierać w wykwalifikowanych kadrach, na które tamtych nie było już stać. Zwykle wybierał młodych i obiecujących albo starszych, lecz bardzo doświadczonych.

Gestem zaprosił lokaja, żeby podszedł do biurka.

– George, zanieś ten list do mojego sekretariatu i daj go pani Fernsby. Zaczekaj, aż zgromadzi rzeczy, o które proszę, i nie dalej niż za pół godziny dostarcz mi je tutaj.

– Tak jest, proszę pana.

Lokaj ulotnił się w ułamku sekundy. Rhys uśmiechem skwitował jego szybkość. Nie było tajemnicą, że zarówno w jego domu, jak i w firmie rozkazy trzeba było wypełniać błyskawicznie i z entuzjazmem.

Wkrótce otrzymał swoje zamówienie, zapakowane w eleganckie, kremowe pudła. Naszykował kąpiel dla Helen, a potem zebrał jej rozrzucone ubrania i spinki do włosów.

Usiadł na brzegu łóżka i pogładził policzek ukochanej. Obserwując, jak się budzi z głębokiego snu, po raz kolejny uległ fali czułości, która zagarnęła go nagle, z niemal bolesną intensywnością.

Helen otworzyła oczy. Przez chwilę nie mogła skojarzyć, gdzie jest i dlaczego widzi tego mężczyznę. Kiedy sobie przypomniała, popatrzyła na niego niepewnie. Rhys był zachwycony, kiedy znów zobaczył jej nieśmiały uśmiech.

Przyciągnął ją do siebie i poszukał ustami jej ust. Kiedy pieszczotliwie przesunął dłonią po jej nagich plecach, poczuł gęsią skórkę.

– Czy masz ochotę na kąpiel? – szepnął.

– A mogę?

– Jest już gotowa. – Sięgnął i podał jej szlafrok, który wisiał w nogach łóżka – kimono wiązane z przodu.

Helen stanęła na dywanie i pozwoliła, żeby je na nią włożył. Wstydliwie kuliła się pod jego wzrokiem. Rhys, ujęty jej skromnością, zawiązał kimono, a potem podwinął przydługie rękawy. Dół szlafroka ciągnął się po podłodze.

– Nie musisz się wstydzić – powiedział. – Oddałbym duszę, żeby zawsze widzieć cię nagą, nawet kiedy jesteś ubrana.

– Nie żartuj sobie.

– Z twojej nagości? Wcale nie żartowałem!

– Ze swojej duszy – wyjaśniła z powagą. – Jest zbyt ważna.

Uśmiechnął się i skradł jej kolejny pocałunek. Następnie ujął Helen za rękę i zaprowadził do łazienki, wyłożonej płytkami z białego

onyksu. Górną połowę ścian osłaniała mahoniowa boazeria. Przy jednej z nich znajdowała się owalna francuska wanna; o pochyłe ściany na jej końcach można było się wygodnie oprzeć. Obok stała przeszklona serwantka, w której ułożono stosy białych ręczników.

Rhys wskazał gestem niewielką mahoniową toaletkę i rzekł:

– Kazałem przysłać parę rzeczy ze sklepu.

Helen podeszła bliżej i zobaczyła stojak ze szpilami do włosów, komplet czarnych grzebieni, szczotkę w emaliowanej oprawie, kolekcję pachnących mydeł, zapakowanych w ręcznie malowany papier, oraz wybór perfumowanych olejków.

– Na co dzień będzie ci usługiwała pokojówka – rzucił Rhys, patrząc, jak Helen upina włosy na czubku głowy.

– Sama sobie poradzę. – Jej policzki zaczerwieniły się lekko, kiedy spojrzała na wysoką krawędź wanny. – Ale chyba będę potrzebowała pomocy przy wejściu do wanny i wyjściu z niej.

– Do twoich usług – zaoferował ochoczo.

Ciągle się czerwieniąc, Helen odwróciła się do niego tyłem i zsunęła szlafrok z ramion. Rhys zdjął go z niej i omal nie upuścił na podłogę, kiedy zobaczył smukłe plecy i kształtną pupę. Podał jej rękę, pomagając wejść do wanny. Każdy ruch Helen był ostrożny i zarazem pełen gracji, jak u kota, który stąpa po nieznanym gruncie. Zanurzyła się w parującej wodzie z nadzieją, że kąpiel złagodzi wewnętrzne pieczenie i kłucie.

– Twoje wnętrze jest podrażnione – powiedział z troską Rhys, przypominając sobie, jak delikatne i ciasne było wejście do jej ciała.

– Tylko trochę. – Długie rzęsy uniosły się. – Czy mogę mydło?

Odpakował kostkę miodowego mydła i podał go Helen razem z gąbką, z pożądaniem wpatrując się w różowy zarys kobiecego ciała, majaczący pod wodą. Namydliła gąbkę, po czym zaczęła mydlić barki i szyję.

– Czuję ulgę – wyznała. – Teraz, kiedy już wszystko jest jasne.

Rhys usiadł na krześle przy toaletce.

– Dobrze, że to powiedziałaś, bo musimy porozmawiać – rzekł. – Kiedy spałaś, zastanawiałem się nad sytuacją i na nowo przemyślałem nasz związek. Widzisz… – Urwał, bo zobaczył przerażone spojrzenie wielkich oczu w nagle pobladłej twarzy. Pojął,

że Helen musiała go źle zrozumieć, więc gruchnął na kolana. – Nie, nie, nie o to chodzi – zapewnił skwapliwie i sięgnął do niej, nie zważając, że moczy rękaw koszuli i kamizelkę. – Jesteś moja, *cariad*. A ja jestem twój. I nigdy… *Iesu Mawr*, nie patrz tak na mnie! – Przyciągnął Helen do krawędzi wanny i obsypał pocałunkami jej gładką, mokrą skórę. – Chciałem tylko powiedzieć, że nie mogę się ciebie doczekać. Dlatego musimy uciec razem. Powinienem to powiedzieć na początku, ale wybacz, myśli mi się mącą. – Dopadł ustami jej ust i całował, aż poczuł, że uchodzi z niej napięcie.

Kiedy skończył, Helen odsunęła się i popatrzyła na niego oszołomiona. Jej policzki lśniły od wody, a długie rzęsy były zlepione wilgocią.

– Dzisiaj?

– Tak. Zaraz wszystko przygotuję. O nic nie musisz się martwić. Każę pani Fernsby spakować dla ciebie walizkę. Pojedziemy do Glasgow pociągiem, moją prywatną salonką. Jest tam przedział sypialny z dużym łóżkiem…

– Rhys. – Smukłe palce, pachnące mydłem, zamknęły mu usta. Helen wzięła głęboki oddech, żeby się uspokoić. – Nie ma potrzeby myśleć o innych planach. Przecież nic się nie zmieniło.

– Wszystko się zmieniło – odpowiedział zbyt gwałtownie. Przełknął z wysiłkiem i złagodził ton: – Wyjeżdżamy dziś po południu. Tak będzie najlepiej. To nam rozwiąże przynajmniej jeden problem.

Helen pokręciła głową.

– Nie mogę zostawić moich sióstr samych w Londynie.

– Przecież mieszkają w domu pełnym służby. A Trenear wkrótce wróci.

– Owszem, jutro. Ale bliźniaczek nie można zostawić samych do tego czasu. Przecież wiesz, jakie one są!

Pandora i Cassandra rzeczywiście były parą diablątek, pełnych najbardziej niecnych pomysłów. Dziewczęta, wychowane w spokojnej posiadłości w Hampshire, nagle znalazły się w Londynie i uznały go za jeden wielki plac zabaw. Żadna z nich nie miała pojęcia, jakie niebezpieczeństwa czyhają na nie w wielkiej metropolii.

– W takim razie zabierzemy je ze sobą – stwierdził Rhys bez entuzjazmu.

Helen uniosła brwi.

– Chcesz, żeby Devon i Kathleen wrócili do Hampshire i zobaczyli, że porwałeś wszystkie trzy siostry Ravenel?

– Zapewniam, że odeślę bliźniaczki przy pierwszej nadarzającej się okazji.

– Nadal nie rozumiem, dlaczego w ogóle mamy uciekać. Przecież na razie nikt nie zabrania nam ślubu.

Jasna skóra Helen lśniła od pary. Myśli Rhysa rozpraszał puszek mydlanej piany, który leniwie zsuwał się po krągłości piersi, aż zatrzymał się na różowym sutku. Nie zdołał się dłużej powstrzymać. Objął dłonią pierś Helen i kciukiem starł pianę. Delikatnym ruchem okrążył sutek, z satysfakcją patrząc, jak zamienia się w twardy pączek.

– Może będziemy mieć dziecko – powiedział.

Helen, zwinna jak syrena, wymknęła się mu.

– Naprawdę?

– Będziemy to wiedzieli, jeśli nie pojawi się kolejne miesięczne krwawienie.

Helen namydliła gąbkę i zaczęła nią masować swoją skórę.

– Jeśli tak się stanie, wtedy może rzeczywiście będziemy musieli uciec. Ale zanim…

– Uciekniemy teraz – Rhys przerwał jej z niecierpliwością. – Lepiej uniknąć skandalu, gdyby dziecko urodziło się wcześniej, niż uda się nam wziąć ślub. – Mokra kamizelka zaczęła ziębić mu ciało. Wstał i zaczął ją rozpinać. – Nie zamierzam karmić plotkami nieżyczliwych języków. Zwłaszcza że może chodzić o moje potomstwo.

– Ucieczka może wywołać jeszcze większy skandal niż nieślubne dziecko – stwierdziła Helen. – A mojej rodzinie da jeszcze więcej powodów, żeby cię odrzucić.

Rhys przyjrzał się jej uważnie.

– Nie chciałabym ich nastawiać przeciwko tobie – dodała.

Cisnął mokrą kamizelkę na podłogę.

– Nie obchodzi mnie ich nastawienie.

– Ale ja chyba cię obchodzę?

– Jasne – mruknął, rozpinając mokre mankiety.

– Chciałabym wziąć ślub. To pozwoliłoby nam wszystkim, także mnie, przyzwyczaić się do nowej sytuacji.

– Ja się już przyzwyczaiłem.

Jej usta dziwnie drgnęły, jakby chciała ukryć nagłą wesołość.

– Mało kto za tobą nadąża. Nawet Ravenelowie. Czy mógłbyś się postarać o cierpliwość?

– Owszem, jeśli zajdzie taka potrzeba. Ale na razie nie zaszła.

– A ja myślę, że tak. Według mnie ty też marzysz o wielkim ślubie, tylko na razie nie chcesz się do tego przyznać.

– Do licha, zmuszasz mnie, żebym to powiedział. – W głosie Rhysa zabrzmiała desperacja. – Wiedz, że jest mi dokładnie wszystko jedno, czy weźmiemy ślub w kościele, w biurze urzędnika stanu cywilnego, czy połączy nas szaman z rogami na głowie gdzieś w dziczy Północnej Walii. Po prostu chcę, żebyś została moją żoną najszybciej, jak to możliwe.

Helen popatrzyła na niego zaintrygowana. Bardzo chciała usłyszeć coś więcej o rogatych szamanach, ale postanowiła trzymać się tematu.

– Ja wolałabym ślub w kościele – rzekła.

Rhys w milczeniu odpiął kołnierzyk i zaczął rozpinać guziki koszuli. Przeklinał się w duchu za to, że sam się wpędził w kłopoty. Jak mógł pozwolić, aby wybujała duma i ambicja nie pozwoliły mu poślubić Helen tak szybko, jak to możliwe? Teraz będzie musiał na nią czekać, zamiast mieć ją w łóżku każdej nocy.

Helen przyglądała mu się z poważną miną. Po długiej chwili powiedziała:

– Ważne, żebyś mi obiecał i dotrzymał obietnicy.

Przygnębiony Rhys z irytacją ściągnął koszulę. Mylił się. Helen wcale nie była tak uległa, jak myślał.

– Weźmiemy ślub za sześć tygodni i ani dnia później – zapowiedział stanowczo.

– To za szybko – zaprotestowała. – Nawet gdybym miała nieograniczone środki, potrzebowałabym czasu na zaplanowanie i wykonanie wszystkiego, na sprowadzenie różnych rzeczy i…

– Ja mam nieograniczone środki – uciął. – Wszystko, o co poprosisz, będzie dostarczone szybciej, niż szczur zdąży przebiec

przez rurę ściekową.

– Nie o to chodzi. Nie minął jeszcze rok od odejścia mojego brata. Nasza żałoba skończy się na początku czerwca. Przez szacunek dla zmarłego chciałabym zaczekać ze ślubem do tej pory.

Rhys wpatrywał się w nią oniemiały.

Zaraz, zaraz… Czerwiec?

– To całe pięć miesięcy – wyjąkał wreszcie.

Helen kiwnęła głową, zadowolona, że wreszcie zaczął myśleć racjonalnie.

– Nie – warknął.

– Czemu nie?

Od wielu lat, odkąd zaczął zarabiać miliony funtów, nikt nie śmiał żądać od Rhysa Winterborne'a wyjaśnień, dlaczego czegoś chce. Sam fakt, że ma na coś ochotę, musi wystarczyć za wyjaśnienie.

– Przecież tak właśnie planowaliśmy, kiedy pierwszy raz rozmawialiśmy o zaręczynach – przypomniała mu Helen.

Nie miał pojęcia, dlaczego przystał na coś, co już wtedy było dla niego nie do przyjęcia. Zapewne myśl o małżeństwie z Helen tak zawróciła mu w głowie, że nie zwrócił uwagi na taki drobiazg jak termin ślubu. Teraz wiedział, że pięć dni czekania na nią jest udręką. Pięć tygodni wydaje się nieskończonością. Pięć miesięcy jest nie do wyobrażenia.

– Twój brat i tak już się o tym nie dowie. A tym bardziej nie będzie miał ci za złe, że wyszłaś za mąż przed zakończeniem żałoby – powiedział. – Sądzę nawet, iż byłby zadowolony, że znalazłaś męża.

– Theo był moim jedynym bratem. Dlatego chciałabym uszanować żałobę po nim, jeśli to tylko możliwe.

– To niemożliwe. Nie dla mnie.

Helen spojrzała na niego skonfundowana.

Rhys pochylił się i zacisnął dłonie na krawędzi wanny.

– Helen, są chwile, kiedy mężczyzna musi… kiedy jego potrzeby nie są zaspokojone… – Fala ciepła unosząca się nad wodą owionęła jego mroczną twarz. – Nie wytrzymam tak długo. Mężczyzna ma naturalne potrzeby… – Urwał zniecierpliwiony. – Do diaska! Jeśli nie zaspokoi się z kobietą, będzie musiał się zaspokajać sam! Rozumiesz?

Speszona, Helen pokręciła głową.

– Posłuchaj – podjął, hamując narastającą niecierpliwość – od dwunastego roku życia nie jestem niewinny. Gdybym teraz spróbował powrócić do tego stanu, chyba zabiłbym kogoś, zanim minąłby tydzień.

Helen miała coraz bardziej zmieszaną minę.

– Kiedy wcześniej rozmawialiśmy o zaręczynach… jak zamierzałeś wytrwać? Czy… pewnie zamierzałeś spać z innymi kobietami do czasu naszego ślubu?

– Nie, nie rozważałem czegoś takiego – odparł Rhys. Tak naprawdę wówczas nie zaprzątał sobie głowy takimi sprawami. Teraz jednak… odrzucało go na samą myśl, że mógłby próbować zastąpić Helen inną kobietą. Dobry Boże, co się z nim dzieje? – Po prostu musisz być ty i już.

Spojrzenie Helen nieśmiało przesunęło się po jego nagim torsie, a kiedy ich oczy się spotkały, zobaczył, że kobieta się czerwieni i zaczyna lekko drżeć. Poczuł gorąco w dole brzucha, kiedy zrozumiał, że jego widok ją podnieca.

– Ty również będziesz tego potrzebowała – powiedział chrapliwym głosem. – Przypomni ci się rozkosz, jaką ci dałem, i zapragniesz więcej.

Helen odwróciła wzrok.

– A jednak nie chciałabym wyjść za mąż przed zakończeniem żałoby. – Jej ton był łagodny, lecz Rhys wychwycił w nim twardą nutę. Po latach interesów i handlowych pertraktacji potrafił wyczuć, kiedy druga strona osiągnęła nieprzekraczalny punkt.

– Zamierzam cię poślubić za sześć tygodni – oświadczył, zdecydowanym głosem maskując desperację. – Bez względu na cenę. Powiedz mi tylko, czego chcesz. Powiedz, a będziesz to miała.

– Przykro mi, ale niczym nie zdołasz mnie skusić – odrzekła. Po czym dodała szczerze przepraszającym tonem: – Zresztą przecież już obiecałeś mi fortepian.

Rozdział 6

Elegancki powóz bez herbu zatrzymał się przed portykowym bocznym wejściem do Ravenel House. Styczniowe niebo smagało deszczem, popędzanym przez ostre, lodowate podmuchy wiatru, gwiżdżącego na ulicach Londynu. W czasie jazdy z Cork Street do South Audley Helen, wyglądająca przez żaluzje w oknie powozu, obserwowała przechodniów, ciasno otulonych wełnianymi płaszczami i pelerynami, szukających schronienia w przedsionkach sklepów. Gęstniejące krople, zapowiadające jeszcze większą ulewę, spowijały blaskiem ciemny miejski bruk.

Ciepły żółty blask sączył się przez przeszklone drzwi przestronnej domowej biblioteki, zapełnionej mahoniowymi regałami i połaciami tomów. Pomiędzy nimi stały wygodne, wyścielane fotele i sofy. Helen z radością pomyślała o powrocie do swojego przytulnego domu.

Rhys objął swoją dłonią dłonie Helen, odziane w rękawiczki, i lekko je ścisnął.

– Jutro wieczorem spotkam się z Trenearem i powiadomię go o naszych zaręczynach.

– Nie będzie zachwycony – ostrzegła Helen.

– Zapewne. Ale poradzę sobie.

Mimo to Helen obawiała się reakcji Devona.

– Może powinieneś zaczekać jeszcze jeden dzień? – zasugerowała. – On i Kathleen będą zmęczeni po podróży. Myślę, że lepiej przyjmą trudne wieści, jeśli będą wyspani. A ja mogłabym… – Urwała, bo powóz stanął i stangret zaczął otwierać drzwi.

Rhys spojrzał na sługę i rzucił nakazująco:

– Za parę minut.

– Tak, proszę pana. – Drzwi momentalnie się zamknęły.

Rhys obrócił się z powrotem ku Helen i musnął palcami fałdy jej welonu.

– Mów dalej.

– Mogłabym wytłumaczyć wszystko Devonowi, zanim do niego przyjedziesz. Spróbowałabym go jakoś ułagodzić.

Pokręcił głową.

– Nie, bo jeśli wybuchnie, cała jego złość spadnie na ciebie. Pozwól, że ja mu powiem.

– Och, przecież własny kuzyn nic mi nie…

– Wiem. Ale może być nieprzyjemnie. To zadanie dla mnie, nie dla ciebie. – Rhys starannie poprawił zawinięty róg kołnierza Helen. – Chcę, żeby do jutrzejszego wieczoru nasza sprawa była załatwiona. Nie zniosę dłuższego czekania. Czy możesz mi obiecać, że do tego czasu nic nikomu nie powiesz? I pozwolisz, że ja się tym zajmę? – Jego ton nie był rozkazujący, raczej zatroskany. Nawet opiekuńczy. Rhys zmagał się ze sobą przez długą chwilę, zanim wydusił, jakby miał się udławić tym słowem: – Proszę.

Helen patrzyła w jego oczy, czarne jak mocna kawa. Ciągle jeszcze nie przywykła do tego, że ktoś ją chce i tak się o nią troszczy. Ta świadomość rozrastała się w niej jak delikatne korzenie jakiejś roślinki. Spostrzegła, że Rhys czeka, więc odpowiedziała z figlarną nutą w głosie:

– O taa…

Gdy minęło pierwsze zaskoczenie, chwycił ją i wciągnął na swoje kolana. Jego oczy błyszczały rozbawieniem.

– Przedrzeźniasz mój walijski akcent?

– Nie, skąd. – Zachichotała. – Lubię go. Nawet bardzo.

– Czyli się zgadzasz? – W głosie Rhysa zabrzmiały głębokie tony. – Zaraz muszę się z tobą rozstać, więc pocałuj mnie, *cariad*. Raz, ale porządnie, żeby mi wystarczyło za wszystkie pocałunki, które ominą mnie dzisiaj w nocy.

Helen przycisnęła usta do jego ust. Wargi Rhysa rozchyliły się zapraszająco. Pojęła, że zachęca ją do działania, więc wdarła się głębiej, smakując jego gładkość. Po chwili niewprawnie zmieniła kąt natarcia i pocałunek zyskał nowy smak. Zachęcona sukcesem, tak

dobrze sobie poczynała, że Rhys nie wytrzymał i w końcu zagarnął jej usta swoimi. Żałowała, że nie może tak pozostać na zawsze – siedzieć na jego kolanach, omotana fałdami spódnicy, i czuć przez ubranie dotyk jego silnych, muskularnych ud. Chwyciła go za barki i przylgnęła do niego mocniej, aby poczuć jeszcze więcej.

Pierś Rhysa unosił potężny oddech; poruszała się niczym miech do rozpalania kominka. W końcu z głośnym jękiem przerwał pocałunek. Helen zaśmiała się nerwowo. Jeszcze przez moment szukała ustami jego ust.

– Nie, Helen… Ach, jak mi dobrze z tobą, ale musimy przestać. – W udręce oparł głowę o jej czoło. – Bo za chwilę wezmę cię tutaj, w tym powozie!

– Można to robić w powozie? – spytała zdziwiona.

Na moment zacisnął powieki, jakby znalazł się u kresu wytrzymałości.

– Taa… – mruknął.

– Ale jak?

– Nie pytaj, bo jeszcze chwila, a ci pokażę.

Z ociąganiem zsunął Helen ze swoich kolan i zapukał w drzwi powozu.

Zanim stangret pomógł Helen wysiąść, ustawił ruchomy stopień na kamiennych płytach podjazdu, po czym podsunął jej rękę w białej rękawiczce.

Zbliżając się do przeszklonych drzwi, widziała już bliźniaczki. Ich szczupłe postacie zdawały się wibrować energią i oczekiwaniem.

– Milady, czy mam to wnieść do środka?

Helen spojrzała na trzymane przez stangreta płaskie kremowe pudło wielkości dużego półmiska, przewiązane satynową wstążką w podobnym odcieniu. Nie od razu skojarzyła, że w środku są nowe pończochy z magazynów Rhysa.

– Wezmę je. Dziękuję… – urwała, usiłując sobie przypomnieć, co Rhys mówił o tym młodym słudze – …George.

Uśmiechnął się, otwierając przed nią drzwi domu.

– Proszę, milady.

Zaledwie Helen przekroczyła próg, opadły ją bliźniaczki. Tańczyły wokół niej podekscytowane, paplając jedna przez drugą. Rzuciła

ostatnie spojrzenie przez szklane drzwi i odprowadziła wzrokiem oddalający się powóz.

– Wróciłaś! – zawołała Pandora. – Nareszcie! Co tak długo? Nie było cię przez cały dzień!

– Już prawie pora herbaty! – wtórowała jej Cassandra.

Helen uśmiechnęła się, przyzwyczajona do ich temperamentu. Bliźniaczki miały po dziewiętnaście lat, właściwie dobiegały dwudziestki, ale większość ludzi brała je za młodsze. Wychowane w atmosferze braku nadzoru i autorytetów, biegały swobodnie po całej posiadłości, same wymyślając sobie zabawy. Ich rodzice spędzali większość czasu na londyńskich salonach, zostawiając córki pod opieką służby, guwernantek i nauczycieli. Żadne z nich nie było w stanie – albo też nie miało ochoty – zająć się ich wychowaniem.

Dziewczęta nie tylko rozsadzała energia. Były też wrażliwe, inteligentne i naprawdę urocze. A do tego piękne niczym pogańskie boginie – smukłe, długonogie, promieniejące zdrowiem. Pandora była wiecznie rozczochrana i ruchliwa; szpilki wypadały z jej długich włosów, kiedy biegała po lesie. Złotowłosa Cassandra miała bardziej kontemplacyjną naturę i była odrobinę posłuszniejsza.

– Co się stało? – dopytywała teraz. – Co powiedział pan Winterborne?

Helen odłożyła pakunek, ściągnęła czarną rękawiczkę i podsunęła im lewą dłoń.

Bliźniaczki podeszły bliżej, drżąc z zaciekawienia.

Księżycowy kamień zdawał się jarzyć zielonymi, błękitnymi i srebrnymi blaskami.

– Nowy pierścionek – powiedziała Pandora.

– Nowe zaręczyny – dodała Helen.

– Ale ta sama narzeczona – zauważyła znacząco Cassandra.

Helen roześmiała się.

– Tak, narzeczona pozostaje ta sama.

Dziewczyny, porwane nowym przypływem entuzjazmu, zaczęły pokrzykiwać i podskakiwać w swoim szalonym tańcu. Helen, wiedząc, że teraz ich nie uspokoi, po prostu czekała. Nagle dostrzegła jakiś ruch przy drzwiach i zobaczyła gospodynię stojącą w progu. Pani Abbott patrzyła na nią wyczekująco.

Helen rozpromieniła się i kiwnęła głową, na co kobieta odetchnęła z wyraźną ulgą.

– Czy mogę wziąć pani rzeczy, lady Helen?

Helen podała jej kapelusz i rękawiczki.

– Ty i reszta służby nie musicie się o mnie martwić – powiedziała. – Ani o skutki mojego dzisiejszego wyjścia. Biorę za to pełną odpowiedzialność. Chciałabym jedynie prosić, aby służba zechciała o niczym nie wspominać lordowi i lady Trenearom, kiedy jutro wrócą do domu.

– Będą trzymać języki za zębami, jak zwykle.

– Dzięki. – Helen impulsywnie dotknęła ramienia starszej kobiety i poklepała je lekko. – Jeszcze nigdy nie byłam tak szczęśliwa.

– Nikt bardziej od ciebie nie zasługuje na szczęście, pani. – Gospodyni uśmiechnęła się życzliwie. – Mam nadzieję, że pan Winterborne choć w połowie na ciebie zasłużył.

Pani Abbott wyszła przez główne drzwi biblioteki, a Helen wróciła do sióstr. Dziewczęta usiadły na skórzanej kozetce i wpatrywały się w nią wyczekująco.

– Opowiedz nam o wszystkim – ponagliła Cassandra. – Czy pan Winterborne był niezadowolony, że do niego przyszłaś? Był zły?

– A może ogłupieszany? – dopytywała Pandora, która uwielbiała tworzyć własne słowa.

Helen prychnęła śmiechem.

– Och, był okropnie ogłupieszany! Ale kiedy go przekonałam, że naprawdę chcę zostać jego żoną, humor od razu mu się poprawił.

– A całował cię? – zapytała podekscytowana Cassandra. – W usta?

Helen zawahała się na moment z odpowiedzią, na co bliźniaczki zapiszczały – jedna z podekscytowania, druga z obrzydzenia.

– Och, szczęśliwa, szczęśliwa Helen! – wykrzyknęła Cassandra.

– A ja nie sądzę, żeby była szczęśliwa – powiedziała szczerze Pandora. – Czy to taki cud, kiedy się ustami dotyka czyichś ust? A jeśli ktoś ma nieświeży oddech albo właśnie żuje tytoń? Albo w jego brodzie są okruchy chleba?

– Pan Winterborne nie nosi brody – wyjaśniła Cassandra. – I nie żuje tytoniu.

– Dla mnie i tak całowanie się w usta jest obrzydliwie – stwierdziła Pandora.

Cassandra z troską zerknęła na Helen.

– Czy to było obrzydliwe?

– Nie – odparła Helen, czerwieniąc się po same uszy. – Wcale nie.

– A jak to jest, kiedy się z kimś całujesz? – chciała wiedzieć Cassandra.

– Trzymał moją twarz w dłoniach – zaczęła Helen, przypominając sobie silne, delikatne palce Rhysa i sposób, w jaki mamrotał: „Jesteś moja, *cariad*…". – Jego wargi były miękkie i ciepłe – ciągnęła z rozmarzeniem – a oddech chłodny od mięty. Cudowne uczucie. Całowanie to najlepsze, co potrafią robić usta, poza uśmiechaniem się.

Cassandra podciągnęła kolana pod brodę i objęła je ciasno.

– Chciałabym, żeby ktoś mnie kiedyś całował – szepnęła.

– A ja nie – stwierdziła Pandora. – Są setki rzeczy lepszych od pocałunków. Na przykład robienie świątecznych dekoracji, głaskanie psów, dodatkowe masło na placku albo kiedy ktoś cię podrapie w miejscu, gdzie cię swędzi i sama nie możesz się tam podrapać…

– Skąd wiesz, skoro jeszcze się nie całowałaś? – przerwała jej Cassandra. – Może by ci się spodobało. Helen bardzo się podobało.

– Helen lubi też brukselkę. – Pandora skuliła się w rogu kozetki i rzuciła Helen przebiegłe spojrzenie. – Nie musisz się bać, że wygadamy się przed Devonem czy Kathleen – zapewniła. – Umiemy dotrzymać tajemnicy. Ale cała służba wie, że wybyłaś prawie na cały dzień.

– Pani Abbott obiecała, że będą milczeli – powiedziała Helen.

Pandora uśmiechnęła się zgryźliwie.

– Jak to jest, że każdy chce dochować tajemnic Helen, a naszych nie? – zwróciła się do bliźniaczki.

– Bo Helen nie bywa niegrzeczna.

– Dzisiaj byłam – wyznała Helen, zanim zdążyła ugryźć się w język.

Pandora popatrzyła na nią z nowym zainteresowaniem.

– Co masz na myśli?

Helen uznała, że najlepiej będzie odwrócić uwagę sióstr. Sięgnęła po pudełko koloru kości słoniowej.

– Otwórzcie to. – Usadowiła się w najbliższym fotelu i z uśmiechem obserwowała, jak siostry rozwiązują kokardę i unoszą wieko.

Wewnątrz znajdowały się trzy rzędy równiutko zwiniętych jedwabnych pończoch, ułożonych jak cukierki… różowych, żółtych, białych, lawendowych, kremowych. Wszystkie miały u góry ozdobne koronkowe mankiety.

– Jest tu dwanaście par – dodała rozbawiona zachwyconymi minami sióstr. – Podzielimy się nimi po równo.

– Och, są takie piękne! – Cassandra musnęła palcem podwiązki wyhaftowane w maleńkie niezapominajki. – Możemy założyć je teraz, Helen?

– Tak, tylko nie pokazujcie ich nikomu.

– Istotnie były warte pocałunku – stwierdziła Pandora. Skrupulatnie policzyła pończochy i spojrzała na Helen. – Ale tu jest tylko jedenaście.

Żaden wykręt nie przyszedł Helen do głowy.

– Jedne mam na sobie – przyznała.

Pandora popatrzyła na nią z ukosa i uśmiechnęła się chytrze.

– Rzeczywiście musiałaś być niegrzeczna.

Rozdział 7

Kiedy nazajutrz rano Rhys się obudził, pierwszą rzeczą, jaką zobaczył, była czarna smuga na białym prześcieradle, niczym pasmo cienia.

Była to bawełniana pończocha Helen, którą zapomniał wyrzucić. Sięgnął i zacisnął pończochę w dłoni. Jego umysł zalała fala obrazów – Helen w jego łożu, w jego wannie. Zanim stąd wyszli, ubierał ją w cieple przed kominkiem. Sam wybrał nową parę pończoch z pudełka, które przysłano ze sklepu. Klęcząc przed nią, wsuwał delikatny jedwab na smukłe kobiece nogi, a potem zapinał na obszytych koronką mankietach elastyczne, satynowe podwiązki, haftowane w maleńkie różowe różyczki. Mając tak blisko twarzy nagie ciało Helen, nie mógł się powstrzymać, żeby nie muskać ustami cudownego trójkąta między jej udami, delikatnych jasnych kędziorków, wciąż jeszcze wilgotnych po kąpieli.

Helen gwałtownie wciągnęła powietrze, kiedy chwycił dłońmi jej nagie łono i pozwolił swojemu językowi igrać w jej słodkiej szparce.

– Proszę… – jęknęła błagalnie. – Nie… przestań, bo upadnę. Nie możesz tak klęczeć… nogi ci zesztywnieją.

Rhys już gotów był jej udowodnić, że bardziej dolegliwa jest inna sztywność, jednak zdołał się opanować i ubierał ją dalej. Pomógł Helen wciągnąć jedwabne pantalony, tak cienkie, że można je było przeciągnąć przez ślubną obrączkę, oraz koszulkę, równie cienką i obszytą ręcznie szydełkowaną koronką, delikatną jak pajęczyna. Ofiarował jej również modny, wydłużony gorset, lecz ten dar Helen odrzuciła, tłumacząc, że jeśli nie założy swojego starego gorsetu i tiurniury, suknia będzie na niej źle leżała.

I tak, warstwa po warstwie, Rhys zakrywał kobiece ciało ciężkimi, żałobnymi szatami. Na pociechę pozostała mu świadomość, że przy samej skórze Helen nosi coś, co dostała od niego.

Przewracał się po łóżku, nieświadomie mnąc w palcach podniszczoną bawełnianą pończochę. Opuszkami wyczuwał pocerowane miejsca. W pewnym momencie wsunął palce w mankiet i rozszerzył je, naciągając na dłoń miękką dzianinę.

Zmarszczył czoło, przypominając sobie upór Helen w kwestii daty ślubu. Ciągle go kusiło, żeby ją porwać i nie wypuszczać z łóżka swojej prywatnej salonki przez całą drogę do Szkocji. Musiał jednak przyznać, że nie jest to najlepsza recepta na małżeństwo.

Wsunął rękę głębiej w pończochę i podsunął sobie pod nos, szukając śladów zapachu Helen.

Dzisiaj pojedzie do Ravenel House i poprosi o zgodę na małżeństwo. Był pewien, że Devon odmówi; wówczas Rhysowi pozostanie tylko jedno wyjście – ujawnienie, że zhańbił Helen. Na tę wieść Devon rzuci się na niego jak wściekły wilkołak. Nie bał się jednak. Wiedział, że się obroni. Z drugiej strony igranie z furią wodza rodu Ravenelów było szarżą, której każdy racjonalnie myślący mężczyzna powinien za wszelką cenę się wystrzegać.

Myśli Rhysa skupiły się na dobrej finansowej passie Devona, która według Helen miała coś wspólnego z prawem do złóż minerałów na jego dwustuakrowej posiadłości. Część tych gruntów została niedawno wydzierżawiona ich wspólnemu przyjacielowi, magnatowi kolejowemu Tomowi Severinowi, który zamierzał wybudować tam tory. Rhys postanowił, że jak tylko załatwi najważniejsze poranne sprawy, pojedzie do Severina, żeby zasięgnąć języka.

Przycisnął pończochę do ust, rozgrzewając ją ciepłem oddechu. Z półprzymkniętymi oczami myślał o wargach Helen, rozchylających się pod naporem jego pocałunków, i o burzy jasnych włosów, w które wczepił palce. I ten jej cudownie gładki i miękki wewnętrzny kanał, zaciskający się wokół niego i chłonący każdy jego cal.

Porwanie cały czas jest możliwe, pomyślał w przypływie pożądania.

Rhys spotkał się z Severinem w jego biurze, a potem obaj panowie udali się na lunch do pobliskiej smażalni ryb. Żaden z nich nie był zwolennikiem długich, pełnych posiłków w środku dnia. Woleli miejsca, gdzie serwowano lekkie dania i przekąski. W podobnych lokalach, rozsianych po całym Londynie, zamożni dżentelmeni jadali pospołu ze zwykłymi urzędnikami czy robotnikami. Można tam było dostać talerz wędlin, befsztyk, sałatkę z krabów czy z homara i załatwić posiłek w pół godziny. Na ulicach stały kramy, na których tanio można było kupić przekąski – jaja na twardo, kanapki z szynką, pudding z chleba czy miseczkę zielonego groszku na ciepło. Tych jednak było lepiej się wystrzegać, bo człowiek nigdy nie wiedział, jak przygotowywane jest jedzenie.

Usiedli w rogu i zamówili smażoną rybę, a do tego po kuflu ale. Rhys zastanawiał się, jak zejść na temat ziemi Devona Ravenela, ale Severin zaczął, zanim ten zdołał się odezwać:

– Ruda hematytowa. – Skwitował uśmiechem zaskoczone spojrzenie Rhysa. – Domyśliłem się, że zamierzasz zapytać, bo cały Londyn chce to wiedzieć.

Powiedzenie, że ktoś jest zbyt bystry, żeby na tym nie stracić, absolutnie nie odnosiło się do Severina. Zdaniem Rhysa Tom był jedyną osobą, jaką znał, która umiała zrobić użytek ze swojej inteligencji, nie narażając się innym, głupszym od siebie. W czasie ważnych rozmów czy zebrań Severin wydawał się aż nazbyt odprężony, pozornie nieuważny, a tymczasem po fakcie potrafił odtworzyć z pamięci prawie wszystkie szczegóły. Był bystry, wygadany, spolegliwy i umiał żartować z samego siebie.

Tom Severin miał ciemne włosy, jasną skórę, ostre rysy i przenikliwe spojrzenie, które peszyło ludzi, bo mieli wrażenie, że znaleźli się na celowniku. Jego oczy były niezwykłe – niebieskie z nierównomiernymi pasmami zieleni wokół źrenic. W prawym zieleni było nieco więcej, przez co w pewnym oświetleniu miało się wrażenie, że oczy mężczyzny mają całkowicie różne kolory.

Rhys, wychowany przez surowych rodziców, pozbawionych poczucia humoru, darzył wielką estymą ludzi takich jak Tom. Obaj należeli do tego samego pokolenia, pochodzili ze społecznych dołów, obaj mieli trudny start i ten sam niezaspokojony apetyt na sukces.

Dzieliło ich jedno: Severin miał wyższe wykształcenie. A jednak Rhys nigdy mu tego nie zazdrościł. W biznesie intuicja była równie ważna jak inteligencja, a czasem nawet ważniejsza. Tom podchodził do spraw rozumowo i zdarzało się, że umysł wyprowadzał go na manowce, podczas gdy Rhys ufał swojemu zwierzęcemu instynktowi.

– Trenear odkrył na swojej ziemi rudę hematytową? – zapytał Rhys. – I co z tego? To raczej pospolity minerał, prawda?

Severin, który uwielbiał robić wykłady, od razu wsiadł na swojego konika.

– Ten gatunek hematytu ma niezwykle wysoką jakość. To ruda bogata w żelazo, o niskiej zawartości krzemionki. Nie trzeba jej nawet wytapiać. Nie masz takiego złoża na południe od Kumbrii. – Ironiczny uśmieszek zagrał na jego ustach. – Tak się złożyło, dobrze dla Treneara, że właśnie zaplanowałem przepuścić przez jego tereny tor kolejowy. Pozostanie mu tylko wydobywać swoją rudę, ładować ją na lory i przewozić do walcowni. Przy obecnym wysokim zapotrzebowaniu na stal ma w ręku żyłę złota. A dokładniej mówiąc, pod stopami. Geodeci, których tam posłałem, zapuścili w ziemię świdry i pobrali próbki rudy doskonałej jakości z przynajmniej dwudziestu akrów. Trenear może zgarnąć pół miliona funtów, jeśli nie więcej.

Rhys życzył jak najlepiej Devonowi, który w jego opinii zasłużył na szczęśliwy traf. W ostatnich miesiącach ten niegdyś beztroski birbant nauczył się dźwigać na swoich barkach ciężar obowiązków, których nigdy nie pragnął i których na pewno się nie spodziewał.

– Naturalnie – ciągnął Severin – wychodziłem ze skóry, żeby przejąć te złoża, zanim Trenear się domyśli, jaki ma tam majątek. Ale drań jest uparty. Musiałem się wycofać w finale negocjacji na temat dzierżawy.

Rhys spojrzał na niego czujnie.

– Wiedziałeś o złożu i mu nie powiedziałeś?

– Potrzebowałem tego. Wiesz, że jestem w dołku.

– Trenear bardziej tego potrzebuje. Odziedziczył posiadłość na krawędzi bankructwa. Powinieneś mu powiedzieć!

Severin wzruszył ramionami.

– Skoro nie był na tyle bystry, żeby odkryć ten skarb przede mną, nie zasłużył na niego.

– *Iesu Mawr!* – Rhys podniósł kufel do ust i w paru łykach opróżnił go do połowy. – Niezłe z nas ziółka, trzeba przyznać. Ty próbowałeś go oszwabić, a ja się oświadczyłem kobiecie, którą kocha. – Poczuł się naprawdę podle. Devon nie był święty, ale zawsze mógł liczyć na jego przyjaźń. Z pewnością nie zasłużył sobie na takie traktowanie.

– O jakiej kobiecie mówisz? – zapytał Severin. – I czemu się z nią zadałeś?

– Nieważne, kim ona jest – mruknął Rhys. – Zrobiłem to, bo byłem w piekielnym nastroju. – Kathleen, lady Trenear, powiedziała mu – bez złości – że Helen nigdy nie będzie z nim szczęśliwa i że nie jest jej wart. Słowa te dotknęły jego najczulszy punkt; tej części jego osobowości, którą rozumiał najmniej. Przyjął je fatalnie. I podle postąpił. Potwierdzając tym samym ich słuszność. Do diaska, jeśli Devon wyrzuci go za drzwi, nie będzie mógł go winić.

– Czy to nie działo się wtedy, kiedy kuzynka Treneara zerwała zaręczyny z tobą? – drążył Severin.

– Nadal jesteśmy zaręczeni – odparł krótko Rhys.

– Naprawdę? – Zainteresowanie Toma wzrosło. – A co się stało?

– Nie ma mowy, żebym ci powiedział. Diabli wiedzą, jaki byś z tego zrobił użytek.

Severin się roześmiał.

– Mówisz tak, jakbyś sam nie wyrolował paru naiwnych duszyczek, kręcąc z nimi interesy.

– Ale nie przyjaciół.

– Aha. Czyżbyś chciał powiedzieć, że jesteś gotów poświęcić swoje interesy na rzecz przyjaciela?

Rhys sięgnął po kufel, żeby zasłonić uśmieszek.

– Na razie nie – przyznał. – Ale jest to możliwe.

Tom zaśmiał się krótko i dał znak kelnerce, żeby przyniosła jeszcze dwa piwa.

Rozmowa szybko przeszła na interesy, zwłaszcza na ostatnią falę spekulacyjnego budownictwa, które miało zaspokoić potrzeby mieszkaniowe klasy średniej i robotniczej. Severin pragnął pomóc znajomemu, który popadł w długi po tym, jak dokonał zbyt dużych

inwestycji z niską stopą zwrotu. Część jego majątku została przekazana firmie aukcyjnej, a Tom zaproponował, że przejmie resztę nieruchomości obciążonych hipoteką, aby nie dopuścić do całkowitej sprzedaży majątku.

– I robisz to z dobrego serca? – Rhys nie dowierzał.

– Naturalnie – odparł Severin urażonym tonem. – Liczy się dobre serce, a także fakt, że on i trzech innych dużych właścicieli nieruchomości w dzielnicy Hammersmith należą do komitetu powołanego do realizacji systemu kolei podmiejskiej, który chcę przejąć. Jeśli wyciągnę tego znajomego z kłopotów, w które sam się wpakował, przekona innych, aby poparli moje plany. – Po chwili dodał obojętnym, biznesowym tonem: – Może byłbyś zainteresowany jedną z posiadłości, które przejąłem? Jest to kwartał kamienic. Zostaną wyburzone, a w ich miejscu mają powstać wzorcowe mieszkania dla trzystu rodzin z klasy średniej.

Rhys rzucił mu sardoniczne spojrzenie.

– Jak mógłbym na tym zarobić?

– Wynajem.

Winterborne potrząsnął głową z pogardliwą miną.

– Jako młody chłopak mieszkałem na High Street. Wiele razy widziałem, jak robotnicy i ich rodziny trafiają na bruk, bo wykończyły ich czynsze, które podwojono bez ostrzeżenia.

– Tym bardziej przemawia to za tym, abyś kupił taką kamienicę – odpowiedział Severin bez wahania. – Masz szansę być ludzkim panem i uratować trzysta rodzin przed czynszowym wyzyskiem, który uprawiają chciwi dranie mojego pokroju.

Rhys zaczął się nad tym zastanawiać. Gdyby budynki były dobrej jakości, skanalizowane i z porządną wentylacją, może faktycznie warto wejść w ten interes. Sam zatrudniał około tysiąca osób. I choć dobrze im płacił, większość miała trudności ze znalezieniem porządnego mieszkania w rozsądnej cenie w tak drogim mieście jak Londyn. Kupno kamienicy na wynajem dla własnych pracowników miało wiele zalet.

Rozparł się na krześle i zagadnął z udawanym znudzeniem:

– A niby kto to buduje?

– Holland i Hannen, znana firma. Moglibyśmy od razu wpaść na plac budowy, jeśli chciałbyś rzucić okiem.

Winterborne wzruszył ramionami.

– Obejrzeć zawsze można.

Dopili piwo, zapłacili i ruszyli na północ przez King's Cross.

Gustowne, ozdobne fasady ceglanych budynków z terakotowymi panelami wkrótce ustąpiły miejsca kamienicom w kolorze sadzy, oddzielonym od siebie wąskimi uliczkami i rynsztokami pełnymi błota. W oknach zamiast szyb naciągnięty był papier. Sterczały z nich połamane wiosła i tyczki, na których suszyło się pranie. Niektóre mieszkania nie miały drzwi – wyglądały tak, jakby rozdziawiały czarne bezzębne usta.

– Przejdźmy do głównej ulicy – zaproponował Severin, marszcząc nos, drażniony przez śmierdzące wyziewy. – Lepiej iść dłuższą drogą, ale tego nie wdychać.

– Ci biedacy, którzy tu żyją, oddychają tym przez cały czas – zauważył Rhys. – Chyba wytrzymamy te parę minut, nie?

Tom rzucił mu kpiące spojrzenie.

– Chyba mi nie powiesz, że stałeś się społecznikiem?

Winterborne wzruszył ramionami.

– Samo przejście tej okolicy wystarczy, żebym zaczął sprzyjać poglądom społeczników. To niedopuszczalne, aby uczciwi pracownicy i ich rodziny musieli mieszkać w takim brudzie i nędzy.

Szli dalej wąską drogą, pomiędzy poczerniałymi od sadzy fasadami, z których wykruszały się zmurszałe cegły. Minęli brudną, tanią jadłodajnię, sklepik z alkoholem i budę z malowanym szyldem, reklamującym bojowe koguty na sprzedaż.

Z ulgą wyszli za róg, na szeroką ulicę zaopatrzoną w odpływy burzowe. Stał tam rząd starych kamieniczek, które właśnie wyburzano. Pośród pyłu i gruzów uwijały się sprawne ekipy, systematycznie rozbijające mury trzypiętrowych budynków. Była to praca trudna i niebezpieczna. Łatwiej jest wznieść nowy budynek, niż zburzyć stary. Para ruchomych parowych dźwigów pracowała z bezustannym, grzmiącym łomotem, gwizdem pary i metalicznym szczękiem. Ciężkie kotły parowe służyły jako przeciwwaga dla

ramienia dźwigu, utrzymując całą konstrukcję we względnej równowadze.

Rhys i Tom ruszyli wzdłuż rzędu wagonów, wyładowanych belkami i innym drewnem z rozbiórki, które miało być potem pocięte i sprzedane na podpałkę. Wokół uwijali się robotnicy z kilofami, łopatami i taczkami; murarze sortowali cegły, wybierając te, które nadawały się do dalszego użycia.

Mars wystąpił na czoło Rhysa, kiedy ten zobaczył, jak lokatorzy wynoszą się z sąsiedniej kamienicy, która miała być następna do rozbiórki. Jedni byli zrezygnowani, inni rozpaczali. Wynosili przed dom cały swój dobytek i układali go w stosy na chodniku. Żal było patrzeć na tych biedaków, w środku zimy pozbawianych dachu nad głową.

Tom podążył wzrokiem za spojrzeniem towarzysza i momentalnie spoważniał.

– Wszyscy dostali pismo z terminem obowiązkowej wyprowadzki – wyjaśnił. – Ten budynek i tak byłby przeznaczony do rozbiórki. Ale część nie posłuchała. Zawsze tak jest.

– Gdzie się podzieją? – zapytał Rhys, choć znał odpowiedź.

– Bóg jeden wie. To nie w porządku, że skazuje się ludzi na mieszkanie w rynsztoku.

Spojrzenie Rhysa skupiło się na młodym chłopcu, dziewięcio-, może dziesięcioletnim. Siedział samotnie na niewielkiej kupce nędznego dobytku, na który składały się wyleniały fotel, patelnia i zwinięta, namoknięta pościel. Prawdopodobnie pilnował rzeczy, czekając na kogoś z dorosłych. Najpewniej jego matka czy ojciec poszli szukać nowego lokum.

– Miałem okazję zerknąć na plany – podjął Severin. – Nowe czynszówki będą miały pięć pięter, a na każdym piętrze zostanie zapewniony dostęp do bieżącej wody i ubikacji. O ile się orientuję, w suterenach będą wspólne kuchnie, pralnie i suszarnie. Chcesz, żebym dostarczył ci kopię planów?

– Taa. Oraz wszystkie specyfikacje, ekspertyzy, wyceny, umowy kredytów hipotecznych, a także listę wykonawców i podwykonawców.

– Wiedziałem. – Tom nie krył satysfakcji.

– Pod warunkiem – ciągnął Rhys – że część twoich akcji kolejowych Hammersmitha również znajdzie się na stole.

Severin momentalnie spoważniał.

– Posłuchaj, cwaniaku, nie mam zamiaru umilać ci kontraktu udziałami w tej cholernej kolei. Nie mam nic wspólnego z tą budową! Ja tylko ci ją pokazuję.

Rhys wyszczerzył zęby w uśmiechu.

– Ale potrzebujesz kogoś, kto to kupi. A na tanie, nieuzbrojone grunty w gminach raczej nie znajdziesz tłumu chętnych.

– Jeśli myślisz, że… – Słowa Severina zagłuszył złowrogi trzask.

Za chwilę rozległ się przeraźliwy huk, a tuż po nim krzyki. Obaj mężczyźni odwrócili się błyskawicznie i zobaczyli, że górna część jednego z budynków, który opuścili ludzie, zaczyna się walić. Przegniłe belki i dźwigary dachu poddały się sile grawitacji. Dachówki jak grad leciały na ulicę. Koszmarna kaskada spadała prosto na chłopca, skulonego na stosie gratów.

Rhys bez zastanowienia skoczył w jego stronę, zapominając, że jego noga ciągle jest sztywna po wypadku. Rzucił się na chłopca, zakrywając go własnym ciałem. W ułamku sekundy poczuł uderzenie w bark i plecy tak potężne, że zadrżały mu wszystkie kości. Pod chmurą białych iskier, która wybuchła w jego głowie, gdzieś na dnie umysłu zakołatała myśl, że uległ poważnemu wypadkowi… i nie wiadomo, czy wyjdzie z niego cały.

A potem wszystko zgasło i zalała go ciemność.

Rozdział 8

Winterborne? Winterborne, proszę… otwórz… tak, dobrze. Popatrz na mnie.

Rhys zamrugał, z wolna wracając do rzeczywistości. Zaczęło do niego docierać, że leży na ziemi i jest mu bardzo zimno. Wokół zgromadził się tłum, rozgadany, pokrzykujący i ciekawski. Jeden przez drugiego ludzie dawali dobre rady Severinowi, klęczącemu przy poszkodowanym.

Ból. Tonął w oceanie bólu. Doznał w życiu większych, ale ten był bardzo dolegliwy. Z najwyższym wysiłkiem próbował się poruszyć. Coś bardzo złego stało się z jego lewą ręką. Była nieruchoma i odrętwiała.

– Ten chłopiec… – Przypomniał sobie walący się dach, lawinę spadających szczątków.

– Nic mu się nie stało. Zanim go spod ciebie uwolniłem, próbował wyciągnąć ci portfel z kieszeni. – Tom z ubolewaniem pokręcił głową. – Na przyszłość, jeżeli znów zechcesz dla kogoś ryzykować życie, wybierz bardziej uczciwego członka społeczeństwa, a nie zwykłego złodziejaszka. – Wyciągnął rękę, aby pomóc Rhysowi wstać.

– Nie mogę poruszyć ręką.

– Którą? Lewą? Pewnie ją złamałeś. Nie wiem, czy wiesz, ale kiedy budynek się wali, trzeba się szybko oddalić, a nie biec prosto w lawinę.

Władczy damski głos przebił się przez gwar i łomot parowych silników:

– Przepuśćcie mnie! Odsuńcie się, proszę. Z drogi!

Kobieta ubrana na czarno, z jasnozielonym szalikiem na szyi, energicznie przepychała się przez tłum, poganiając laską gapiów, którzy nie zdążyli w porę ustąpić jej z drogi.

– Pani – zaczął Severin z lekką irytacją – rozumiem, że chce pani pomóc, ale…

– Jestem lekarzem – przerwała mu.

– To znaczy pielęgniarką? – upewnił się.

Nie zwracając na niego uwagi, kobieta pochyliła się nad Rhysem.

– Co najbardziej boli?

– Ręka.

– Proszę poruszyć palcami. – Patrzyła, jak próbuje. – Czy ręka jest odrętwiała? Czy czuje pan pieczenie, mrowienie?

– Odrętwienie. – Zaciskając zęby, Rhys uniósł głowę i spojrzał na nieznajomą. Była młoda, jeszcze przed trzydziestką. Ładna. Miała kasztanowe włosy i duże zielone oczy. Emanowała siłą i energią pomimo szczupłej figury i drobnych rysów.

Bardzo delikatnie ujęła jego bark i łokieć, aby sprawdzić ruchomość kończyny. Rhys stłumił jęk, gdy przeszyło go ostrze bólu. Kobieta ostrożnie zgięła jego rękę i przyłożyła ją do tułowia.

– Przepraszam – mruknęła, po czym sięgnęła pod płaszcz, aby pomacać bark.

Lodowate gorąco eksplodowało pod powiekami Rhysa.

– Ach!

– Nie sądzę, żeby to było złamanie – oceniła.

– Wystarczy – odezwał się zdenerwowany Severin. – Pani tylko pogorszy jego obrażenia. Tu jest potrzebny lekarz, a nie jakaś…

– Mam dyplom z medycyny. A pański przyjaciel ma wybity bark. – Szybkim ruchem kobieta rozwiązała zielony szalik i ponownie zwróciła się do Toma: – Proszę mi dać swój krawat. Musimy usztywnić pana przyjacielowi ramię, zanim go stąd ruszymy.

– Dokąd mamy go zabrać? – zapytał Tom.

– Dwie przecznice stąd jest mój gabinet. Krawat poproszę.

– Ale…

– Daj jej ten krawat – warknął Rhys. Ból palił go żywym ogniem.

Severin posłuchał niechętnie.

Lekarka sprawnie zrobiła temblak ze swojego zielonego szalika. Założyła go na rękę Rhysa, zgiętą w łokciu, a potem zawiązała na wysokości obojczyka. Następnie obwiązała tułów poszkodowanego krawatem, mocując obolałą rękę do ciała.

– Teraz pomożemy się panu podnieść – powiedziała do Winterborne'a. – Na szczęście to niedaleko. W gabinecie mam wszystko, co potrzeba.

Severin znów zrobił niezadowoloną minę.

– Droga pani, muszę zaprotestować…

– Jestem doktor Gibson – przerwała mu cierpko.

– Doktor Gibson – powtórzył Tom, podkreślając jej tytuł, co zabrzmiało w jego ustach niemal obraźliwie. – To jest pan Winterborne. Właściciel słynnego domu towarowego. Musi być zbadany przez lekarza z prawdziwego zdarzenia, wykształconego i doświadczonego, nie mówiąc już o tym, że…

– Ma mieć penisa, tak? – zasugerowała lodowatym tonem. – Istotnie, tym nie mogę się pochwalić. Nie jest to też warunek uzyskania dyplomu. Jestem lekarzem z prawdziwego zdarzenia. I im szybciej zajmę się urazem pana Winterborne'a, tym lepiej dla niego. – Widząc, że Severin nadal nie jest przekonany, podała dokładną diagnozę: – Rotacja zewnętrzna ramienia ograniczona, podobnie jak podnoszenie ramienia oraz naciągnięcie więzadła kruczo-obojczykowego wskazują na zwichnięcie barku tylnego. Aby zapobiec dalszym uszkodzeniom układu nerwowo-naczyniowego kończyny górnej, należy bezzwłocznie nastawić bark.

Gdyby Rhys nie był taki cierpiący, ryknąłby śmiechem na widok osłupiałej miny Toma.

– Pomogę go podnieść – mruknął Severin.

Przejście, choć krótkie, było dla Rhysa prawdziwą torturą. W tym czasie Severin dalej wypytywał kobietę, która odpowiadała mu z niezmąconym spokojem. Okazało się, że nazywa się Garrett Gibson i urodziła się we wschodnim Londynie. Po odbyciu praktyki pielęgniarskiej w miejscowym szpitalu zaczęła uczęszczać na wykłady dla lekarzy. W rezultacie przed trzema laty uzyskała dyplom lekarza na paryskiej Sorbonie i wróciła do Londynu, gdzie otworzyła

prywatną praktykę. Gabinet znajdował się w kamienicy należącej do jej owdowiałego ojca.

Dotarli do trzykondygnacyjnego budynku, jednego z szeregowych, wygodnych domów w stylu georgiańskim, zbudowanych z czerwonej cegły. Takie budynki miały przeważnie jeden salon frontowy na dole i po jednym na każdym piętrze, z holem i klatką schodową z jednej strony.

Drzwi otworzyła pokojówka. Doktor Gibson wprowadziła ich do pomieszczenia znajdującego się z tyłu domu. Sterylnie czysty gabinet był połączony z pokojem zabiegowym. Znajdowały się tam stół do badań, kozetka, biurko i mahoniowy regał z szafkami, zajmujący całą ścianę. Lekarka pomogła Rhysowi usiąść na stole obitym skórą i skonstruowanym tak, że leżącemu pacjentowi można było wyżej unieść głowę czy ustawić go w pozycji siedzącej.

Kobieta szybko oddała pokojówce swój płaszcz i kapelusz, po czym wróciła do Rhysa i ostrożnie zdjęła prowizoryczny temblak.

– Zanim się pan położy, panie Winterborne, musimy zdjąć ubranie z górnej części ciała.

Rhys kiwnął głową, czując, jak strużka zimnego potu spływa mu po twarzy.

– Jak mogę pomóc? – zapytał Severin.

– Niech pan zacznie od rękawa na zdrowej ręce. Ja zdejmę drugi. I niech pan się stara niepotrzebnie nie szarpać pacjenta.

Choć oboje byli delikatni, Rhys i tak krzywił się z bólu i tłumił jęk, kiedy zdejmowali mu palto i marynarkę. Zacisnął powieki, a gdy w pewnym momencie się zachwiał, Severin szybko podtrzymał go za zdrowy łokieć.

– Niech pani rozetnie resztę. – Rhys nie chciał już cierpieć przy zdejmowaniu kamizelki i koszuli.

– Słusznie – stwierdziła lekarka. – Panie Severin, proszę trzymać pacjenta, kiedy będę ciąć.

Winterborne gwałtownie otworzył oczy, kiedy poczuł, że ubranie z niego opada, przecięte paroma precyzyjnymi ruchami diabelnie ostrego lancetu. Jedno było pewne – ta kobieta wiedziała, jak się posługiwać nożem. Patrząc na jej drobną, skupioną i spokojną twarz, zastanawiał się, co ją pchnęło do tego męskiego zawodu.

– O cholera – mruknął Severin, kiedy zobaczył rozlane siniaki na plecach i barku Rhysa. – Mam nadzieję, że ten mały obwieś był tego wart, Winterborne.

– Oczywiście, że tak – odparła doktor Gibson, zajęta wyjmowaniem rzeczy z szafek. – Pana przyjaciel ocalił temu chłopakowi życie. Nigdy nie wiemy, kim dziecko będzie w przyszłości.

– W tym przypadku możemy być prawie pewni, że będzie kryminalistą – stwierdził cierpko Severin.

– Możliwe – zgodziła się lekarka, podchodząc do stołu ze szklanką pełną bursztynowego płynu. – Ale niekoniecznie. – Podała szklankę Rhysowi. – Proszę, panie Winterborne.

– Co to jest?

– Coś, co pomoże panu się odprężyć.

Rhys upił łyk na próbę.

– Whisky – powiedział, zaskoczony i niezmiernie wdzięczny. – W dodatku bardzo przyzwoita. – Wychylił szklankę w paru łykach i wymownie podsunął lekarce. – Jedna nie wystarczy, żebym się zrelaksował – ocenił, a widząc jej sceptyczne spojrzenie, dodał: – Jestem Walijczykiem.

Doktor Gibson nie zdołała powstrzymać uśmiechu. W jej zielonych oczach błysnęły iskierki, kiedy podała mu drugą kolejkę.

– Ja też muszę się odprężyć – upomniał się Severin.

Teraz była już szczerze rozbawiona.

– Niestety, pan powinien pozostać trzeźwy, gdyż będę potrzebowała asysty – odparła. Wyjęła szklankę z dłoni Rhysa, odstawiła ją i wsunęła ramię pod jego plecy. – Panie Winterborne, pomożemy panu się położyć. Powolutku… Panie Severin, gdyby pan zechciał unieść mu nogi…

Kiedy Rhys dotknął plecami skórzanej tapicerki, zmełł w ustach przekleństwo. Miał wrażenie, że położył się na kolcach.

Doktor Gibson kilka razy przycisnęła nogą pedał, podnosząc stół na odpowiednią wysokość, a potem stanęła przy chorym boku Rhysa.

– Panie Severin, proszę stanąć po drugiej stronie. Niech pan przełoży rękę przez tułów pana Winterborne’a i przytrzyma dłonią jego bok, żeby go unieruchomić. O, właśnie tak.

Severin uśmiechnął się do Rhysa, wypełniając polecenia.

– I co myślisz o moich udziałach u Hammersmitha teraz, kiedy jesteś na mojej łasce? – zapytał.

– Nadal ich pożądam – wykrztusił Rhys.

– Nie sądzę, żeby pan tego potrzebował – doktor Gibson wsunęła mu do ust kawałek skórzanego paska – ale przyda się na wszelki wypadek. – Widząc wahanie pacjenta, dodała: – Jest czysty. Nigdy nie używam takich rzeczy dwa razy.

Rhys zagryzł pasek w zębach.

– Czy pani ma siłę, żeby to zrobić? – zapytał Tom z powątpiewaniem.

– Chce się pan zmierzyć ze mną na rękę? – zripostowała kobieta tonem tak lodowatym, że Rhys parsknął z rozbawieniem.

– Nie. – Tom natychmiast się wycofał. – Nie chcę ryzykować przegranej.

Lekarka uśmiechnęła się do niego.

– Wątpię, czybym wygrała, panie Severin. Ale na pewno nie poddałabym się bez walki. – Prawą ręką chwyciła Rhysa za przegub, a drugą ujęła go pod pachą. – Proszę go mocno trzymać – nakazała Tomowi. Następnie powoli, precyzyjnymi, drobnymi ruchami zaczęła poruszać ramieniem Rhysa, przesuwając je w górę i obracając nim, aż wybity staw wreszcie wskoczył na swoje miejsce.

Rhys westchnął z ulgą, kiedy ukłucia przeraźliwego bólu wreszcie ustąpiły, a napięte ciało się odprężyło. Obrócił głowę, wypluł skórzany knebel i chrapliwie wciągnął powietrze.

– Dziękuję, pani doktor.

– Siedzi, jak należy – powiedziała lekarka z satysfakcją, sprawdzając jeszcze nastawiony bark.

– Dobra robota – pochwalił Severin. – Zręcznie pani to zrobiła, doktor Gibson.

– Wolałabym określenie „fachowo” – odparła. – Ale jest mi miło. – Pedałem obniżyła stół do poprzedniej wysokości. – Bark i ramię przez kilka następnych dni będą spuchnięte i obolałe – dodała i wyjęła pas białego płótna z szuflady pod stołem zabiegowym. – Mimo bólu powinien pan normalnie posługiwać się tą ręką, inaczej nieużywane mięśnie osłabną. Jednak dzisiaj proszę używać jej bardzo oszczędnie. – Pomogła Rhysowi usiąść i wprawnie zawiązała

temblak. – Przez jakiś czas może pan też mieć trudności z zaśnięciem. Przepiszę panu miksturę, która powinna pomóc. Wystarczy jedna łyżeczka przed spaniem, nie więcej.

Kiedy lekarka przyniosła wierzchnie ubranie Rhysa i zarzuciła mu je na ramiona, Severin skierował się w stronę drzwi.

– Wyjdę i poszukam dorożki – powiedział. – Nie możemy dopuścić do tego, żeby Winterborne świecił gołą piersią na ulicach, bo kobiety nie dadzą mu przejść.

Po wyjściu Toma Rhys niezgrabnie wygrzebał z wewnętrznej kieszeni portfel.

– Ile się należy? – zapytał.

– Jeden floren.

Była to zaledwie połowa czteroszylingowej stawki doktora Havelocka – lekarza, któremu Winterborne płacił za leczenie swojej załogi.

Rhys wyjął monetę i wręczył lekarce.

– Jest pani świetnym fachowcem, doktor Gibson – powiedział ze szczerym uznaniem.

Uśmiechnęła się. Ani się nie zaczerwieniła, ani nie krygowała, próbując zaprzeczyć. Coraz bardziej mu się podobała ta niezwykła kobieta. Życzył jej, aby mimo oczywistych trudności zrobiła karierę w swoim zawodzie.

– Szczerze będę polecał pani usługi – obiecał.

– To bardzo miło z pana strony, panie Winterborne. Niestety, obawiam się, że w końcu miesiąca będę zmuszona zamknąć moją praktykę. – Doktor Gibson mówiła beznamiętnym tonem, ale w jej spojrzeniu krył się dziwny cień.

– Czy mogę zapytać dlaczego?

– Pacjentów jest za mało. Ludzie się boją, że kobieta nie ma dość siły fizycznej, aby uprawiać medycynę. Czasem wątpią też w jej siłę umysłową. – Gorzki uśmiech pojawił się na wargach kobiety. – Słyszałam nawet, że nie umiemy trzymać języka za zębami, a zatem lekarka nie będzie zdolna dochować tajemnicy lekarskiej.

– Niestety takie uprzedzenia istnieją. Jedynym sposobem walki z nim jest udowodnienie, że są nieprawdziwe.

– Tak. – Jej spojrzenie nadal było nieobecne. Pochyliła się nad tacą z przyborami lekarskimi i zaczęła je porządkować.

– Jak dobrą jest pani lekarką? – zapytał nagle Rhys.

Znieruchomiała i spojrzała na niego przez ramię.

– Słucham?

– Proszę mi zarekomendować swoją osobę.

Gibson odwróciła się do niego, marszcząc czoło w namyśle.

– Kiedy pracowałam jako pielęgniarka chirurgiczna, ukończyłam kursy anatomii, fizjologii i farmacji. Na Sorbonie zaliczyłam z wyróżnieniem dwa lata anatomii i miałam najlepszy wynik egzaminu po trzech latach położnictwa. Przez krótki czas studiowałam również u sir Josepha Listera, który uczył mnie swoich technik antyseptycznej chirurgii. Krótko mówiąc, jestem naprawdę dobra. I mogłabym pomóc wielu ludziom, gdybym tylko… – Zamilkła, kiedy zobaczyła, że Rhys wyjmuje wizytówkę z portfela i podaje jej.

– Niech pani przyjdzie z tym do Winterborne's w poniedziałek rano, punktualnie o dziewiątej. Proszę pytać o panią Fernsby.

– Czy mogę wiedzieć w jakim celu? – Kobieta patrzyła na niego wielkimi oczami.

– Mam kontrakt z lekarzem, który dba o zdrowie tysiąca moich pracowników. To stary dziwak, ale dobra dusza. Będzie musiał wyrazić zgodę na przyjęcie pani, ale nie sądzę, aby miał coś przeciw temu. Potrzebuje kogoś do pomocy w sprawach położnictwa. Porody potrafią długo trwać, a on narzeka na reumatyzm. Dlatego gdyby pani doktor była chętna…

– Tak, jestem chętna. I bardzo panu dziękuję. – Zaskoczona lekarka obracała wizytówkę w palcach. – Zgłoszę się w poniedziałek rano. – Pokręciła głową z pełnym niedowierzania uśmiechem. – Choć nie był to dla pana szczęśliwy dzień, panie Winterborne, niespodziewanie okazał się szczęśliwy dla mnie.

– Pan Winterborne! – wykrzyknęła z przerażeniem pani Fernsby, kiedy weszła do biura i zobaczyła zmaltretowanego Rhysa,

w ubłoconym palcie, spod którego błyskał nagi tors. – Na litość boską, co się panu stało? Kto pana napadł? Bandyci? Złodzieje?

– Kamienica.

– Słucham?

– Później to pani wytłumaczę. Teraz potrzebuję świeżą koszulę. – Krzywiąc się z bólu, wyciągnął receptę z kieszeni palta i wręczył sekretarce.

– Przekaż to do apteki. Niech mi szybko przygotują miksturę przeciwbólową. Miałem wybity bark i boli mnie jak diabli. Poza tym powiedz mojemu prawnikowi, żeby za pół godziny stawił się u mnie.

– Koszula, lekarstwo, prawnik – powtórzyła pani Fernsby, żeby nie zapomnieć. – Chce pan pozwać właściciela tej kamienicy?

Rhys powoli usadowił obolałe ciało za biurkiem.

– Nie – mruknął.– Ale muszę natychmiast zmienić testament.

– A nie wolałby pan najpierw iść do domu, żeby się umyć i przebrać? – zasugerowała. – Jest pan… trochę ubłocony.

– Nie, mam pilniejsze sprawy. Powiedz Quincy'emu, żeby przyniósł gorącą wodę i ręcznik. Obmyję się tutaj. I zrób mi herbatę… albo nie, kawę.

– Czy mam posłać po doktora Havelocka?

– Nie, pomogła mi już doktor Gibson. Notabene w poniedziałek o dziewiątej zgłosi się tu na rozmowę. Zamierzam ją zatrudnić jako asystentkę doktora Havelocka.

Brwi pani Fernsby podjechały wysoko, ponad krawędź okularów.

– Asystentka? Chodzi o kobietę?

– Nie słyszała pani o lekarkach? – zapytał Rhys z irytacją.

– Coś słyszałam, ale żadnej nie spotkałam.

– Będzie okazja w poniedziałek.

– Tak, proszę pana – burknęła pani Fernsby i w pośpiechu opuściła gabinet.

Rhys z wysiłkiem sięgnął do słoika z miętówkami, wsadził jedną do ust i poprawił płaszcz na ramionach. Czując rześki smak w ustach, zmusił się do podjęcia na nowo myśli, która mroziła go przez całą drogę do firmy.

Co by się stało z Helen, gdyby teraz umarł?

Dotąd żył bez strachu, śmiało kalkulując ryzyko i robiąc to, na co miał ochotę. Dawno już pogodził się z myślą, że któregoś dnia ktoś inny przejmie jego interesy, i planował powierzenie firmy swojej radzie dyrektorów, grupie zaufanych doradców oraz wypróbowanych przyjaciół. Mogłaby to też być jego matka, lecz ona nigdy nie była zainteresowana zasiadaniem w zarządzie czy posiadaniem akcji. Oczywiście Rhys zadbał o to, aby miała zapewniony godziwy byt. Były też hojne zapisy dla zasłużonych pracowników, takich jak pani Fernsby, oraz kwoty do podziału dla dalszych krewnych.

Dotąd jednak nie umieścił Helen w swoim testamencie. Gdyby wypadek na placu rozbiórki okazał się śmiertelny, zostałaby z niczym – po tym, jak straciła z nim dziewictwo i być może zaszła w ciążę.

Z przerażeniem uświadomił sobie, jak niepewna jest jej pozycja. Przez niego!

W głowie boleśnie mu pulsowało. Położył zdrową rękę na blacie biurka i oparł głowę w zgięciu łokcia, usiłując zapanować nad strumieniem chaotycznych myśli.

Musi jak najszybciej zabezpieczyć przyszłość Helen. Wiedział jednak, że nie będzie to prosta sprawa.

Jego załoga jak zwykle spisała się na medal. Quincy, starszy lokaj, którego zaledwie parę miesięcy temu przejął od Devona Ravenela, przyniósł mu czystą koszulę, kamizelkę oraz gorącą wodę, ręczniki i przybory kosmetyczne. Sługa, zwykle milczący i stoicki, widząc żałosny stan swojego pana, cmokał i pomrukiwał zatroskany, myjąc, czesząc i odświeżając Rhysa, aż ten zaczął wyglądać jak człowiek. Najgorszą męką było dla niego włożenie koszuli. Jak ostrzegała doktor Gibson, ból w barku się nasilił.

Dopiero kiedy pani Fernsby przyniosła miksturę z apteki oraz tacę z kawą i brandy, Rhys poczuł, że jest gotów na rozmowę z prawnikiem.

– Winterborne. – Już od progu Charles Burgess obrzucił go spojrzeniem pełnym troski i rozbawienia zarazem. – Kiedy na ciebie patrzę, przypomina mi się tamten poobijany łobuziak z High Street.

Rhys uśmiechnął się do zażywnego, siwowłosego prawnika, który kiedyś prowadził dla jego ojca różne drobne sprawy. Z czasem, kiedy skromny spożywczak rozrósł się w wielki kupiecki biznes, Burgess

został prawnikiem Rhysa. Obecnie należał do rady dyrektorów firmy. Był skrupulatny, wnikliwy, błyskotliwy i przedzierał się przez prawne przeszkody nieustępliwie jak owce z Północnej Walii przez górskie wrzosowiska.

– Pani Fernsby powiedziała mi, że omal nie zginąłeś w jakiejś katastrofie budowlanej – ciągnął Burgess, siadając po drugiej stronie biurka. Z kieszeni palta wyjął notes i ołówek.

– Taa. I właśnie to kazało mi pomyśleć o natychmiastowej zmianie mojego testamentu. – Rhys opowiedział o ponownych zaręczynach z Helen, przedstawiając Burgessowi starannie ocenzurowaną wersję niedawnych wydarzeń.

Adwokat wysłuchał go uważnie, zanotował parę rzeczy, po czym powiedział:

– Rozumiem, że pragniesz zabezpieczyć przyszłość lady Helen w związku małżeńskim, który zostanie wkrótce zawarty i skonsumowany.

– Nie, pragnę ją zabezpieczyć natychmiast. Chcę, aby miała zapewniony byt na wypadek, gdyby coś mi się stało przed ślubem.

– Nie masz obowiązku dbania o nią, dopóki nie zostanie twoją żoną.

– Chcę jej bezzwłocznie przekazać pięć milionów funtów. – Widząc zdziwienie w oczach prawnika, Rhys wyznał wprost: – Może być dziecko.

– Rozumiem. – Ołówek prawnika jeszcze szybciej pomknął po kartce. – Czy jeśli dziecko urodziłoby się dziewięć miesięcy po twoim zgonie, chciałbyś je uposażyć?

– Taa. On… albo ona odziedziczy firmę. Jeśli nie będzie dziecka, firma przypadnie Helen.

Ołówek zawisł nad papierem.

– Nie mnie oceniać takie sprawy – rzekł w końcu Burgess. – Ale znasz tę kobietę bardzo krótko.

– Tak właśnie chcę zrobić – uciął Rhys.

Helen zaryzykowała dla niego wszystko. Oddała mu się niemal bezwarunkowo. Nie mógł zrobić dla niej mniej.

Naturalnie w najbliższym czasie nie planował spotkania ze Stwórcą. Był silnym, zdrowym i wciąż jeszcze młodym mężczyzną. Jednak

dzisiejszy wypadek – i wcześniejsza katastrofa kolejowa – uświadomiły mu dobitnie, że nikt nie zna dnia ani godziny. Dlatego postanowił, że jeśli coś mu się stanie, Helen ma dostać wszystko, co posiadał. Całe jego kupieckie imperium.

Rozdział 9

Kathleen i Devon przybyli do Ravenel House akurat w porze popołudniowej herbaty. Podano ją na długim, niskim stoliku, stojącym przy kanapie.

Kathleen weszła do salonu i w paru krokach dopadła Helen, aby uściskać ją tak, jakby nie widziały się dwa miesiące, a nie dwa dni. Helen odwzajemniła uścisk z równą siłą. Kathleen stała się dla niej jak starsza siostra. Zbliżyło je wspólne cierpienie po śmierci Theo. Helen znalazła w bratowej szczerą i rozumiejącą przyjaciółkę.

Kiedy Theo poślubił Kathleen, wszyscy mieli nadzieję, że się ustatkuje. Męską linię Ravenelów od wieków prześladowała klątwa porywczego charakteru. Ta cecha przyniosła ich przodkom zasługi w zwycięskiej bitwie, którą stoczyli w tysiąc sześćdziesiątym szóstym roku u boku triumfujących Normanów. Niestety, w kolejnych epokach okazywało się, że wojownicza natura przynosi im korzyści wyłącznie na polu walki.

Kiedy Theo został głową rodu, Eversby Priory było bliskie upadku. Budynki się sypały, służba głodowała i nikt nie dbał o teren, który dziczał bez odpowiedniej pielęgnacji i melioracji. Los nie pozwolił Theo się sprawdzić jako earlowi Trenear. Zaledwie trzy dni po ślubie dał się ponieść furii, dosiadł na wpół ujeżdżonego konia i pognał przed siebie. Wierzchowiec zrzucił go i Theo złamał kark.

Kiedy majątek przejął Devon, daleki kuzyn Ravenelów, Kathleen, Helen i bliźniaczki obawiały się, że będą musiały opuścić posiadłość. Tymczasem, ku ich zaskoczeniu, pozwolił wszystkim zostać i poświęcił się ratowaniu Eversby Priory. Razem ze swoim młodszym bratem Westem Devon przywrócił majątkowi rentowność, ale zanim

tego dokonali, musieli się nauczyć najważniejszych rzeczy na temat uprawy roli i maszyn rolniczych, dbania o krajobraz i zarządzania posiadłością.

W końcu Kathleen puściła Helen, żeby przywitać się z bliźniaczkami. W bladym świetle zimowego dnia, padającym z okien, jej złocistorude włosy jarzyły się ciepłym, żywym kolorem. Była niską, szczupłą kobietą o niezwykłej, kociej urodzie. Miała brązowe oczy o kształcie migdałów i wyraziste kości policzkowe.

– Moje kochane! – zawołała. – Jak ja za wami tęskniłam! Wszystko było takie cudowne… Mam wam tyle do opowiedzenia!

– Ja też – mruknęła Helen z wymuszonym uśmiechem.

– Przede wszystkim – ciągnęła Kathleen – przywieźliśmy wam kogoś do towarzystwa z Eversby Priory.

– Czyżby kuzyn West nas odwiedził?

W tym momencie z holu dobiegło jazgotliwe szczekanie.

– Napoleon i Josephine! – zawołała Pandora.

– Psy ogromnie się za wami stęskniły – powiedziała Kathleen. – Miejmy nadzieję, że będą grzeczne, bo jak nie, wrócą do Hampshire.

Para czarnych cocker-spanieli wpadła do salonu i z piskiem zaczęła skakać na dziewczęta, witając się z nimi wylewnie. Za moment całe towarzystwo kłębiło się na podłodze w szalonej zabawie. Pandora chodziła na czworakach, udając, że atakuje Napoleona, który przewrócił się na grzbiet, ochoczo się jej poddając. Kathleen już miała je skarcić, ale ostatecznie tylko pokręciła głową, słusznie uznając, że próby pacyfikacji rozszalałych dziewczyn i tak spalą na panewce.

Devon, lord Trenear, wszedł do pokoju i uśmiechnął się, widząc ten wesoły zamęt.

– Jaki kojący, domowy widok – powiedział. – Jak na obrazie Degasa.

Earl był przystojnym mężczyzną, ciemnowłosym i niebieskookim. Miał aparycję człowieka, który nieraz musiał się zmierzyć z przeciwnościami losu. Podążył spojrzeniem ku Kathleen i nagle na jego surowej twarzy pojawiły się czułość i ciepło typowe dla mężczyzny, który zakochał się po raz pierwszy w życiu. Stanął tuż za nią, położył dłoń na jej szczupłym ramieniu, a podbródkiem dotknął

niesfornych kędziorów, upiętych w kok na czubku głowy. Helen po raz pierwszy zobaczyła, że dotyka Kathleen w tak jawnie familiarny sposób.

– Czy byłyście grzeczne w czasie mojej nieobecności? – zapytał.

– Dwie były – powiedziała Cassandra z poziomu podłogi.

Kathleen spojrzała na drugą bliźniaczkę.

– Pandoro, co zrobiłaś?

– Kto powiedział, że to ja? – odcięła się Pandora z udawaną urazą, rozśmieszając wszystkich. Wstała, szczerząc się w uśmiechu i przytrzymując psa, który koniecznie chciał ją polizać. – A skoro już zadajemy pytania, to skąd masz ten pierścionek, Kathleen?

Wszystkie spojrzenia pobiegły ku lewej dłoni Kathleen. Z dumą, choć nieco nieśmiało, uniosła rękę, żeby lepiej widzieli. Cassandra zerwała się na równe nogi i porzucając Josephine, dołączyła do Pandory i Helen. Wszystkie trzy obległy Kathleen. W pierścionku błyszczał rubin o rzadkiej barwie, znanej jako „gołębia krew", osadzony w filigranie z żółtego złota.

– Zanim wsiedliśmy z Devonem do pociągu do Hampshire, wzięliśmy ślub w urzędzie stanu cywilnego – wyznała Kathleen.

Trzy siostry Ravenel wybuchnęły wrzawą radosnych okrzyków. W sumie wieści nie były aż tak zaskakujące, gdyż od paru miesięcy domownicy byli świadomi uczucia rodzącego się pomiędzy Devonem a Kathleen.

– Cudownie! – cieszyła się Helen.

– Mam nadzieję, że nie potępiacie mnie zbytnio za to, że wyszłam za mąż, nie zakończywszy żałoby – powiedziała Kathleen niepewnym tonem. A później wyprostowała się i dodała śmielej: – Nie chciałabym, abyście myślały, że zapomniałam o Theo albo że nie szanuję jego pamięci. Jednak prawdą jest, że zaczęłam coraz bardziej cenić i lubić Devona, dlatego postanowiliśmy…

– Lubić? – przerwał jej Devon, unosząc brwi. W jego niebieskich oczach rozbłysły łobuzerskie iskierki. Kathleen wychowała się w rodzinie o surowych zasadach, w której nie uchodziło mówić szczerze o uczuciach. Z tym większą uciechą Devon prowokował ją do wyznań.

– Kochać – poprawiła się z zakłopotaniem.

Przekornie przechylił głowę, udając, że nie dosłyszał.

– Czy możesz łaskawie powtórzyć?

Kathleen spiekła raka, ale tym razem wyznała głośno:

– Kocham cię. Uwielbiam cię. Wystarczy? Mogę mówić dalej?

– Możesz – zezwolił, przygarniając ją mocniej do siebie.

– Jak już powiedziałam – ciągnęła Kathleen – postanowiliśmy nie czekać dłużej i jak najszybciej wziąć ślub.

– Bardzo się cieszę – powiedziała Cassandra. – Ale nie rozumiem, dlaczego nie mogliście zaczekać na uroczystą, prawdziwą ceremonię?

– Później wam to wytłumaczę. Na razie napijmy się herbaty.

– Możesz tłumaczyć przy herbacie – upierała się Pandora.

– To się nie nadaje na rozmowy przy herbacie – broniła się Kathleen.

W tym momencie Helen, bogatsza o niedawne doświadczenia, pojęła, jaka jest prawda: Kathleen spodziewa się dziecka. Było to najbardziej logiczne wytłumaczenie pospiesznego ślubu i oporów w wyjaśnieniu sytuacji dziewiętnastoletniej, dociekliwej dziewczynie.

Leciutki rumieniec zabarwił policzki Helen, kiedy pomyślała, że Devon i Kathleen musieli dzielić łoże jak mąż i żona. To zrobiło na niej wrażenie.

Zrobiłoby jeszcze większe, gdyby zaledwie wczoraj nie dzieliła w ten sam sposób łoża z Rhysem Winterborne'em.

– Ale dlaczego… – nie ustępowała Pandora.

– Och, psy dobierają się do ciasteczek na stoliku! – przerwała jej szybko Helen. – Może usiądźmy, dobrze? Ja naleję herbatę. Kathleen, powiedz, jak tam kuzyn West?

Kathleen rzuciła jej wdzięczne spojrzenie, sadowiąc się w fotelu uszaku.

Temat Westa odwrócił uwagę bliźniaczek, tak jak liczyła Helen. Brat Devona, młody, przystojny lowelas udający cynika, był obiektem absolutnego zainteresowania dziewczyn. Odnosił się do nich z sympatią i łaskawie okazywał pewne zainteresowanie nimi, ale był dla nich raczej jak starszy brat, którego praktycznie nie miały, Theo bowiem najpierw mieszkał w internatach, a potem w Londynie.

Rozmowa szybko przeszła na Eversby Priory. Devon opowiadał ze szczegółami o bogatym złożu rudy hematytowej, które odkryto na

ich terenie, i o planach jej wydobycia oraz sprzedaży.

– Czy już jesteśmy bogaci? – dopytywała Pandora.

– Nie wypada zadawać takich pytań – upomniała ją Kathleen, unosząc do ust filiżankę. Pociągnęła łyk i dodała ciszej: – Ale tak, jesteśmy.

Dziewczęta gwałtownie wciągnęły powietrze.

– Tacy bogaci jak pan Winterborne? – zapytała Cassandra.

– E tam – zbagatelizowała Pandora – nikt nie jest tak bogaty jak pan Winterborne. – W porę zauważyła mars na czole Devona i dodała przepraszającym tonem: – Och, nie powinnyśmy o nim wspominać…

Devon skierował rozmowę z powrotem na Eversby Priory. Bliźniaczki słuchały z zainteresowaniem, jak opisuje plany związane z nowymi torami kolejowymi i stacją w mieście. Uznały, że to świetny pomysł mieć kolej tak blisko domu, bo dotychczas trzeba było jeździć aż do Alton.

Popołudniowa herbata była uroczystą ceremonią, z której Ravenelowie nigdy nie zrezygnowali, nawet w najtrudniejszych czasach. Na masywnej srebrnej tacy wnoszono malowany w kwiaty, porcelanowy serwis razem z trzypiętrową paterą, wypełnioną kruchymi rożkami z francuskiego ciasta, miniaturowymi pasztecikami, porcjami powideł śliwkowych na tostach i maleńkimi kanapeczkami z masłem i rzeżuchą albo z pastą jajeczną. Co parę minut służba dolewała gorącej wody albo zmieniała dzbanuszki z mlekiem i śmietanką.

Rodzina śmiała się i gawędziła. Helen starała się brać udział w rozmowie, ale jej spojrzenie ciągle wędrowało w stronę zegara na kominku. Była siedemnasta trzydzieści – zostało jeszcze dziewięćdziesiąt minut do końca wyznaczonej dobrymi obyczajami pory wizyt. Z roztargnieniem sięgnęła po tost z powidłami. Były pyszne, ale miała tak ściśnięte gardło, że z trudem przełykała. Popijała herbatę, kiwała głową i uśmiechała się, nieuważnie przysłuchując się konwersacji przy stoliku.

– Było wyborne – powiedziała wreszcie Kathleen i odłożyła swoją serwetkę obok talerza. – Chyba pójdę odpocząć. To był męczący dzień. Widzimy się na kolacji.

Devon zerwał się i pomógł jej wstać z fotela.

– Ale jeszcze nie ma siódmej i ktoś może się pojawić – powiedziała Helen, z trudem kryjąc rozczarowanie. – Dzisiaj przecież dzień wizyt.

Kathleen posłała jej zagadkowy uśmiech.

– Wątpię, żeby ktoś się pojawił. Devona nie było i nie rozesłaliśmy zaproszeń. – Urwała i skupiła spojrzenie na twarzy Helen. – Chyba że… mamy się kogoś spodziewać?

Tik-tak, tik-tak… Absurdalnie głośne tykanie zegara na kominku przez dłuższą chwilę wypełniało ciszę.

– Tak – powiedziała Helen w nagłym odruchu. – Ja kogoś oczekuję.

– Kogo? – zapytali jednym głosem Kathleen i Devon.

– Mój panie. – W drzwiach stanął pierwszy lokaj. – Pan Winterborne przybył ze sprawą osobistą.

Tik-tak, tik-tak, tik-tak…

Nerwy Helen napięły się jak postronki, a krew szybciej popłynęła w żyłach, kiedy spoczęło na niej ostre spojrzenie Devona. Na widok jego miny poczuła pulsowanie w gardle.

Devon wrócił wzrokiem do lokaja.

– Wprowadziłeś go?

– Tak, panie. Czeka w bibliotece.

– Proszę, nie wypraszaj pana Winterborne'a – powiedziała Helen, siląc się na spokój.

– Nie zamierzam – odparł Devon, lecz jego słowa nie brzmiały jak zapewnienie; dźwięczała w nich delikatna groźba.

Kathleen lekko dotknęła dłoni męża i powiedziała coś do niego szeptem. Devon spojrzał na nią i jego wzrok momentalnie złagodniał. Jednak gdzieś w głębi ciągle tliła się groźba złości, która w każdej chwili mogła wybuchnąć.

– Zostańcie tutaj – mruknął i wielkimi krokami wyszedł z salonu.

Rozdział 10

Kiedy Kathleen usiadła z powrotem w swoim fotelu, nie wyglądała już na zmęczoną.

– Helen, nalać ci jeszcze herbaty?

–Tak. – Helen znacząco spojrzała na Pandorę i Cassandrę. – Może byście zabrały psy do ogrodu?

Dziewczętom nie trzeba było dwa razy powtarzać. Zagwizdały na spaniele i jak burza wypadły z salonu.

Gdy tylko zostały same, Kathleen zapytała niecierpliwie:

– Helen, co sprawiło, że pan Winterborne przybył tak pilnie? I skąd wiedziałaś o jego wizycie?

Helen powoli sięgnęła do wysokiej stójki swojej sukni i zahaczyła palcem wskazującym jedwabną tasiemkę, którą miała na szyi pod ubraniem. Ciężar pierścionka z księżycowym kamieniem, ukrytego w rowku pomiędzy ściśniętymi gorsetem piersiami, dodał jej otuchy. Wyciągnęła go, zdjęła z tasiemki i wsunęła na palec.

– Pojechałam do niego – wyznała szczerze, podsuwając dłoń Kathleen. – Wczoraj.

Kathleen ze zdumieniem wpatrywała się w pierścionek.

– Sama pojechałaś do pana Winterborne'a?

– Tak.

– On cię zaprosił? Przysłał kogoś po ciebie? Jak…

– Nie miał pojęcia o mojej wizycie. To był mój pomysł.

– I dał ci ten pierścionek?

– Sama o niego poprosiłam – wyjaśniła sucho Helen. – A raczej zażądałam. – Cofnęła rękę i wygodniej usadowiła się w fotelu. – Jak wiesz, nigdy nie lubiłam diamentów.

– Ale dlaczego… – Kathleen nie dokończyła, zbyt zmieszana, żeby pytać.

– Chcę wyjść za pana Winterborne'a – wyjaśniła łagodnie Helen. – Wiem, że ty i kuzyn Devon chcecie dla mnie jak najlepiej, i ufam waszym osądom. Ale od momentu, kiedy zaręczyny zostały zerwane, nie zaznałam ani chwili spokoju. Zrozumiałam, że żywię do niego uczucie…

– Helen, są rzeczy, o których nie wiesz…

– Wiem. Wczoraj pan Winterborne opowiedział mi, że zachował się w stosunku do ciebie obraźliwie i grubiańsko. Głęboko tego żałuje i przyjechał tutaj, aby przeprosić. Poniosło go trochę i popełnił błąd. Chce, abyś uwierzyła, że naprawdę nie miał zamiaru cię obrazić.

Kathleen zmęczonym gestem potarła oczy.

– Już kiedy to mówił, wyczułam, że po prostu mu się wymknęło – rzekła. – Problem w tym, że właśnie wtedy do pokoju wszedł Devon i usłyszał tyle, by wpaść w furię. A potem nie miał czasu, żeby zobaczyć całą sprawę taką, jaka naprawdę jest.

– Ale ty ją taką widzisz? – zapytała z niepokojem Helen.

– Z całą pewnością mogę zrozumieć i wybaczyć parę przykrych słów. Moje zastrzeżenia co do pana Winterborne'a nie mają związku z tamtym dniem i mają zupełnie inną naturę. Chodzi o to, że zupełnie do siebie nie pasujecie. Wkrótce wejdziesz w obieg życia towarzyskiego i poznasz wielu miłych dżentelmenów, kulturalnych i wyedukowanych…

– Jeśli nie będę miała posagu, żaden z tych jakże miłych i kulturalnych dżentelmenów nie zechce spędzić w moim towarzystwie nawet minuty. Zresztą absolutnie nie marzę o kimś takim, bo spośród wszystkich mężczyzn wybrałam już pana Winterborne'a.

Kathleen wyraźnie starała się zrozumieć Helen.

– Jeszcze tydzień temu zalewałaś się łzami i zwierzałaś mi, jak bardzo się przeraziłaś, kiedy cię pocałował.

– Bo tak było. Ale ty jak zwykle dałaś mi idealną radę. Powiedziałaś, że pewnego dnia, z właściwym mężczyzną, pocałunek będzie cudowny. I sprawdziło się.

– Czy… czy ty pozwoliłaś mu… – Oczy Kathleen rozszerzyły się gwałtownie.

– Nie mam złudzeń co do pana Winterborne'a – ciągnęła Helen. – A jeśli nawet, to niewiele. Jest bezwzględny, ambitny i uznaje tylko swoje racje. Może nie jest dżentelmenem w pełnym znaczeniu tego słowa, ale ma swój kodeks honorowy, którego przestrzega. Ponadto… – Rozmarzony uśmiech zaigrał na ustach Helen – …ma do mnie słabość. Myślę, że stałam się jego czułym punktem, a Rhys jest mężczyzną, któremu takich punktów rozpaczliwie brakuje.

– Ile czasu z nim wczoraj spędziłaś? – zapytała Kathleen, jakby nie słyszała jej wywodów. – Byłaś w jego domu towarowym czy w mieszkaniu? Kto widział was razem? – Wyraźnie zastanawiała się nad tym, jak zmniejszyć skazę na reputacji Helen. Z pewnością reakcja Devona będzie podobna.

Dopiero teraz Helen zrozumiała, że uparte dążenie Rhysa do tego, aby się z nią przespać, było manipulacją, która miała głęboki sens. Po prostu podsunął jej znakomitą broń, którą można uciąć wszystkie argumenty.

Helen nie miała wyboru, musiała się nią posłużyć.

– Kathleen… – powiedziała cicho. – Jestem skompromitowana.

– Nie trzeba od razu tak stawiać sprawy. Mogą być różne plotki, ale…

– Muszę za niego wyjść. – Helen, widząc skonfundowaną minę swojej bratowej, powtórzyła ze spokojnym naciskiem: – Muszę za niego wyjść.

– Och… – Dopiero teraz Kathleen zrozumiała. – Więc ty i on…

– Tak.

Kathleen milczała, przetrawiając tę rewelację. Jej złotobrązowe oczy pociemniały od troski.

– Moja biedna Helen – powiedziała wreszcie. – Przecież nie wiedziałaś, co może się stać. Musiałaś być przerażona. Błagam, powiedz mi, kochanie, czy on cię zmusił, czy…

– Nie, to nie było tak. – Helen przerwała jej niecierpliwie. – Musisz mi uwierzyć, że robiłam to wszystko z własnej woli. W każdej chwili mogłam odmówić. Pan Winterborne dokładnie mi wytłumaczył, jak to będzie wyglądać. I wcale nie było nieprzyjemnie. Przeciwnie,

było… – Umknęła spojrzeniem w bok. – Odnalazłam w tym przyjemność – dokończyła speszona. – Wiem jednak, że postąpiłam niegodnie.

Kathleen pocieszająco poklepała jej dłoń.

– Nie ma w tym nic niegodnego – zapewniła. – Niektórzy twierdzą, że kobiety nie powinny czerpać przyjemności z aktu, lecz moim zdaniem to owa przyjemność sprawia, że związek dwojga ludzi jest dużo pełniejszy.

Helen zawsze ceniła zdroworozsądkową naturę Kathleen, ale nigdy tak jak w tym momencie.

– Myślałam, że mnie potępisz za przespanie się z nim – powiedziała z ulgą.

Kathleen się uśmiechnęła.

– Cóż, nie mogę powiedzieć, że jestem zachwycona. Nie mogę jednak potępiać cię za to, co niedawno sama zrobiłam. A skoro już rozmawiamy szczerze, to… spodziewam się dziecka Devona.

– Naprawdę? – ucieszyła się Helen. – Domyślałam się, że z tego powodu tak szybko wzięliście ślub.

– Otóż to. Poza tym bardzo go kocham. – Kathleen sięgnęła po cukiernicę, wybrała spory kawałek cukru i z upodobaniem zaczęła go ssać. Po chwili zapytała z wahaniem: – Nie mam pojęcia, ile wiesz o tych sprawach. Czy masz świadomość skutków oddania się mężczyźnie?

Helen kiwnęła głową.

– Może być dziecko.

– Tak, chyba że pomyślisz o środkach zapobiegawczych. – Kathleen dostrzegła nierozumiejące spojrzenie Helen. – Kochanie, czy mogę ci zadać bardzo osobiste pytanie?

Helen znów skinęła głową, tym razem bardziej nerwowo.

– Czy… on… zakończył w tobie? Czy był do ostatniego momentu?

– Sama nie wiem.

Kathleen westchnęła.

– Dobrze. Musimy później porozmawiać, bo mam wrażenie, że pan Winterborne jednak nie powiedział ci wszystkiego. – Odruchowo sięgnęła po mały złoty zegarek, który zwisał jej na szyi na złotym

łańcuszku, i postukała gładką metalową kopertą o wargi. – I co teraz zrobimy? – zapytała, bardziej siebie niż Helen.

– Miałam nadzieję, że ty i Devon wycofacie swoje obiekcje co do mojego małżeństwa.

– Ja już ich nie mam. Zresztą żadne obiekcje nie mają już sensu. Jestem ci też winna wsparcie po tym, jak wtrącałam się w twój związek z tym mężczyzną. Wybacz mi, Helen, naprawdę próbowałam pomóc.

– Wiem, Kathleen – odparła Helen z ulgą i z wdzięcznością. – Nie myśl już o tym. Wszystko pięknie się skończyło.

– Tak myślisz? – Kathleen spojrzała na szwagierkę z uśmiechem. – Istotnie, wydajesz się szczęśliwa. Czy naprawdę z powodu pana Winterborne'a?

– Naprawdę. – Helen przyłożyła dłonie do płonących policzków i zaśmiała się krótko. – Na samą myśl, że on tu jest, czuję dreszcze, robi mi się zimno albo oblewa mnie war i ledwie mogę oddychać. – Zawahała się. – Czy tak wygląda miłość?

– Tak wygląda zauroczenie. Miłość jest wtedy, kiedy oddychasz swobodnie. – W zamyśleniu Kathleen zaczęła składać i rozkładać serwetkę na kolanie. – Trzeba działać bardzo rozważnie, Helen. Devon nie może się dowiedzieć, że ty i pan Winterborne spaliście ze sobą, gdyż on z pewnością nie potraktuje sprawy tak zdroworozsądkowo jak ja. Uzna, że honor rodziny doznał uszczerbku i… Och, wolę nawet nie myśleć. W każdym razie nakłonię go, żeby zgodził się na wasz związek. Może mi to zająć kilka dni, ale…

– Pan Winterborne zamierza powiedzieć mu o tym dzisiaj.

Kathleen wyprostowała się gwałtownie i odłożyła serwetkę.

– Co? Sądziłam, że przyszedł tu, aby przeprosić!

– Tak, ale potem chce prosić Devona o zgodę na nasze zaręczyny. Jeśli Devon odmówi, powie mu, że nie ma wyjścia i musi się zgodzić, bo nie jestem już dziewicą.

– Wielki Boże! – Kathleen zerwała się na równe nogi. – Musimy go powstrzymać!

– Pan Winterborne już mu pewnie powiedział – westchnęła Helen.

– Jeszcze nie. – Kathleen w pośpiechu ruszyła do drzwi. – Gdyby powiedział, słyszałybyśmy krzyki, trzask mebli i…

W tym momencie na dole rozpętało się piekło. Po domu niosły się przekleństwa, trzaski, tupot, brzęk, odgłosy gwałtownej szarpaniny, a potem coś tąpnęło, tak że aż ściany się trzęsły.

– Koniec… – jęknęła Kathleen. – Powiedział mu.

Obie w pośpiechu zbiegły po schodach, przemknęły przez hol i wpadły do biblioteki. Tam zastały pobojowisko. Mały stolik był przewrócony, książki zalegały podłogę, a z porcelanowego wazonu zostały skorupy. Postękiwania, sapania i stłumione przekleństwa fruwały w powietrzu, kiedy dwóch mężczyzn walczyło zajadle. Rhys poślizgnął się na wypolerowanej podłodze, a wtedy Devon, korzystając z przewagi, pchnął go z taką siłą, że Winterborne poleciał w tył i walnął plecami w ścianę. Zachwiał się i z jękiem opadł na czworaki.

Helen rzuciła się do niego, ale zanim zdołała go podtrzymać, upadł na bok.

– Devon! – krzyknęła Kathleen, biegnąc do swojego męża.

– Zejdź mi z drogi! – warknął earl z twarzą wykrzywioną wściekłością. Był w furii, i to takiej, która narasta, gdy ktoś usiłuje ją powstrzymać. Kobieta z jego rodu została zhańbiona i jedynie krew mogła zmazać tę hańbę. Na całym świecie były tylko dwie osoby, które mogły go okiełznać, kiedy był w takim stanie: jego brat West i Kathleen.

– Zostaw go – powiedziała, stając pomiędzy Devonem a Winterborne'em. – Zrobiłeś mu krzywdę.

– Wciąż zbyt małą. – Earl wykonał ruch, jakby chciał odepchnąć żonę.

– Devon, nie. – Kathleen nie cofnęła się ani o cal. I tylko mimowolnym gestem zasłoniła ręką brzuch. Później powiedziała Helen, że odruch ochrony brzucha, zanim dziecko zdążyło się w nim rozwinąć, nie miał sensu, a jednak instynktownie go wykonała.

Ten drobny, podświadomy gest niespodziewanie rozbroił Devona. Spojrzał na łono żony i znieruchomiał, oddychając ciężko.

Kathleen szybko skorzystała z chwilowej przewagi:

– W moim stanie nie powinnam się denerwować.

Devon rzucił jej poirytowane spojrzenie.

– Teraz już zawsze będziesz mnie tym szachować?

– Jeszcze tylko przez siedem i pół miesiąca, kochanie. Potem znajdę sobie inny sposób na ciebie. – Kathleen przytuliła się do napiętego ciała mężczyzny. Otoczył ją ramionami, a ona uspokajająco pogładziła go po karku. Napięcie zelżało. – Wiesz, że nie pozwalam ci mordować ludzi przed kolacją – szepnęła. – W domu wszystko musi mieć swoją kolej.

Rhys zbyt cierpiał, żeby zwrócić na nich uwagę. Wciąż leżał skulony na boku; jego zwykle zdrowa, ogorzała cera była blada i ziemista.

Helen usiadła na podłodze i złożyła ciemną głowę Rhysa na swoim podołku.

– Coś ci się stało? – zapytała z niepokojem. – Z plecami?

– Nie, bark…Wybiłem… dziś rano.

– Byłeś u lekarza?

– Taa. – Rhys na próbę poruszył palcami. – W porządku.

Zaczął się ostrożnie podnosić, ale zaraz opadł z głośnym jękiem.

Helen zerwała się, żeby mu pomóc. Podparła jego zdrowe ramię i usłyszała, jak głośno wciąga powietrze, kiedy przypadkiem dotknęła obolałego boku.

– Widzę, że to nie tylko bark – stwierdziła zmartwionym tonem.

Rhys zaśmiał się chrapliwie.

– *Cariad*, nie mam miejsca na ciele, które by mnie nie bolało.

W końcu udało mu się przyjąć pozycję siedzącą. Oparł się o bok stojącej obok kanapy, przymknął oczy i drżąco wypuścił powietrze.

– Czego ci potrzeba? – zapytała Helen z troską. – Co mogę dla ciebie zrobić?

Gdy kosmyki gęstych, czarnych włosów opadły mu na czoło, odgarnęła je czułymi palcami. Rzęsy Rhysa drgnęły i Helen spojrzała w oczy gorące jak węgle.

– Możesz za mnie wyjść.

Uśmiech złagodził wyraz zmartwienia i Helen pogładziła szczupły policzek mężczyzny.

– Przecież już powiedziałam, że to zrobię.

Dopiero teraz Devon i Kathleen do nich podeszli.

– Do diaska, o co ci chodzi, Winterborne? – spytał z irytacją earl.

– Rzuciłeś nim o ścianę – wytknęła mu Kathleen.

– Wcześniej waliłem w niego dużo mocniej, ale nigdy nie posłałem go na deski. – Obaj panowie regularnie trenowali w klubie bokserskim, zgłębiając tajniki zarówno boksu angielskiego, jak i francuskiego savate – dyscypliny, która wzięła swój początek z ulicznych walk.

Helen odwróciła się i spojrzała na nich.

– Rano pan Winterborne miał wybity bark – wyjaśniła.

Devon wyglądał na zdziwionego, ale zaraz na nowo się wściekł.

– Niech cię szlag! Czemu mi nie powiedziałeś?

Rhys zmierzył go spojrzeniem spod zmrużonych powiek.

– A co to za różnica?

– Po tym podłym jadzie, który wyplułeś, pewnie żadna!

– Jakim podłym jadzie? – zapytała Kathleen niezmiernie spokojnym tonem, uspokajająco gładząc męża po ramieniu.

– Powiedział, że Helen wczoraj go odwiedziła. Sama! I że… – Devon urwał, niezdolny wydusić z siebie nikczemności, które usłyszał.

– To prawda – potwierdziła Helen.

Choć Devon w ciągu ostatniego roku zdążył przywyknąć do różnych niespodzianek, tym razem był kompletnie zbity z pantałyku. Patrzył na Helen, a szczęka mu kłapała jak niedomknięte wieko walizki.

– Moja reputacja legła w gruzach – dodała Helen stanowczo zbyt radośnie. Po dwudziestu jeden latach życia w grzeczności i pokorze nagle wyszła z kąta i odkryła pokrętną przyjemność szokowania ludzi.

W pokoju na chwilę zapadła głucha cisza. Helen znów zajęła się Rhysem – zaczęła rozwiązywać jego jedwabny krawat. Chciał ją powstrzymać, ale tylko zwinął się z bólu.

– *Cariad*, co ty robisz? – zapytał chrapliwie.

Rozchyliła poły jego marynarki.

– Muszę zobaczyć twój bark.

– Nie tutaj. Jak wrócę, pójdę do lekarza.

Helen rozumiała jego potrzebę prywatności. Z drugiej strony nie mogła pozwolić mu opuścić Ravenel House w takim stanie.

– Muszę sprawdzić, czy ramię znowu nie jest wybite – powiedziała z uporem.

– Nic mi nie jest – zapewnił, ale stęknął z bólu, kiedy próbowała mu zdjąć marynarkę.

Kathleen natychmiast zaoferowała pomoc, klękając z drugiej strony Rhysa.

– Nie ruszaj się – nakazała. – Pozwól, że się tobą zajmiemy.

Szybko i delikatnie kobiety zaczęły zdejmować górną część ubrania Rhysa. Napinał się i zagryzał zęby z bólu.

– Aarrch! – jęknął, kiedy Helen chciała wyjąć rękę z rękawa koszuli.

Przerwała i spojrzała pytająco na bratową.

– Musimy ją rozciąć – zadecydowała Kathleen.

Rhys dostał dreszczy. Ponownie zamknął oczy.

– A niech was diabli… – burknął. – Dzisiaj rano już mi rozcinano ubranie. Wszystko mi jedno.

Kathleen wymownie popatrzyła na Devona, na co ten, z demonstracyjnym westchnieniem, wziął coś ze stołu w bibliotece i wrócił do nich. Nacisnął sprężynę i otworzył srebrny składany nóż z długim ostrzem.

Dźwięk, choć cichy, wyrwał Rhysa z letargu. Drgnął i czujnie otworzył oczy. Momentalnie sprężył się do obrony, zagryzając w ustach przekleństwa.

– Spokojnie, palancie – upomniał go lodowatym tonem earl, kucnąwszy przy nim. – Nie zamierzam cię zabić. Zrobi to twój lokaj, kiedy mu powiem, że jednego dnia zmarnowałeś dwie szyte na miarę koszule i marynarkę.

– Nie…

– Winterborne, obraziłeś moją żonę, zhańbiłeś moją kuzynkę, a teraz jeszcze opóźniasz moją kolację. Chyba sam widzisz, że wreszcie powinieneś się zamknąć.

Rhys dłużej nie protestował, kiedy Devon rozciął warstwy jego ubrania, a potem zdjął je z niego jak naciętą korę z brzozy.

– Moja pani – zwrócił się do Kathleen – pragnę cię przeprosić. Za swoje zachowanie tamtego dnia i za swoje słowa. Nie… – Stłumił jęk, kiedy Helen szybkim ruchem ściągnęła odcięty rękaw z jego obolałego ramienia. – Nie ma na to usprawiedliwienia.

– Ja też jestem winna – odparła Kathleen, odciągając kolejny fragment rozcinanej przez Devona koszuli. Gdy napotkała zaskoczone spojrzenie Rhysa, wyjaśniła spokojnie: – Działałam pod wpływem impulsu i postawiłam wszystkich w trudnej sytuacji. Wiedziałam, że nie powinnam sama odwiedzać dżentelmena w jego domu, ale przeważyła troska o Helen. Popełniłam błąd. Przyjmę pańskie przeprosiny, panie Winterborne, jeśli ty przyjmiesz moje.

– To był mój błąd – upierał się Rhys. – Niepotrzebnie cię obraziłem, pani. Nie chciałem.

– Wiem.

– Nigdy nie czułem do ciebie pociągu. Nie mógłbym mniej pożądać kobiety.

Wargi Kathleen drżały od powstrzymywanego śmiechu.

– Widzę, że brak zainteresowania jest obopólny, panie Winterborne. Czy możemy w takim razie zawrzeć pokój i rozpocząć nowy rozdział?

– Już zapomnieliście, co zrobił Helen? – warknął Devon.

Rhys ze zdwojoną czujnością śledził ruchy ostrza.

– To moja wina – zapewniła Helen. – Wczoraj bez zaproszenia przyjechałam do jego biura i zażądałam spotkania. Powiedziałam mu, że nadal pragnę zostać jego żoną, i zmusiłam go, aby zamienił mój pierścionek zaręczynowy na inny. A potem… oddałam się mu. – Urwała i dodała pospiesznie: – Oczywiście nie w biurze.

– Mój Boże, mam nadzieję, że nie musiał się bronić! – Kathleen z trudem utrzymywała powagę.

Devon rzucił żonie sardoniczne spojrzenie.

– Lady Trenear, niech Sutton przyniesie jedną z moich koszul. Jakąś luźniejszą.

– Tak, mój panie. – Kathleen wstała z klęczek. – Może powinien też przynieść… – Przerwała i z dezaprobatą pokręciła głową, kiedy ostatni pas koszuli opadł z ciała Rhysa, odsłaniając czarny od siniaków bark. Obrażenie musiało być bardzo bolesne, o czym świadczyły napięte węzły mięśni, splątane pod skórą.

Helen poraził ten widok. Delikatnie ujęła palcami przegub Rhysa; miała wrażenie, że mężczyzna nachylił się ku niej, aby chłonąć ukojenie z jej dotyku.

– Jak to się stało? – Devon lekko trącił Rhysa, zmuszając go, aby się pochylił i pokazał mu poobijany grzbiet.

– Byłem z Severinem na terenie rozbiórki paru kamienic przy King's Cross – wymamrotał Rhys. – Spadły na mnie szczątki wysiedlonego budynku.

Mars na czole Devona tylko się pogłębił.

– Od kiedy to kolekcjonujesz nieszczęśliwe wypadki?

– Odkąd zacząłem spędzać więcej czasu z przyjaciółmi – odrzekł lodowato Rhys.

– Aż boję się pytać, czy Severin też oberwał.

– Nie ma nawet zadrapania.

Devon westchnął i zwrócił się do Kathleen:

– Oprócz koszuli potrzebujemy też brandy i pokruszonego lodu. Aha, i okładów z kamforą, takich samych, jakie przykładano mi na połamane żebra.

Kathleen w paru krokach znalazła się przy drzwiach. Otworzyła je – i zamarła, widząc podsłuchującą gromadę służby. Jej spojrzenie przesunęło się po trzech pokojówkach, głównym lokaju Suttonie, pani Abbott oraz kamerdynerze Devona.

Pierwsza odzyskała rezon ochmistrzyni.

– Przecież mówiłam wam, że macie się zająć robotą i pilnować swoich spraw! – powiedziała głośno.

Kathleen odchrząknęła, żeby nie parsknąć śmiechem.

– Sutton – zwróciła się do lokaja – chcę, żebyś zaraz dostarczył mi parę rzeczy potrzebnych naszemu gościowi. Czy słyszałeś wszystko, co mówił lord Trenear, czy mam powtórzyć listę?

– Brandy, lód, kamfora i koszula – wyrecytował lokaj z urażoną godnością. – Przyniosę również chustę, aby zrobić temblak na ramię poszkodowanego dżentelmena.

Zanim Kathleen zdążyła odpowiedzieć, wszystkie trzy pokojówki ochoczo zaoferowały, że posprzątają bibliotekę. Nie potrafiła się oprzeć ich zapałowi do pracy, choć wiedziała, że kieruje nimi raczej przemożne pragnienie oglądania półnagiego przystojniaka. Widząc, jak łypią na niego i wyciągają szyję, uznała, że ten powód jest dużo ważniejszy.

– Sama posprzątam, moja pani – powiedziała ochmistrzyni, wyganiając z biblioteki płoche panny. – Już idę po szczotkę.

Kathleen zwróciła się do bliźniaczek, które stały w progu:

– Czy chciałybyście o coś spytać, dziewczęta?

Pandora spojrzała na nią z nadzieją.

– Czy możemy się przywitać z panem Winterborne'em?

– Później, kochanie. Na razie nie czuje się dobrze.

– W takim razie powiedz mu, że jest nam bardzo przykro, że spadł na niego ten budynek – powiedziała Cassandra ze szczerym przejęciem.

Rozbawienie wkradło się w głos Kathleen, kiedy odpowiedziała:

– Dobrze, przekażę mu. A teraz już idźcie.

Gdy bliźniaczki niechętnie się oddaliły, Kathleen zamknęła drzwi i wróciła do grupki skupionej przy kanapie. Po drodze zgarnęła z oparcia fotela ciepły pled.

Devon uważnie badał bark Winterborne'a, delikatnie go obmacując, aby sprawdzić, czy nie został wybity.

– Powinieneś leżeć w łóżku – rzucił szorstko – a nie wlec się przez cały Londyn, żeby oświadczyć się dziewczynie, którą zhańbiłeś.

Rhys łypnął na earla spode łba.

– Po pierwsze, wcale się nie wlokłem, a po drugie, Helen nie… Do cholery, boli! – Wykończony zwiesił głowę na piersi.

Helen patrzyła na niego ze współczuciem. Wiedziała, że Rhys nie cierpi chwil, kiedy nie ma kontroli nad sytuacją. Zawsze był nienagannie ubrany i sprawny, a jego nazwisko każdemu kojarzyło się z sukcesem, luksusem i elegancją. Żadna z tych cech nie pasowała do poturbowanego, zgnębionego i obdartego do połowy z ubrania nieszczęśnika, siedzącego na podłodze.

– Co ja nie? – zachęciła, kierując jego myśli na właściwy tor.

– Nie zostałaś zhańbiona. Jesteś nieskazitelna.

Serce Helen ścisnęła bolesna słodycz. Marzyła, aby utulić ukochanego i pocieszyć go; niestety, musiała się ograniczyć do delikatnego głaskania go po włosach. Podsuwał głowę pod jej pieszczotę jak ułagodzony wilk. Przesunęła opuszkami palców w dół, wzdłuż jego twarzy i twardej linii szczęki, a potem niżej, ku zdrowemu, silnemu ramieniu.

– Wydaje się, że wszystko jest w porządku – ocenił Devon, prostując się. – Nie sądzę, aby bark został wybity. Helen, jeżeli nie przestaniesz pieścić tego drania na moich oczach, będę musiał mu dołożyć z drugiej strony!

Helen z ociąganiem cofnęła rękę.

Rhys za to uniósł głowę i rzucił Devonowi wyzywające spojrzenie.

– Dzisiaj Helen odjedzie stąd ze mną.

Oczy Devona rozbłysnęły niebezpiecznie.

– Jeżeli myślisz…

– Myślimy o ślubie w czerwcu – podsunęła szybko Helen. – A teraz najbardziej nam zależy na twojej zgodzie, kuzynie Devonie.

– Proszę, panie Winterborne – powiedziała żywo Kathleen, pochylając się nad Rhysem i okrywając pledem jego plecy i tors. – Przeniesiemy pana na kanapę, bo po podłodze ciągnie.

– Nie potrzebuję pomocy – burknął Rhys i z wysiłkiem wciągnął się na okryte skórą siedzisko. – Helen, pakuj się – rzucił.

Skonfundowana Helen nie wiedziała, co robić. Nie miała ochoty przeciwstawiać się Rhysowi, który był okrutnie zbolały i wymagał opieki. Ale też nie chciała opuszczać Ravenel House w takich okolicznościach. Devon zachował się niezwykle wielkodusznie wobec niej i bliźniaczek, pozwalając im pozostać w Eversby Priory – każdy inny przywódca rodu na jego miejscu odprawiłby je bez namysłu. Helen nie chciała dzielić rodziny głupią ucieczką i wykluczeniem jej członków ze swojego ślubu.

Błagalnie zerknęła na Kathleen, prosząc o pomoc. Bratowa natychmiast zrozumiała, o co chodzi. Ruszyła jej w sukurs, przemawiając do Rhysa uspokajającym tonem:

– Myślę, że nie ma takiej potrzeby, panie Winterborne. Oboje zasługujecie na ceremonię z prawdziwego zdarzenia, z tłumem rodziny i przyjaciół, a nie na jakąś namiastkę zaliczoną w pośpiechu.

– Tobie i Trenearowi taka namiastka jakoś nie przeszkadzała – odparował Rhys. – Skoro wy nie czekaliście na ślub, czemu my musimy? – Minęły najwyżej dwie sekundy, zanim jego żywy umysł skojarzył, o co chodzi. – Jesteś przy nadziei. Moje gratulacje.

– Nie musiałaś mu o tym mówić – mruknął Devon.

Kathleen uśmiechnęła się i usiadła na kanapie.

– Pan Winterborne będzie wkrótce członkiem naszej rodziny – rzekła.

Devon potarł dłonią czoło, jakby nagle dostał ataku migreny.

– To samo odnosi się do Helen. – Rhys nie zamierzał go oszczędzać. – Ona także może się spodziewać dziecka.

– Tego jeszcze nie wiemy. – Helen troskliwym gestem poprawiła koc na jego barkach. – Jeśli tak się okaże, trzeba będzie zmienić plany. Wolałabym jednak poczekać z decyzjami, dopóki nie będzie pewności.

Rhys wpatrywał się w nią intensywnie, nie starając się ukryć pożądania, które w nim narastało.

– Nie mogę się na ciebie doczekać – powiedział tęsknie.

– Ale będziesz musiał – uciął chłodno Devon. – Tylko pod takim warunkiem mogę zezwolić na ślub. Potraktowałeś Helen jak pionek w szachowej rozgrywce i usiłowałeś zmanipulować sytuację na swoją korzyść. Dlatego teraz będziesz musiał wziąć na wstrzymanie aż do czerwca, bo tyle czasu minie, zanim znów będę w stanie patrzeć na ciebie bez morderczych zapędów. Mam też dość Ravenelówien, które dostają amoku w Londynie. Skoro się dogadaliśmy, wracam z rodziną do Hampshire. – Spojrzał na Kathleen, pytająco unosząc brwi.

Skinęła głową na znak, że się z nim zgadza.

W tej samej sekundzie zza drugich drzwi biblioteki rozległo się buntownicze „Nieee!”.

Kathleen szybko spojrzała w tamtą stronę.

– Pandoro, proszę nie podsłuchiwać! – zawołała.

– To nie Pandora – zza drzwi dobiegła stłumiona odpowiedź – tylko Cassandra.

– Nieprawda! – zaprzeczył dziewczęcy głos. – Ja jestem Cassandra, a Pandora chce mnie wpędzić w kłopoty!

– Obie się wpędziłyście – powiedział krótko Devon. – Marsz na górę!

– Nie chcemy wyjeżdżać z Londynu – zaprotestowała jedna z dziewcząt, a druga dodała:

– Wieś jest taka świry-tująca!

Devon zerknął na Kathleen. Oboje musieli przygryźć wargi, żeby nie parsknąć śmiechem.

– Kiedy będę mógł znów zobaczyć Helen? – zapytał ostro Rhys.

Devon zdawał się napawać bezsilnością swojego niedawnego przyjaciela.

Rhys tymczasem zwrócił się do wybranki swego serca:

– *Cariad*, chcę, żebyś…

– Błagam, nie proś mnie o to – odparła szybko Helen. – Przecież sami wcześniej myśleliśmy o czerwcu. Nic nie tracisz. Jesteśmy ponownie zaręczeni i w ten sposób mamy rodzinę po naszej stronie. – Widziała na jego twarzy walkę wściekłości, dumy i pragnienia. – Proszę – dodała z naciskiem. – Powiedz, że na mnie poczekasz.

Rozdział 11

Ravenelowie odesłali Winterborne'a powozem do domu – z ręką na temblaku i barkiem obłożonym lodem w gumowych woreczkach, zjedli kolację i wreszcie udali się na zasłużony odpoczynek. Kathleen była zadowolona. Bynajmniej nie zaskoczyło jej to, że Devon, pomimo głębokiej urazy, zadbał o przyjaciela, zanim puścił go w drogę. I jakkolwiek pan Winterborne go zawiódł i zirytował, nie miała wątpliwości, że z czasem mu wybaczy.

Patrzyła wyczekująco, jak Devon zsuwa z siebie szlafrok i wchodzi do łóżka. Jej mąż, który pasjonował się jazdą konną, boksem i mnóstwem innych sportów, był pięknie zbudowany i wyrzeźbiony.

Ułożył się na plecach i przeciągnął z westchnieniem.

Kathleen oparła się na łokciu i wsunęła palce w ciemny gąszcz na jego piersi.

– Czy nie uważasz, że to nazbyt surowy nakaz, aby nie mogli się zobaczyć przez całe pięć miesięcy? – zapytała.

– Nie ma siły boskiej, żeby Winterborne wytrzymał tyle czasu z dala od niej.

Kathleen uśmiechnęła się, sunąc palcami wzdłuż linii obojczyków męża.

– Ten drań pędzi przez życie niczym zwycięska armia. Gdybym od czasu do czasu nie zmuszał go do odwrotu, zacząłby mną gardzić. Poza tym ciągle mam ochotę go zabić za to, co zrobił Helen. – Devon westchnął krótko. – Wiedziałem, że nie mogę zostawić dziewczynek samych nawet na jeden dzień. Pomyśleć, że martwiłem się o bliźniaczki, a tymczasem to Helen uciekła i wywołała skandal.

– Nie chciała wywołać skandalu – zaoponowała Kathleen, jak zwykle rozsądna. – Helen po prostu przyjechała, żeby… żeby odzyskać narzeczonego. Dlatego musisz spojrzeć na sprawę także z innej strony. To niesprawiedliwe całą winą obciążać Rhysa.

Devon uniósł brwi.

– Czemu teraz bierzesz jego stronę? Przecież od początku byłaś przeciwna jego kandydaturze?

– Z powodu Helen. Wiedziałam, że jest gotowa zrobić wszystko dla dobra rodziny – nawet wyjść za człowieka, którego nie kocha. Wiedziałam również, że pan Winterborne ją przeraża. Ale to się zmieniło. Teraz wiem, że Helen naprawdę go pragnie. I już się go nie boi. Fakt, że dziś tak sprytnie postawiła na swoim, całkowicie zmienił moje zdanie o tym związku. Jeśli więc Helen tego chce, będę jej sprzyjać.

– Nie mogę tolerować postępowania Winterborne'a – mruknął Devon nieprzejednanym tonem. – Absolutnie nie zważając na mnie, nie mówiąc już o innych względach, zabrał cnotę młodej kobiecie, będącej w mojej pieczy. To sprawa honoru.

Kathleen uniosła się wyżej na łokciu i popatrzyła w niebieskie oczy swojego ukochanego.

– I kto to mówi? – zapytała z łagodną kpiną. – Mężczyzna, który uwodził mnie i posiadał niemal w każdym pokoju, na schodach i w stodole Eversby Priory? Czy choć przez chwilę zważałeś na moją cnotę?

Mars zniknął z czoła Devona.

– To inna sprawa…

– Dlaczego, jeśli wolno spytać?

Devon chwycił ją i w ułamku sekundy ich pozycje się odwróciły. Zaskoczona Kathleen zachichotała jak dziewczynka.

– Bo – wymruczał niskim głosem – ja straszliwie cię pragnąłem…

Śmiała się i wiła, kiedy ściągał z niej nocną koszulę.

– …i jako pan na włościach – ciągnął, z upodobaniem odsłaniając nagość żony – uznałem, że czas wyegzekwować moje *droit de seigneur*.

– Prawo pana? Jakbym była średniowieczną dziewką? – Kathleen udawała oburzoną. Popchnęła Devona na plecy i znów zajęła

górującą pozycję. Gdy chwyciła go za przeguby i próbowała przygwoździć do materaca całym swoim ciężarem, parsknął śmiechem.

– Kochanie, nic z tego. Jesteś niewiele cięższa od motyla. – Spodobała mu się jednak ta zabawa. Leżał nieruchomo, patrząc, jak Kathleen z całej siły ściska jego szerokie przeguby. – Od bardzo upartego motyla – dodał. Wpatrywał się w nią coraz bardziej pożądliwie, aż jego uśmiech uleciał, a niebieskie oczy pociemniały jak niebo przed burzą. – Byłem egoistycznym draniem – powiedział miękko. – Nie powinienem był cię uwodzić.

– Pozwoliłam na to – przypomniała Kathleen, zaskoczona jego szczerą skruchą. Devon się zmienia, pomyślała. Szybko dojrzewa pod narastającym ciężarem obowiązków, które nagle musiał wziąć na swoje barki.

– Teraz rozegrałbym to inaczej. Wybacz mi, Kathleen. – Urwał i zmarszczył brwi. – Nie wychowano mnie na człowieka honoru. A cholernie trudno jest się tego nauczyć.

Kathleen puściła jego nadgarstki i splotła swoje palce z palcami męża.

– Nie musisz niczego żałować ani prosić o wybaczenie.

Devon pokręcił głową, nie przyjmując odpuszczenia win.

– Powiedz mi, jak mam odpokutować?

Nachyliła się i musnęła jego usta wargami.

– Kochaj się ze mną… – szepnęła.

– Zawsze – powiedział szeptem drżącym z pożądania, zagarniając usta Kathleen i wędrując dłońmi po jej ciele.

Brał ją niespiesznie, z wirtuozerską wprawą. Przetrzymał ją, choć dawno już była gotowa, by go przyjąć, aż wreszcie rozsunął jej uda i zanurzył się w nią. Kathleen wiła się niecierpliwie, kiedy nie chciał wejść głębiej, choć nagliła go, jak mogła.

– Devon… – wykrztusiła, spazmatycznie łapiąc powietrze. – Chcę więcej.

– Więcej czego? – spytał, sunąc ustami po jej wyprężonej szyi.

– Och, nienawidzę, kiedy się tak ze mną droczysz!

Uśmiechnął się.

– Nienawidzisz i uwielbiasz – zaznaczył i wsunął się odrobinę głębiej.

– Jeszcze… – szepnęła bez tchu. – Dalej, Devon…

– O to ci chodzi? – zapytał łagodnie.

Kathleen wygięła się w łuk i niemy krzyk wyrwał się jej z ust, kiedy wreszcie przypuścił na nią szalony, czuły szturm, pełen miłości dla jej ciała i duszy.

– Fernsby! – Rhys ze zmarszczonymi brwiami wczytywał się w dokumenty leżące na jego biurku.

Sekretarka natychmiast pojawiła się w uchylonych drzwiach gabinetu.

– Tak, panie Winterborne?

– Wejdź. – Wyprostował się w fotelu, starannie wyrównał stosik papierów, wsunął je do tekturowej teczki i opasał ją gumką.

– Właśnie przejrzałem dokumenty przysłane przez biuro pana Severina – powiedział, wręczając jej teczkę.

– Te, które dotyczą czynszówek w okolicy King’s Cross?

– Taa. Akty prawne, hipoteki, umowy z wykonawcami i tak dalej. – Rzucił kobiecie mroczne spojrzenie. – Jednak w całej tej obfitej dokumentacji brakuje nazwiska właściciela. Severin powinien wiedzieć, że nie zwykłem kupować nieruchomości, nie wiedząc, do kogo należy.

– Byłam pewna, że w myśl przepisów w dokumentach musi być wymieniony właściciel.

– Można to obejść. – Rhys ruchem brody pokazał na teczkę, którą trzymała pani Fernsby. – Hipoteka nie była finansowana przez bank, lecz przez kredyt, który udzieliła prywatna spółdzielnia budowlana. Zgodnie z aktem prawnym nieruchomość jest własnością prywatnej spółki inwestycyjnej. Jestem gotów się założyć, że ustanowiony został zarząd powierniczy w imieniu anonimowego właściciela.

– Dlaczego ktoś miałby zadawać sobie tyle trudu, zamiast wystąpić pod własnym nazwiskiem?

– Dawniej sam anonimowo nabywałem nieruchomości, aby sprzedający nie windował ceny, usłyszawszy moje nazwisko. Poza tym mam swoich biznesowych adwersarzy, którzy żeby dać mi nauczkę, przy każdej okazji utrąciliby moje przedsięwzięcia. Motywy tego człowieka mogą być podobne. Ale muszę mieć jego nazwisko.

– A pan Severin go nie zdradzi, jeśli pan o to poprosi?

Rhys pokręcił głową.

– Gdyby zechciał, już dawno by powiedział. Moim zdaniem wie, że gdybym je poznał, nie doszłoby do transakcji.

– Czy mam przekazać tę sprawę człowiekowi, z którego usług korzystaliśmy przy zakupie fabryki konserw?

– Taa, on może być.

– Dobrze, zaraz się tym zajmę. Doktor Havelock czeka, by zamienić z panem kilka słów.

Rhys wywrócił oczami.

– Powiedz mu, że mój bark jest zdrowy i…

– Szkoda mojego cennego czasu na twój bark – od progu rozległ się śmiertelnie poważny głos. – Przyszedłem w dużo ważniejszej sprawie.

Doktor William Havelock niegdyś leczył znane londyńskie rodziny. Był również liberalnym żurnalistą medycznym, piszącym o leczeniu najuboższych i problemach publicznej służby zdrowia. W końcu bogaci pacjenci zaczęli mieć dość politycznych dysput, które wszczynał, i zrezygnowali z jego usług na rzecz mniej kłopotliwych doktorów.

Rhys zatrudnił Havelocka dziesięć lat temu, kiedy przeniósł swój magazyn na renomowaną Cork Street. Uznał, że potrzebny mu będzie etatowy lekarz, który zadba o jego załogę i utrzyma ją w dobrej formie.

Havelock, wdowiec w średnim wieku, był krępym, silnie zbudowanym mężczyzną z grzywą śnieżnobiałych włosów i oczami, które widziały niejeden ludzki wzlot i upadek. Pobrużdżona twarz lekarza miała nieustępliwy wyraz, ale przy pacjentach jego rysy łagodniały i zmieniał się w łagodnego dziadunia, natychmiast zyskując ich zaufanie.

– Doktorze Havelock – zaczęła pani Fernsby z nutą nagany – prosiłam, aby zaczekał pan w pomieszczeniu dla gości.

– Winterborne nie przejmuje się moim regulaminem, więc i ja nie zamierzam uznawać jego zasad – odpowiedział doktor z rozdrażnieniem.

Oboje wymienili spojrzenia spod zmrużonych powiek. Spora grupa pracowników uważała, że pod maską oficjalnej niechęci kryło się wzajemne zauroczenie doktora i sekretarki. Widząc ich w tym momencie, Rhys był skłonny uwierzyć w te plotki.

– Dzień dobry, Havelock – powitał lekarza. – W jaki sposób naruszam twój regulamin?

– Nasyłając mi niezapowiedzianego gościa w samym środku dnia, kiedy mam całą poczekalnię pacjentów.

Rhys posłał pani Fernsby pytające spojrzenie.

– Chodzi mu o doktor Gibson – wyjaśniła sekretarka. – Odbyłam z nią rozmowę, tak jak pan prosił, i uznawszy, że jest osobą bardzo miłą i fachową, niezwłocznie wysłałam ją do doktora Havelocka.

– Jak mogłaś ocenić jej kwalifikacje, Fernsby? – najeżył się medyk.

– Ma dyplom z wysoką lokatą i inne dowody uznania w zawodzie – odparowała pani Fernsby.

– Z Francji – podkreślił z lekceważeniem.

– Pomna tego, jak angielscy doktorzy przyczynili się do śmierci mojego biednego małżonka, zawsze wybrałabym francuskiego lekarza.

Rhys nie mógł czekać, aż potyczka przerodzi się w prawdziwą awanturę.

– Podejdź, Havelock – powiedział szybko. – Porozmawiamy o doktor Gibson.

Lekarz minął kobietę, rzucając ostentacyjnie:

– Poprosiłbym herbatę, Fernsby.

– Dla ciebie jestem panią Fernsby – warknęła. – A herbaty możesz się napić w kantynie.

Havelock zrobił urażoną minę.

– Dlaczego on może na ciebie mówić Fernsby?

– Bo jest panem Winterborne'em, a ty nie. – Sekretarka demonstracyjnie przeniosła uwagę na Rhysa. – Czy napije się pan

herbaty, szefie? Bo jeśli tak, może na tacy znajdzie się także filiżanka dla doktora Havelocka.

Rhys z trudem stłumił śmiech.

– Skoro tak, z chęcią. Dzięki, Fernsby.

Kiedy sekretarka wyszła, Rhys zwrócił się do Havelocka:

– Wyjaśniłem doktor Gibson, że masz wyrazić zgodę na jej zatrudnienie.

Głęboka bruzda wykwitła na czole starszego mężczyzny.

– Czyż sam nie mówiłeś mi miesiąc temu, że potrzebujesz asysty? – brnął Winterborne.

– Owszem, ale to ja powinienem dokonać wyboru. Potrzebuję kogoś, kogo mógłbym przyuczyć i przeszkolić.

– Wątpisz w jej wiedzę i fachowość?

Gdyby Havelock chciał, mógłby jednym słowem czy artykułem w medycznej prasie utrącić dobrze zapowiadającą się karierę młodej lekarki. Jednak uczciwość nie pozwoliła mu na to.

– Gdyby zgłosił się do mnie mężczyzna z takimi kwalifikacjami, zatrudniłbym go bez chwili wahania. Ale kobieta? Zbyt dużo jest uprzedzeń w tym względzie. Nawet pacjentki wolą lekarza mężczyznę.

– Początkowo. Dopóki się nie przyzwyczają do obecności lekarki. – Widząc, że nie przekonał Havelocka, Rhys argumentował dalej ze skrywanym rozbawieniem: – Posłuchaj, zatrudniam setki ciężko pracujących kobiet, które codzienne udowadniają swoje zdolności i umiejętności. Ostatnio awansowałem sprzedawczynię na kierowniczkę działu i radzi sobie równie dobrze jak mężczyzna. Fachowość Fernsby jest poza jakąkolwiek dyskusją. Nie jestem radykałem, Havelock, ale praktykiem – a to są fakty. Skoro jednak mowa o praktyce, proponuję, aby pani Gibson pokazała, ile jest warta.

Havelock z udręczoną miną przeczesał palcami białe włosy.

– Dość już się nawalczyłem w życiu, Winterborne. Nie chcę się mieszać do batalii kobiet przeciwko niesprawiedliwości.

Rhys się uśmiechał, lecz jego spojrzenie było nieugięte.

Doktor westchnął ciężko, gdyż zrozumiał, że nie ma wyboru.

– Niech cię piekło pochłonie, Winterborne.

Dzień był wyjątkowo zimny; inkrustowane szronem powietrze kłuło w nos i mroziło zęby. Helen wzdrygnęła się i mocniej zaciągnęła wełnianą półpelerynę wokół szyi i ramion, zaciskając pobielałe od zimna wargi.

Zgodnie z wymogami żałoby minęło już wystarczająco dużo czasu od śmierci Theo i siostry Ravenel mogły pokazywać się publicznie z odkrytymi twarzami, pod warunkiem że zachowały czarne woalki – zsunięte do tyłu i udrapowane na kapeluszach albo czepcach. Helen cieszyła się, że nie musi więcej patrzeć na świat przez czarną koronkę.

Rodzina Ravenelów wraz z niewielką grupką służby stała na peronie, czekając na pociąg, który miał ich zabrać z Londynu do Hampshire. Helen miała wrażenie, że stacja Waterloo Bridge – dziesięcioakrowy system wiat i bud peronowych, ustawionych pośród całej sieci torów i bocznic – została specjalnie pomyślana tak, aby przyprawić podróżnych o ból głowy. Liczba pasażerów co roku praktycznie się podwajała, więc dworzec rozwijał się w sposób dynamiczny, choć niekontrolowany. Co gorsza, pracownicy stacji udzielali podróżnym sprzecznych informacji na temat peronów oraz czasu odjazdów i przyjazdów. Bagażowi dostarczali kufry i walizki do niewłaściwych składów. Podobnie trudno było trafić na właściwą kasę biletową czy postój dorożek. Zdesperowani ludzie miotali się po peronach.

Helen podskoczyła, kiedy obok niej orkiestra dęta dziarsko zaczęła grać pułkowy marsz. To pierwszy batalion pułku Gwardii Coldstream przyjechał z Chichester, witany przez wiwatujący tłum.

Devon był wyraźnie poirytowany tym rozgardiaszem.

– Pójdę i zorientuję się, kiedy przyjedzie ten cholerny pociąg – zwrócił się do Kathleen. – Czekajcie tu i nie ruszajcie się, dopóki nie wrócę. Powiedziałem już lokajowi, że jeśli jakikolwiek mężczyzna ośmieli się zaczepić ciebie albo dziewczyny, ma go stłuc na kwaśne jabłko.

Kathleen popatrzyła na męża i mocniej zaparła się butami o deski peronu, jakby chciała zapuścić tam korzenie.

Devon pokręcił głową.

– Nie sprawiasz wrażenia posłusznej żony – powiedział i musnął jej policzek dłonią w rękawicy.

Kiedy się oddalił, zawołała za nim:

– A powinnam?

– Chciałbym to wreszcie zobaczyć – rzucił przez ramię, nie zwalniając kroku.

Kathleen ze śmiechem przysunęła się bliżej Helen. Tymczasem bliźniaczki z otwartymi ustami podziwiały paradę gwardzistów, ubranych w olśniewające szkarłatne, mundurowe kurtki ze złotymi guzikami. Kathleen spoważniała, zauważywszy przygnębione spojrzenie Helen.

– Przykro mi, że musimy wyjechać z Londynu – rzekła.

– Niepotrzebnie. Ja wcale się nie martwię.

Oczywiście nie była to prawda. Helen nie mogła się pogodzić z myślą, że tak długo nie zobaczy Rhysa. Zwłaszcza że pamiętała, jak się wściekał, kiedy nie zgodziła się z nim uciec. Nie przywykł do biernego czekania. Nikt też nie odmawiał mu tego, czego pragnął.

Od kiedy Rhys opuścił Ravenel House, Helen pisała do niego codziennie. W pierwszym liście dopytywała o zdrowie, w drugim zdradziła mu plan rodzinnej podróży, a w trzecim, w przypływie zwątpienia, ośmieliła zapytać, czy żałuje, że się zaręczyli.

Po każdym z nich w ciągu paru godzin przychodziła zwięzła odpowiedź, napisana zamaszystym, kaligraficznym pismem. W pierwszym liście Rhys zapewniał, że jego bark goi się szybko, a w drugim podziękował jej za wiadomość o wyjeździe Ravenelów.

Jednak na trzeci list nie odpowiedział.

Może jednak pożałował swojego kroku? Może się nią rozczarował? Bardzo szybko.

Helen nie chciała martwić rodziny i udawała, że ma dobry humor, lecz Kathleen nie dała się zwieść.

– Czas szybko ci minie – pocieszyła. – Zobaczysz.

– Tak. – Helen kiwnęła głową z wymuszonym uśmiechem.

– Musielibyśmy wrócić do Hampshire, nawet gdyby nie było tej awantury z panem Winterborne'em. Jest tam mnóstwo roboty

w związku z budową torów i kopalni na naszych terenach. Nie można zostawić tego wszystkiego na głowie Westa.

– Rozumiem, ale… Po prostu mam nadzieję, że kuzyn Devon przestanie być taki nieprzejednany i wściekły w stosunku do pana Winterborne'a.

– Nie martw się, wkrótce mu przejdzie – zapewniła Kathleen. – Devon nie chce być okrutny, lecz przecież ty i bliźniaczki jesteście pod jego opieką i bardzo się o was troszczy. – Rozejrzała się i zniżyła głos: – Powiedziałam mu, że nie jest zbrodnią, kiedy mężczyzna kocha się z kobietą, z którą chce się ożenić. A on nie oponował. Jednak nie podoba mi się sposób, w jaki pan Winterborne zmanipulował całą sytuację.

– Myślisz, że kiedyś znów będą przyjaciółmi? – odważyła się zapytać Helen.

– Oni cały czas są przyjaciółmi. Kiedy dojedziemy na miejsce i minie parę tygodni, przekonam Devona, aby zaprosił pana Winterborne'a do Hampshire.

Helen zacisnęła dłonie w rękawiczkach, usiłując ukryć ekscytację. Nie chciała publicznie zrobić z siebie przedstawienia.

– Och, nie mogę się doczekać – szepnęła tylko.

Kathleen rozbłysły oczy.

– A tymczasem będziesz miała tyle zajęć, że czas szybko ci zleci. Musisz wszystko przejrzeć i zadecydować, co będziesz chciała zabrać do Londynu. Przede wszystkim swoje osobiste rzeczy, ale też meble czy ozdoby, które pomogą ci urządzić nowy dom tak, abyś się w nim czuła jak u siebie.

– Och, jesteś nadzwyczaj hojna. Ale nie chciałabym zabierać niczego, co może ci się przydać.

– Kochana, w Eversby Priory jest dwieście pokojów, a w nich meble, których w większości nikt nie używa, oraz obrazy, których nikt nie ogląda. Możesz wybrać, co zechcesz, zgodnie z prawem pierworództwa.

Uśmiech Helen zbladł przy ostatnim słowie.

Rozmowę zagłuszyły sapanie i gwizd pociągu, zbliżającego się z drugiej strony peronu. Zapach metalu, rozgrzanych smarów,

węglowego pyłu i pary wypełnił wiatę, a deski podłogi zdawały się dygotać z niecierpliwości.

Helen cofnęła się odruchowo, choć stała w głębi peronu. Orkiestra grała, żołnierze maszerowali, a ludzie wiwatowali i klaskali.

Kiedy pociąg stanął, z wagonów zaczęli wysiadać pasażerowie, na których czekali tragarze z wózkami. Gwar i pokrzykiwania zrobiły się tak głośne, że Helen musiała zakryć uszy. Kathleen przygarnęła do siebie bliźniaczki, aby odsunąć je od napierającego tłumu. Wokół nich ludzie przepychali się i potrącali nawzajem. Lokaj Peter robił, co mógł, by uchronić kobiety przed stratowaniem.

Ostry powiew wiatru wleciał pod wiatę, szarpiąc pelerynę Helen. Guzik wysunął się z pętelkowego zapięcia z jedwabnego sznurka. Chwyciwszy mocno poły, odwróciła się tyłem do wiatru i usiłowała zapiąć guzik, lecz palce miała skostniałe z zimna.

Dwie młode kobiety, dźwigające walizki i pudła na kapelusze, opuszczały peron w takim pośpiechu, że wpadły na Helen i odepchnęły ją na bok. Zachwiała się, szybko zrobiła krok, żeby odzyskać równowagę, i zderzyła się z jakimś twardym, dużym ciałem. Stłumiła okrzyk, kiedy dłonie chwyciły ją w pasie i podtrzymały.

– Przepraszam pana – wyjąkała. – Ja nie… – Nagle uświadomiła sobie, że patrzy w oczy czarne jak północne niebo. Motyle zatrzepotały w jej brzuchu, a kolana się pod nią ugięły. – Rhys – szepnęła.

Bez słowa wyrównał jej pelerynę i zapiął guzik. W pięknym płaszczu z czarnej wełny i szarym kapeluszu wyglądał niezwykle elegancko. Ale ten wytworny styl nie był w stanie złagodzić widocznego napięcia i niebezpiecznie wybuchowego nastroju.

– Dlaczego przyszedłeś? – zapytała, nie zważając na galopujące serce.

– Myślałaś, że pozwolę ci opuścić Londyn bez pożegnania?

– Nie myślałam… Chciałam… Bardzo się cieszę… – zamilkła oszołomiona i zakłopotana.

Rhys przyłożył dłoń do pleców Helen i delikatnie pchnął ją ku wysokiej drewnianej przegrodzie, która oddzielała perony. Była cała

oklejona ogłoszeniami i zawiadomieniami dotyczącymi kursów pociągów oraz ich zmian.

– Milady! – zawołał ktoś za plecami Helen.

Obejrzała się przez ramię.

Lokaj Peter patrzył na nią z niepokojem, usiłując jednocześnie uchronić resztę rodziny przed naporem tłumu wysiadających pasażerów.

– Pani, earl kazał mi pilnować, abyśmy się nie rozdzielali!

– Ja jej popilnuję – zaoferował burkliwie Rhys.

– Ależ, panie…

Kathleen, która dopiero teraz dostrzegła obecność Rhysa, przerwała słudze:

– Daj im pięć minut, Peter. – Rzuciła Helen błagalne spojrzenie i wymownie pokazała pięć palców.

Helen zdążyła nerwowo skinąć głową, zanim Rhys zaciągnął ją w kąt, utworzony przez ściankę peronu i ozdobny żeliwny słup podtrzymujący wiatę. Stanął tak, aby szerokimi plecami oddzielić ją od tłumu.

– Już myślałem, że cię nie znajdę – powiedział niskim, głębokim głosem i dodał: – Jesteście na niewłaściwym peronie.

– Kuzyn Devon właśnie poszedł o wszystko rozpytać. – Lodowaty powiew wyszarpnął kilka jasnych pasemek z fryzury Helen i wślizgnął się pod kołnierz. Wzdrygnęła się z zimna i ciaśniej otuliła peleryną.

– Słyszę, jak dzwonią ci zęby – powiedział Rhys. – Chodź tu bliżej.

Helen z zakłopotaniem, ale i z tęsknotą patrzyła, jak Rhys rozchyla poły dwurzędowego płaszcza.

– Nie, czekaj… Nie trzeba.

Ignorując jej protesty, przyciągnął ją do siebie i troskliwie owinął ciepłym materiałem. Helen przymknęła oczy, przenosząc się nagle w tak jej bliski świat. Gruba wełna tłumiła odgłosy, oddzielając ją od dworcowego zgiełku. Czuła się jak małe leśne stworzenie, skulone w swojej norce, chowające się przed czyhającym na zewnątrz niebezpieczeństwem. Rhys był duży, silny i ciepły; jej ciało zaczęło się odprężać w jego objęciach, zanim zdała sobie z tego sprawę.

– Lepiej? – Gorący oddech owiał jej ucho.

Helen kiwnęła głową.

– Dlaczego nie odpowiedziałeś na mój ostatni list? – spytała stłumionym głosem.

Palce, odziane w gładką skórę eleganckiej rękawiczki, ujęły jej brodę i lekko uniosły. W oczach Rhysa mignął kpiący błysk.

– Może nie spodobało mi się twoje pytanie.

– Przestraszyłam się… To znaczy pomyślałam…

– Że zmieniłem zdanie? Że mogę już cię nie chcieć? – Jakaś nuta w jego głosie sprawiła, że Helen przeszedł dreszcz. – Chcesz dowodu na to, co do ciebie czuję, *cariad*?

Zanim zdążyła odpowiedzieć, rozgniótł jej usta swoimi ustami w skandalicznym, publicznym pocałunku. Nie dbał już o nic. Pragnął jej i chciał, aby o tym wiedziała, aby to czuła, aby mogła tego posmakować. Helen zarzuciła mu ręce na szyję i uwiesiła się na nim. Miała wrażenie, że czas się zatrzymał, rozciągając ten pocałunek w nieskończoność. Nienasycone wargi Rhysa paliły ją, a chłodna skóra rękawiczki gładziła policzek. Półprzytomnie uświadomiła sobie, że nie powoduje nim gniew. Zjawił się tu, bo potrzebował potwierdzenia. Był tak samo niepewny jej jak ona jego.

Rhys przerwał pocałunek z głębokim westchnieniem, wibrującym niespełnioną namiętnością. W zimnym powietrzu oddech buchał mu parą z ust.

Nie zdejmując rękawiczki, sięgnął do wewnętrznej kieszeni płaszcza, wyjął z niej małą zapieczętowaną kopertę i podał Helen. Zanim zdążyła o cokolwiek zapytać, rzekł:

– Powiedz swojej rodzinie, żeby przeszła na peron ósmy kładką dla pieszych.

– Kiedy…

– *Hwyl fawr am nawr.* – Rhys rzucił Helen ostatnie spojrzenie. W jego oczach mignął gniewny żal. – Czyli „do zobaczenia” – przetłumaczył.

Potem obrócił Helen z powrotem w stronę jej rodziny i lekko popchnął. Przeszła parę kroków, ale po chwili przystanęła i odwróciła głowę. Patrzyła, jak odchodzi zamaszystym krokiem, bezgłośnie wymawiając jego imię. Za moment rozdzielił ich tłum.

Helen wsunęła kopertę w ciasny rękaw. Ledwo to zrobiła, wrócił zdyszany Devon i przeprowadził ich na peron ósmy, do właściwego pociągu. Z ulgą rozsiedli się w wagonie pierwszej klasy. Kiedy skład wytoczył się z dworca Waterloo Bridge, rozpoczynając dwugodzinną jazdę do Hampshire, Helen niepostrzeżenie wyjęła kopertę z rękawa.

Widząc, że bliźniaczki wpatrują się w krajobraz za oknem, a Kathleen jest pogrążona w rozmowie z Devonem, złamała pieczęć z czerwonego wosku i rozprostowała kartkę.

„Helen!

Pytasz, czy żałuję, że się zaręczyliśmy.

Nie. Żałuję każdej minuty, kiedy Cię nie widzę. Żałuję każdego kroku, który nie zbliża mnie do Ciebie.

Każdej nocy zasypiam z myślą, że powinienem trzymać Cię w ramionach. W moim pustym łożu nie ma spokoju ani przyjemności, kiedy śnię tylko o Tobie i budzę się, przeklinając samotny świt.

Gdybym mógł, zabroniłbym Ci udawać się gdziekolwiek beze mnie. Nie z samolubnego poczucia, ale dlatego, że rozłąka z Tobą jest jak oddychanie bez powietrza.

Pomyśl o tym. Kradniesz każdy mój oddech, *cariad*. A mnie pozostało tylko liczyć dni do momentu, kiedy pocałunkami odbiorę Ci je wszystkie, jeden po drugim.

Winterborne”.

Rozdział 12

Klęcząc przed regałem w pokoju do czytania, Helen przeglądała książki, by wybrać te, które chciałaby zabrać. W ciągu trzech tygodni pobytu w Eversby Priory zdążyła zapełnić cały pokój rzeczami przygotowanymi do wywiezienia. Każdy przedmiot miał dla niej osobiste znaczenie – jak należący do jej mamy przybornik do szycia z drewna różanego, zdobiona w cherubiny porcelanowa tacka na toaletkę, wyszywany dziecięcy ręcznik czy mahoniowe salonowe krzesło z trójkątnym oparciem, na którym zawsze siadała jej babcia ze strony matki, kiedy ich odwiedzała.

To zajęcie było dla Helen jedynym sposobem poradzenia sobie z melancholią i tęsknotą, które przepełniały jej serce. *Hiraeth*, myślała ponuro. Ciepło rodzinnego domu straciło dla niej urok, a codzienne czynności zmieniły się w nudną rutynę. Nawet dbanie o ukochane storczyki i granie na fortepianie przestały ją cieszyć.

Czy może być coś bardziej interesującego niż towarzystwo Rhysa Winterborne'a?

Tak niewiele miała okazji, aby przebywać z nim sam na sam. Jednak te parę godzin, kiedy należała tylko do niego i mogła się sycić rozkoszą, którą tak hojnie ją obdarzał, sprawiło, że wszystkie inne dni wydawały się jej nieznośnie puste i nudne.

Dotarła do półki, na której stały dzienniki jej matki dotyczące hodowli orchidei. Po kolei zdejmowała je z półki i odkładała do podróżnego kufra. Było to dwanaście tanich notesów, oprawnych w zgrzebne niebieskie płótno, o grzbietach nie szytych, lecz klejonych. Dla Helen były bezcenne. Jane, czyli lady Trenear, umieściła w nich wszelkie informacje na temat orchidei, w tym szkice

poszczególnych gatunków i okazów, opatrzone uwagami na temat ich właściwości oraz charakteru. Czasami traktowała zeszyty jak pamiętnik, wplatając w hodowlane opisy swoje myśli i życiowe obserwacje.

Ich lektura pomogła Helen zrozumieć matkę, która za życia ciągle się jej wymykała. Jane pozostawała w Londynie tygodniami, a nawet miesiącami, zostawiając dzieci pod opieką służby i guwernantek. Nawet kiedy przebywała w Eversby Priory, zachowywała się raczej jak znamienity gość niż jak rodzic. Helen zawsze widywała matkę elegancką i perfekcyjną, wyperfumowaną, z kosztownymi klejnotami w uszach, na szyi i na rękach, ze świeżą orchideą wpiętą we włosy. Nikomu nie przyszło do głowy, że Jane, powszechnie podziwiana za urodę i dowcip, może mieć jakieś troski. A jednak w swoich prywatnych dziennikach objawiła się córce jako pełna lęków, samotna kobieta, dręcząca się myślą, że urodziła tylko jednego syna. Kiedy urodziły się bliźniaczki, pisała: „Pękłam jak gotowana parówka, rozsadzona przez dwie córki. Zanim zdążyłam wyjść z połogu, earl podziękował mi za wydanie na świat *dwóch kolejnych pasożytów*. Czemu chociaż jedno z nich nie było chłopcem?". I kolejny notes: „Mała Helen jest dla mnie wielką pomocą przy bliźniaczkach. Muszę przyznać, że teraz lubię ją bardziej niż kiedyś, choć obawiam się, że zawsze będzie bladym stworzeniem o króliczej twarzy".

Pomimo bolesnych słów Helen bardzo współczuła Jane, która była coraz bardziej nieszczęśliwa w swoim małżeństwie z Edmundem. Lord Trenear był trudnym, drażliwym człowiekiem. Na zmianę to płonął ogniem, to mroził go chłód. Praktycznie nie znał stanów pośrednich. Dopiero po śmierci mamy Helen zrozumiała, dlaczego wydawało się jej, że rodzice niechętnie przyjmowali do wiadomości fakt jej istnienia.

Poznała prawdę, kiedy opiekowała się ojcem w czasie jego ostatniej choroby, której nabawił się, polując w zimny, wilgotny dzień. Stan Edmunda pomimo wysiłków lekarza gwałtownie się pogarszał. Kiedy earl, będąc już na granicy śpiączki, zaczął majaczyć, Helen dyżurowała przy nim na zmianę z Quincym, jego zaufanym sługą. Poili chorego wzmacniającymi miksturami i wywarem

z szałwii, łagodzącym ból gardła, przykładali mu kataplazmy na pierś.

– Doktor wkrótce wróci – szepnęła Helen do ojca, delikatnie wycierając z jego podbródka ślady śliny, ślad po ataku kaszlu. – Wezwano go do jakiegoś pacjenta na wsi, ale obiecał, że to nie potrwa długo.

Earl otworzył opuchnięte oczy i powiedział chrapliwym, zmęczonym głosem:

– Chcę, żeby jedno z moich dzieci… było ze mną… przy końcu. Nie ty.

Przekonana, że jej nie poznał, odpowiedziała łagodnie:

– Jestem Helen, tato. Twoja córka.

– Nie jesteś moja… nigdy nie byłaś. Twoja matka… miała kochanka… – Wysiłek wywołał nowy atak kaszlu. Kiedy spazmy wreszcie się uspokoiły, earl zamknął oczy i zastygł w milczeniu. Nie chciał na nią patrzeć.

– To nieprawda – powiedział do niej później Quincy. – Biednemu panu myśli się mieszają w tej gorączce. A matka panienki, niech Bóg jej błogosławi, miała mnóstwo admiratorów, więc zazdrość zatruwała naszego pana. W każdym calu należysz do Ravenelów, panienko. Nie ma co do tego wątpliwości.

Helen udała, że mu wierzy, choć wiedziała, iż earl powiedział prawdę. To wyjaśniałoby, dlaczego nie miała charakteru ani wyglądu Ravenelów. Nic dziwnego, że rodzice ją odrzucali – była dzieckiem zrodzonym z grzechu.

Wykorzystując jeden z ostatnich przebłysków świadomości Edmunda, przyprowadziła do jego łoża bliźniaczki, aby pożegnały się z ojcem. Posłała także po Theo, ale nie zdążył na czas przyjechać z Londynu. Kiedy earl znów odpłynął, nie miała serca nakazać dziewczynkom, aby przy nim czuwały.

– Czy musimy zostać? – szepnęła Cassandra, ocierając chusteczką zaczerwienione oczy.

Siedziała z Pandorą na ławeczce pod oknem. Nie miały żadnych czułych wspomnień związanych z ojcem, nie przekazał im żadnych rad ani mądrości, które mogłyby im się przydać w życiu. Pozostało

im tylko siedzieć w milczeniu i słuchając nierównego, słabnącego oddechu, czekać, aż ich rodzic odejdzie z tego świata.

– On i tak by nas tu nie chciał – stwierdziła beznamiętnie Pandora. – Nigdy o nas nie dbał.

Helen, jak zawsze opiekuńcza wobec młodszych sióstr, objęła je i ucałowała.

– Ja tu zostanę. Wy idźcie się pomodlić za tatę, a potem znajdźcie sobie jakieś ciche zajęcie.

Oddaliły się z wyraźną ulgą. Cassandra odwróciła się jeszcze w progu, aby po raz ostatni popatrzeć na ojca; Pandora wyszła z pokoju żwawym krokiem, nie oglądając się za siebie.

Helen popatrzyła na chudą postać earla, ledwie widoczną na wielkim łożu. Cerę miał poszarzałą i woskową, zarys szczęki rozmywało opuchnięte gardło. Cała jego wola życia przygasła do ledwie tlącego się płomyka. Helen pomyślała, że gasł stopniowo w ciągu dwóch lat po śmierci Jane. Może jednak było mu jej brak. Ich małżeństwo nie było łatwe, zamiast miłości łączyły ich wzajemne rozczarowania i uprzedzenia.

Ośmieliła się ująć bladą, woskową dłoń mężczyzny – kruchą konstrukcję z kości i żył, okrytych pergaminową skórą.

– Przykro mi, że Theo tu nie ma – powiedziała przepraszającym głosem. – Wiem, że to nie ja powinnam ci towarzyszyć w ostatnich chwilach. Za to też cię przepraszam. Ale nie mogę cię zostawić samego.

Do pokoju wszedł Quincy. Głęboko osadzone, ciemne oczy wiernego sługi błyszczały od łez. Bez słowa usiadł na ławeczce pod oknem, gotów czuwać wraz z Helen. Przez godzinę śledzili każdy oddech umierającego, kolejny zawsze odrobinę bardziej wysilony niż poprzedni. Aż wreszcie Edmund przeniósł się na tamten świat – w asyście służącego i córki, w której żyłach nie było ani kropli jego krwi.

Po jego odejściu Helen nie ośmieliła się porozmawiać z Theo o swoim pochodzeniu, była jednak pewna, że brat musiał o nim wiedzieć. Być może dlatego nie chciał jej wprowadzić na towarzyskie salony; jego postawa odzwierciedlała niechętne nastawienie ojca. Zaś ona sama nie była w stanie do końca zaufać Kathleen ani

bliźniaczkom. Chociaż nie była niczemu winna, boleśnie odczuwała - odium swojego nieprawego pochodzenia. I nawet gdy usilnie próbowała to ignorować, nieczysty sekret zatruwał jej życie niczym jad.

Dodatkową udręką Helen był fakt, że dotąd nie zwierzyła się Rhysowi ze swojej tajemnicy. Nie zrobiła tego, gdyż wiedziała, że on marzy o poślubieniu arystokratki. Jak w tej sytuacji miała mu wyznać, że nie należy do rodu Ravenelów? Rhys byłby głęboko rozczarowany. I z pewnością potraktowałby ją zupełnie inaczej.

Z drugiej strony… miał prawo wiedzieć.

Westchnęła głęboko i spakowała do kufra resztę notesów. Spojrzała na opustoszałą półkę i zauważyła biały skrawek wciśnięty w zakurzony kąt. Zmarszczyła brwi i pochyliła się, by po niego sięgnąć. Skrawek okazał się kawałkiem zapisanego papieru. Helen usiadła i delikatnie go rozwinęła. Był zapisany charakterem pisma jej mamy. Odstępy między słowami były duże, a końce wierszy opadały w dół.

„Mój najdroższy Albionie!

Wiem, że to szalony pomysł, aby apelować do Twojego serca, kiedy zwątpiłam, czy w ogóle je masz. Czemu przestałeś się do mnie odzywać? Co z obietnicami, które mi złożyłeś? Jeśli na zawsze mnie opuścisz, sprawisz, że Helen nigdy nie będzie kochana przez własną matkę. Patrzę, jak płacze w kołysce, i nie mogę się zdobyć, żeby jej dotknąć. Musi płakać samotnie, nieprzytulana i niepocieszana, tak jak ja, porzucona przez Ciebie.

Jestem gotowa na wszystko. Moja namiętność nie może mieć władzy nad rozumem. Wróć do mnie, a pozbędę się tego dziecka. Odeślę je gdzieś daleko. Powiem wszystkim, że Helen jest chorowita i musi przebywać z opiekunką w innym, cieplejszym klimacie. Edmund nie będzie miał obiekcji – przeciwnie, gdyż zawsze marzył, aby się jej pozbyć z domu.

Nic się dla nas nie zmieni, Albionie, pod warunkiem że zachowamy dyskrecję”.

Na tym list się kończył. Helen odwróciła kartkę, ale druga strona była czysta.

Czuła się dziwnie pusta, jakby oddzielona od uczuć, których nie chciała do siebie dopuścić ani tym bardziej ich roztrząsać.

Albion…

Nigdy nie myślała o tym, jak się nazywa jej ojciec. Teraz zaczęła się zastanawiać, jakim jest człowiekiem. Czy w ogóle nadal żyje? I dlaczego Jane nie dokończyła listu?

– Helen!

Drgnęła, słysząc wołanie. Rozkojarzona uniosła głowę, gdy do pokoju weszła Cassandra.

– Przywieźli pocztę! I jest tam cała skrzynia paczek od Winterborne'a! Stangret wniósł ją do pokoju przyjęć na dole. Musisz tam zaraz iść, bo nie możemy się doczekać, aż… – Urwała i zmarszczyła brwi. – Masz zaczerwienioną twarz. Co się stało?

– To ten kurz z książek – wymamrotała Helen. – Pakuję stare notatki mamy i ciągle od niego kicham.

– Możesz to dokończyć później. Chcemy, żebyś zaraz otworzyła swoje prezenty – upierała się Cassandra. – Na niektórych paczkach jest napisane: „Artykuł łatwo się psuje". Pomyślałyśmy, że może to słodycze.

– Za parę minut będę na dole – obiecała Helen, dyskretnie wsuwając list pomiędzy fałdy spódnicy.

– Może ci pomogę z tymi książkami?

– Dzięki, kochanie, ale dam sobie radę.

Cassandra westchnęła.

– Tak trudno jest czekać!

Dopiero teraz Helen zauważyła, że jej młodsza siostra przestaje być długonogą, niezgrabną nastolatką i przybiera postać kobiety. Była niezwykle podobna do Jane – miała te same regularne i wycyzelowane rysy, usta wygięte w łuk, jasne, słoneczne kędziory i niebieskie oczy, ocienione długimi, gęstymi rzęsami. Na szczęście Cassandra była łagodniejszą, o wiele milszą wersją swojej matki. Podobnie Pandora, choć wieczna psotnica, lubiąca robić wszystkim

kawały, była uroczą i dobrą dziewczyną. W myśli Helen podziękowała Bogu za bliźniaczki – jedyny stały i jasny punkt w jej życiu, źródło wzajemnej i bezwarunkowej miłości.

– A może po prostu otworzycie te przesyłki beze mnie? – zaproponowała Helen. – Niedługo zejdę na dół. Jeśli ktoś będzie miał wątpliwości, powiedz, że mianowałam cię moją oficjalną przedstawicielką.

Cassandra uśmiechnęła się z satysfakcją.

– Jeśli tam będą słodycze, odłożę porcję dla ciebie, zanim Pandora wszystko pożre – obiecała i wybiegła z pokoju w tempie, jakie nie przystoi młodej damie.

Helen usłyszała, jak biegnąc po wielkich schodach, jej siostra krzyczy:

– Helen mówi, żebyśmy zaczęły bez niej!

Uśmiechnęła się z roztargnieniem. Przez moment siedziała nieruchomo, wpatrując się w kufer, kryjący ciężar sekretów i bolesnych wspomnień. Jane i Edmund odeszli na wieczne odpoczywanie, a jednak miała nieodparte wrażenie, że nawet zza grobu potrafią krzywdzić swoje dzieci.

Nie może im na to pozwolić!

Zdecydowanym ruchem zatrzasnęła wieko, tłumiąc szepty przeszłości. Potem podeszła do kominka i położyła na żarzących się węglach niedokończony list. Suchy, zakurzony papier szybko zapłonął gwałtownym białym płomieniem. Helen wpatrywała się w niego, aż ostatnie słowo rozsypało się w popiół.

Wtedy otrzepała dłonie z kurzu i wyszła z pokoju.

Rozdział 13

Kiedy tylko Helen weszła do pokoju przyjęć, poprawił się jej humor. W środku panował radosny rozgardiasz. West i bliźniaczki siedzieli na dywanie, odpakowując kosze i pudełka, podczas gdy Kathleen, siedząca w rogu przy sekretarzyku, przeglądała pocztę.

– Nigdy nie byłem miłośnikiem zalotów – powiedział West, myszkując w koszyku z łakociami od Winterborne'a. – Teraz jednak widzę, że po prostu znajdowałem się po niewłaściwej stronie! W zalotach lepiej być obdarowywanym niż darującym.

Weston Ravenel był bardzo podobny do swojego starszego brata – tak samo przystojny i niebieskooki, męski, silny i pełen wdzięku. W ciągu ostatnich paru miesięcy uczył się intensywnie uprawy roli i mleczarstwa. Ten dawny birbant i lekkoduch obecnie był najbardziej szczęśliwy, kiedy przebywał z włościanami na polu i wracał ubłocony po kolana.

– Zalecałeś się już do kogoś, kuzynie West? – dopytywała Pandora.

– Zalecałem się tylko wtedy, kiedy wiedziałem, że dama jest zbyt mądra, aby przyjąć moje zaloty.

Na widok Helen West szybko zerwał się z dywanu.

– Słowem: nie chcesz się ożenić? – zapytała lekkim tonem, siadając na najbliższym szezlongu.

Z uśmiechem położył jej na kolanach płaskie pudełko obite błękitną satyną.

– Czyż można się zaspokoić jedną czekoladką, skoro ma się całą bombonierkę?

Helen uniosła wieczko. Jej oczy rozszerzyły się z zachwytu na widok cudownej kolekcji karmelków, galaretek, toffi i pianek,

opakowanych w woskowany papier. Jej spojrzenie powędrowało do leżącego na dywanie stosu kolejnych smakołyków. Były tam wędzona szynka z Wiltshire oraz karczek, paczka marynowanego łososia, kamionki z importowanym duńskim masłem, puszki z pasztetami, woreczek lśniących daktyli, kosz egzotycznych owoców szklarniowych, okrągłe sery brie z białą pleśniową skórką, malutkie serki w siateczkach, słoiki z gęstą pastą figową, marynowane przepiórcze jaja, butelki barwnych owocowych likierów, przeznaczonych do serwowania w maleńkich kieliszkach, i kakao w złotej puszce.

– Czy pan Winterborne nie przesadza? – zapytała, pokrywając zakłopotanie śmiechem. – Wystarczyłoby tego dla pułku wojska!

– Najwyraźniej zaleca się do całej rodziny – stwierdził West. – Nie wiem jak wy, ale ja jestem nim absolutnie oczarowany.

– Sama zjadłabym całą tę szynkę – odezwała się Kathleen rozmarzonym głosem. Od paru dni miała ataki wilczego głodu przeplatane napadami mdłości.

West z uśmiechem podał jej słoik prażonych migdałów w soli.

– Może być?

Kathleen zdjęła pokrywkę, włożyła sobie do ust jeden migdał i schrupała go ze smakiem. Po chwili łapczywie sięgnęła po drugi, a potem po kolejne.

West patrzył na nią z rozbawieniem, ale i nie bez troski.

– Nie tak szybko, kochana, bo się udławisz – ostrzegł i na wszelki wypadek podszedł do kredensu, żeby nalać jej wody z dzbanka.

– Umieram z głodu – tłumaczyła się Kathleen. – Marzyłam dokładnie o takich migdałach, choć nawet nie miałam pojęcia, że istnieją. Czy pan Winterborne przysłał może jeszcze jeden słoik?

– Na pewno przyśle więcej, jeśli go poproszę – zapewniła Helen.

– Naprawdę? Bo… – Kathleen urwała, nagle jej uwagę przykuła treść listu, który trzymała w dłoni.

Helen poczuła lodowaty dreszcz w krzyżu – ostrzeżenie, że musiało się stać coś strasznego. Zobaczyła, jak wąskie plecy Kathleen kulą się, jakby chciała uniknąć ciosu. Odstawiła słoik z migdałami na biurko, jednak zbyt blisko krawędzi. Zachwiał się i spadł na podłogę.

Na szczęście się nie stłukł. Kathleen jednak nawet tego nie zauważyła, skupiona na liście.

Helen pierwsza znalazła się przy niej, uprzedzając Westa.

– Co się stało, kochanie?

Kathleen była blada jak kreda, jej oddech stał się urywany i spazmatyczny.

– Mój tata… – wyszeptała. – Przeczytałam tylko początek… Dalej nie dam rady… Przestałam myśleć. – Bezradnym gestem podała kartkę Helen.

Mniej więcej przed miesiącem ojciec Kathleen, lord Carbery, miał wypadek, kiedy objeżdżał konno swoje włości w Glengarriff. Koń się spłoszył, stanął dęba, a lord, spadając, uderzył głową w belkę ogrodzenia. Przeżył wypadek, ale od tej pory jego zdrowie zaczęło szwankować.

West wsunął w dłonie Kathleen szklankę wody i zacisnął je na szkle, jakby była małym dzieckiem.

– Wypij to, moja droga – powiedział łagodnie. Jego zatroskane spojrzenie napotkało wzrok Helen. – Poślę po Devona. Powinien być niedaleko. Miał pogadać z drwalem w sprawie ścięcia tego dębu po wschodniej stronie.

– Nie ma sensu, żebyś mu przerywał. – Choć w głosie Kathleen brzmiało napięcie, była już spokojniejsza. – Moja sprawa może poczekać. Nic mi nie jest. – Drżącą ręką podniosła szklankę do ust i wychyliła ją w kilku łapczywych łykach.

Helen ponad jej głową spojrzała na Westa. Gdy wymówiła bezgłośne „idź”, kiwnął głową i wyszedł z pokoju. Dopiero wtedy skierowała wzrok na kartkę.

– Odszedł dwa dni temu… – przeczytała cicho. – Zarządca farmy pisze, że od chwili upadku dręczyły go bóle głowy i ataki padaczki. Aż pewnego wieczoru poszedł wcześniej do łóżka i umarł we śnie. – Położyła dłoń na ramieniu Kathleen i wyczuła drżenie tłumionych uczuć. – Tak mi przykro, kochanie.

– Był dla mnie jak obcy – powiedziała spokojnie Kathleen. – Odesłał mnie z domu, oddał na wychowanie innym. Sama nie wiem, co powinnam do niego czuć…

– Rozumiem.

Zimna dłoń Kathleen przykryła palce Helen.

– Wiem, że rozumiesz – odparła z bladym, smutnym uśmiechem.

Pandora i Cassandra podeszły do nich z wahaniem.

– Co możemy dla ciebie zrobić, Kathleen? – zapytała Pandora, klękając przy krześle.

Kathleen popatrzyła na jej przejętą buzię, pokręciła głową i przyciągnęła dziewczynę do siebie. Cassandra uklękła z drugiej strony i przylgnęła do drugiego boku bratowej.

– Nie martwcie się o mnie – rzekła Kathleen. – Nic mi nie będzie. Jak mogłoby mi się coś stać, skoro mam najukochańsze siostrzyczki na świecie? – Przymknęła oczy i oparła czoło o głowę Pandory. – W krótkim czasie wiele razem przeżyłyśmy, prawda?

– Czy to oznacza kolejny rok żałoby? – spytała Pandora.

– Nie dla ciebie – zapewniła ją Kathleen. – Jedynie dla mnie. – Westchnęła ciężko. – Z brzuchem, cała w czerni, będę wyglądała jak jedna z tych barek załadowanych śmieciami, które wysyła się w morze.

– Jesteś za drobna, żeby wyglądać jak barka – powiedziała Cassandra.

– Prędzej możesz być holownikiem – dodała Pandora.

Kathleen zachichotała, choć bez wesołości, i ucałowała je obie. Na jej policzki zaczęły wracać kolory. Wstała i wyprostowała fałdy sukni.

– Przede mną dużo pracy – rzekła. – Pogrzeb odbędzie się w Irlandii. – Rzuciła Helen spłoszone spojrzenie. – Nie byłam tam od dzieciństwa.

– Nie musisz w tym momencie podejmować decyzji – zauważyła Helen. – Może pójdziesz na górę i się położysz?

– Nie mogę. Muszę zaraz zrobić parę rzeczy i… – Kathleen urwała, gdyż do pokoju wszedł Devon.

Jego uważne spojrzenie od razu spoczęło na smutnej twarzy żony.

– Co się stało, najmilsza? – zapytał z troską.

– Mój ojciec zmarł. – Kobieta usiłowała nadać swemu głosowi normalne brzmienie. – To nie jest żadne zaskoczenie. Od dłuższego czasu mocno niedomagał.

Devon zbliżył się i wziął ją w ramiona, przyciągając drobną postać do swojego dużego, silnego ciała.

– Jestem zupełnie spokojna – wymamrotała z ustami przy jego ramieniu.

Pocałował ją w skroń. Jego rysy były ściągnięte troską, a w niebieskich oczach widniała czułość.

– Nie będę płakać – dodała Kathleen. – On na pewno nie życzyłby sobie moich łez.

Devon pogładził żonę po włosach i poprosił miękko:

– Oddaj te łzy mnie.

Kathleen wtuliła twarz w gors jego koszuli. Z jej drobnej postaci jakby uszło powietrze. Za chwilę pokój wypełnił płacz. Początkowo urywany i cichy, szybko przerodził się w głośny lament. Devon przywarł policzkiem do głowy żony; tulił ją do siebie, jakby chciał tchnąć w nią całą swoją siłę.

Helen, widząc, jak tych dwoje dzieli swoje najbardziej prywatne emocje, gestem nakazała bliźniaczkom, żeby wraz z nią wyszły z pokoju. Kiedy wszystkie trzy znalazły się na korytarzu, zaproponowała:

– Chodźmy do biblioteki i zadzwońmy po herbatę.

– Szkoda, że nie zabrałyśmy słodyczy – powiedziała z żalem Pandora.

– Helen, co teraz będzie? – spytała Cassandra, kiedy szły przez hol. – Czy Kathleen pojedzie do Irlandii na pogrzeb?

– Myślę, że tak, jeśli tylko będzie mogła – odparła z namysłem Helen. – Ważne jest, aby się pożegnać, prawda?

– Ale jej ojciec i tak nie będzie o tym wiedział – stwierdziła trzeźwo Pandora.

– Nie chodzi o niego. – Helen czule poklepała ją po ręce. – Tylko o nią.

Rozdział 14

„Poczta – Telegram
Pan Rhys Winterborne
Cork Street, Londyn

Przed chwilą się dowiedziałem, że zmarł ojciec mojej żony, lord Carbery. W tych jakże smutnych okolicznościach Twoja obecność w Hampshire byłaby mile widziana.

Będę wdzięczny, jeśli dostarczysz migdały prażone w soli dla lady Trenear.

Trenear".

– Fernsby – rzucił krótko Rhys, unosząc głowę znad telegramu. – Odwołaj wszystkie moje spotkania w tym tygodniu i załatw mi dwa bilety na najbliższy pociąg do Hampshire. Później poślij kogoś po Quincy'ego i każ mu zaraz spakować mnie i siebie. Aha, i powiedz kierownikowi działu spożywczego, aby spakował wszystkie migdały prażone w soli, jakie mamy na składzie, w torbę, którą będzie można zabrać do pociągu.

– Wszystkie?

– Tak, do ostatniego słoika.

Kiedy sekretarka wybiegła z gabinetu, Rhys z ulgą oparł czoło na blacie biurka.

– *Diolch i Dduw* – mruknął. – Dzięki Bogu.

Gdyby zaproszenie nie nadeszło w samą porę, nie miałby wyjścia i musiałby przypuścić szturm na Eversby Priory niczym jakiś najeźdźca. Było mu przykro z powodu śmierci ojca Kathleen, lecz nade wszystko chciał zobaczyć Helen. Nie rozumiał, jak mogła się znaleźć poza jego zasięgiem, choć tak bardzo jej pragnął. Pozostało mu tylko czekać. A w tym nigdy nie był dobry.

Helen wysyłała mu trzy, cztery listy na tydzień. Przekazywała w nich głównie rodzinne wieści, pisała o bieżących wydarzeniach, o tym, jak postępuje remont domu, budowa torów i stanowiska do wydobycia hematytu. Pośród tych sprawozdań przemycała informacje o sobie i swoich zainteresowaniach, jak choćby uwagi na temat robienia świec czy zbioru rabarbaru, który wyhodowała w jednej ze szklarni. Grzeczne, pogodne, szczegółowe listy.

Rhys cierpiał i tęsknił.

Praca i dom towarowy dotąd pochłaniały całą jego energię, ale dziś już mu nie wystarczyły. Płonął pożądaniem, jakby stale miał gorączkę. Sam już nie wiedział, czy Helen jest chorobą, czy też lekarstwem.

Okazało się, że do odjazdu pociągu mają trzy godziny – za mało czasu, aby podstawić prywatną salonkę, poza tym nie było wolnej lokomotywy. Rhys jednak wcale nie żałował, że pojedzie zwyczajnym pociągiem. Niezrównany Quincy zdążył spakować ich bagaże i na stację dojechali punktualnie. Jeśli wcześniej Rhys miał wątpliwości co do sensu posiadania osobistego służącego, teraz je stracił.

Dwugodzinna jazda z Londynu do stacji Alton dłużyła się Rhysowi niemożliwie. Siedział jak na szpilkach, w myślach poganiając wlekącą się niemiłosiernie lokomotywę. Wreszcie pociąg zatrzymał się w Alton, gdzie przesiedli się do dorożki, która miała ich zawieźć do Eversby Priory.

Rozległy dwór w stylu Jakuba I przechodził remont, który rozpoczął się wkrótce po tym, jak odziedziczył go Devon. Bogato zdobiony gzymsami, łukami i arkadami, jeżący się ozdobnymi kominami, stylowy budynek zdawał się lustrować swoich gości jak cesarzowa wdowa na balu. Odkrycie złóż rudy żelaza nastąpiło w samą porę, gdyż bez potężnego zastrzyku kapitału posiadłość nie dotrwałaby do następnego pokolenia właścicieli.

Lokaj Sims powitał Rhysa i Quincy'ego uwagą, że nie spodziewano się tak szybkiego ich przyjazdu. Quincy przyznał, że tempo zaiste było zabójcze, na co lokaje wymienili szybkie, porozumiewawcze spojrzenie. Obaj nieraz musieli wypełniać szalone rozkazy swoich panów.

Rhys chodził wielkimi krokami po salonie, czekając, aż ktoś się pojawi. Mimochodem zauważył, że stary dom jest urządzony dużo wygodniej niż jego nowoczesna siedziba. Zawsze wolał nowości – to, co stare, kojarzyło mu się z ruiną, zaniedbaniem i brakiem gustu – jednak musiał przyznać, że przybladły wdzięk Eversby Priory jest niezwykle przyjazny i kojący. Z pewnością składało się na niego przemyślane ustawienie mebli, tworzących przytulne enklawy na wielkim kwiecistym dywanie. Na małych stolikach leżały pisma i książki, na fotelach i kanapach miękkie poduszki oraz ciepłe, puszyste pledy. Para czarnych przyjaznych spanieli wpadła do pokoju, żeby przywitać się z Rhysem i powąchać jego dłoń. Wybiegły równie nagle, jak się pojawiły, kiedy usłyszały odległy odgłos w głębi domu. Woń świeżo upieczonych ciasteczek wpłynęła do salonu, zwiastując porę popołudniowej herbaty.

Rhys nie bardzo wiedział, jak się zachować. Został zaproszony do Eversby Priory w okresie żałoby. Miał w tym względzie niewielkie doświadczenie, nie licząc żałobnych ubrań, które sprzedawał w swoim sklepie. Zwykle rodzina, w której niedawno ktoś umarł, nie zapraszała gości – a jeśli już, czyniono to po pogrzebie. Na szczęście mógł liczyć na Quincy'ego. Lokaj, który przez wiele lat służył u Ravenelów i znał tę rodzinę, wytłumaczył mu, jak ważny jest ich gest.

– Zaproszenie w takiej chwili oznacza, sir, że lord i lady Trenear potraktowali cię jak członka rodziny, choć jeszcze nie jesteś mężem lady Helen – powiedział, po czym dodał z nutą dezaprobaty: – Nowe pokolenie Ravenelów nie zawsze jest wierne tradycji.

Gdy do salonu wszedł Devon, myśli Rhysa wróciły do rzeczywistości.

– Na Boga, Winterborne. – Earl sprawiał wrażenie przygnębionego i lekko zmęczonego. – Wysłałem telegram zaledwie dziś rano. – Uśmiechnął się jak za dawnych, dobrych czasów i wyciągnął prawicę,

aby uścisnąć dłoń przyjaciela. Wydawało się, że topór wojenny został zakopany.

– Jak się ma lady Trenear? – spytał Rhys.

Devon zawahał się, jakby ważył, ile może zdradzić.

– To dla niej trudny czas – powiedział wreszcie. – Rozpacza nie tyle za ojcem, którego straciła, ile za tym, którego nigdy nie miała. Zawiadomiłem lady Berwick. Jutro przyjedzie z Leominster. Jej obecność doda Kathleen otuchy. Wszak to Berwickowie wzięli ją do siebie, gdy rodzice postanowili pozbyć się jej z Irlandii.

– Tam odbędzie się pogrzeb?

Devon skinął głową, nieznacznie marszcząc brwi.

– W Glengarriff. Zawiozę ją tam, choć w tej chwili wyjazd zupełnie mi nie pasuje.

– Nie możesz znaleźć dla niej odpowiedniego towarzystwa do podróży?

– Nie w jej stanie. Muszę przy niej być.

Rhys przez chwilę zastanawiał się nad logistyką podróży.

– Najszybciej będzie przepłynąć parowcem z Bristolu do Waterford i przenocować w Granville – znam tam dobry hotel, niedaleko stacji kolejowej. Nazajutrz rano odchodzi stamtąd pociąg do Glengarriff. Jeśli chcesz, zatelegrafuję do swojego biura i poproszę, żeby wszystko zorganizowali. Mają rozkłady każdego statku i pociągu w Anglii, znają nawet najmniejsze stacyjki.

– Byłbym ci wdzięczny – odrzekł Devon.

Rhys bez słowa sięgnął po dużą, czarną skórzaną torbę, którą przywiózł ze sobą, i podał ją Devonowi. Earl pytająco uniósł brwi. Zaciekawiony otworzył zamki i zajrzał do środka. Szeroki uśmiech pojawił się na jego twarzy, kiedy zobaczył dwa tuziny słoików z migdałami prażonymi w soli, dla bezpieczeństwa przełożone papierowymi serwetkami.

– Rozumiem, że lady Trenear za tym przepada? – zapytał Rhys.

– Szaleje za nimi – potwierdził Devon. – Wielkie dzięki, Winterborne. – Zamknął torbę i dodał przyjaźnie: – Przejdźmy do biblioteki, napijemy się brandy.

Rhys się zawahał.

– A gdzie są wszyscy?

– West jest w terenie, niedługo wróci. Bliźniaczki poszły się przejść, a moja żona odpoczywa na górze. Helen najprawdopodobniej udała się do szklarni, aby się zająć swoimi orchideami.

Wiadomość, że Helen jest w pobliżu – sama, w oranżerii – pogoniła serce Rhysa do galopu. Skrycie, choć z desperacką nadzieją zerknął na zegar na gzymsie kominka.

– Czwarta to chyba trochę za wcześnie na brandy?

Devon rzucił mu zdziwione spojrzenie, po czym zaśmiał się cicho.

– Na Boga, co z ciebie za Walijczyk? W takim razie dobrze. – Sięgnął po torbę. – Dostarczę to mojej żonie. A w podzięce za twoją hojność postaram się nie informować innych, gdzie zniknąłeś. Ale jeśli ty i Helen spóźnicie się na herbatę, moja łaska się skończy. – Urwał na moment. – Jest w pierwszej oranżerii za murem ogrodu.

Rhys krótko skinął głową. Żołądek ścisnął mu się w bolesny węzeł na myśl o tym, jak Helen zareaguje na jego widok.

Na wargach Devona zaigrał uśmieszek.

– Śmiało, Heathcliff. Ucieszy się, że jesteś.

Choć Rhys nie pojął aluzji – literatura angielska nie była jego mocną stroną – ze złością zrozumiał, że jego napięcie jest widoczne jak na dłoni. Sklął się w duchu, ale nie mógł powstrzymać pytania:

– Czy wspominała o mnie?

Brwi Devona podjechały do góry.

– Czy wspominała? Człowieku, Helen mówi prawie wyłącznie o tobie! Czyta książki o historii Walii i zamęcza rodzinę opowieściami o Owainie Glyndŵr oraz czymś, co nazywa Eistedfodd. – W jego oczach pojawił się błysk łagodnej, przyjacielskiej kpiny. – Pewnego dnia strasznie charczała i prychała. Myśleliśmy, że się przeziębiła, a tymczasem okazało się, że ćwiczy walijski alfabet.

Normalnie Rhys skontrowałby go ciętą ripostą, ale teraz był dumny i szczęśliwy.

– Nie musi tego robić – mruknął.

– Helen chce ci sprawić przyjemność. Taką ma naturę. I tu chciałbym postawić sprawę jasno: ona jest dla mnie jak młodsza siostra. Jestem ostatnią osobą, która chciałaby prawić innym kazania

umoralniające, ale musisz wiedzieć, że w trakcie swojego pobytu u nas masz się wobec niej zachowywać tak cnotliwie jak ministrant.

Rhys spojrzał na niego z irytacją.

– Tak się złożyło, że byłem ministrantem. Mogę cię zapewnić, że pogłoski o ich cnotliwości są mocno przesadzone.

Devon uśmiechnął się z przymusem, po czym wyszedł z pokoju.

Tymczasem Rhys pospieszył do Helen. Nie chciał jej wystraszyć, wbiegając do oranżerii jak szaleniec, więc zmusił się do równego, normalnego kroku. Wyszedł z budynku przez domową oranżerię i przeciął starannie wystrzyżony trawnik. Żwirowa ścieżka wiła się pośród rozległych kęp zimozielonych krzewów i starych kamiennych murów, pokrytych koronkową plątaniną pnączy. Ogrody Ravenelów były obszerne i zadbane. Zmrożona ziemia czekała, aż rozmiękczy ją wiosna. Wiatr, pachnący torfowym dymem i turzycą, przypominał Rhysowi dolinę, w której spędził wczesne dzieciństwo, dopóki rodzina nie przeniosła się do Londynu. Oczywiście surowy krajobraz Llanberris – z kamienistą ziemią usianą górskimi stawami – w niczym nie przypomniał tego wypielęgnowanego, romantycznego zakątka. Jednak ów szczególny zapach krainy jezior i deszczu był taki sam w Hampshire i w Walii.

Z daleka zobaczył rząd czterech szklarni. W pierwszej ktoś był; smukła, czarna postać przesuwała się za zaparowanymi szybami. Serce Rhysa na moment zgubiło rytm, a war oblał mu twarz pomimo kąsającego lutowego zimna. Nie wiedział, czego ma się spodziewać ani dlaczego przeżywa ten moment jak młodzik pierwszą randkę. Jeszcze niedawno oburzyłby się, gdyby ktoś powiedział mu, że naiwna, nieznająca życia młódka doprowadzi go do takiego stanu.

Delikatnie zapukał w szklaną taflę, po czym zszedł po kamiennym stopniu. Kiedy znalazł się w środku, starannie zamknął za sobą drzwi. Nigdy przedtem nie był w takiej szklarni. Helen opisała mu ją szczegółowo, kiedy dochodził do siebie po wypadku w Eversby Priory. Żałował, że nie może tam zajrzeć, bo z gipsem na nodze i o kulach ledwie się poruszał.

Wewnątrz panowała ciepła, wilgotna, parna atmosfera. Ten świat pod szkłem, pełen jaskrawych kolorów i egzotycznych kształtów, zdawał się odległy od Anglii o tysiące mil. Nozdrza Rhysa wypełnił

intensywny zapach ziemi i gęstej zieleni, przetykany smugami ciężkiej woni orchidei i słodkim zapachem wanilii. Powiódł wzrokiem po rzędach wysokich roślin, stołach zastawionych kwiatami w doniczkach, festonach pnących storczyków zwisających ze ścian pod lśniącym, szklanym dachem.

Szczupła postać wyłoniła się spośród śnieżnobiałego kwiecia. Oczy, krystaliczne jak woda, rozświetliły się blaskiem, a słodkie usta rozchyliły jak różyczka, kiedy w zaskoczeniu, bezgłośnie wymówiła jego imię. Podeszła do niego tak szybko, że potknęła się, omijając stół. Ta mała niezgrabność, jej wyraźny pośpiech tylko wzmogły jego żądzę. Musiała za nim tęsknić. I pragnąć go.

Dopadł Helen w trzech krokach, chwycił ją i poderwał w górę, przyciskając do siebie z całych sił. Kiedy opuścił ją na ziemię, wtulił twarz w ciepłą skórę szyi, sycąc się słodkim, kobiecym zapachem.

– *Cariad*… – szepnął chrapliwie – po raz pierwszy zobaczyłem, że nie zawsze poruszasz się z gracją.

Helen zaśmiała się nerwowo.

– Zaskoczyłeś mnie. – Ciepłe, delikatne dłonie dotknęły zimnych policzków Rhysa. – Jesteś tutaj – dodała, jakby ciągle nie mogła uwierzyć.

Rhys zaczął całować jej skórę i włosy, na nowo zachwycony ich jedwabistą gładkością oraz delikatnością jej ciała. Uczucie rodzącej się radości, wręcz euforii, rozlewało się w jego w żyłach niczym słodka trucizna.

– Mógłbym cię zjeść – wymamrotał.

Wysunął głowę z czułych dłoni Helen i dopadł jej ust. Odpowiedziała z ochotą, zagłębiając palce w jego włosach. W przerwach na zaczerpnięcie oddechu szeptał jej czułe słowa, a ona lgnęła do niego, jakby poza nimi nie było już świata. Jej słodki, mały język pieścił jego język, tak jak ją nauczył, i rozkoszny dreszcz spłynął Rhysowi w dół brzucha. Zachwiał się lekko i jedną ręką uchwycił krawędzi stołu. Niech to szlag! Musi to natychmiast przerwać, bo jeszcze chwila, a przestanie nad sobą panować. Oderwał wargi od ust Helen i odetchnął raz, a potem drugi, usiłując nad sobą zapanować. Napięte mięśnie drżały, kiedy próbował je rozluźnić.

Helen nie ułatwiała mu zadania, okrywając drobnymi pocałunkami twardą linię jego szczęki. W żyłach Rhysa znów zaczęła wrzeć krew.

– Myślałam, że przyjedziesz jutro albo pojutrze…

– Nie mogłem się doczekać – szepnął, czując ciepło policzka Helen na swoim policzku.

– Ja chyba śnię.

Pożądanie zatriumfowało. Rhys namiętnie chwycił kobietę za biodra i przygarnął do siebie.

– Jeszcze za mało prawdziwe, *cariad*? – Bezceremonialny gest nie pasował do dżentelmena, ale Helen już wiedziała, czego może się spodziewać po swoim przyszłym mężu. Jej oczy rozszerzyły się gwałtownie, kiedy poczuła gotowość mężczyzny, wyczuwalną nawet pod grubymi warstwami ich zimowych ubrań.

– Jesteś… w świetnej formie – wyjąkała. – Jak twój bark?

– Może rozetniesz mi koszulę i sama sprawdzisz?

Roześmiała się, nisko i zmysłowo.

– Nie tutaj. – Opadła na pięty i wykręciła się, aby sięgnąć po jedną z roślin stojących na stole obok. Zerwała mały, idealnie zielony storczyk i wsunęła go w dziurkę od guzika na lewej klapie palta Rhysa.

– Dendrobium? – upewnił się Winterborne.

– Tak. Skąd wiesz? – Helen poprawiła kwiatek, wsuwając głębiej łodyżkę. – Czytałeś o orchideach?

– Trochę. – Delikatnie przesunął opuszkiem palca po jej nosie. Nie mógł jej nie dotykać, nie obdarzać choćby drobnymi pieszczotami. – Trenear powiedział mi, że ty zgłębiasz historię Walii.

– Tak. Jest bardzo ciekawa. Czy wiesz, że król Artur był Walijczykiem?

Rozbawiony Rhys pogładził ją po włosach. Były splecione w warkocz i upięte na karku.

– Gdyby istniał, na pewno by nim był – odparł.

– Oczywiście, że istniał! – zaprotestowała żywo Helen. – Przecież w kamieniu w pobliżu jeziora Llyn Barfog zachował się odcisk kopyta jego konia. Chciałabym go kiedyś zobaczyć.

Uśmiech Rhysa pogłębił się.

– Prawie dobrze wymówiłaś tę nazwę, *cariad*. Ale podwójne „ll” brzmi bardziej jak „chl”. Pozwól, aby w trakcie mówienia powietrze opłynęło z obu stron twój język.

Helen parę razy powtórzyła ten dźwięk, jednak bez większego sukcesu. Wyglądała tak uroczo, z czubkiem języka przytkniętym do przednich zębów, że musiał jej ukraść całusa, krótkiego, ale gorącego.

– Nie musisz się uczyć walijskiego – powiedział.

– Ale chcę.

– To trudny język. Poza tym w dzisiejszych czasach jego znajomość nic nie daje. Moja mama zawsze powtarzała: „Wystrzegaj się mówienia po walijsku, tak jak wystrzegasz się grzechu”.

– Czemu?

– Przeszkadza w interesach. – Dłonie Rhysa niespiesznie gładziły Helen po ramionach i plecach. – Wiesz, że na Wyspach istnieją uprzedzenia w stosunku do moich ziomków. Ludzie uważają, że Walijczycy są moralnie zacofani, leniwi… nawet brudni.

– Nonsens! Dobrze wychowani ludzie nie powinni mówić takich rzeczy.

– Publicznie. Ale wielu mówi takie, a nawet gorsze rzeczy w zaciszu swoich domów. – Winterborne zmarszczył czoło i kontynuował: – Niektórzy krytykują cię za to, że chcesz za mnie wyjść za mąż. Nie powiedzą ci tego w twarz, ale zobaczysz to w ich oczach. Nawet wtedy, gdy będą się uśmiechać.

Nie rozmawiali o takich sprawach w czasie swoich poprzednich zaręczyn. Rhys zawsze był bardzo drażliwy w kwestii swojego plebejskiego pochodzenia, a Helen nie chciała pogłębiać jego kompleksów. Teraz, kiedy mógł z nią o tym szczerze porozmawiać, było widać, że mu ulżyło. Choć musiał z goryczą przyznać, że ślub z nim obniży pozycję Helen.

– Będę nosić nazwisko Winterborne – rzekła spokojnie. – Niech oni się martwią, co ja pomyślę na ich temat.

Nie mógł się nie uśmiechnąć.

– Otóż to. Będziesz kobietą majętną i wpływową, która wiele może.

Dotknęła jego twarzy; smukłe palce delikatnie pieściły policzek.

– Moim najważniejszym zadaniem będzie dbanie o szczęście i dobro męża.

Rhys pochylił się i oparł dłonie na stole po obu jej bokach, zamykając ją w objęciach jak w klatce.

– Nie będziesz musiała niczego robić, żono. Zapomnisz o obowiązkach – ostrzegł łagodnie.

Jasne oczy Helen odnalazły jego wzrok. Opuszkiem palca obwiodła dolną wargę Rhysa.

– Czy niełatwo jest ci być szczęśliwym?

– Taa. Jestem szczęśliwy tylko przy tobie. – Żarliwie zagarnął jej usta i głęboko penetrując językiem, rozpalał w niej przyjemność, aż poddała się mu, gotowa na wszystko. Chwycił fałdę jej spódnicy i przez ułamek sekundy walczył z żądaniem swego udręczonego ciała, domagającego się natychmiastowego spełnienia. A może podsadzić ją na ten stół, zadrzeć spódnice, rozłożyć nogi i…

Zakończył pocałunek i z głośnym jękiem przywarł czołem do jej czoła.

– Za długo byłem bez ciebie, *cariad*… – Zaczerpnął powietrze i powoli je wypuścił. – Powiedz coś, żeby odwrócić moje myśli.

Twarz Helen była zaróżowiona, a usta lekko opuchnięte.

– Wspomniałeś o swojej mamie – powiedziała. – Kiedy ją poznam?

Rhys zachichotał sarkastycznie. Nie mogła sobie wybrać lepszego sposobu, żeby ostudzić jego zapały.

– Nieprędko. Będę odwlekał wasze spotkanie, ile tylko się da.

Jego matka Bronwen Winterborne była poważną, surową kobietą, chudą i tykowatą jak kij od miotły. Jej żylaste, silne ręce boleśnie karały go w dzieciństwie, a jednocześnie nie pamiętał momentu, kiedy by go czule utuliły. Mimo to była dobrą matką; żywiła syna i ubierała, ucząc go dyscypliny i ciężkiej pracy. Łatwo przychodził mu podziw do niej, gorzej było z miłością.

– Czy nie spodobam się jej? – spytała Helen.

Rhys usiłował sobie wyobrazić, co mogłaby pomyśleć jego matka o tym subtelnym, uroczym stworzeniu, z głową pełną książek i muzyki.

– Pomyśli pewnie, że jesteś za ładna. I za łagodna. Nie wyczuje twojej ukrytej siły.

Helen się ożywiła.

– Uważasz, że jestem silna?

– Tak – odparł bez wahania. – Masz stalową wolę. – I dodał z mrocznym spojrzeniem: – Inaczej nie rządziłabyś mną w ten sposób.

– Rządziła tobą? – Kobieta z gracją zanurkowała pod jego ramieniem i podeszła do drugiego stołu. – Naprawdę sądzisz, że rządzę, ulegając twoim żądaniem i śpiąc z tobą?

Żartobliwa reprymenda znów podniosła mu puls. Rhys, na nowo rozpalony i oczarowany, następował Helen na pięty, kiedy kroczyła pomiędzy rzędami storczyków.

– Taa, a potem wyjechałaś z Londynu i kazałaś mi tęsknić. W dodatku teraz trzymasz mnie jak psa na smyczy, zmuszając, żebym błagał o jeszcze.

Rozbawienie zabrzmiało w jej głosie, gdy się odezwała:

– Nie widzę tu psa na smyczy. Co najwyżej bardzo dużego wilka.

Rhys chwycił ją od tyłu i przylgnął ustami do jej szyi.

– Twój wilk – mruknął, skubiąc zębami jedwabistą skórę.

Helen wygięła się, aby być bliżej niego. Czuł w niej pragnienie, kiedy drżała pod jego dotykiem.

– Czy mam przyjść do ciebie w nocy? – spytała szeptem. – Kiedy już wszyscy zasną?

Pytanie rozpaliło w nim krew niczym lawę. Dobry Boże, tak. Proszę. Błagam. Pożądał spełnienia i rozkoszy; fantazjował o tym pięknym ciele prężącym się pod nim. Ale przede wszystkim jego serce marzyło o tych pięknych chwilach zaraz po, kiedy ta kobieta będzie leżała w jego ramionach, będzie należała tylko do niego.

Zamknął oczy i przycisnął brodę do jej drobnego ucha. Minęło dobre pół minuty, zanim wrócił mu głos.

– Lubisz czytać bajki, prawda? Wiesz, co się przydarza małym dziewczynkom, które spoufalają się z wilkami?

Helen obróciła się ku niemu.

– Oczywiście, że wiem – szepnęła i podsunęła mu uśmiechnięte usta.

Rozdział 15

Devon, zagrasz z nami? Potrzebujemy więcej graczy, bo inaczej długo nie pociągniemy tej zabawy. – Pandora siedziała z Cassandrą w górnym salonie, przy stoliku do gier, podczas gdy reszta towarzystwa odpoczywała po kolacji.

Bliźniaczki wyciągnęły jedyną grę, jaką tu miały – Dom Szczęścia. Była staromodna, z planszą, na której namalowano spiralną ścieżkę z polami reprezentującymi cnoty i wady. Wygrywał ten, kto zaliczył więcej cnót niż wad.

Devon, siedzący z Kathleen na sofie, z leniwym uśmiechem pokręcił głową. Przyciągnął żonę bliżej siebie, a ona złożyła mu głowę na ramieniu.

– Grałem z wami ostatnio – odparł. – Teraz pora na Westa.

Helen dostrzegła z rozbawieniem, jak West rzuca bratu zabójcze spojrzenie. Obaj Ravenelowie szczerze nie znosili tej moralizatorskiej, grzecznej gry, do której często zapraszały ich bliźniaczki.

– Tylko czekacie, żebym znów przegrał – powiedział z pretensją West. – Zawsze kończę w poprawczaku.

– Bo tam jest twoje miejsce – rzucił Devon.

West go zignorował. Przysunął sobie krzesło i usiadł przy stole.

– Potrzebujemy czwartej osoby – upierała się Pandora. – Helen, czy mogłabyś odłożyć robótkę i…

– O nie, jej nie proś – zaprotestowała Cassandra. – Ona zawsze wygrywa!

– Ja z wami zagram – zaoferował Rhys. Dopił ostatni łyk koniaku i zajął wolne miejsce przy stoliku do gry. Nieznacznie uśmiechnął się do Westa na znak, że został jego wspólnikiem w cierpieniu.

Helen była zachwycona łatwością, z jaką odnalazł się w jej rodzinie. Kiedy odwiedzał Ravenelów w Londynie, zachowywał czujność i bardzo się kontrolował. Tutaj był odprężony, uroczy i swobodnie konwersował ze wszystkimi.

– Stałeś się pijakiem – powiedziała surowo Pandora, kiedy pionek Rhysa stanął na jednym z pól z wadami. – Idziesz pod pręgierz i zostajesz tam przez następne dwie kolejki.

Helen uśmiechnęła się, kiedy Rhys zrobił minę pokornego grzesznika.

Cassandra zakręciła małym drewnianym bączkiem i triumfalnie przesunęła swój pionek na pole z napisem „Szczerość".

Następny ruch należał do Westa. Od razu stanął na polu „Nie święci dnia świętego".

– Trzy kolejki czekasz w dybach – powiedziała Cassandra.

– Dyby za taki tyci grzech? – zaprotestował.

– Ta gra jest bardzo serio. Została wymyślona na przełomie wieków, kiedy zakuwano w dyby czy wieszano nawet za kradzież kawałka boczku.

– Skąd to wiesz? – zainteresował się Rhys.

– Mamy taką książkę w bibliotece – wyjaśniła Pandora. – Nosi tytuł *Zbrodnie upadłej ludzkości*. Opisano w niej strasznych zbrodniarzy i najbardziej okrutne kary.

– Czytałyśmy ją chyba ze trzy razy – przyznała szczerze Cassandra.

West popatrzył na bliźniaczki ze zmarszczonym czołem, a potem odwrócił się na krześle w stronę starszyzny.

– Czy one powinny czytać takie książki? – zapytał.

– Nie, nie powinny – odparła Kathleen ze spokojem. – Schowałabym je, gdybym tylko wiedziała, gdzie leżą.

Pandora pochyliła się do Rhysa i szepnęła konspiracyjnym tonem:

– Ona jest za niska, żeby zobaczyć, co stoi na szóstej półce. Tam trzymamy te zakazane.

West zakaszlał, żeby nie parsknąć śmiechem, a Rhys wpatrzył się w planszę z nagłym zainteresowaniem.

– Helen też o tym wie – dodała Pandora.

Cassandra zgromiła ją spojrzeniem.

– No to nas wrobiłaś. Teraz zabiorą wszystkie ciekawe książki.

Pandora wzruszyła ramionami.

– I tak już wszystkie przeczytałyśmy.

Rhys uznał, że trzeba zmienić temat.

– Wiecie, że istnieje nowa wersja tej gry? Pewna amerykańska kompania kupiła do niej prawa i wydała w zmienionej postaci. Kary nie są już takie okrutne. Mój dział zabawek ma ją na składzie.

– Musimy koniecznie ją kupić – rzekł West. – Albo nauczmy je grać w pokera, będzie prościej.

– West – mruknął ostrzegawczo Winterborne.

– No co? Poker jest całkiem niewinny w porównaniu z grą, gdzie jest więcej biczowania niż w powieści markiza de Sade.

– West! – zawołali jednym głosem Devon i Kathleen.

– Panie Winterborne – w niebieskich oczach Pandory błysnęło zaciekawienie – skąd się biorą takie gry? Kto je wymyśla?

– Każdy, kto wymyśli i zaprojektuje grę, może podpisać umowę z drukarnią i stworzyć kopię na sprzedaż.

– A gdybyśmy tak z Cassandrą wymyśliły i zrobiły własną grę? – dopytywała dziewczyna. – Czy mogłybyśmy ją sprzedawać w pana sklepie?

– Nie chcę wymyślać gier – zaprotestowała jej siostra. – Ja chcę tylko w nie grać.

Pandora zignorowała ją, całkowicie skupiona na Rhysie.

– Stwórzcie projekt i dajcie mi – odparł. – Jeśli uznam, że będzie się sprzedawać, wesprę was w tym przedsięwzięciu i zapłacę za pierwszy nakład. Oczywiście w zamian za procentowy udział w zyskach.

– Jaki jest zwykle ten udział? – chciała wiedzieć Pandora. – Zresztą nieważne, dam panu połowę.

Rhys uniósł brew.

– Tylko połowę?

– A nie należy mi się rodzinna zniżka? – zapytała chytrze.

Roześmiał się. Wyglądał tak chłopięco, że serce Helen zabiło szybciej.

– Taa, należy się.

– Skąd będę wiedziała, jakie gry są już w sprzedaży? – Entuzjazm Pandory rósł z każdą minutą. – Moja musi być inna niż wszystkie.

– Przyślę ci wszystkie gry, które mamy na składzie, żebyś mogła się z nimi zapoznać.

– Och, dzięki! To będzie pomocne. A na razie… – Palce Pandory niecierpliwie zabębniły w stolik. – Nie gram już dzisiaj – oznajmiła. Energicznie wstała od stołu, zmuszając Rhysa i Westa, aby zrobili to samo. – Mam dużo roboty. Chodź ze mną, Cassandro.

– Ale ja wygrywałam… – mruknęła Cassandra, z naburmuszoną miną patrząc na planszę. – Czy nie jest już za późno, żeby zaczynać takie wielkie zadanie?

– Nie, bo nie będziemy spać, tylko luna-mantykować. – Pandora jednym ruchem poderwała siostrę z krzesła.

Kiedy bliźniaczki wyszły, Rhys z uśmiechem pokręcił głową i spojrzał na Helen.

– Czy ona zawsze tworzy własne słowa?

– Odkąd pamiętam. Lubi po swojemu nazywać różne momenty i odczucia, jak smutek deszczowego popołudnia czy złość, kiedy się znajduje dziurę w nowej pończosze. Teraz jednak próbuje zerwać ze swoimi nawykami. Boi się ośmieszenia w nadchodzącym sezonie towarzyskim.

– Słusznie – dodała Kathleen gorzkim tonem. – Złe języki nie śpią. A takie żywe i bystre dziewczęta jak Pandora i Cassandra są dla nich łatwym celem. Lady Berwick ciągle mnie karciła za to, że zbyt głośno śmieję się na salonach.

Devon czule spojrzał na żonę.

– Dla mnie twój śmiech jest uroczy.

Uśmiechnęła się do niego.

– Ty nie bywałeś na takich salonach. Siedziałeś wraz z Westem w Londynie, prowadząc bujne, kawalerskie życie.

Rhys podszedł do barku i dolał sobie koniaku. Z lampką w dłoni zbliżył się do Devona.

– Czy lady Helen i bliźniaczki zostaną tutaj, kiedy ty i lady Trenear pojedziecie na pogrzeb do Irlandii? – zagadnął.

– Tak byłoby najlepiej – odparł Devon. – Poprosimy lady Berwick, aby posłużyła im za przyzwoitkę podczas naszej nieobecności.

– Inaczej mogą nas wziąć na języki – wyjaśniła Kathleen. – Choć West jest jak starszy brat dla Helen i bliźniaczek, jednakowoż ciągnie

się za nim opinia wiecznego kawalera i hulaki.

– Uczciwie sobie na nią zapracowałem – przyznał West, sadowiąc się w fotelu przed kominkiem. – Prawdę mówiąc, to ja nalegałem na przyzwoitkę. Nie mogę przecież pozwolić, żeby moje złe imię zostało zszargane przez supozycję, że nie jestem godzien opiekować się trzema niewinnymi kobietami.

– Lady Berwick ma bardzo dobry wpływ na bliźniaczki – powiedziała Kathleen. – Kiedyś uczyła mnie i swoje dwie córki, Dolly i Bettinę, jak się zachować w towarzystwie. I nie było to łatwe zadanie.

– Wyruszamy do Irlandii pojutrze. – Devon miał lekko zatroskaną minę. – Jak Bóg da, wkrótce wrócimy.

West wyciągnął nogi w kierunku ognia buzującego na kominku i splótł palce na brzuchu.

– Rozumiem, że będę musiał odwołać wizytę Toma Severina. Zaprosiłem go za dwa dni do Hampshire, aby zobaczył, jak postępują roboty przy linii kolejowej i kopalni.

– Lepiej trzymajcie go z daleka ode mnie – powiedział Rhys chłodnym tonem, który zmroził krew w żyłach Helen.

Towarzystwo popatrzyło na niego pytająco. Rhys stał przy barku, ogrzewając pękate szkło w dłoni. Poruszając nim kolistymi ruchami, wpatrywał się w wirujący bursztynowy płyn. Helen jeszcze nie widziała, żeby miał tak zimne spojrzenie.

Devon odezwał się pierwszy:

– Co Severin teraz robi?

– Próbuje mnie namówić do kupienia parceli koło King’s Cross – odparł Rhys. – Rzecz w tym, że nazwisko właściciela nie figuruje w żadnych dokumentach, nawet w hipotece.

– Jak to możliwe?

– Prywatna spółka inwestycyjna trzyma to wszystko w tajemnicy. Zatrudniłem śledczego, aby rozszyfrował, co się kryje za tymi skomplikowanymi chwytami prawnymi. Odkrył, że istnieje umowa przeniesienia, już podpisana i potwierdzona notarialnie, która wejdzie w życie po sfinalizowaniu transakcji. W ten sposób cała piękna suma z tej sprzedaży trafi do ostatniego człowieka na ziemi, z którym kiedykolwiek chciałbym robić interesy. I Severin to wie.

Devon cofnął ramię, którym obejmował Kathleen, i z błyskiem w oku popatrzył na Rhysa.

– Vance? – zapytał domyślnie.

Winterborne odpowiedział krótkim skinieniem głowy.

– Niech to szlag… – zaklął cicho earl.

Helen patrzyła to na jednego, to na drugiego, nic z tego nie rozumiejąc.

– Wiesz, jaki jest Severin – powiedział West w pełnej napięcia ciszy. – Nie robi tego ze złej woli. Zapewne liczył, że dowiesz się o tym po fakcie i sprawa rozejdzie się po kościach.

Oczy Rhysa rozbłysły niebezpiecznie.

– Gdyby transakcja doszła do skutku, zanim bym się zorientował, że kasa trafi do Vance'a, porachowałbym Severinowi kości. To byłby koniec naszej przyjaźni.

– Kim jest pan Vance? – spytała nieśmiało Helen.

Odpowiedziała jej cisza. Dopiero po chwili odezwała się Kathleen:

– Bratankiem lorda Berwicka. Ponieważ Berwick nie ma syna, pan Vance odziedziczy posiadłość. Kiedy lord odejdzie, to on przejmie wszystko, a losy lady Berwick i jej córek będą zależały od jego dobrej woli. Dlatego starają się być dla niego miłe. Parę razy miałam okazję spotkać pana Vance'a.

– I co o nim sądzisz? – zapytał Devon.

Kathleen się skrzywiła.

– Ohydny typ. Małostkowy, okrutny i zapatrzony w siebie. Zawsze tonie w długach, ale uważa się za finansowego czarodzieja. W przeszłości wielokrotnie próbował pożyczać pieniądze na poczet swojego przyszłego dziedzictwa. Lord Berwick go nie znosi.

Helen spojrzała na Rhysa, zaniepokojona jego gniewną miną. Postępowanie Severina musiało go zaboleć.

– Czy jesteś pewien, że pan Severin wie, jak głęboka jest twoja niechęć do pana Vance'a? – spytała z wahaniem.

– Wie – odparł krótko Rhys i pociągnął solidny łyk koniaku.

– Więc dlaczego to robi?

Winterborne nie odpowiedział, tylko potrząsnął głową.

Po chwili Devon odezwał się z namysłem:

– Severin potrafi dążyć do celu po trupach. Ma niezwykły umysł, nie zawahałbym się nazwać go geniuszem. Jednak taka cecha często nie idzie w parze z… – Zastanowił się, szukając właściwego słowa.

– Przyzwoitością? – zasugerował oschle West.

Devon przytaknął z powagą.

– Kiedy masz do czynienia z Severinem, musisz zawsze pamiętać, że jest on przede wszystkim oportunistą. Jego umysł tak pracowicie dąży do osiągnięcia celu, że nie ma czasu brać pod uwagę uczuć innych ludzi, w tym także własnych. Jednocześnie sam byłem świadkiem, jak pomagał potrzebującym, więc nie jest tak złym człowiekiem, jak by się wydawało. – Wzruszył ramionami. – Przykre, że można do tego stopnia zapomnieć o przyjaźni.

– Gotów byłbym zapomnieć o wszystkim i o wszystkich – warknął Rhys – gdyby mi obiecano, że nigdy już nie usłyszę nazwiska Albion Vance.

Rozdział 16

Helen gwałtownie zniżyła głowę, jakby nagle musiała się uważnie przyjrzeć robótce, którą trzymała na podołku. Ogarnęło ją dziwne, mdlące uczucie. Jej ręce nadal wykonywały wyuczone ruchy, nerwowo wkłuwając igłę w płótno na rozdartym szwie koszuli. Myśli w panice przelatywały jej przez głowę i na próżno usiłowała je uspokoić, aby wyłowić z nich sens.

Albion jest imieniem rzadkim, choć przecież używanym. Może to być przypadkowa zbieżność.

Boże, błagam, żeby to był przypadek…

Och, i ta mina Rhysa. Ten rodzaj nienawiści, którą mężczyźni zachowują aż do grobowej deski.

Niepokój brał ją we władanie, choć robiła wszystko, by tego po sobie nie pokazać. Poczuła, że musi natychmiast wyjść z tego pokoju, ukryć się gdzieś w samotności, uspokoić… a potem znaleźć Quincy'ego.

Lokaj przyjechał tu razem z Rhysem. Nikt nie zna więcej sekretów jej rodziny niż on. Musi go namówić, żeby powiedział jej prawdę.

Mężczyźni i Kathleen dalej rozmawiali. Helen zakończyła ścieg i niespiesznie sięgnęła po pudełko do szycia, stojące u jej stóp. Wyjęła z niego malutkie nożyczki, rozchyliła szpiczaste, ostre połówki, po czym rozmyślnie przycisnęła palec wskazujący do ostrza, aż poczuła ukłucie. Szybkim ruchem cofnęła rękę i z udawaną konsternacją popatrzyła na kroplę krwi spływającą po skórze.

Rhys natychmiast to zauważył. Syknął, jakby sam się ukłuł. Wyszarpnął z kieszeni chusteczkę i w paru krokach znalazł się przy

Helen. Bez słowa kucnął przed nią i przyłożył złożone płócienko do skaleczonego palca.

– Powinnam ostrożniej sięgać po nożyczki – mruknęła.

Zimną twardość w jego oczach zastąpiła troska. Ostrożnie odchylił chusteczkę, żeby obejrzeć rankę.

– Skaleczenie nie jest głębokie, ale potrzebujesz opatrunku.

– Mam zadzwonić po panią Church, kochanie? – spytała Kathleen.

– Nie, sama do niej pójdę – odparła Helen lekkim tonem. – Tak będzie wygodniej, bo ma wszystko na miejscu.

Rhys wstał, pociągając ją za sobą.

– Odprowadzę cię.

– Nie, zostań – powiedziała szybko, podtrzymując chusteczkę owiniętą wokół palca. – Nie dopiłeś jeszcze koniaku. – Odstąpiła krok do tyłu i unikając spojrzenia Rhysa, uśmiechnęła się do reszty towarzystwa. – Jest późno – rzekła. – Pora na mnie. Dobranoc wszystkim.

Wyszła z salonu normalnym krokiem, choć miała ochotę puścić się biegiem przed siebie. Zstąpiła po wielkich, paradnych schodach, przecięła główny hol i zeszła do sutereny. Tam, w kontraście do reszty domu, wrzało życie. Służba właśnie skończyła kolację. Zmywano naczynia, a kucharka nadzorowała przygotowania do jutrzejszych posiłków.

W sali jadalnej ktoś wybuchnął śmiechem. Helen podeszła bliżej drzwi i zobaczyła Quincy'ego. Siedział przy długim stole z gromadą stangretów i pokojówek. Najwidoczniej czarował ich opowieściami o swoim nowym życiu w Londynie. Quincy zawsze był bardzo lubiany przez służbę i na pewno im go brakowało, kiedy przeszedł na usługi Rhysa.

Helen zastanawiała się, jak ma przyciągnąć jego wzrok, nie zwracając na siebie uwagi pozostałych, kiedy usłyszała za plecami głos ochmistrzyni:

– Lady Helen?

Odwróciła się. Na pulchnej twarzy pani Church malował się niepokój.

– Co cię do nas sprowadza, moja pani? Przecież wystarczyło zadzwonić, a posłałabym kogoś na górę.

Helen z przepraszającym uśmiechem pokazała jej skaleczony palec.

– Chwila nieuwagi z nożyczkami do nici – wyjaśniła. – Pomyślałam, że lepiej będzie, jak sama tu przyjdę.

Pani Church cmoknęła na widok ranki i zaprowadziła Helen do swojego służbowego pomieszczenia, które znajdowało się nieopodal. Służyło jej jednocześnie za salon, magazyn podręczny i gabinet. To tam trzymała też podręczną apteczkę. Kiedy Theo, Helen czy któraś z bliźniaczek się skaleczyli albo źle poczuli, przybiegali tutaj, aby ta poczciwa kobieta opatrzyła ich, podała lekarstwa i utuliła w bólu.

Kiedy usiadły przy stole, Helen zauważyła:

– Widzę, że macie dziś dobry humor.

Pani Church otworzyła apteczkę.

– Tak. Wszyscy się cieszą, że przyjechał Quincy. Zadają mu tysiące pytań, głównie o dom towarowy. Przywiózł katalog, żebyśmy mogli zobaczyć, jakie cuda tam sprzedają. Nie mieliśmy pojęcia, że tyle dobra można zgromadzić pod jednym dachem.

– Dom towarowy Winterborne's jest olbrzymi – przyznała Helen. – Jak pałac.

– Tak też mówi Quincy. – Pani Church przetarła rankę tynkturą benzoinową, po czym wycięła mały pasek z kawałka cienkiego, białego jedwabiu nasączonego rybim klejem i zwilżyła go wodą lawendową. Tak przygotowanym plastrem owinęła palec Helen. – Widać, że Quincy'emu służy praca u pana Winterborne'a – podjęła. – Dawno nie był taki żwawy.

– Miło mi to słyszeć. A przy okazji… – Helen usiłowała mówić zwykłym tonem, choć w środku drżała. – Chciałam z nim przez chwilę porozmawiać. Prywatnie. Czy możesz go wywołać?

– Teraz?

– Tak.

– Zaraz mu powiem.

Pani Church zostawiła Helen, a po niecałych dwóch minutach niska, krępa postać lokaja pojawiła się w drzwiach pokoju ochmistrzyni.

– Lady Helen – powitał ją. Oczy, podobne do czarnych porzeczek, uśmiechały się spod gęstych białych brwi.

Na jego widok Helen poczuła ulgę. W dzieciństwie, pozbawiona zainteresowania i uczucia ojca czy brata, lgnęła do Quincy'ego; był

jedynym życzliwym jej mężczyzną. Kiedy była mała, chodziła do niego z każdym kłopotem. A on zawsze jej pomagał – tak jak wtedy, gdy niechcący rozdarła jedną z początkowych stron *Encyklopedii Britannica*. Quincy precyzyjnie wyciął rozdartą kartkę brzytwą, zapewniając Helen z całą powagą, że rodzinie nic się nie stanie, jeśli nie przeczyta o historii chorwackiej astronomii. Albo kiedy stłukła porcelanową figurynkę, a on tak artystycznie przykleił jej głowę, że nikt nie zauważył szkody.

Teraz uścisnęła mu dłoń i rzekła:

– Przepraszam, że zakłóciłam ci miły wieczór.

– Niczego nie zakłóciłaś, milady – odparł ciepło, odwzajemniając uścisk. – Spotkanie z tobą to czysta przyjemność, jak zawsze.

– Proszę, siadaj – zachęciła, wskazując krzesło przy stole.

Lokaj nie poruszył się: w kącikach jego oczu pojawiły się zmarszczki.

– Przecież wiesz, pani, że tak nie wypada.

Helen lekko skinęła głową, jej uśmiech stężał.

– Wiem, ale tu nie chodzi o zwykłą rozmowę. Obawiam się, że… – Urwała. Słowa uwięzły jej w gardle. Spróbowała jeszcze raz, ale udało się jej tylko niewyraźnie powtórzyć: – Obawiam się.

Quincy milczał, czekając spokojnie, aż Helen się przełamie.

– Chcę cię zapytać o coś ważnego – udało się jej wreszcie wydusić. – I liczę, że powiesz mi prawdę. – Z wściekłością poczuła, jak gorzkie łzy napływają jej do oczu, ale ciągnęła: – Myślę, że znam już odpowiedź. Jednak bardzo by mi pomogło, gdybyś zechciał mi powiedzieć… – Urwała, widząc, jak gwałtownie zmienia się twarz mężczyzny.

Plecy Quincy'ego zgarbiły się, jakby położono mu na barkach zbyt wielki ciężar.

– Może… nie powinnaś pytać, pani – odparł z wysiłkiem.

– Ale ja muszę. Och, Quincy… – Skronie Helen pulsowały, kiedy skupiła spojrzenie na lokaju. – Czy Albion Vance jest moim ojcem?

Sługa powolnym ruchem sięgnął po puste krzesło, przysunął je, po czym ciężko na nie opadł. Ciasno splótł dłonie i oparł je na stole. Nie patrzył na nią. Skupił spojrzenie na jedynym oknie sutereny.

– Gdzie to usłyszałaś, pani? – zapytał po chwili.

– Znalazłam niedokończony list, który mama do niego napisała.

Quincy patrzył w dal, jakby poza najodleglejszą krawędź świata.

– Szkoda, że tak się stało – mruknął bardziej do siebie niż do Helen.

– Ja też tak uważam – szepnęła. – Proszę, powiedz mi, Quincy… czy on jest moim ojcem?

Jego uwaga znów skupiła się na niej.

– Tak.

Wzdrygnęła się.

– Czy jestem do niego podobna?

– Nie jesteś pani podobna do żadnego z nich – odparł łagodnie. – Tylko do siebie. Jesteś jedyna i niepowtarzalna.

– Stworzenie o króliczej twarzy – zacytowała i od razu pomyślała, że mogła sobie darować tę żałosną uwagę. – Tak napisała – wyjaśniła zgnębiona.

– Twoja mama była skomplikowana, pani. Rywalizowała z każdą kobietą na świecie. Także ze swoimi córkami.

– Czy kochała mojego ojca?

– Do ostatka.

Zaskoczył ją tym stwierdzeniem. Spojrzała na niego niedowierzająco.

– Ale przecież ona i pan Vance…

– Pan Vance nie był jedynym odstępstwem od jej małżeńskiej przysięgi. Zresztą earl również nie był wzorem wierności. Ale rodzice pani na swój sposób byli ze sobą związani. Kiedy romans lady Trenear z panem Vance'em się skończył i urodziłaś się ty, pani, twoi rodzice się pogodzili. – Quincy zdjął binokle, wyjął chusteczkę z kieszeni surduta i zaczął starannie wycierać szkła. – Ofiarą stało się dziecko. Byłaś, pani, trzymana na górze, w dziecięcym pokoju, aby nie musieli cię widzieć i myśleć o tobie.

– A co z panem Vance'em? Czy kochał moją mamę?

– Żaden mężczyzna nie potrafi zajrzeć do serca innego mężczyzny. – Lokaj założył binokle na nos. – Lepiej będzie, lady Helen, abyś udawała, że nic o tym nie wiesz.

– Nie mogę, Quincy. – Helen oparła łokcie na stole i przycisnęła dłonie do oczu. – Pan Winterborne go nienawidzi.

– Jak każdy Walijczyk. – Ton Quincy'ego stał się dziwnie oschły.

Helen opuściła ręce i popatrzyła na mężczyznę.

– Niechęć pana Vance'a do Walijczyków jest dobrze znana – wyjaśnił. – Napisał broszurę, chętnie cytowaną przez tych, którzy chcą wyrugować język walijski ze szkół. Jego zdaniem walijskie dzieci mają mówić tylko po angielsku. Do tego jeszcze pan Winterborne ma osobiste uprzedzenia wobec pana Vance'a. Nie wiem, o co chodzi, ale musi to być coś haniebnego, gdyż pan nie chce o tym mówić. Jednym słowem, temat jest drażliwy i lepiej go nie poruszać.

– Sugerujesz, że mam ukrywać swoją wiedzę przed panem Winterborne'em? – Helen patrzyła na lokaja z niedowierzaniem.

– Nie możesz, pani, wspominać o tym ani jemu, ani nikomu innemu.

– Pewnego dnia i tak się dowie.

– Jeśli się dowie, zawsze będziesz mogła zaprzeczyć, lady Helen.

Helen pokręciła głową z udręczoną miną.

– Nie mogłabym go okłamywać.

– Czasami kłamstwo jest mniejszym złem. Jak w tym wypadku.

– Dobrze, ale pan Vance może któregoś dnia sam powiedzieć o tym panu Winterborne'owi. Albo nawet mnie. – Nerwowo potarła kąciki oczu i westchnęła: – O Boże…

– Gdyby nawet tak zrobił, trzeba udawać zaskoczenie. Nikt nie może się zorientować, co naprawdę wiesz, pani.

– Nie, Quincy. Muszę powiedzieć o tym panu Winterborne'owi – postanowiła Helen.

– Proszę tego nie robić! – Mężczyzna podniósł głos. – Dla jego dobra. On cię potrzebuje, milady. Nie jestem z nim długo, ale zdążyłem go nieźle poznać i mogę powiedzieć, że masz na niego bardzo dobry wpływ. Jeśli leży ci na sercu dobro przyszłego męża, nie zmuszaj go, aby dokonał wyboru, który nieuleczalnie go zrani.

Helen popatrzyła na niego wielkimi oczami.

– Wyboru? Chcesz powiedzieć, że jeśli się dowie, może zerwać zaręczyny?

– Nie powinien, ale nie można być do końca pewnym.

Nie mogła sobie tego wyobrazić. Nie po tym, co mówił i robił Rhys. Aż za dobrze pamiętała, jak ją całował i jak kochał się z nią tamtego

popołudnia w Londynie.

– Nie zrobiłby tego.

Tłumione emocje błyszczały w oczach Quincy'ego.

– Lady Helen, proszę mi wybaczyć szczerość. Znam cię od kołyski i zawsze uważałem, że okrutnym i godnym potępienia postępowaniem jest skazanie niewinnego dziecka na takie zaniedbanie i cierpienie. Oboje rodzice zrzucili na ciebie winę za swoje grzechy, niech im Bóg wybaczy. Dlaczego miałabyś dalej płacić tę okrutną cenę, pani? Czemu nie chcesz być szczęśliwa i kochana, tak jak zawsze na to zasługiwałaś?

– Bardzo tego pragnę, Quincy. Ale najpierw muszę powiedzieć panu Winterborne'owi prawdę o swoim pochodzeniu.

Lokaj zrobił jeszcze bardziej zmartwioną minę.

– Pan Winterborne jest dobrym człowiekiem. Wymagającym, ale uczciwym i hojnym. Dba o swoich ludzi i traktuje ich z szacunkiem, od kierownika po pomywaczkę. Ale są pewne granice. W zeszłym tygodniu zobaczył, jak jego stangret Peter smagnął batem żebrzącego chłopca, który podbiegł do powozu na ulicy. Zbeształ go wściekle i zwolnił od ręki. Nieszczęsny stangret kajał się i błagał o wybaczenie, ale szef był nieprzejednany. A kiedy inni słudzy, w tym ja, usiłowali się wstawić za Peterem, zagroził, że nas też zwolni, jeśli powiemy jeszcze choć jedno słowo na ten temat. Powiedział, że są błędy, których nie może wybaczyć. – Quincy zamilkł na moment. – Pan Winterborne ma swoją granicę – dodał. – Jeśli ktoś ją przekroczy, wycina go ze swojego życia i nigdy nie ogląda się za siebie.

– Nie zrobiłby tego swojej żonie – zaprotestowała Helen.

– Zgoda. – Sługa odwrócił wzrok, zanim dodał z wysiłkiem: – Ale nie jesteś jeszcze jego żoną, lady Helen.

Skonfundowana Helen zastanawiała się, czy stary lokaj ma rację i czy rzeczywiście wyznanie Rhysowi prawdy o jej ojcu jest aż takim ryzykiem.

– Pan Winterborne nie jest zwykłym człowiekiem, milady – podjął Quincy. – On się niczego nie lęka i nikomu nie podporządkowuje. W pewien sposób jest nawet ponad prawem. Ośmielę się powiedzieć, że radzi sobie o niebo lepiej niż ktokolwiek

z pochodzeniem zacniejszym od jego. Jest jednak nieprzewidywalny. Jeśli chcesz wyjść za pana Winterborne'a, lady Helen, musisz trzymać język za zębami.

Rozdział 17

Odległe bicie zegara niosło się po domu, kiedy Helen wymknęła się ze swojego pokoju i cicho ruszyła w mrok górnego korytarza. Rhysowi przydzielono pokój gościnny we wschodnim skrzydle, za co była bardzo wdzięczna. Potrzebowali prywatności do rozmowy, którą zamierzała odbyć.

Jeszcze nigdy nie była równie pełna obaw. Serce biło jej tak mocno, jakby ktoś walił od zewnątrz młotem w klatkę piersiową. Nie znała Rhysa na tyle, aby z całą pewnością przewidzieć, jak zareaguje. Wiedziała tylko, że uczucie, które do niej żywił, musiało być ufundowane na ideale arystokratycznej, perfekcyjnej żony, jaką w marzeniach stawiał na piedestale. Wieści, które zamierzała mu wyjawić, nie były jak zejście z tego piedestału – były jak skok z urwiska.

Tu nie chodziło o jej postępowanie. Problemem było jej pochodzenie – coś, czego nie można zmienić ani naprawić. Czy po tym wszystkim Rhys będzie mógł na nią patrzeć, nie myśląc o człowieku nazwiskiem Albion Vance? Większość swojego życia Helen spędziła z ludźmi, którzy powinni ją kochać, a jednak nie kochali. Nie wyobrażała sobie życia z mężem, który zachowywałby się tak samo.

Kiedy doszła do wschodniego skrzydła, trzęsła się z zimna pomimo wełnianego szlafroka i ciepłych, wyszywanych kapci. Stanęła pod drzwiami pokoju Rhysa i nieśmiało zapukała. Poczuła ucisk w żołądku, gdy wyrosła przed nią potężna, ciemna sylwetka, rysująca się na tle kominkowej poświaty i ciepłego światła nocnej lampki. Był tylko w szlafroku, a spomiędzy rozchylonych klap

wyzierała naga pierś. Stopy miał bose. Otoczył ramieniem kibić Helen, wciągnął ją do środka i starannie zamknął drzwi.

Kiedy przygarnął ją do siebie, przytuliła policzek do jego nagiej skóry.

Czując, że drży, przytulił ją jeszcze mocniej.

– Jesteś zdenerwowana, *cariad*.

Kiwnęła głową przy jego piersi.

Rhys łagodnie przyłożył dłoń do jej policzka.

– Boisz się, że sprawię ci ból?

Rozumiała, że nawiązuje do jej pierwszego razu, po którym rzeczywiście była obolała. Istotnie, bała się bólu, ale nie takiego, o jakim myślał. Oblizała suche wargi i zmusiła się do odpowiedzi:

– Tak. Ale nie tego rodzaju…

– Nie, nie – uspokoił ją szybko. – Teraz już będzie inaczej. – Pochylił głowę i objął ją zachłannie, jakby chciał ją wchłonąć w siebie. – Będę delikatny. Twoja przyjemność jest dla mnie najważniejsza. – Powędrował dłonią ku krągłości jej bioder i dalej, szlakiem pieszczoty przez brzuch do miejsca pomiędzy udami.

Zmysłowy dotyk przejął Helen rozkosznym dreszczem. Nogi jej zmiękły i ledwo stała. Nabrała powietrza, żeby przemówić, ale słowa ugrzęzły jej spazmem w gardle. Przełknęła z wysiłkiem i powiedziała słabym głosem:

– Nie o to chodzi… Boję się, bo myślę, że… mogę cię stracić.

– Stracić? Mnie? – Rhys spoważniał i popatrzył na nią badawczo, jednak umknęła spojrzeniem. – Dlaczego tak myślisz?

Teraz powinna mu powiedzieć. Próbowała wyrzucić z siebie: Albion Vance jest moim ojcem – ale nie mogła się na to zdobyć. Usta nie chciały się układać do słów. Stała, drżąc niczym najcieńsze struny fortepianu, jakby ktoś grał na nich tchórzliwe tremolo.

– Nie wiem – odparła w końcu. Nie potrafiła spojrzeć mu w oczy.

Rhys pochylił się i pocałował ją w policzek.

– No widzisz, niepotrzebnie się denerwujesz – powiedział cicho i uniósł Helen z łatwością, która zaparła jej dech.

Był taki silny… Potężne mięśnie jego piersi i ramion mogły ją zgnieść. Jednocześnie był delikatny i troskliwy, kiedy zaniósł ją do stojącego przed kominkiem wyścielanego fotela i usiadł razem z nią

tak, że spoczęła na jego kolanach. Zdjął kapeć ze zlodowaciałej stopy Helen i zaczął ją niespiesznie masować dużą, ciepłą dłonią. Kciukiem pocierał wierzch stopy, uwalniając Helen od napięcia, z którego nawet nie zdawała sobie sprawy. Stłumiła jęk, kiedy zaczął masować czułe miejsca podeszwy. Delikatnie ściskał każdy paliczek kciukiem i palcem wskazującym, a potem kolistymi ruchami masował śródstopie. Za moment zajął się drugą nogą, cierpliwie pocierając ją i uciskając. Helen, coraz bardziej odprężona, tuliła się do niego, trzymając głowę na jego piersi, tam, gdzie biło serce. Jej oddech zwolnił i wpadła niemal w trans, w rodzaj półsnu.

Za oknami zimowy wiatr gwizdał nad pastwiskami pokrywającymi łagodne wzgórza, kołysał konarami i gałęziami drzew, które telepały się jak niedomknięte wrota. Stare kości domu klekotały i trzaskały po nocy.

Rhys tulił Helen w kojących objęciach. Oboje słuchali trzasków wysuszonych dębowych polan, pożeranych przez ogień, obserwując taniec iskier. Nikt nigdy nie tulił Helen tak czule ani tak długo.

– Dlaczego stare domy skrzypią w nocy? – zagadnął leniwie Rhys, bawiąc się jej warkoczem i żartobliwie muskając sobie policzek pędzelkiem na jego końcu.

– Bo z nastaniem nocy zaczyna uciekać z niego ciepło, więc stare belki i deski kurczą się i trą o siebie – odparła Helen.

– Cholernie wielki dom. A ty za długo byłaś w nim pozostawiona sama sobie. Dopiero teraz zdałem sobie sprawę, jak bardzo musiałaś być samotna.

– Moim towarzystwem były bliźniaczki. Opiekowałam się nimi.

– Ale tobą nikt się nie opiekował.

Helen ponownie się spięła, jak zawsze, gdy myślała o swoim dzieciństwie. Nieraz zastanawiała się nad tym, że udało się jej przeżyć tylko dlatego, iż nigdy nie narzekała i nie ściągała uwagi na swoją osobę.

– Och… nie było mi to potrzebne.

– Wszystkie małe dziewczynki potrzebują się czuć bezpieczne i kochane. – Odgarnął jej luźne kosmyki z twarzy i przez chwilę przeczesywał je palcami, igrając z pełgającymi po nich odblaskami ognia. – Kiedy dorastasz, odczuwając brak czegoś, ten brak na

zawsze zostanie z tobą. Nawet jeśli dostaniesz to, czego dotąd nie miałaś.

Helen popatrzyła na niego zaskoczona.

– A ty? Odczuwałeś coś takiego?

W uśmiechu Rhysa pojawiła się ironia.

– *Cariad*, mój majątek jest tak wielki, że może oszołomić każdego rozsądnego człowieka. Ale jakaś cząstka mnie zawsze mi przypomina, że jutro mogę zostać bez grosza. – Obwiódł dłonią krągłość kobiecego biodra, powędrował wzdłuż uda, po czym chwycił Helen za kolano i popatrzył w jej wielkie oczy. – Kiedy byliśmy w Londynie, powiedziałaś mi, że twój świat jest bardzo mały. No cóż, mój świat jest bardzo duży. A ty jesteś w nim najważniejszą osobą. Teraz jesteś bezpieczna i kochana, Helen. Z czasem się do tego przyzwyczaisz i przestaniesz żyć w lęku. – Kiedy wtuliła twarz w jego pierś, zniżył głowę i zbliżył usta do jej ucha. – Jesteśmy sobie przeznaczeni aż do końca naszych dni – wyszeptał. – Pamiętasz?

Potarła policzkiem o miękką, aksamitną klapę jego szlafroka.

– Jeszcze sobie nie przysięgaliśmy – zauważyła.

– Zrobiliśmy to tamtego dnia, kiedy poszłaś ze mną do łóżka. Wtedy nasz związek został przypieczętowany. – Rhys ujął Helen pod brodę i delikatnie zmusił ją, aby na niego popatrzyła. Rozbawienie pogłębiło drobne zmarszczki w kącikach jego oczu. – Przykro mi, kochanie, ale już się mnie nie pozbędziesz.

Helen z desperacją wpatrywała się w twarz mężczyzny. Twarde, śmiałe, mocne rysy stanowiły wyrazistą oprawę dla czarnych oczu o intensywnym spojrzeniu. Rhys otworzył się na nią całkowicie, aby mogła zobaczyć bezmiar czułości, który zarezerwował wyłącznie dla niej. Niemal namacalnie czuła siłę przyciągającą ich do siebie niczym grawitacja. Byli jak bliźniacze gwiazdy. Rhys podciągnął ją wyżej na swojej klatce; silne, męskie ciało prężyło się pod nią zmysłowo. Piersi Helen nabrzmiały i zapłonęły; obróciła się i przywarła nimi do Rhysa. Udręczona poczuciem winy i pożądaniem, zarzuciła ramiona na szyję mężczyzny. Chciała więcej, chciała czuć dotyk jego skóry, chciała go smakować, chciała, by ją wypełnił.

Powiedz mu! – krzyczał jej udręczony umysł. No, powiedz!

Zamiast tego usłyszała swój szept:

– Chcę do łóżka, teraz…
Pod sobą poczuła znajomą już, rosnącą twardość.
Rhys zabawnie uniósł brwi.
– Sama?
– Z tobą!

Rozdział 18

Rhys nie rozumiał, dlaczego Helen nagle zrobiła się tak rozedrgana i pełna lęku, jakby miotał nią wewnętrzny, ukryty niepokój. Zawsze wykazywała pewną rezerwę, jakby ukrywała sobie tylko znane rejony umysłu, w które czasami się wycofywała. Jej tajemniczość, pewna niedostępność i nieuchwytność od początku go fascynowały. Bóg mu świadkiem, że nigdy w życiu nie pragnął tak bardzo wejść do umysłu i duszy drugiego człowieka jak w przypadku Helen.

Zaniósł ją do łóżka i delikatnie położył na materacu. Ze zdecydowaniem, które go zaskoczyło, Helen sięgnęła do paska jego szlafroka i rozwiązała go jednym szarpnięciem. Poły się rozchyliły, odsłaniając męskie ciało płonące pożądaniem… A potem chłodne kobiece dłonie zaczęły po nim sunąć. Rhysowi zaschło w ustach, jego męskość dziko pulsowała, kiedy Helen na nowo zaczęła dotykiem poznawać jej kształt i jedwabistą gładkość.

Zrzucił szlafrok z ramion i stał z rękami odsuniętymi od ciała, nie bardzo wiedząc, co z nimi zrobić. Nawet w najśmielszych snach nie przypuszczał, że Helen sama z siebie tak się zachowa. Jego podniecenie wzrosło, kiedy patrzył, jak z wdziękiem dotyka go smukłymi palcami, z tą samą lekkością, z jaką naciskała klawisze fortepianu albo trzymała uszko chińskiej filiżanki.

Helen zauważyła, że Rhys drgnął gwałtownie i wciągnął powietrze, kiedy dotknęła wierzchołka jego wyniosłej kolumny.

– Czy w tym miejscu czujesz więcej? – zapytała.

Niezdolny wypowiedzieć słowa, wydał z siebie gardłowy pomruk i kiwnął głową.

Pieściła go niespiesznie. Księżycowy kamień – symbolizujący uczucie Rhysa – opalizował niebieskawo, kiedy obiema dłońmi objęła tę najważniejszą, najczulszą część. Zrobiła to tak delikatnie i czujnie, jakby chciała oswoić coś nieprzewidywalnego i niebezpiecznego. I tak było. Ciało Rhysa było już tylko naczyniem przepełnionym pożądaniem, które zaraz wykipi. Prymitywna część jego mózgu czerpała nieprzyzwoitą przyjemność z przewrotnego widoku nieśmiałej, jasnowłosej nimfy słodko i nieporadnie pieszczącej jego napalonego naganiacza. Kontrast pomiędzy subtelnym wdziękiem i twardą męską żądzą podniecał go w najbardziej pierwotny sposób.

Helen z każdą chwilą robiła postępy. Jedną ręką trzymając go u podstawy, z palców drugiej zrobiła pierścień i przesunęła w górę. Kciukiem dotknęła obnażonego czubka i zaczęła go gładzić miękkimi, kolistymi ruchami. Przed oczami Rhysa wybuchła fontanna oślepiających iskier. Głęboko w dole brzucha zadudnił potężny puls, ostrzegając, że za moment nastąpi kulminacja. Z głuchym jękiem próbował odepchnąć jej ręce.

– Nie, dalej nie… nie… kochanie…

Nie posłuchała. Zniżyła się nad nim, aż poczuł jej oddech. Zaczęła go całować, pieszcząc wargami coraz bardziej śliski czubek. Jego ciało odpowiedziało tak gwałtownie, że niemal stracił nad nim władzę. Łapiąc powietrze, Rhys wyrwał się Helen i przekręcił na brzuch, gorączkowo starając się stłumić rosnącą, zbyt wczesną rozkosz. Jego plecy opadały i unosiły się niczym miech.

– Helen – wykrztusił, zagarniając garściami prześcieradło. – Mój Boże, Helen…

Poruszyła się za jego plecami; materac lekko się ugiął pod jej smukłym ciałem.

– Podobało ci się? – zapytała niepewnie.

Skwapliwe potwierdzenie stłumiły fałdy pościeli.

– Och, to dobrze. – W jej głosie słyszał ulgę.

Za chwilę poczuł, jak Helen wsuwa się na niego. Zdążyła już zdjąć nocną koszulę i kocim ruchem przywarła do jego pleców całą długością smukłego, nagiego ciała. Na moment znieruchomiał, sycąc

się ulotnym, a zarazem seksownym dotykiem. Jedwabista kobieca skóra, krągłości piersi… delikatny gąszcz, łaskoczący go z tyłu…

– Rozmawiałam z Kathleen – powiedziała, a ciepły oddech zjeżył włoski na jego karku. – Powiedziała mi o różnych małżeńskich sprawach, o których powinnam wiedzieć. – Czując, że ciało Rhysa drży i pręży się pod nią, przylgnęła do niego mocniej i jeszcze wyraźniej poczuła rzeźbę nowych dla siebie terenów.

– Helen, błagam, leż spokojnie…

Momentalnie znieruchomiała.

– Niewygodnie ci, jak tak leżę?

– Nie, ale usiłuję się nie spuścić.

– Och… – Przylgnęła policzkiem do jego karku. – Są mężczyźni, którzy mogą parę razy – powiedziała pocieszającym tonem.

Walcząc z gwałtownym wzwodem, Rhys mimo woli uśmiechnął się do siebie.

– Widzę, że twoja edukacja postępuje, *cariad*.

– Po prostu chcę wiedzieć wszystko, co wie każda kochanka, abym mogła ci dogodzić.

Ostrożnie wysunął się z jej uścisku i płynnym ruchem zagarnął ją pod siebie. Objął dłońmi jej głowę, przesypując między palcami srebrnozłote włosy.

– Kochanie – powiedział – nie musisz się o to martwić. Każdy twój ruch mnie zachwyca.

Spojrzała na niego czujnie.

– Nie ma ideałów. Zaraz się okaże, co ci się nie podoba.

– Mam nadzieję. Czułbym się nieswojo, gdybyś nie miała żadnych wad.

– Nawzajem – odrzekła, zaskakując go nową w jej głosie ironią.

– Jeżeli za swoją wadę uważasz wstydliwość, pomogę ci ją pokonać. – Rhys trącił Helen biodrami. – Sama oceń, jak szybkie postępy robisz w moim łóżku.

Helen zachichotała, czerwieniąc się po korzonki włosów. Przesunęła dłonią wzdłuż jego pleców, po czym wsunęła ją pomiędzy nich.

– A jak to się nazywa? – spytała i chwyciła go mocno. – Jak na niego mówisz?

– Twoja bratowa nie uwzględniła tego w swoim wykładzie?

– Poznałam angielskie nazwy. A chciałabym poznać walijskie.

– A więc w ten sposób chcesz się uczyć walijskiego? – zaśmiał się Winterborne. – Zaczynając od nieprzyzwoitości?

– Tak.

Pocałował ją, wciąż się śmiejąc.

– Uprzedzam cię, większość miłosnych walijskich słów brzmi jak wyjęte z poradnika rolniczego. Męski członek to *goesyn* – badyl.

Parę razy przećwiczyła wymowę, pieszcząc go z delikatnością doprowadzającą do szału.

– Kiedy mężczyzna robi to z kobietą – kontynuował Rhys, próbując uspokoić oddech – mówimy: *dyrnu*, czyli młócić. – Zaczął całować jej ciało, schodząc ustami w dół i smakując ciepłą skórę z delikatnym posmakiem talku. Dmuchnął delikatnie w gęstwę kędziorków i wymamrotał: – A tam jest *ffwrch*, bruzda do zaorania. – Czubkiem języka przeciągnął po niewinnie stulonych krawędziach, otwierając szparę. Kobiece uda drgały spazmatycznie po obu stronach jego głowy. – Zaś to – urwał, żeby poszukać językiem delikatnego pączka, schowanego w kieszonce – nazywamy *chrib*, komórką miodowego plastra. – Zanurkował głębiej i wzbudził mały pączek, który wyłonił się śmiało i poddał pieszczocie.

Pieścił ją i lizał niespiesznie, a ona wiła się w rozkosznej, bezsilnej męce. Tak się zapamiętał w tych pieszczotach, że jego świat ograniczył się do łóżka i tej kobiety. Jakaż była kształtna i delikatna. A ta cudowna, perłowa skóra! Wnętrza jej dłoni i podeszwy drobnych stóp były miękkie jak kocie łapki. Każdy cal jej ciała był wrażliwy i reagował na jego pieszczoty. Palce u nóg się rozszerzały, kiedy całował sklepienie stopy, a noga drgała, gdy przesunął językiem pod kolanem.

Wreszcie, kiedy cudowna podróż się skończyła i każdy zakątek kobiecego ciała został dopieszczony, Rhys wsunął się na Helen i oparł na łokciach. Ustawił członek u samego wejścia do ciepłego, wilgotnego tunelu, aby poczuła, czego za chwilę doświadczy. Sprawiała wrażenie niepewnej, zmieszanej i spiętej. Puls tętnił w jej szyi.

– Czy chcesz mnie, Helen?

– Tak…

Z obawy, żeby nie sprawić jej bólu, przygniótł wijące się biodra i szeptem poprosił, żeby leżała spokojnie. Wejście było wilgotne, lecz ciasne i nie chciało tak łatwo ulec. Helen zarzuciła mu ręce na szyję, haustami łapiąc powietrze i wydając ciche odgłosy, w miarę jak się w nią wciskał krótkimi ruchami, za każdym razem głębiej, jednocześnie całując jej usta i szyję. W umyśle Rhysa wirowały sceny z ich poprzedniego razu i wspomnienie bólu, jaki musiał jej zadać. Bardzo chciał, żeby teraz było jej dobrze.

Kiedy pokonał ostatnią odległość, na moment przerwał, aby jeszcze raz popatrzeć w zachwycie na Helen. Jej skóra była lśniąca i zroszona drobnymi kropelkami potu, a oczy błyszczały jak gwiazdy. Przypominała magiczną istotę z bajki, cudownego, zbłąkanego anioła, który trafił w jego ramiona. Uszczęśliwiony zapadł głębiej w czułe objęcia bioder i ud, napawając się drżeniem kruchego ciała pod sobą i czując na spoconych plecach kojący, chłodny płaszcz powietrza. Muskał ustami krągłości piersi, doskonaląc ich kształty dłońmi, a w jego uszach jak muzyka brzmiał zmysłowy jęk.

– Kiedy wbiję się w ciebie, *cariad* – powiedział chrapliwie, wsuwając dłoń pod pupę Helen – unieś biodra. O, tak…

Uniósł ją lekko i delikatnie w niej zanurzył. A potem wycofał się i zaczął jeszcze raz, tylko mocniej. Pojętna uczennica w odpowiednim momencie powtórzyła ruch bioder i wybuchł w nim biały płomień. Z trudem łapał oddech.

– Taa, o właśnie… Dobrze… Moja dzielna dziewczynka… Och… Boże, ty mnie zabijesz! – Poczuł, jak Helen zapiera się piętami o materac, aby lepiej poddawać się jego ruchom. Miał wrażenie, jakby robili coś zupełnie innego niż zwykłe spółkowanie – tak nowe i radosne było ich rozkoszne współdziałanie. Zarazem jeszcze nigdy żądza Rhysa nie była do tego stopnia bezwzględna i dzika. Niezmordowanie ujeżdżał Helen, zalewany falami przyjemności, nieubłaganie zmierzając do wielkiego finału.

Ale nie chciał jeszcze kończyć. Zacisnął zęby i cudem zdołał przerwać. Z ust Helen wyrwał się jęk zawodu. Poruszyła się pod nim bezradnie.

– Zaczekaj – powiedział Rhys.

– Nie mogę…

– Posłuchaj mnie.

– Och, proszę…

– Minutę. – Przycisnął ją tak, że nie mogła się ruszyć.

– To będzie jak wieczność – zaprotestowała.

Rhys zaśmiał się niepewnie.

Kiedy odzyskał kontrolę nad pożądaniem, znów zaczął się w niej poruszać, stopniowo przyspieszając rytm, aż napięcie iskrzyło w końcówkach jego nerwów. Co jakiś czas przystawał, nie wychodząc z niej, i nie wznawiał akcji, dopóki napięcie lekko nie opadło. Helen dyszała i jęczała coraz głośniej, a w jej ruchach narastało szaleństwo. Rhys wychwycił moment, kiedy do reszty straciła kontrolę nad sobą. Jej powieki się zacisnęły, a twarz poczerwieniała. Wtedy wsunął ręce pod jej kolana i przyciągnął je do siebie, aż stopy Helen zawisły w powietrzu. Teraz, kiedy otworzyła się na niego szeroko, już się nie hamował. Wdarł się w nią dziko, zaborczo. Spocone ciała raz po raz zderzały się z cichym cmoknięciem. Ostre okrzyki wyrywały się spomiędzy zaciśniętych zębów Helen. Rhys pochylił głowę, aby nakryć jej usta swoimi. Rozchylił je językiem, jakby chciał spijać te dźwięki. Kiedy zaczęło się szczytowanie, jej ciało przebiegło przeciągłe drżenie. Puściły wszystkie hamulce. Napięcie zestrzeliło się w jeden punkt i wybuchło Rhysowi pod czaszką. Rżnął ją jak oszalały, pozbywając się ładunku do ostatniej kropli, a ona wysysała go w kolejnych spazmach.

Szok spełnienia był tak silny, że puścił jej nogi i wisiał nad nią na ugiętych łokciach, dysząc jak po wyczerpującym biegu. Helen objęła go w pasie i przyciągnęła, aż przylgnęli do siebie ciasno niczym kartki książki. Pragnął tak trwać, wtopiony w nią, zaspokojony i szczęśliwy, aż do końca swoich dni. Zamiast tego ostatkiem sił zsunął się z Helen i legł na boku.

Po chwili wstała i odeszła bez słowa, by wrócić z ręcznikiem, który zmoczyła w misce stojącej wraz z dzbanem na stojaku w rogu pokoju. Pochyliła się nad Rhysem i zaczęła mu przemywać krocze. Przewrócił się na plecy i splótł ręce za głową, napawając się widokiem ukochanej, tak czule o niego dbającej.

– Żadna kobieta nie dała mi takiej przyjemności, *cariad*.

Na moment uniosła głowę i uśmiechnęła się do niego. Kiedy skończyła, odłożyła ręcznik, zgasiła lampę i wróciła do łóżka. Rhys okrył ich i przygarnął Helen do siebie. Wtuliła się w niego, składając głowę w zagłębieniu ramienia.

– Ile miałeś kobiet? – ośmieliła się zapytać.

Rhys przesunął palcami po jej smukłych plecach, rozważając odpowiedź. Ile może zdradzić mężczyzna swojej żonie – przyszłej żonie – na temat kobiet, które miał przed nią?

– A czy to takie ważne? – zapytał, żeby zyskać na czasie.

– Nie. Ale jestem ciekawa, ile kochanek było w twoim łóżku.

– Najważniejszą kochanką zawsze był dla mnie mój dom towarowy.

Poczuł na ramieniu jej wargi.

– Pewnie nie lubisz się z nią rozstawać.

– Nawet w połowie nie tak, jak nie lubię się rozstawać z tobą.

Pocałunek rozciągnął się w uśmiechu.

– Nie odpowiedziałeś na moje pytanie.

– Jeśli chodzi ci o tradycyjną metresę, czyli utrzymankę, dla której wynajmuje się mieszkanie i płaci za nią rachunki, to miałem jedną. Znajomość trwała rok. – Przerwał, a po chwili dodał szczerze: – Dziwny jest taki układ. Płaci się kobiecie nie tylko za łóżko, ale i za gotowość.

– Dlaczego to robiłeś?

Rhys z zakłopotaniem wzruszył ramionami.

– Mężczyźni o pozycji takiej jak moja mają kochanki. Przedstawił mi ją współpracownik. Jej poprzedni związek się skończył i była wolna. Potrzebowała nowego protektora i spodobała mi się.

– Dbałeś o nią?

Nie był przyzwyczajony do wynurzeń na temat swojej przeszłości ani do rozmawiania o swoich uczuciach. Nie rozumiał, co dobrego mogło wyniknąć z przyznania się do własnych słabości. Jednak ponieważ Helen milczała wyczekująco, niechętnie podjął:

– Nigdy nie wiedziałem, czy jej pociąg do mnie jest prawdziwy, czy chodzi jej tylko o pieniądze. Możliwe, że ona sama tego nie wiedziała.

– A chciałeś, żeby cię pokochała?

Zdecydowanie pokręcił głową. Miękka kobieca dłoń pieściła jego pierś i brzuch; ogarnął go taki spokój, takie odprężenie, że powiedział więcej, niż zamierzał.

– Od czasu do czasu miewałem kochanki. Kobiety, które nie chciały być utrzymankami i zwykle lubiły być ostro ujeżdżane.

– Ostro ujeżdżane?

– Tak się u nas mówi, w klasie niższej – wyjaśnił. – To znaczy, że lubią brutali w łóżku.

Dłoń Helen znieruchomiała na piersi Rhysa.

– Ale przecież ty jesteś delikatny.

Był rozdarty pomiędzy rozbawieniem a zawstydzeniem, gdyż usłużna pamięć podsuwała mu co bardziej pikantne sceny z przeszłości.

– Cieszę się, że tak uważasz, *cariad*.

– Poza tym nie zaliczasz się do klasy niższej. – Znów zaczęła kreślić niewidzialne wzory na jego torsie.

– Niech mnie diabli wezmą, jeśli jestem w wyższej – odparł gorzko. – Nazywają nas sztokfiszową arystokracją. Mężczyzn, których fortuny wyrosły na interesach, ale mają plebejskie korzenie.

– Dlaczego sztokfiszową?

– To odniesienie do bogatych kupców, którzy zakładali kolonie w Ameryce i zbijali majątek na dostarczaniu tam suszonych dorszy. Dzisiaj powiedzielibyśmy, że są ludźmi interesu.

– Inne określenie to nuworysze – powiedziała Helen. – Mocno niepochlebne, a szkoda. Dojście do majątku i pozycji własną ciężką pracą jest godne podziwu. – Gdy poczuła, jak zaśmiał się bezgłośnie, dodała: – Naprawdę tak uważam.

Rhys wykręcił głowę, żeby ją pocałować.

– Nie musisz mi schlebiać.

– Ja ci nie schlebiam. Mówię prawdę.

Wszystko jedno, czy rzeczywiście tak uważała, czy tylko grała rolę lojalnej narzeczonej – ważne, że jej słowa niczym leczniczy balsam ukoiły bolesne miejsca jego duszy. Boże, jak tego potrzebował! Dopiero teraz zrozumiał jak bardzo. Smukłe, młode ciało Helen prężyło się przy jego ciele, kiedy znów zaczęła wędrować po nim

dłońmi. Leżał nieruchomo i pozwalał na tę podróż, aby mogła nasycić swoją ciekawość.

– Czy była kobieta, o której poślubieniu myślałeś?

Rhys się zawahał, ale Helen już znalazła szczelinę w jego zbroi.

– Tak, lubiłem jedną dziewczynę – przyznał.

– Jak się nazywała?

– Peggy Gilmore. Jej ojciec robił meble dla mojego domu towarowego. – Znów napłynęły niechciane spojrzenia, upiorne obrazy, słowa, echo uczuć. – Śliczna dziewczyna o zielonych oczach. Nie uwodziłem jej, nigdy tak daleko się nie posunąłem.

– Dlaczego?

– Bo wiedziałem, że kocha się w niej Ioan, mój przyjaciel.

Helen przylgnęła do boku Rhysa i przełożyła smukłą nogę przez jego uda.

– To walijskie imię, prawda?

– Taa. Rodzina Ioana, Crewesowie, mieszkała na High Street, niedaleko sklepu mojego ojca. Wyrabiali i sprzedawali sprzęt do połowu ryb. Na wystawie mieli olbrzymiego spreparowanego łososia. – Uśmiechnął się lekko, wspominając swoją dziecięcą fascynację kolekcją martwych ryb i gadów, zdobiącą sklep. – Pan Crewe namówił moich rodziców, aby pozwolili mi uczyć Ioana pisać i czytać przez dwa popołudnia w tygodniu. Liczył, że interes lepiej pójdzie, jeśli ktoś będzie ładnie i składnie wypełniał rubryki oraz tworzył różne pisma. Po latach, kiedy sam zacząłem rozwijać swój sklep, zatrudniłem Ioana jako kontrolera jakości. Porządny i miły był z niego człowiek, a do tego pracownik na wagę złota. Nie mogłem winić Peggy, że go wybrała. Zresztą nigdy nie kochałem jej tak mocno jak on.

– Pobrali się? Ioan nadal pracuje u ciebie?

Mroczny cień przemknął przez twarz Rhysa, jak zawsze, kiedy myślał o Crewesach. Nie chciał, żeby przeszłość kradła jego czas z Helen.

– Nie mówmy już o tym, *cariad*. To nie jest miła historia, wspomnienia mnie przygnębiają.

Jednak Helen nie ustępowała. Uparła się, żeby poznać jego przeszłość.

– Czy to was poróżniło?

Rhys milczał poirytowany. Pokręcił głową, licząc, że Helen wreszcie się zniechęci. Ale wtedy poczuł jej wargi na policzku; wsunęła palce w jego włosy i jej dłoń już tam została. Ten niespodziewany gest milczącego pocieszenia zupełnie go rozbroił. Westchnął, świadom, że nie potrafi niczego przed nią ukryć.

– Ioan nie żyje od czterech lat – powiedział cicho.

Helen w milczeniu trawiła jego słowa. Po chwili pocałowała go znowu, tym razem w pierś, tam, gdzie biło serce.

Do licha, pomyślał, bo zrozumiał, że teraz powie jej już wszystko. Kiedy robiła coś takiego, nie potrafił jej odmówić, odsunąć jej na dystans.

– Ioan i Peggy wzięli ślub. I przez jakiś czas byli szczęśliwi. Dobrze się dobrali, a Ioan wzbogacił się na udziałach w moim interesie. Peggy miała wszystko, o czym zamarzyła… – Urwał, po czym dodał smutno: – Oprócz czasu, który spędzałaby z mężem. Ioan poświęcał się pracy i każdego dnia zostawał w niej do późna. Peggy ciągle była sama. Za dużo była sama. Powinienem był coś z tym zrobić. Powinienem był powiedzieć mu, żeby nie siedział po godzinach i wracał do żony…

– To nie należało do twoich obowiązków.

– Jako pracodawcy może nie, ale jako przyjaciela, uważam, że tak. – Poczuł, jak głowa Helen mości się na jego piersi. – W naszym małżeństwie nie będzie takiego problemu – wymruczał. – Chętnie porzucę kawalerskie czasy.

– Nasz dom jest niedaleko twojego biura. Jeśli zostawałbyś w pracy za długo, po prostu przychodziłabym po ciebie.

Odpowiedź Helen była tak życiowa i praktyczna, że skłoniła go do uśmiechu.

– Bez problemu oderwiesz mnie od obowiązków – powiedział, muskając pasma jej włosów, spływające na jego pierś niczym jasne, jedwabne wstęgi.

Helen delikatnie drążyła dalej:

– Peggy przestało się to podobać?

– Taa… Potrzebowała więcej obecności męża, niż mógł jej zapewnić. Na spotkania towarzyskie chodziła bez niego, aż wreszcie

stała się ofiarą mężczyzny, który ją oczarował i uwiódł. – Gardło ścisnęło się Rhysowi jak zawsze, kiedy wspominał tamte wydarzenia. Mimo to zmusił się do mówienia, sprawozdając po kolei fakty, jakby eliminował piony w grze w samotnika: – Peggy przyszła do Ioana, zhańbiona i spłakana, i wyznała mu, że spodziewa się dziecka, które nie jest jego. A on jej wybaczył i zapewnił, że może na niego liczyć. Powiedział, że to jego wina, bo ją zaniedbywał i skazał na samotność. Obiecał, że uzna dziecko i będzie o nie dbał jak biologiczny ojciec.

– Jakże szlachetnie się zachował – powiedziała cicho Helen.

– Ioan był najwspanialszym z ludzi. Poświęcił się dla Peggy. Starał się spędzać z nią jak najwięcej czasu w trakcie ciąży i był przy niej w chwili, kiedy zaczął się poród. Ale coś poszło źle i bóle tak się nasiliły, że Peggy musiano podać chloroform. Bardzo źle na niego zareagowała… Nie wiem, może podali za szybko. Po pięciu minutach nie żyła. Kiedy Ioanowi o tym powiedziano, zemdlał i musiałem się nim zająć. – Rhys pokręcił głową, atakowany przez wspomnienie własnej bezsilności oraz wiecznej potrzeby porządkowania i naprawiania wszystkiego, która nieustannie zderzała się z jego życiem, ponosząc jedną klęskę za drugą. – Szalał z rozpaczy – podjął po chwili. – Przez parę dni po tej tragedii miał omamy, rozmawiał z ludźmi, których nie było. Dopytywał, czy Peggy już urodziła, jakby w pewnym momencie czas się dla niego zatrzymał i nie mógł znów ruszyć do przodu. – Uśmiechnął się posępnie. – Zawsze przychodziłem do Ioana, kiedy miałem problem, z którym nie potrafiłem sobie poradzić, albo zwyczajnie musiałem coś przegadać. Sam zacząłem się obawiać, czy nie zwariowałem. Nieraz łapałem się na tym, że myślę: Na Boga, muszę o tym pogadać z Ioanem, żeby wymyślić jakieś rozwiązanie. Ale to było niemożliwe. Tragedia go złamała. Sprowadziłem do niego lekarzy, pastora, przyjaciół i krewnych – każdego, kto mógłby do niego dotrzeć. – Winterborne z trudem przełknął ślinę. – Tydzień po śmierci Peggy Ioan się powiesił.

– O Boże… – wyszeptała Helen.

Długo milczeli.

– Ioan był dla mnie jak brat – powiedział w końcu Rhys. – Miałem nadzieję, że czas zaleczy rany. Niestety. Mogę tylko spychać te myśli na dno mojej głowy, zatrzasnąć je, próbować o nich zapomnieć.

– Rozumiem. – W głosie Helen brzmiało niekłamane współczucie. Jej dłoń poruszała się na jego piersi delikatnymi kolistymi ruchami. – Czy dziecko też umarło?

– Nie, dziecko przeżyło. To była dziewczynka. Rodzina Peggy jej nie chciała ze względu na pochodzenie, więc oddano ją biologicznemu ojcu.

– I nie wiesz, co się z nią dalej działo?

– Nie obchodzi mnie to. Jest córką Albiona Vance'a.

Dziwny bezwład ogarnął Helen, jakby nagle dusza opuściła jej ciało. Leżała nieruchomo obok Rhysa, a jej myśli tłukły się jak ćmy wokół lampy. Czemu wcześniej nie pomyślała, że jej matka zapewne nie była pierwszą kobietą, którą uwiódł i wykorzystał Vance?

Biedne, niechciane dziecko… Ma teraz cztery lata. Co Vance z nią zrobił? Czy mieszka z nim?

Helen nie sądziła, aby tak było.

Nic dziwnego, że Rhys go nienawidził.

– Przepraszam – szepnęła.

– Za co? – zdziwił się. – Przecież nie masz z tym nic wspólnego.

– Po prostu… przepraszam.

Poczuła, jak Rhys wciąga powietrze, i odrętwienie odpłynęło z niej, zmyte przez falę czułości i współczucia. Bardzo chciała go pocieszyć; ukoić ból z przeszłości i na zapas ten, którego jeszcze miał doznać. Jej dłoń pieściła jego ciało, gładząc biodra i podbrzusze. Zadrżała, kiedy leciutko ukąsił ją w płatek ucha. Oplótł ją nogami, łaskocząc jej skórę gąszczem włosków.

– Kiedy to robiliśmy, zapomniałeś angielskiego – stwierdziła leniwym tonem.

Dalej skubał krawędź jej ucha.

– Bo doprowadziłaś mnie do szaleństwa. Nie potrafiłbym ci nawet powiedzieć, jak mam na imię.

– A może bałeś się, że ktoś nas usłyszy?

– Myślę, że nie przypadkiem dano mi pokój z daleka od rodziny.

– Może obawiali się twojego chrapania? – rzuciła ze śmiechem, po czym spytała rzeczowo: – Właśnie, czy ty chrapiesz?

– Nie sądzę. Ale rano sama mi powiesz.

Helen mocniej się w niego wtuliła i powiedziała z westchnieniem:

– Nie mogę dopuścić, żeby pokojówka zastała mnie tu rano, kiedy przyjdzie sprzątać. Powinnam wrócić do siebie.

– Nie, zostań. – Jego ramiona zwarły się mocniej wokół niej. – Obudzę cię. Nie śpię dłużej niż do świtu.

– Nigdy? Dlaczego?

Rhys uśmiechnął się leniwie z ustami wtulonymi w jej szyję.

– Tak bywa, kiedy się jest dzieckiem sklepikarza. Mój dzień zaczynał się wraz z pierwszym promieniem brzasku. Brałem kosz i dostarczałem zamówienia rodzinom z sąsiedztwa. Jeśli szybko się sprawiłem, mogłem przez pięć minut pograć z kumplami w kulki, a potem wracałem do sklepu. – Zachichotał. – Ile razy mama słyszała kulki szczękające w mojej kieszeni, zabierała je, a potem płaską dłonią dawała mi w ucho. I darła się, że nie ma czasu na granie, bo jest kupa roboty. Potem owijałem kulki chustką, żeby je uciszyć.

Helen wyobraziła sobie Rhysa jako chudego chłopca w pośpiechu wykonującego swoje poranne obowiązki, z kulkami zakamuflowanymi w kieszeni. Jej pierś wezbrała uczuciem i szczęściem tak elektryzującym, że aż na granicy bólu. Kochała tego mężczyznę. Kochała chłopca, którym był, i dorosłego, którego znała teraz. Kochała jego wygląd, zapach, dotyk, szorstki wdzięk jego akcentu, dumę, którą tak łatwo było urazić, niezłomną wolę, dzięki której tak daleko w życiu zaszedł, oraz dziesiątki innych cech stanowiących o jego wyjątkowości. Obróciła się w jego ramionach, przywarła do niego najmocniej, jak mogła, i zapadła w niespokojny sen.

Rozdział 19

Widzę powóz. – Cassandra klęczała na taborecie, wyglądając przez okno salonu. – Niedługo tu będą.

West musiał pojechać na stację Alton po lady Berwick i jej pokojówkę i przywieźć je do Eversby Priory.

– O Boże – mruknęła Kathleen i przyłożyła dłoń do piersi, jakby chciała uspokoić szalejące serce.

Cały ranek sprawdzała wszystkie pokoje, dbając o każdy szczegół. Z florystycznych dekoracji usunęła parę kwiatów, z których opadały płatki. Dywany na jej polecenie zostały starannie wytrzepane i wyszczotkowane, srebra wypolerowane miękkimi, lnianymi ściereczkami, a w lichtarze wstawiono nowe świece. Na każdym stoliczku czy serwantce stały miski ze świeżymi owocami oraz wypełnione lodem kubełki z butelkami schłodzonego szampana i wody gazowanej.

– Czemu tak się przejmujesz wyglądem domu? – spytała Cassandra. – Lady Berwick już tu była, kiedy brałaś ślub z Theo, więc wie, jak u nas jest.

– Tak, ale wtedy nie byłam za nic odpowiedzialna. Teraz mieszkam tu już od prawie roku i jeśli coś nie będzie lśniło, od razu pomyśli, że to moja wina.

Kathleen, chodząc w kółko, zaczęła nerwowo pouczać bliźniaczki:

– Pamiętajcie, żeby dygnąć przed lady Berwick. I nie witajcie jej słowami: Jak się pani ma? Ona tego nie lubi. Po prostu powiedzcie: dobry wieczór. – Nagle zatrzymała się i powiodła wokół dzikim wzrokiem. – Gdzie są psy?

– W saloniku na górze – odparła Pandora. – Mam je sprowadzić?

– Nie, na Boga! Lady Berwick nie toleruje psów w salonie! – Kathleen znów się zatrzymała, tknięta kolejną niepokojącą myślą. – I nie wspominajcie o oswojonej śwince, którą w zeszłym roku trzymaliśmy w domu. – Ruszyła do kolejnego okrążenia. – Kiedy zapyta was o coś, starajcie się odpowiadać krótko i treściwie. I błagam, nie śmiejcie się. Ona nie lubi żartów.

– Będziemy się starały – obiecała Pandora. – Ale ona i tak nie lubi ani Cassandry, ani mnie. Poznała nas na ślubie, a potem słyszałam, jak mówi do kogoś, że zachowujemy się jak para zdziczałych kóz.

Kathleen krążyła bez ustanku.

– Napisałam jej, że obie wyrosłyście na bystre i dobrze ułożone młode damy.

– To ty umiesz kłamać? – Pandora zrobiła wielkie oczy.

– Wtedy akurat zaczęłyśmy lekcje etykiety – odpowiedziała Kathleen zrezygnowanym tonem. – Niestety nie okazałyście się tak pojętne, jak myślałam.

Cassandra zrobiła zafrasowaną minę.

– Teraz żałuję, że nie uważałam na lekcjach.

– A ja mam w nosie, czy lady Berwick obdarzy mnie aprobatą – powiedziała buntowniczo Pandora.

– Ale Kathleen nie ma tego w nosie – wtrąciła łagodnie Helen. – Dlatego wszystkie będziemy się starały.

Pandora westchnęła głośno.

– Chciałabym być tak idealna jak ty, Helen.

– Ja? – Helen pokręciła głową z wymuszonym uśmiechem. – Kochanie, jestem bardzo daleka od ideału.

– Och, wiemy, że popełniłaś błędy – odpowiedziała pogodnie Cassandra. – Pandora chciała po prostu powiedzieć, że sprawiasz wrażenie ideału. A przecież to się liczy.

– Właśnie że nie to się liczy – zauważyła cierpko Kathleen.

– Jaka jest różnica, tak na oko, pomiędzy kimś, kto jest idealny, a tym, kto wydaje się idealny? – spytała Cassandra. – Przecież na jedno wychodzi, nie?

Kathleen z zakłopotaniem potarła czoło.

– Na pewno istnieje dobra odpowiedź na twoje pytanie. Ale teraz nie mam czasu jej wymyślić.

Po chwili lokaj Sims wprowadził do salonu recepcyjnego oczekiwanego gościa.

Eleanor Berwick była kobietą posągowej postury, wysoką, o szerokich ramionach i bujnym łonie. Kiedy szła, kojarzyła się Helen z wielkim żaglowcem prującym dziobem spokojne wody. Efekt wzmacniały liczne, misternie udrapowane fałdy ciemnoniebieskiej sukni, marszczące się przed nią niczym fale. Ze swoją wąską twarzą, cienkimi jak papier wargami i dużymi oczami, patrzącymi spod ciężkich powiek, hrabina nie mogła uchodzić za piękną kobietę. Roztaczała jednak aurę imponującej pewności siebie i niewzruszonego przekonania, że zna odpowiedzi na wszystkie pytania.

Helen zauważyła natychmiastowy błysk radości, który rozjaśnił twarz lady Berwick na widok Kathleen. Kathleen wyraźnie odwzajemniała uczucie. A jednak kiedy zarzuciła kobiecie ręce na szyję, Eleanor wydawała się nieco zakłopotana tym wylewnym powitaniem.

– Moja droga! – wykrzyknęła ze skrywaną naganą.

Nie ostudziło to zapału Kathleen.

– Starałam się jakoś trzymać… – Głos miała stłumiony, gdyż wtuliła twarz w ramię starszej kobiety. – Ale kiedy tu weszłaś, znów poczułam się jak pięciolatka.

Spojrzenie lady Berwick stało się nieobecne. Położyła długą, bladą dłoń na karku Kathleen.

– Tak – powiedziała po dłuższej chwili. – Nie jest łatwo przeżyć stratę ojca. A ty musiałaś to przeżywać dwa razy, prawda? – Jej głos był jak niesłodzona herbata, cierpka od taniny. Kilka razy poklepała Kathleen na pocieszenie. – A teraz przywdziejmy zbroję i weźmy się w garść.

Kathleen skinęła głową i puściła kobietę. Z wysiłkiem skupiła spojrzenie na pustych drzwiach.

– Gdzie się podział West?

– Pan Ravenel bardzo się stara unikać mojego towarzystwa – powiedziała sucho lady Berwick. – Raczej nie bawiła go nasza rozmowa w powozie. – Zrobiła znaczącą pauzę, a potem dodała bez cienia uśmiechu: – Wesoły z niego towarzysz, prawda?

Helen miała dziwną pewność, że to nie był komplement.

– West może sprawiać wrażenie ignoranta – zaczęła Kathleen – ale mogę cię zapewnić…

– Nie ma potrzeby usprawiedliwiać jego charakteru, który zaiste nie istnieje, jak cukier w powietrzu.

– Nie znasz go – syknęła jedna z bliźniaczek.

Lady Berwick, słysząc buntowniczy szept, skierowała czujne spojrzenie na trzy Ravenelówny.

Kathleen dokonała pospiesznej prezentacji, a dziewczęta grzecznie dygnęły.

– Lady Berwick, oto moje szwagierki. Lady Helen, lady Cassandra i lady Pandora.

Chłodne spojrzenie hrabiny padło najpierw na Cassandrę. Gestem przywołała ją do siebie.

– Postawa ledwie poprawna – zauważyła. – Ale to się da skorygować. Czym możesz się wykazać, moje dziecko?

Cassandra, choć spodziewała się tego pytania, odpowiedziała z lekkim wahaniem:

– Szyję, rysuję i maluję akwarelami. Nie gram na żadnym instrumencie, ale jestem oczytana.

– Uczysz się jakichś języków?

– Trochę francuskiego.

– Masz jakieś hobby?

– Nie, proszę pani.

– I bardzo dobrze. Mężczyźni boją się kobiet, które mają swoje pasje. – Lady Berwick zerknęła na Kathleen i ściszyła głos: – To prawdziwa piękność. Dać jej trochę szlifu i będzie królową sezonu.

– A ja mam hobby – oznajmiła Pandora, choć nikt nie wywołał jej do odpowiedzi.

Lady Berwick obróciła się ku niej, unosząc brwi.

– I cóż to jest, moja śmiała panno?

– Projektuję grę planszową. Jeśli dobrze wyjdzie, będę ją sprzedawać w sklepach i zarabiać pieniądze.

– Nadmierny temperament – oceniła lady Berwick. – Oczy o ładnym, niebieskim kolorze, ale spojrzenie dzikiego zwierza.

Helen zaryzykowała szybki rzut oka na Kathleen, zachęcając, aby stanęła w obronie Pandory.

– Pani – zaczęła Kathleen – Pandora jest jeszcze…

Lady Berwick uciszyła ją stanowczym gestem i zwróciła się do dziewczynki:

– Czy nie powinnaś się obawiać, że to hobby, wraz z niegodnym kobiety pragnieniem zarabiania pieniędzy, odstraszy od ciebie majętnych adoratorów?

– Nie, proszę pani.

– Bardzo niedobrze. Czy nie pragniesz wyjść za mąż? – Pandora milczała, więc hrabina ponagliła ją: – A zatem?

Bliźniaczka spojrzała pytająco na Kathleen.

– Mam odpowiedzieć tak, jak wypada, czy szczerze? – zapytała.

Lady Berwick uprzedziła Kathleen:

– Mów szczerze, dziecko.

– Dobrze – zgodziła się Pandora. – Nie, nigdy nie pragnęłam wyjść za mąż. Całkiem lubię mężczyzn, przynajmniej tych, których znam, ale nie miałabym ochoty słuchać męża i go obsługiwać. Tak samo nie uszczęśliwiłaby mnie gromada dzieci ani siedzenie w domu z robótką, podczas gdy mąż szedłby gdzieś ze swoimi kompanami. Wolałabym być niezależna.

W salonie zapadła cisza. Mina lady Berwick nie zmieniła się ani na jotę. Hrabina wpatrywała się w Pandorę, jakby toczyła się milcząca potyczka pomiędzy apodyktyczną starszą kobietą a prawdziwie niezależną młodą panną.

– Musiałaś się naczytać Tołstoja – powiedziała wreszcie hrabina.

Pandora zamrugała, wyraźnie zaskoczona tą niespodziewaną uwagą.

– Tak, czytałam – przyznała. – Skąd pani wie?

– Młode kobiety po lekturze Tołstoja tracą chęć do zamążpójścia. Dlatego nigdy nie pozwalałam swoim córkom czytać rosyjskich powieści.

– No właśnie, jak tam Dolly i Bettina? – wtrąciła Kathleen, desperacko pragnąc zmienić temat.

Jednak ani lady Berwick, ani Pandora nie dały się zwekslować na bezpieczne tory.

– Tołstoj nie jest jedynym powodem, dla którego nie chcę wyjść za mąż – wyjaśniła dziewczyna.

– Jakiekolwiek by były twoje powody, na pewno są bardzo nierozsądne. Później ci wytłumaczę, dlaczego powinnaś dążyć do zamążpójścia. Jesteś zanadto nieszablonową dziewczyną i powinnaś się nauczyć to ukrywać. Żadna ludzka jednostka – czy to mężczyzna, czy kobieta – nie będzie szczęśliwa, jeśli wykroczy poza szeroko pojmowaną sferę przeciętności.

Pandora patrzyła na kobietę z uprzejmym niedowierzaniem.

– Tak, proszę pani.

Helen podejrzewała, że obie mają ochotę na kłótnię. Niespodziewanie lady Berwick uczyniła gest w jej stronę.

– Podejdź bliżej.

Helen posłuchała. Stała spokojnie, kiedy starsza pani lustrowała ją od stóp do głów.

– Wdzięczna prezencja – oceniła. – Widoczna skromność. Całkiem urocze. Jednak nie przesadzaj z tą nieśmiałością, bo ludzie uznają ją za zadufanie. Musisz wypracować odpowiednią pewność siebie.

– Będę próbowała, proszę pani. Dziękuję.

Hrabina patrzyła na nią z aprobatą.

– Jesteś zaręczona z tajemniczym panem Winterborne'em.

Helen uśmiechnęła się blado.

– Istotnie jest taki tajemniczy, madame?

– Dla mnie tak, gdyż dotąd nie miałam okazji go poznać.

– Pan Winterborne jest człowiekiem interesu – odparła ostrożnie Helen – tak bardzo zajętym, że zostaje mu niewiele czasu na życie towarzyskie.

– Nie jest też, jako przedstawiciel klasy kupieckiej, zapraszany na wytworne salony. Musi cię martwić perspektywa mezaliansu. Twój mąż będzie niżej od ciebie w hierarchii.

Choć te słowa zabolały, Helen udało się nie zmienić wyrazu twarzy. Wiedziała, że jest egzaminowana.

– Pan Winterborne w żadnym razie nie jest niżej ode mnie, madame – odparła. – Charakter jest o wiele ważniejszą miarą mężczyzny niż jego urodzenie.

– Dobrze powiedziane. Na szczęście wżenienie się pana Winterborne'a w ród Ravenelów skutecznie wyniesie go w górę i otworzy mu drogę na salony. Trzeba mieć nadzieję, że okaże się wart tego przywileju.

– A ja mam nadzieję, że socjeta okaże się warta pana Winterborne'a – odparowała Helen.

Szare oczy przeszyły ją spojrzeniem spod zmrużonych powiek.

– Czy odznacza się wysoką inteligencją? Czy ma wyrafinowany gust? Nienaganne maniery?

– Jest dobrze wychowany, inteligentny, szlachetny i szczodry.

– Ale nie jest wyrafinowany?

– Jeśli pan Winterborne uzna, że brakuje mu wyrafinowania w jakiejkolwiek dziedzinie, z pewnością szybko nadrobi ten brak. Nie śmiałabym go prosić, żeby cokolwiek w sobie zmienił, bo ogromnie go podziwiam, a gdyby stał się jeszcze lepszy, byłabym z niego nadmiernie dumna.

Spojrzenie lady Berwick nie drgnęło, lecz w oczach pojawił się ciepły wyraz.

– Trzeba przyznać, że niezwykła z ciebie dziewczyna. Chłodna jak piwniczne powietrze, jak powiedziałby mój szkocki dziadek. Szkoda ciebie dla tego Walijczyka. Mój Boże, moglibyśmy cię wydać za diuka! Z drugiej strony ten rodzaj związku – alians pozycji i bogactwa – jest w dzisiejszych czasach koniecznością w wielu najlepszych rodach. Musimy się pogodzić z tym stanem rzeczy godnie i ze spokojem. – Hrabina skierowała wzrok na Kathleen. – Powiedz, czy dla pana Winterborne'a taka żona nie będzie darem niebios?

Kathleen posłała jej uśmiech.

– Sama to ocenisz, kiedy go poznasz.

– A kiedy to nastąpi?

– Mam nadzieję, że pan Winterborne i lord Trenear zjawią się lada chwila. Pojechali w zachodni kraniec posiadłości, aby sprawdzić stan robót na terenie, gdzie buduje się tory i rampę. Obiecali, że wrócą na popołudniową herbatę.

Zanim Kathleen zdążyła skończyć zdanie, w drzwiach stanął Devon w jeździeckim stroju. Uśmiechnął się do żony i oznajmił:

– Jesteśmy! – Błyskawicznie porozumieli się spojrzeniami. Milczące pytanie, troska i wsparcie – tyle zdążył powiedzieć ukochanej, zanim podszedł, żeby przywitać się z gościem.

Tuż za nim pojawił się Rhys – w bryczesach, wysokich butach i grubym, wełnianym płaszczu. Przystanął przy Helen i uśmiechnął się do niej. Przyniósł ze sobą powiew chłodnego porannego powietrza, woń mokrych liści i koni. Jak zwykle w jego oddechu czuło się nutę mięty.

– Dzień dobry – powiedział tym samym miękkim głosem, którym obudził ją tego ranka.

Na myśl o ich miłosnej nocy Helen poczuła, że na jej twarzy za moment rozkwitnie zdradziecki rumieniec. Tylko Rhys potrafił sprawić, że policzki płonęły jej żywym ogniem.

Spała niespokojnie, kręcąc się i przewracając, dręczona uporczywymi myślami. Wiele razy w ciągu tej nocy czuła, jak Rhys gładzi jej plecy, próbując ukołysać ją do snu. Kiedy wreszcie obudził ją o świcie, posłała mu przepraszające spojrzenie i wymamrotała: „Już nigdy nie będziesz chciał ze mną spać w jednym łóżku". Rhys roześmiał się cicho i przyciągnął ją do piersi. „W takim razie zaskoczę cię dzisiaj, ponownie prosząc, żebyś została na noc", odparł. Na koniec pokochali się szybko po raz ostatni – mimo protestów Helen, która powtarzała, że musi już iść.

Daremnie usiłując opanować rumieniec, odwróciła głowę od Rhysa.

– Czy jazda była przyjemna? – zagadnęła, patrząc, jak Kathleen przedstawia Devona lady Berwick.

– Którą jazdę masz na myśli? – zapytał Winterborne tak obojętnym tonem, że początkowo nie wyczuła aluzji.

Spojrzała na niego ze zgrozą i szepnęła:

– Nie wygłupiaj się.

Rhys z łobuzerskim uśmiechem podniósł jej dłoń do ust. Delikatny nacisk jego warg okiełznał nieco szalejący rumieniec.

Wtedy z boku dobiegł ją ostry głos lady Berwick:

– A jednak nie taka chłodna i spokojna, jak myślałam! Lady Helen, proszę mi przedstawić dżentelmena, który, jak widać, potrafi sprawić, że się płonisz.

Helen pociągnęła Rhysa w jej stronę.

– Lady Berwick – wymamrotała – to jest pan Winterborne.

Zadziwiająca zmiana zaszła na twarzy hrabiny, kiedy popatrzyła na wysokiego, czarnowłosego Walijczyka. Stalowe spojrzenie matrony zmiękło jak chmurka, a jej policzki zabarwił cień iście dziewczęcego rumieńca. Zamiast powitać Rhysa łaskawym skinieniem głowy, podsunęła mu rękę do pocałowania.

Winterborne bez wahania ujął upierścienioną dłoń hrabiny, po czym skłonił się z niewymuszonym wdziękiem i musnął ustami jej grzbiet.

– Cała przyjemność po mojej stronie – rzekł, prostując się z uśmiechem.

Lady Berwick sondowała go niemal rozmarzonym spojrzeniem, choć jej głos pozostał chłodny i oceniający.

– Muszę przyznać, młody człowieku, że znając twoje osiągnięcia, spodziewałam się kogoś w bardziej dojrzałym wieku.

– Szanowna pani, ojciec od dziecka przyuczał mnie do handlu.

– Opisywano mi ciebie jako biznesowego magnata. Rozumiem, iż chodzi o człowieka, który zgromadził tak wielki majątek, że trudno go mierzyć zwykłą skalą.

– Można powiedzieć, że sprzyjała mi fortuna.

– Fałszywa skromność, panie Winterborne, bywa oznaką utajonej dumy.

– Jest to dla mnie kłopotliwa kwestia – przyznał.

– To zrozumiałe, wszelkie dyskusje o pieniądzu są wulgarne. Jednakowoż w moim wieku mam przywilej pytania o wszystko i nikt nie śmie mi z tego tytułu czynić zarzutów.

Rhys zaśmiał się niespodziewanie swobodnym, szczerym śmiechem, który dodawał mu tyle męskiego uroku. Białe zęby zalśniły na tle ciemnej cery.

– Lady Berwick, nie odmawiam pani przywileju i nie zamierzam czynić zarzutów.

– Dobrze, w takim razie mam do ciebie pytanie. Lady Helen uparcie zaprzecza, że wychodząc za ciebie, zaniży swój status. Czy zgadzasz się z nią?

Rhys posłał Helen ciepłe spojrzenie.

– Nie – odpowiedział spokojnie. – Każdy mężczyzna żeni się powyżej swojego statusu.

– W takim razie uważasz, że powinna wyjść za arystokratę?

Ponownie skupił uwagę na hrabinie i nonszalancko wzruszył ramionami.

– Lady Helen stoi tak wysoko ponad wszystkimi mężczyznami, że żaden na nią nie zasługuje. Ale co mi szkodzi spróbować?

Lady Berwick odpowiedziała wymuszonym chichotem. Nie spuszczała z niego wzroku, jakby uwięził jej spojrzenie magicznym zaklęciem.

– Co za urocza arogancja – rzekła. – Mało brakowało, a bym panu przyklasnęła.

– Czy pozwolisz, pani, aby nasi dżentelmeni odświeżyli się i przebrali do herbaty? – Kathleen postanowiła się wtrącić. – Gospodyni wpadnie w furię, jak zobaczy na dywanie ślady zabłoconych butów.

Na te słowa Devon zachichotał.

– Wolałbym nie doświadczyć tej furii. – Pochylił się i pocałował żonę w czoło, choć Kathleen wcześniej ostrzegła go, że lady Berwick nie lubi demonstrowania uczuć.

Kiedy panowie skłonili się i wyszli z salonu, lady Berwick uśmiechnęła się krzywo.

– Trzeba przyznać, że w tym domu nie brakuje męskiego wigoru. – Skierowała spojrzenie na drzwi i jej wzrok nabrał nieobecnego wyrazu. Kiedy odezwała się ponownie, wydawało się, że mówi do siebie: – Gdy byłam młodą dziewczyną, w majątku ojca służył pewien lokaj. Przystojny był, szelma. Pochodził z Północnej Walii, miał włosy czarne jak noc i bystre spojrzenie… – Wspomnienie musiało poruszyć w niej pokłady czułości, bo twarde rysy damy nagle złagodniały. – Szelma – powtórzyła z czułością – ale z galanterią. – Nagle, jakby zdała sobie sprawę z obecności młodych kobiet, przywołała na twarz znajomy, surowy wyraz. – Zważcie na moje słowa, dziewczęta. Nie ma większego zagrożenia dla cnoty niż uwodzicielski Walijczyk!

Helen, czując, jak Pandora dyskretnie trąca ją łokciem w żebra, pomyślała smętnie, że sama jest tego najlepszym dowodem.

Rozdział 20

Nie krzyżuj nóg, Pandoro. Wyprostuj się na krześle. Cassandro, nie mnij fałd spódnicy, kiedy siedzisz.

Lady Berwick sypała uwagami i wskazówkami, tresując bliźniaczki w trakcie popołudniowej herbaty. Czyniła to z wprawą matrony, która wyedukowała w sztuce dobrego wychowania całe zastępy młodych dam.

Pandora i Cassandra ze wszystkich sił starały się zadowolić hrabinę. Powetowały to sobie później, kiedy w zaciszu swojego pokoju pomstowały na matronę, która zmieniła ich miły rytuał herbaty w wykańczające śledztwo.

Kathleen i Devonowi udało się wreszcie skierować rozmowę na jeden z ulubionych tematów lady Berwick – konie. Zarówno ona, jak i lord byli ich wielkimi entuzjastami i w swojej posiadłości w Leominster trenowali wierzchowce czystej krwi. Dzięki temu zresztą poznali rodziców Kathleen, lorda i lady Carberych, którzy mieli w Irlandii stado ogierów arabskich.

Nic dziwnego, że lady Berwick żywo zainteresowała się wiadomością, iż Kathleen odziedziczy co najmniej dwadzieścia rasowych arabów oraz działkę, na której znajdują się szkoła jeździecka, stajnie, padoki i arena. Chociaż tytuł i majątek lorda Carbery'ego przypadały najbliższemu męskiemu krewnemu – w tym wypadku jego prabratankowi – stadnina została stworzona przez rodziców Kathleen i nigdy nie włączono jej do dóbr lorda.

– Sprowadzimy tu parę najwartościowszych koni – powiedział Devon. – Reszta trafi do sprzedaży.

– Niełatwo będzie znaleźć nabywców, którzy rozumieją naturę koni arabskich – rzekła Kathleen, marszcząc brwi. – Muszą być hodowane inaczej niż inne rasy. Arab w złych rękach może się zmarnować.

– Co macie zamiar zrobić z farmą? – zapytał Rhys.

– Zamierzam ją sprzedać następnemu lordowi Carbery'emu i mieć ją z głowy. Niestety, jej zarządca mówi, że młody lord nie pasjonuje się końmi.

– Nie pasjonuje się końmi? – powtórzyła z niedowierzaniem lady Berwick.

Kathleen przytaknęła zgnębiona.

– Kiedy lord Trenear i ja przyjechaliśmy do Glengarriff, stwierdziliśmy, że trzeba będzie wszystko zinwentaryzować. Obawiam się, że zajmie nam to dużo czasu, może nawet miesiąc.

Hrabina zmarszczyła brwi.

– A ja się obawiam, że nie będę mogła zostać w Eversby Priory tak długo.

– O, jaka szkoda – powiedział nieszczerze West, który usiadł na bezpieczną odległość od lady Berwick.

– Bettina, moja córka, jest w pierwszej ciąży – ciągnęła lady Berwick. – Muszę przy niej być, kiedy urodzi się dziecko.

– Mogłabyś zamieszkać w Ravenel House z Helen i bliźniaczkami – zaproponował Devon. – Tam zajmiesz się nimi równie dobrze jak tutaj.

Pandora z zachwytem klasnęła w ręce.

– Och, byłoby cudownie! W mieście tyle się dzieje…

– Tak, o tak! – wykrzyknęła Cassandra, podskakując na krześle.

Hrabina skarciła je surowym spojrzeniem.

– Nie wypada tak się zachowywać. – Kiedy dziewczyny ucichły, zwróciła się do Devona: – Mój lordzie, rozwiązanie wydaje się idealne. Jak najbardziej możemy tak zrobić.

Helen milczała, lecz jej serce przyspieszyło na myśl o powrocie do Londynu, gdzie mogłaby być bliżej Rhysa. Nie ośmieliła się spojrzeć w jego kierunku. Słuchała, jak spokojnie mówi do lady Berwick:

– Jeśli będzie trzeba, gotów jestem towarzyszyć pani i dziewczętom w pociągu do Londynu.

– Bardzo chętnie skorzystam z pańskiej oferty, panie Winterborne.

– Do usług szanownej pani – rzekł szarmancko Rhys. – Będzie dla mnie zaszczytem asystowanie jej i pomoc we wszystkich sprawach.

– Dziękuję – odpowiedziała z godnością hrabina. – Wziąwszy pod uwagę pańskie koneksje, uważam ofertę za cenną. Z pewnością z niej skorzystam, jeśli zajdzie taka potrzeba. – Urwała, żeby zamieszać herbatę. – Mógłby pan od czasu do czasu złożyć nam wizytę w Ravenel House.

Rhys się uśmiechnął.

– Cała przyjemność po mojej stronie. W rewanżu pragnę zaprosić panią do Winterborne's jako mojego osobistego gościa.

– Do domu towarowego? – Lady Berwick żachnęła się lekko. – Bywam tylko w małych salonach, gdzie obsługa zna mój gust.

– Moi sprzedawcy zaprezentują szanownej pani ogromny wybór luksusowych towarów, jakich nie znajdzie pani w żadnym małym sklepie. Na przykład rękawiczki – ile par jest w stanie zaprezentować pani sprzedawca w niewielkim salonie mody? Tuzin? Dwa? Tymczasem w dziale rękawiczek w Winterborne's jest do wyboru dziesięć razy tyle, uszytych z giemzy, zamszu, irchy oraz skóry łosia, pekari, antylopy, a nawet kangura. – Widząc zainteresowanie hrabiny, dodał niedbałym tonem: – W produkcji naszych najlepszych wyrobów uczestniczą trzy kraje. Hiszpania dostarcza najdelikatniej wyprawione jagnięce skóry, które krojone są we Francji i zszywane ręcznie w Anglii. Każda rękawiczka jest tak delikatna, że dałaby się schować w łupinie orzecha włoskiego.

– Taka oferta jest w pańskim sklepie?

– Taa. I w osiemdziesięciu innych oddziałach, które współpracują z krajami całego świata.

– Przyznam, że jestem zaintrygowana. Ale myśl, że miałabym się zmieszać z tłumem… z pospolitymi ludźmi…

– Może pani przyjść z dziewczętami po godzinach, kiedy klientów już nie będzie – odpowiedział Rhys. – Poproszę kilka sprzedawczyń, żeby wam asystowały. Jeśli madame uzna za stosowne, mogę też zorganizować dla lady Helen prywatne konsultacje u naszej firmowej krawcowej. Najwyższy czas, aby panna młoda zaczęła kompletować swoją wyprawę ślubną, nieprawdaż?

– Może być już nawet za późno – powiedziała Kathleen, zerkając na męża.

– Ponieważ niewiele wiem o tych sprawach, zdaję się na twój osąd – odparł Devon.

– W takim razie jeśli lady Berwick się zgodzi, a Helen sobie tego zażyczy, w czasie nieobecności mojej i lorda Treneara krawcowa może brać miarę i ustalić fasony.

Helen kiwnęła głową.

– Byłoby cudownie. – Szybko zerknęła na Rhysa, usiłując wyczytać coś z jego leniwej, odprężonej miny. Sądząc po błysku w oczach, musiał snuć jeszcze inne plany niż te, o których mówił.

– Rozważę tę kwestię – obiecała lady Berwick, gromiąc spojrzeniem Pandorę, która z podekscytowaniem bębniła po stole palcami obu rąk. – Moja panno, proszę nie robić tamburynu ze stolika do herbaty.

Dla Helen przebywanie z Rhysem w Eversby Priory przez cały dzień było po równo przyjemnością i torturą. Znajdował się w zasięgu jej wzroku i dotyku, ale zawsze w pobliżu były inne osoby. Bardzo ją męczyło ukrywanie uczuć i faktu, że jej serce przyspiesza, gdy tylko ten mężczyzna wchodzi do pokoju. Nie przypuszczała, jak potężna może być kombinacja miłości i fizycznego pożądania. Chwilami przepełniała ją melancholia i świadomość, że czas przecieka jej przez palce jak drobny biały piasek. Musi mu wreszcie powiedzieć o swoim ojcu… Ciągle jednak nie śmiała zrobić tego kroku.

Czas pozostały do północy ciągnął się nieznośnie. Helen chodziła po pokoju, nie mogąc się doczekać, kiedy domownicy zasną. Kiedy wreszcie zapadła cisza, ubrana w białą nocną koszulę i szlafrok boso pomknęła przez korytarze do wschodniego skrzydła. Oddychała szybko, krew pulsowała jej w żyłach.

Drzwi pokoju Rhysa otworzyły się, zanim zdążyła położyć rękę na klamce. Silna dłoń wciągnęła ją do środka. Winterborne zamknął drzwi za Helen, przekręcił klucz w zamku i z cichym śmiechem chwycił ją w ramiona. Zelektryzowała ją jego bliskość; twarde,

męskie ciało, zachłannie na nią napierające. Głodne usta Rhysa spadły na jej usta, wysysając z niej wszystkie myśli, aby w ich miejsce wpuścić strumień pożądania, z którym nie potrafiła sobie poradzić. Odpowiedziała odruchowo, powodowana czystą żądzą. Wczepiła palce w gęste, czarne włosy mężczyzny, przyciągając jego głowę do siebie.

Rhys, jeszcze na stojąco, rozebrał Helen i zaniósł do łóżka. Tam zagarnął ją pod siebie i z rozmyślną powolnością zaczął sycić się jej ciałem, całując i skubiąc delikatnie zębami piersi, przeguby, miejsce na szyi, gdzie tętnił puls. Za moment poczuła, jak wsuwa dłoń między jej uda, oferując delikatną pieszczotę. Rozłożyła nogi, pozwalając, aby czułymi, chłodnymi palcami krążył wokół jej rozpalonego, stwardniałego pączka. Wiła się pod nim i drżała, wykonując chaotyczne, namiętne ruchy i wczepiając się w niego z całej siły. Rhys opierał się temu atakowi namiętnego szaleństwa i robił swoje. On rozbudzał swój apetyt; ona żądała natychmiastowej konsumpcji.

Szept Rhysa wniknął do jej ucha jak smużka dymu:

– Ciągle jesteś dla mnie za sucha, *cariad*.

– Nieprawda – wykrztusiła, łapiąc oddech.

– Udowodnij mi.

Zawahała się na ułamek sekundy, zanim sięgnęła do jego członka we wzwodzie. Stłumiła okrzyk, kiedy poczuła potężny puls i kolumna urosła, spotężniała, aż ledwie mogła objąć ją palcami. Wprowadziła przedmiot swojego pożądania pomiędzy uda i przez moment pocierała jego czubkiem o swoje delikatne wewnętrzne wargi, aż zalśnił od wilgoci. Wtedy oboje zadrżeli w rozkosznym pożądaniu.

Rhys wdarł się w jej zapraszający, obrzmiały kanał, wrażliwy na każdy jego ruch. Helen prężyła się, porwana falą czystej przyjemności. Chwycił jej biodra i podciągał ją ku sobie, nabijając chętne kobiece ciało na swój twardy bolec. Zaczęła wydawać dźwięki, do których dotąd nie była zdolna – szalone, zwierzęce jęki i pomruki, dławione narastającym pożądaniem.

Kiedy minęły ostatnie spazmy i odzyskała oddech, Rhys zsunął ją z siebie, usiadł na krawędzi łóżka i paroma ruchami ustawił ją w nowej pozycji. Nagle zorientowała się, że siedzi na jego udach,

twarzą do mężczyzny. Czuła się dziwnie i na wszelki wypadek zarzuciła mu ręce na szyję, żeby nie upaść do tyłu.

Uspokajająco otoczył ramieniem jej plecy. Przylgnął ustami do jej ust, skubiąc nabrzmiałą dolną wargę. Sprawiał wrażenie, jakby na coś czekał. Helen popatrzyła na niego zmieszana i przeniosła spojrzenie na okazałe narzędzie rozkoszy, sterczące pomiędzy nimi. Zastanawiała się, czego Rhys od niej oczekuje.

Zaśmiał się cicho; światło nocnej lampy zalśniło w jego oczach.

– Wyglądasz jak gołębica złapana w sidła.

– Po prostu nie wiem, co robić – usprawiedliwiała się rozpalona i zawstydzona zarazem.

Rhys drugą ręką objął jej biodra i przyciągnął ją bliżej siebie.

– Wejdź na mnie, *cariad*.

Oczy Helen rozszerzyły się nagle, kiedy zrozumiała, co się stanie za chwilę. Chwyciła Rhysa za ramiona i posłusznie wykonała polecenie, opuszczając się ostrożnie, jednak nie zdołała przyjąć go całego. To ją zastopowało. Czujny Rhys uniósł ją lekko, zmniejszając wewnętrzne napięcie.

Czarne półksiężyce jego rzęs opadły na policzki, a brwi zbiegły się na czole. Pot zaperlił się na jego twarzy i torsie, nadając połysk śniadej skórze. Wyglądał teraz jak rzeźba z brązu. Przygryzł usta i wymamrotał coś po walijsku.

– Nie rozumiem, co mówisz – szepnęła.

Rhys gwałtownie wciągnął oddech i parsknął z rozbawieniem.

– Och, to był komplement na twój temat, ale dość dosadny. Trzymaj mnie mocno. – Odchylił się do tyłu i oparł łokciami o łóżko. Helen opadła na jego tułów. – Teraz lepiej?

Kiwnęła głową i odetchnęła z ulgą. W tej pozycji mogła połączyć się z nim całkowicie. Rhys leżał spokojnie i cierpliwie, pozwalając jej na eksperymenty. Napawała się swoją mocą, czując pod sobą siłę stalowych mięśni, które prężyły się pomiędzy jej udami.

Dostrzegła w jego oczach wyzwanie. Podbił ją lekkim ruchem bioder, zapraszając do działania. Zaczęła się przesuwać w górę i w dół, zrazu powoli i rozważnie, wstrzymując oddech w chwilach, kiedy rozpalona twardość wypełniała ją do samego końca. Przyspieszała, aż złapała rytm, który zalał ją falami żaru. Sądząc po

gardłowych, namiętnych pomrukach Rhysa, on też musiał być w miłosnym transie. Kiedy zniżała się nad nim, chwytał wargami jej sutki. Szybko pojęła, jak rozkosznie może się z nim drażnić, i od czasu do czasu nieruchomiała, doprowadzając go do wrzenia. Wstążka na jej włosach rozwiązała się i burza loków opadła na ramiona Helen niczym jasnosrebrzysta kurtyna, łaskocząc twarz i pierś Rhysa.

– Lubisz mnie dręczyć – wycedził, rozkosznie przymykając oczy.

– Tak… – Podobało się jej to. Dotąd nie znała takiej cudownej uciechy.

Cień uśmiechu przemknął po wargach Rhysa, ale zniknął jak zdmuchnięty, gdy Helen nasunęła się na niego gwałtowniej i całkowicie ją wypełnił. Coraz żywiej podchwytywał narzucony przez nią rytm, zaciskając pościel w garściach. Uwielbiała patrzeć, jak zatraca się w namiętności, odchylając głowę. Jego mocna szyja wyginała się w łuk, a mięśnie na piersi uwydatniały się jeszcze bardziej. Fala rozkoszy zaczęła narastać i Helen, drżąc gwałtownie, poddała się szybszemu rytmowi, który narzucił Rhys. Poruszał się w niej coraz szybciej, coraz bardziej spazmatycznie, aż wreszcie zakończył potężnym sztychem, który niemal oderwał go od łóżka.

Kiedy było po wszystkim, opadł bezwładnie na pościel. Drżącą ręką odsunął włosy z twarzy Helen, żaby spojrzeć jej w twarz.

– Czy nie potraktowałem cię zbyt brutalnie, *cariad*?

– Nie. – Helen umościła się obok niego. – A czy ja nie byłam zbyt brutalna?

Zachichotał i odprężył się.

– Słyszałaś, jak błagałem o litość?

– Tak? – Pochyliła nad nim głowę, a jej włosy opadły wokół nich jak kurtyna. – A mi się wydawało, że mnie poganiałeś.

Leniwy uśmiech rozjaśnił twarz mężczyzny.

– Było i tak, i tak – przyznał i przyciągnął ją ku sobie.

Przez chwilę gwarzyli o wszystkim i o niczym, a nocne cienie wokół nich gęstniały w kątach.

– Oczarowałeś lady Berwick, choć uważała się za nieugiętą – powiedziała Helen, wtuliwszy się w pierś Rhysa, gdy usiadł na łóżku,

oparty o wezgłowie. – Moim zdaniem zaprosiła cię do Ravenel House, zanim zdążyła pomyśleć, co robi.

Ciepła dłoń przesunęła się po jej smukłej ręce.

– Będę was odwiedzał, jak tylko mi pozwoli.

– Jestem pewna, że po twojej tyradzie na temat rękawiczek będzie chciała odwiedzić Winterborne's. Skąd wiedziałeś, że to ją zachęci?

– Większość kobiet w jej wieku swoje pierwsze kroki w domu towarowym kieruje do działu z rękawiczkami.

– A kobiety w moim wieku?

– Perfumy i pudry.

Helen nie kryła rozbawienia.

– Wiesz wszystko o kobietach, prawda?

– Nie powiedziałbym tego, *cariad*. Wiem tylko, na co lubią wydawać pieniądze.

– Jak tylko się urządzimy w Londynie, namówię lady Berwick, żeby jak najszybciej zaprosiła cię na kolację. – Westchnęła. – Chociaż niełatwo mi będzie zachowywać się formalnie w twojej obecności.

– Taa, będziesz musiała trzymać ręce przy sobie.

Uśmiechnęła się i pocałowała jego pierś.

– Będę się starała.

Rhys milczał przez chwilę. Gdy ponownie się odezwał, jego głos brzmiał poważnie:

– Nie podoba mi się związek pomiędzy lady Berwick a Vance'em. Powiem Trenearowi, aby dobitnie dał jej do zrozumienia, że Albion ma się trzymać z dala od ciebie i bliźniaczek.

Helen z trudnością udawała beztroskę. Tak naprawdę ta uwaga ją zmroziła. Przerażała ją perspektywa poznania własnego ojca, a jednocześnie nie potrafiła stłumić ciekawości. Czy ciekawość jest zdrożnym uczuciem?

– Ja też bym sobie tego nie życzyła – powiedziała i poczuła, że jej serce nieprzyjemnie przyspiesza rytm. – Czy pan Vance ma rodzinę?

– Jego żona zmarła w zeszłym roku na zapalenie płuc. Nie mieli dzieci, bo wszystkie rodziły się martwe. Reszta jego rodziny mieszka daleko na północy i rzadko bywa w Londynie.

– Jakaż to ironia, że nie posiada własnych dzieci, a ma nieślubną córkę z żoną twojego przyjaciela. – Cień smutku przemknął po

twarzy Helen. – Zastanawiam się, czy ta biedaczka przeżyła.

– Lepiej, żeby nie – uciął ostro Rhys. – Z takiego diabelskiego nasienia nie powinny się rodzić dzieci.

Helen zesztywniała, choć potrafiła zrozumieć, dlaczego tak mówi. W tej kulturze krew, pochodzenie znaczyły wszystko. Społeczeństwo było ufundowane na naczelnej zasadzie głoszącej, że dziedzictwo krwi określa całe życie człowieka – jego moralność, charakter, inteligencję, status – dosłownie wszystko. Krew przodków więzi ludzi, bo ich przyszłość już dawno została zapisana w przeszłości. Z tego właśnie powodu arystokraci o błękitnej krwi uważali śluby z pospolitymi kobietami za degradację. Z tego powodu przedsiębiorczy mężczyzna z pięćsetletnim plebejskim rodowodem, który odniósł ogromny sukces w interesach, nigdy nie zostanie uznany przez szlachtę za równego. I dlatego ludzie są przekonani, że kryminaliści, obłąkańcy i głupcy płodzą głównie takich jak oni.

Krew ma ostatnie słowo.

Rhys momentalnie wyczuł, że Helen zesztywniała. Razem z nią osunął się na materac i ułożył jej głowę w zagłębieniu swojego ramienia.

– Co się stało?

Z trudnością wydobywała z siebie słowa.

– Nic, tylko… mówisz tak twardo i bezwzględnie.

Winterborne milczał przez chwilę.

– Nie podoba mi się to, jak mnie zmienia nawet jedna myśl o tym człowieku. Ale nie mogę się powstrzymać. Nie mówmy o nim więcej.

Przyciągnął ją mocniej do siebie. Helen zamknęła oczy, przełykając łzy. Żałowała, że nie ma komu się zwierzyć. Oczywiście mogła liczyć na Quincy'ego, który szczerze wyraził swoją opinię, ale tak naprawdę wolałaby porozmawiać o wszystkim z Kathleen. Niestety, Kathleen miała wystarczająco wiele zmartwień na głowie, a w jej stanie nie powinno się jej dokładać nowych.

W myśli Helen wdarł się czuły szept Rhysa:

– Śpij, kochanie. Kiedy obudzisz się rano, obiecuję, że twoja nieokrzesana bestia znów zmieni się w człowieka.

Rozdział 21

Rano w domu zapanowało szaleństwo. Służba krzątała się gorączkowo, pakując kufry, skrzynie, pudła na suknie i kapelusze oraz walizki dla każdego członka rodziny poza Westem. Kathleen, Devon, lokaj Sutton i pokojówka Clara szykowali się do popołudniowego wyjazdu pociągiem do Bristolu. Tam mieli spędzić noc w portowym hotelu i nazajutrz rano wsiąść na pokład parowca do Waterford. Na polecenie Rhysa dział transportu Winterborne's sprawnie zaplanował i zorganizował im podróż, dbając o najmniejsze szczegóły.

Krótko przed wyjazdem na stację Alton Kathleen weszła do swojej sypialni i zastała tam Helen, która kończyła pakowanie małej, podręcznej walizki.

– Kochanie, dlaczego to robisz? – zapytała zdumiona. – Clara powinna się tym zająć.

– Chciałam jej pomóc – wyjaśniła Helen. – Clara potrzebuje chwili na spakowanie swoich rzeczy.

– Dziękuję. Boże, ten wyjazd to istne szaleństwo! A ty i bliźniaczki już się spakowałyście na wyjazd do Londynu?

– Tak. Wyruszamy jutro rano z panem Winterborne'em i lady Berwick. – Helen otworzyła walizkę leżącą na łóżku i pokazała Kathleen jej zawartość. – Spójrz, jeśli możesz… Mam nadzieję, że spakowałam ci wszystko, co trzeba.

W walizce znalazł się ulubiony szal Kathleen z cieniowanej wełny, słoiczek z solonymi migdałami, notes i ołówek, podróżny zestaw do szycia z miniaturowymi nożyczkami, szczotka do włosów z zestawem szpil i spinek, parę chusteczek do nosa, zapasowe rękawiczki,

słoiczek kremu nawilżającego, flakon wody różanej, podróżny kubek, puszeczka landrynek, para lnianych pantalonów, portmonetka z drobnymi na napiwki i powieść w trzech tomach.

– Bliźniaczki namawiały mnie, żebym zapakowała parę pistoletów, na wypadek gdyby piraci napadli na wasz parowiec – dodała Helen. – Musiałam im tłumaczyć, że ostatni piraci grasowali po Morzu Irlandzkim dwa i pół wieku temu.

– Szkoda. Już ja bym im dała do wiwatu. Na szczęście mogę sobie poczytać. – Kathleen sięgnęła po jeden z tomów leżących w walizce, zobaczyła tytuł i roześmiała się. – *Wojna i pokój*?

– Dużo czytania i bardzo dobra książka – odparła Helen. – Wiem, że jej nie czytałaś, bo stoi wysoko, na szóstej półce w bibliotece. I nawet jeśli, jak twierdzi lady Berwick, Tołstoj może zniechęcić do małżeństwa, ciebie to nie dotyczy, bo już masz męża.

Kathleen, ciągle chichocząc, odłożyła książkę do walizki.

– Przy Devonie nic nie byłoby w stanie zniechęcić mnie do małżeństwa. Niezmienny jak Gwiazda Polarna i ogromnie czuły. Szybko zrozumiałam, że potrzebuję go bardziej, niż myślałam.

– On też cię potrzebuje.

Kathleen zamknęła walizkę i posłała szwagierce ciepłe spojrzenie.

– Bardzo mi cię będzie brakowało, Helen. Z drugiej strony lżej mi na sercu, kiedy myślę, że bliźniaczki będą z tobą w Londynie. Mam nadzieję, że pan Winterborne będzie często bywał w Ravenel House. Wiem, że jest gotów zrobić wszystko, abyś była szczęśliwa. – Urwała na moment, po czym dodała: – On cię kocha. To widać.

Helen nie wiedziała, co odpowiedzieć. Bardzo chciałaby się zwierzyć i powiedzieć Kathleen, że nawet jeśli Rhys ją kocha, tej miłości może nie wystarczyć, kiedy się dowie strasznej prawdy o tym, kim naprawdę jest jego ukochana.

Zmusiła się do uśmiechu i lekko odwróciła głowę, udając nieśmiałość.

Kathleen chwyciła ją w objęcia.

– To będzie dla ciebie szczęśliwy czas, kochanie. Nie będziesz miała kłopotu z lady Berwick. Jest najmądrzejszą, najbardziej prawą osobą, jaką znam. Ty i bliźniaczki będziecie miały w niej oparcie w czasie mojej nieobecności. Możesz jej całkowicie ufać.

– Dobrze. – Helen z czułością odwzajemniła uścisk. – Nie musisz się o nic martwić. Będziemy odpoczywać i dobrze się bawić.

Każdy, kto byłby świadkiem niekończących się pożegnań członków rodu Ravenelów, musiałby dojść do wniosku, że rozstają się na lata, a nie na parę tygodni. Ich szczęście, że lady Berwick, która nie tolerowała nadmiernego okazywania uczuć, była w tym czasie w swoim pokoju. Z kolei Rhys dyskretnie wycofał się do biblioteki, nie chcąc przeszkadzać w czułym rodzinnym pożegnaniu.

Pandora i Cassandra udawały wesołość i beztroskę, ale kiedy przyszedł moment rozstania, łykając łzy, rzuciły się z dwóch stron na Kathleen i zamknęły ją w ciasnym uścisku, aż ledwie było ją widać. Jeszcze nie wyjechała, a już zaczęły za nią tęsknić. Zawsze traktowała dziewczęta ze zrozumieniem i prawdziwie matczynym uczuciem.

– Szkoda, że nie możemy jechać z tobą – powiedziała Pandora smętnym głosem.

Cassandra chlipnęła żałośnie.

– Dobrze, już dobrze. – Uspokajający głos Kathleen przedarł się spomiędzy dziewczynek. – Niedługo znów będziemy razem, kochane. Do tego czasu będziecie się świetnie bawić w Londynie. A potem wrócę z pięknym koniem dla każdej z was. Pomyślcie tylko!

– A jeśli mój okaże się kiepskim żeglarzem? – spytała Cassandra.

Kathleen nie zdążyła odpowiedzieć, bo podszedł do nich rozbawiony Devon i wyplątał żonę z czułego podwójnego uścisku.

– Konie mają na statku boksy obite od środka miękką tapicerką – wyjaśnił. – Pod brzuchami przeciąga się im szerokie brezentowe pasy, jakby były w hamaku. To zabezpieczenie, żeby nie upadły. Poza tym zostanę przy nich na dolnym pokładzie, żeby były spokojniejsze.

– Ja też – dodała Kathleen.

Mąż rzucił jej ostrzegawcze spojrzenie.

– Rozmawialiśmy już o tym. W podróży powrotnej ja dbam o konie, a ty o mojego przyszłego syna lub córkę.

– Nie jestem inwalidką – naburmuszyła się Kathleen.

– Nie, ale jesteś dla mnie najważniejsza na świecie i chcę, żebyś była bezpieczna.

Kathleen buntowniczo skrzyżowała ramiona na piersi.

– No i jak mam postawić na swoim?

Devon uśmiechnął się i złożył na jej ustach pocałunek.

– Nie możesz. – Potem wziął w ramiona bliźniaczki i każdą z nich cmoknął w czoło. – Do widzenia, psotnice. Postarajcie się nie przyprawiać lady Berwick o ból głowy i dbajcie o Helen.

– Czas na was – ponaglił ich West od drzwi. – Na pewno nie chcecie, żebym towarzyszył wam do stacji?

Devon uśmiechnął się do brata.

– Dzięki, ale powóz i bez ciebie będzie zatłoczony. Poza tym nie chcę cię porywać, skoro masz być gospodarzem dla lady Berwick.

– Słusznie – przyznał West, ale kiedy się odwracał, wykonał dyskretny gest, przeznaczony tylko dla oczu Devona.

– Kathleen, kuzyn West znów użył palca – zauważyła Pandora.

– Kurcz mnie złapał – wyjaśnił szybko, gromiąc dziewczynę wzrokiem.

Kathleen uśmiechnęła się nieznacznie; podeszła i zarzuciła mu ramiona na szyję.

– West – powiedziała ciepło – mam nadzieję, że będziesz wiedział, co robić pod naszą nieobecność.

Westchnął i pocałował ją w czoło.

– Do licha, będę za tobą tęsknił.

Zanim reszta rodziny odjechała nazajutrz rano, West poprosił Helen o chwilę rozmowy. Przeszli do oranżerii – pomieszczenia zbudowanego ze szkła i kamienia, gdzie pyszniły się bujne palmy i paprocie. Przez wielkie szklane okna było widać pobliską kępę płaczących buków. Ich długie, pogięte gałęzie zwisały, jakby wyczerpały je trudy zimy. Stado tłustych, pomarańczowo-szarych jerów zleciało z ołowianego nieba, aby pożywić się bukowymi orzeszkami, zalegającymi wokół artretycznie powykręcanych pni.

– Uświadomiłem sobie – zaczął West, przechylając głowę, aby nie trącić wiszących koszy z roślinnymi kompozycjami – że po raz pierwszy ty i bliźniaczki macie zostać w Londynie dłużej niż na jedną noc bez opieki rodziny.

– Przecież jest lady Berwick – zaprotestowała Helen.

– To nie rodzina.

– Kathleen ma o niej dobre zdanie.

– Wyłącznie dlatego, że lady Berwick wzięła ją do siebie po tym, jak rodzice Kathleen próbowali wystawić ją na ulicę z tabliczką „Dziecko do wzięcia" na szyi. Od tej pory uważa tę damę za oazę mądrości i wcielenie dobra, ale przecież oboje wiemy, że sprawa nie będzie prosta. Hrabina i Pandora będą skakały sobie do oczu od pierwszego dnia.

Helen próbowała dodać mu otuchy uśmiechem, widząc troskę w ciemnoniebieskich oczach.

– Spokojnie, to tylko miesiąc. Szybko ją oswoimy. Zresztą pan Winterborne będzie w pobliżu.

Mars na czole Westa pogłębił się.

– Tym bardziej się martwię.

– Nie rozumiem. Czego się obawiasz? – zapytała zdziwiona.

– Tego, że będziesz manipulowana i wykorzystywana, a zanim się zorientujesz, może już być za późno.

– Winterborne nie będzie mnie wykorzystywał.

West prychnął sceptycznie.

– Mówisz tak, bo już cię wykorzystał. – Ujął Helen za ramiona i popatrzył jej w twarz. – Moja mała przyjaciółko, chcę, żebyś zachowała czujność i pamiętała, że Londyn nie jest magiczną krainą szczęśliwości i słodkich ciasteczek, a mężczyźni, którzy ci nadskakują, nie są bohaterami w przebraniu zwykłych ludzi.

Helen się żachnęła.

– Nie jestem aż taką marzycielką, nie bujam w obłokach.

West uniósł brew.

– Jesteś pewna? Bo kiedy ostatni raz byłaś w Londynie, postanowiłaś wymknąć się do Winterborne's samopas i – jak można było się spodziewać – wróciłaś do domu bez cnoty.

Helen zapiekły policzki.

– Zawarliśmy układ – szepnęła.

– Układ nie ma sensu. I tak by cię poślubił.

– Tego nie możesz wiedzieć.

– Kochanie, wszyscy to wiedzą, oczywiście poza tobą. Nie rozpędzaj się, nie mamy czasu na spory. Po prostu pamiętaj, że jeśli będą jakieś kłopoty, jeśli cokolwiek będzie się działo z tobą czy z bliźniaczkami, musisz mi natychmiast o tym zameldować. Niech w razie czego stangret dostarczy notatkę do najbliższej stacji telegrafu, a zjawię się jak najszybciej. Tylko obiecaj mi, że tak zrobisz.

– Obiecuję. – Helen wspięła się na palce, żeby cmoknąć Westa w policzek. – Moim zdaniem ty jesteś bohaterem w przebraniu zwykłego człowieka.

– Naprawdę tak sądzisz? – Młody mężczyzna z przygnębieniem pokręcił głową. – Chyba niewiele o mnie wiesz. – Podał jej ramię. – Chodźmy, bo inni czekają. Masz może kieszonkowe lusterko?

– Chyba nie, a co?

– Zatrzymałem cię, co oznacza, że z głowy lady Berwick wyrastają węże, więc nie mogę spojrzeć jej w twarz.

Nikt nie był zaskoczony tym, że lady Berwick nalegała, aby w pociągu do Londynu Rhys zajął miejsce obok niej. Oczywiście nie protestował, ale co chwila tęsknie zerkał na Helen, która siedziała w rzędzie obok i haftowała na tamborku.

Odwzorowując nicią delikatne, ząbkowane krawędzie kwiatowego liścia, słuchała ich rozmowy. Rhys odnosił się do lady Berwick z uprzejmym zainteresowaniem, lecz bez czołobitnego szacunku, należnego arystokratycznej matronie. Wypytywał ją o zainteresowania, zwłaszcza o konie i ich trening – przy czym szczerze przyznał, że niewiele o tym wie i potrafi tylko jeździć konno. Wyznanie spotkało się z entuzjastyczną reakcją ze strony hrabiny, która znalazła się w ulubionej przez siebie roli mentorki, pouczającej i udzielającej rad.

Uwagę Helen rozproszyły bliźniaczki siedzące za nią.

– …no wiesz, ta obelga z *Otella*, której nie powinnyśmy znać – mówiła Pandora.

– Ty tłuku? – domyśliła się Cassandra.

– Nie, głupia! To nie jest cytat z *Otella*, tylko z któregoś Henryka. A mnie chodzi o to, jak Otello nazywa Biankę, kiedy myśli, że ta kocha innego mężczyznę. – Widząc zaciekawiony wzrok siostry, Pandora wyszeptała jej do ucha zakazane słowo.

– Tego nie znałam – przyznała Cassandra.

– Bo czytałaś okrojoną wersję. A ja czytałam oryginał, a potem sprawdziłam w słowniku. Słowo oznacza kobietę, która śpi z mężczyzną dla pieniędzy.

– Dlaczego mężczyzna miałby płacić kobiecie, żeby z nim spała? – spytała zdziwiona Cassandra. – Chyba że byłoby bardzo zimno i miałby za mało koców. Tylko czy nie lepiej wydać te pieniądze na cieplejsze koce?

– Ja już bym wolała spać z psami. Grzeją lepiej niż ludzie.

Helen wcale to nie rozśmieszyło. Przeciwnie, pomyślała, że dziewczęta powinny już więcej wiedzieć o życiu. Przed paru laty postanowiła powiedzieć im zawczasu o miesiączce, aby – kiedy ją dostaną – nie doznały szoku, tak jak kiedyś ona. A skoro tak, czy nie powinny się dowiedzieć całej reszty, w myśl powiedzenia „Przezorny zawsze ubezpieczony”? Dlatego postanowiła, że przy najbliższej okazji zacznie uświadamiać siostry, aby nie musiały sobie tworzyć fałszywego obrazu rzeczywistości.

Pociąg wtoczył się na stację Waterloo i uszy podróżnych wypełnił dworcowy szum. Na peronie na Ravenelów i ich służbę czekało już czterech pracowników Winterborne’s w niebieskich uniformach. Z iście magiczną sprawnością władowali ich bagaże na wózki i utorowali im drogę wśród tłumu. Helen z rozbawieniem obserwowała lady Berwick, która usilnie starała się ukryć swój entuzjazm, gdy prowadzono ich do dwóch prywatnych powozów. Jeden był przeznaczony dla państwa, drugi dla służby, a bagaże załadowano na lorę.

Powóz Rhysa był eleganckim wehikułem w nowoczesnym stylu, lśniącym czarnym lakierem. Na drzwiach widniał znajomy ozdobny monogram „W”. Rhys stanął przy stopniach i osobiście pomagał

wsiadać każdej z dam – najpierw lady Berwick, potem Helen. Przerwał, kiedy jedna z bliźniaczek nagląco pociągnęła go za rękaw. Spojrzał na siedzące w środku kobiety i powiedział do nich z rezygnacją:

– Proszę o chwilę cierpliwości.

Drzwi się zamknęły.

Hrabina zmarszczyła brwi.

– Co to ma być?

Helen bezradnie pokręciła głową.

Drzwi otworzyły się z cichym kliknięciem, odchyliły na parę cali, po czym znów się zamknęły. I tak parę razy. Klik, klik.

Helen powstrzymała uśmiech, kiedy wreszcie się domyśliła, że bliźniaczki bawią się nowomodną klamką. Nie otwierała się jak wszystkie im znane, przez półobrót, ale wystarczyło lekko pociągnąć ją w dół.

– Dziewczęta! – zawołała z irytacją hrabina, kiedy drzwi uchyliły się po raz kolejny. – Proszę natychmiast wsiadać!

Bliźniaczki speszyły się i szybko wskoczyły do środka.

Pani Berwick obrzuciła je lodowatym spojrzeniem.

– Nie bawimy się klamkami!

– Ale pan Winterborne nam pozwolił – mruknęła Pandora.

– Pan Winterborne niewiele wie o właściwym wychowaniu młodych panien.

Rhys usadowił się naprzeciwko starszej kobiety. Choć kąciki jego oczu się śmiały, odparł z powagą:

– Wybacz mi, pani, ale były tak zainteresowane mechanizmem, że chciałem im pokazać, jak działa.

Hrabina złagodniała i powiedziała już spokojniej:

– Jednakowoż trzeba trzymać w ryzach zbyt aktywne młode umysły. Nadmiar myślenia może prowadzić do złego.

Helen trąciła łokciem Pandorę, ostrzegając, żeby się nie odzywała.

– Moi rodzice mówili to samo – odparł gładko Rhys. – Zdaniem ojca mój nadgorliwy umysł miał sprawić, że wyrosnę na aroganta, który do niczego w życiu nie dojdzie. „Trzeba znać swoje miejsce i tego się trzymać”, mawiał.

– I posłuchał go pan? – zapytała lady Berwick.

Winterborne roześmiał się cicho.

– Gdybym to zrobił, szanowna pani, siedziałbym teraz w sklepiku przy High Street, a nie w prywatnym powozie z hrabiną.

Rozdział 22

Ku rozczarowaniu Helen przez pierwszy tydzień pobytu w Londynie prawie nie miała okazji, żeby zobaczyć się z Rhysem. Nieobecność w biurze sprawiła, że miał zaległości w pracy i mnóstwo spraw czekało na jego decyzję. Kiedy pewnego popołudnia zjawił się w Ravenel House, mógł tylko przez chwilę porozmawiać z Helen, gdyż znajdowali się w towarzystwie hrabiny i bliźniaczek. Zasady lady Berwick dotyczące odwiedzin były jasno określone i surowe: wizyty można było składać tylko w określonych godzinach i gość nie powinien zostać dłużej niż kwadrans. Po upływie piętnastu minut hrabina znacząco zerkała na zegar.

Spojrzenia Rhysa i Helen spotkały się na moment, aby podzielić irytację i żal. Winterborne wstał od stołu, niedostrzegalnie zaciskając usta.

– Mam nadzieję, że nie przekroczyłem czasu.

– Miło nam było pana gościć, panie Winterborne – odezwała się lady Berwick, również wstając. – Byłybyśmy zadowolone, gdyby zechciał pan popojutrze zjeść z nami kolację, oczywiście jeśli nawał zajęć panu pozwoli.

– W piątek? – Rhys z żalem pokręcił głową. – O niczym innym nie marzę, milady, lecz niestety jestem już umówiony na prywatną kolację z premierem.

– Z panem Disraelim? – Helen zrobiła wielkie oczy. – On jest twoim przyjacielem?

– Znajomym. Chce mojego poparcia dla ustawy o reformie prawa pracy, która miałaby umożliwić pracownikom legalne strajki.

– Nie wiedziałam, że strajki są nielegalne – przyznała Helen.

Rhys uśmiechnął się, widząc jej zainteresowanie.

– Tylko parę cechów rzemieślniczych – stolarzy, murarzy czy odlewników – ma do nich prawo. Natomiast kiedy członkowie innych związków zawodowych strajkują, są aresztowani.

– Chcesz, żeby pracownicy mieli prawo do strajku? – dopytywała Helen. – Choć sam jesteś przedsiębiorcą i pracodawcą?

– Taa. Uważam, że klasa robotnicza powinna mieć takie same prawa jak reszta społeczeństwa.

– Takie tematy nie są dla kobiet – ucięła lady Berwick. – W tej sytuacji, panie Winterborne, postaram się wyznaczyć inny termin, dogodny dla nas i dla pana.

– Odprowadzę go, jeśli pani pozwoli – powiedziała Helen, z trudem kryjąc żal, że nie może nawet na moment zostać sam na sam z Rhysem.

Lady Berwick stanowczo pokręciła głową.

– Moja droga, damie nie wypada odprowadzać dżentelmena do wyjścia.

Helen posłała siostrom błagalne spojrzenie.

Pandora bez chwili namysłu trąciła nogą krzesło, aż przechyliło się i upadło.

– Do licha! – zawołała. – Jak to się stało?

Hrabina spiorunowała ją spojrzeniem.

– Pandoro, co to za słowo!

– A co powinnam powiedzieć, kiedy coś nagle upadło?

Na moment zapadła cisza, kiedy lady Berwick rozważała odpowiedź.

– Możesz powiedzieć „niestety”.

– Niestety? – powtórzyła zawiedziona bliźniaczka. – To za słabe słowo.

– No właśnie, a jakby mi przygniotło nogę, to też mam powiedzieć „niestety”? – Siostra przyszła jej w sukurs.

Helen wykorzystała fakt, że bliźniaczki odciągnęły uwagę lady Berwick, i wymknęła się z Rhysem z pokoju.

W holu bez słowa objął dłonią jej kark i przyciągnął do siebie, aby choć na moment pochłonąć jej usta swoimi w spragnionym, pożądliwym pocałunku. Helen gwałtownie wciągnęła powietrze,

kiedy skończył i ostatni raz przygarnął ją ciasno. Czuła jego rozpalony oddech na swoim policzku.

– Helen? – Z góry dobiegło wołanie lady Berwick.

Rhys natychmiast puścił ukochaną. Stał i patrzył na nią, zwierając i rozwierając palce, jakby chciał ostatni raz po nią sięgnąć.

Oszołomiona Helen usiłowała przemóc nagłą słabość w kolanach.

– Musisz już iść – szepnęła. – Niestety – dodała z wisielczym humorem.

Rhys rzucił jej sardoniczne spojrzenie i sięgnął po kapelusz i rękawiczki, leżące na stoliku z półkolistym blatem.

– Więcej nie przyjdę z taką wizytą, *cariad*. Przez ten piekielny kwadrans cierpiałem jak głodujący przed wystawą cukierni.

– Kiedy się znów zobaczymy?

Wcisnął kapelusz na głowę i założył rękawiczki.

– Załatwię sprawę tak, żeby przyszła z tobą do sklepu w poniedziałek rano.

– Ale czy będziemy mieli chwilę dla siebie? – powątpiewała Helen, odprowadzając go do drzwi.

Rhys zatrzymał się w progu, aby popatrzeć na nią po raz ostatni. Pogładził palcem jej policzek; zadrżała pod dotknięciem czarnej, gładkiej skóry rękawiczki.

– Tam jest moje terytorium – rzekł, pożerając wzrokiem jej usta. – Więc jak myślisz?

Nazajutrz salon wypełniła gromada kilkunastu kobiet, które lady Berwick zaprosiła na specjalną wizytę. Były to matrony rządzące najważniejszymi wydarzeniami sezonu. Ich zadaniem było wychowanie kolejnych pokoleń żon i matek. Losy panien na wydaniu zależały od ich dobrej woli.

– Odzywajcie się tylko wtedy, kiedy to będzie konieczne – lady Berwick surowo upomniała bliźniaczki. – Pamiętajcie, że milczenie jest złotem. – Spojrzała na Pandorę i dodała: – W waszym przypadku nawet platyną.

Trzy siostry siedziały cicho w kącie, spoglądając wielkimi oczami na grupę matron wznoszących herbatą toasty na cześć angielskiej królowej. Obowiązkowa dyskusja o pogodzie zakończyła się zgodnym wnioskiem, że jest wyjątkowo zimno i wiosna w tym roku na pewno się spóźni.

Helen zastrzygła uszami, kiedy lady Berwick zapragnęła poznać opinię dam na temat głównej krawcowej domu Winterborne's. Opinia była zgodna: rzeczona pani Allenby zawsze tworzyła fasony wyjątkowej jakości i urody, a teraz, kiedy została oficjalną krawcową dworu, trzeba się było do niej zapisywać w oczekiwaniu na wizytę.

– Jest jednak nadzieja – skomentowała z uśmiechem jedna z matron – że lady Helen uda się załatwić termin bez czekania.

Helen skromnie spuściła wzrok.

– Istotnie – potwierdziła za nią lady Berwick. – Pan Winterborne jest niezwykle miły i uczynny.

– Poznałaś go? – zapytała inna dama.

Krzesła zaskrzypiały chórem, kiedy panie wychyliły się i nastawiły uszu, aby nie uronić ani słowa z odpowiedzi.

– Pod jego opieką przyjechałyśmy pociągiem do Londynu.

Podekscytowany szmer przebiegł wśród zebranych. Lady Berwick rzuciła podopiecznej znaczące spojrzenie.

Helen w lot pojęła, o co chodzi.

– Jeśli panie nie mają nic przeciwko temu – powiedziała skromnym głosem – ja i moje siostry opuścimy panie, gdyż chcemy się pouczyć historii.

– Bardzo dobrze, kochana, pogłębiajcie swoją wiedzę.

Helen i dziewczęta dygnęły na pożegnanie i wyszły. Kiedy drzwi się za nimi zamknęły, w salonie rozbrzmiały salwy pytań o pana Winterborne'a.

– Chodźmy na górę – powiedziała z zażenowaniem Helen, kiedy siostry przylgnęły uszami do drzwi. – Podsłuchujący nie usłyszą o sobie nic dobrego.

– Owszem – odparła Pandora. – Ale usłyszą interesujące rzeczy o innych.

– Cii… – ofuknęła ją Cassandra, wytężając słuch.

– …rysy ma przyjemne, choć nie tak subtelne, jak można by sobie życzyć – mówiła lady Berwick. Urwała, po czym kontynuowała zniżonym głosem: – Ma aż za gęstą czuprynę, czarną jak smoła, bujny, bardzo męski zarost i silną postać.

– A jego temperament? – zapytała któraś z pań.

– Wybujały jak u berberyjskiego ogiera. Bez wątpienia nadaje się do wypełniania ojcowskich obowiązków.

W salonie wybuchł gwar podekscytowanych komentarzy i pytań.

– Zastanawiam się, czy one na tych swoich spotkaniach w ogóle mówią o dobroczynności – szepnęła Cassandra, kiedy Helen w końcu odciągnęła bliźniaczki od drzwi.

Ponieważ udało im się przetrwać zlot matron bez towarzyskiej wpadki, nazajutrz Pandora, Cassandra i Helen zostały zwolnione z obowiązku uczestniczenia w kolejnych kurtuazyjnych spędach. Pandora zdołała skłonić Cassandrę do pomocy w malowaniu planszy do swojej gry, a Helen samotnie czytała książkę, siedząc w górnym salonie.

– Pani – w drzwiach pojawił się lokaj Peter – lady Berwick życzy sobie, abyś dołączyła do niej w pokoju przyjęć.

Helen odłożyła książkę i popatrzyła na niego zdziwiona.

– Czy mówiła po co?

– Abyś, pani, pomogła jej zabawiać pewnego gościa.

Helen przygładziła włosy i suknię, po czym zeszła na dół i ruszyła do salonu recepcyjnego. Zamrugała i zwolniła kroku, widząc, że lady Berwick czeka na nią w drzwiach.

– Pani…? – Pytająco ściągnęła brwi.

Hrabina zasłaniała plecami gościa siedzącego w salonie. Jak zwykle trzymała się prosto i prezentowała nienaganną elegancję, ale coś w jej postaci przypominało Helen szpaka, którego widziała kiedyś, przycupniętego na ręce wędrownego handlarza ptaków. Skrzydła miał przyciśnięte do tułowia i obwiązane sznurkiem, a w jego oczach było widać szaloną tęsknotę za wolnością.

– Niespodziewanie – zaczęła hrabina ściszonym głosem – przybył tu spadkobierca mojego męża, aby cię odwiedzić. Nie powinnaś mu za dużo mówić. I wyprostuj plecy.

Tyle przygotowań musiało wystarczyć. Helen została wprowadzona do salonu.

– Lady Helen – zaanonsowała hrabina beznamiętnym głosem – oto bratanek mojego męża, pan Albion Vance.

Rozdział 23

Helen miała wrażenie, że nagle znalazła się w epicentrum wulkanu. A potem przestała czuć cokolwiek poza dzikim łomotem serca, jakby ktoś walił pięścią w zamknięte drzwi. Dygnęła, nie unosząc wzroku.

– Jak się masz? – usłyszała ciche pytanie. Miły głos – gładki, stonowany, nie za głęboki.

Jakaś dziwna, zewnętrzna siła zdawała się kierować Helen. Przekroczyła próg, automatycznie podeszła do fotela i odruchowo zgarnęła fałdy sukni, aby usiąść. Kiedy gość także zajął swoje miejsce, odważyła się na niego spojrzeć.

Albion Vance był przystojny w wyjątkowy, wręcz niepokojący sposób. Nigdy nie widziała mężczyzny o podobnym wyglądzie. Miał bardzo jasną cerę, zdumiewająco świeżą i młodą, blade, szaroniebieskie oczy, a jego starannie ostrzyżone włosy były śnieżnobiałe i lśniące niczym wnętrze muszli ostrygi. Jego perfekcyjne rysy kojarzyły się Helen z woskowymi głowami o cienkich nosach, stojącymi w oknach zakładów fryzjerskich i reklamującymi najnowsze fryzury. Był średniego wzrostu, szczupły, lecz silny; w ruchach miał kocią grację.

Z przykrością uświadomiła sobie, że odziedziczyła po nim czarne brwi i rzęsy. Pomimo gwałtownych odczuć była dziwnie wyciszona i ogromnie wdzięczna losowi, że zesłał na nią nieziemski spokój, tłumiący wszystkie napięcia.

Vance obserwował ją z niedbałym zainteresowaniem. Miał w sobie coś niemoralnego i zarazem magnetycznego; jakby płonął w nim zimny płomień wyrachowanej osobowości.

– Jesteś podobna do matki – zauważył. – Choć dużo bardziej subtelna.

Świadoma, że jest oceniana, Helen przemogła się i zapytała:

– Czy dobrze ją pan znał? Nie pamiętam, żebym widziała pana w Eversby Priory.

– Od czasu do czasu widywałem ją w czasie różnych imprez towarzyskich, kiedy bywała w mieście. – Uśmiechnął się, pokazując drobne, białe zęby. – Olśniewająca piękność, ale kapryśna jak dziecko. Uwielbiała tańczyć i kiedy zagrała muzyka, nie mogła spokojnie usiedzieć. Kiedyś jej powiedziałem, że przypomina mi postać z bajki o czerwonych pantofelkach.

Helen nigdy nie lubiła tej bajki o dziewczynce, które ośmieliła się założyć czerwone pantofelki na swoją komunię i za karę musiała w nich tańczyć bez końca, aż straciła nogi, a w końcu umarła.

– Chodzi panu o bajkę Christiana Andersena? Z morałem o grzechu, który został ukarany?

Uśmiech Vance'a rozpłynął się, a jego spojrzenie stało się bardziej uważne.

– Przyznam, że nie przypominam sobie morału tej historyjki.

– Widać czytał ją pan dawno temu. – Twarz Helen zastygła w nieprzeniknioną maskę, która zawsze tak irytowała bliźniaczki; nazywały ją sfinksem. – Kiedy dziewczynka uległa pokusie, czerwone pantofelki zaczęły ją prowadzić do śmierci.

Vance spoglądał na nią podejrzliwie, zastanawiając się, czy jest to rozmyślna aluzja.

– Bardzo mnie zmartwiła wiadomość o śmierci twojej matki. A do tego niedawne wieści o ojcu i bracie. To tragiczny okres dla Ravenelów.

– Mamy nadzieję, że już się skończył – odparła Helen neutralnym tonem.

Vance zwrócił się do lady Berwick z drażniącym lisim uśmieszkiem:

– Jak widać, Ravenelowie szybko się otrząsnęli z żalu. Nasza sprytna Kathleen nie traciła czasu, natychmiast usidliła następnego earla Trenear.

Hrabina z trudem ukrywała irytację, słysząc sugestię, że Kathleen wyszła za Devona z wyrachowania.

– Tam się liczy uczucie – stwierdziła sucho.

– Pewnie tak jak w jej pierwszym małżeństwie. Wygodnie jest zakochiwać się na zamówienie.

W tym momencie Helen do reszty znienawidziła tego człowieka. Było w nim coś brudnego i okrutnego zarazem. Z obrzydzeniem myślała o tym, że w jej żyłach płynie jego krew. Pamiętała, co Rhys mówił parę nocy temu: „Z takiego diabelskiego nasienia nie powinny się rodzić dzieci”. Teraz, kiedy poznała Vance’a, musiała przyznać mu rację. Jak jej matka mogła się dać omotać takiemu człowiekowi? Jak mogła sobie na to pozwolić Peggy Crewe? Widocznie zło potrafi przyciągać tak jak dobro.

Vance znów zwrócił się do niej:

– Lady Helen, słyszałem, że jesteś zaręczona z panem Winterborne’em i zamierzasz go poślubić. Należy ubolewać, że musisz wybierać sobie męża z nieodpowiedniej sfery. Niemniej jednak pragnę pogratulować wam obojgu.

Ta uwaga dopiekła jej o wiele bardziej niż podobne stwierdzenie lady Berwick w Hampshire. Jedynie świadomość, że Vance rozmyślnie chce ją wyprowadzić z równowagi, pozwoliła Helen zachować względny spokój. Ale kusiło ją, aby odpowiedzieć, że skoro uważa, że ludzie mają pozostać w swoich „odpowiednich sferach”, nie powinien się wdawać w romanse z mężatkami.

– Mam nadzieję, że ktoś ci uświadomi – ciągnął tymczasem Vance – że twoje dzieci mogą wyrosnąć na nieokrzesanych arogantów, nawet jeśli zadbasz o ich szlachetne wychowanie. To jest po prostu we krwi. Możesz oswoić wilka, ale jego potomstwo dalej będzie dzikie. Walijczycy to z natury niehonorowi krętacze. Kłamią dużo i często, nawet kiedy więcej by zyskali na prawdzie. Kochają hazard i brzydzą się uczciwą pracą.

Helen pomyślała o Rhysie, który harował od dziecka i zasłużył jedynie na pogardę w oczach wyżej urodzonego mężczyzny. Czując, że dłonie same zaciskają się jej w pięści, zmusiła je, aby leżały nieruchomo na podołku.

– Skąd tak dużo pan o nich wie? – spytała.

Lady Berwick spróbowała zmienić temat:

– Panie Vance, myślę, że…

– To dość powszechna wiedza – powiedział do Helen. – Poza tym zjechałem całą Walię, zbierając materiały do broszury, którą wtedy pisałem. Czułem się w obowiązku podkreślić potrzebę wyrugowania języka walijskiego z tamtejszych szkół. Niczego istotnego nie wnosi, a oni uparcie go bronią.

– Ciekawe – mruknęła Helen.

– Nawet bardzo – przytaknął z ożywieniem, jakby nie wyczuł ironii albo ją ignorował. – Trzeba coś zrobić, żeby pobudzić ich inteligencję, a pierwszym krokiem jest wymuszenie użycia angielskiego, czy im się to podoba, czy nie. – Perorował z coraz większym zapałem i Helen zrozumiała, że nie próbuje jej ustawiać czy prowokować, tylko mówi ze szczerym przekonaniem. – Walijczyków należy ocalić przed ich własnym lenistwem i topornym prymitywizmem. Jeśli to się nie zmieni, nie będą się nadawali nawet na służbę.

Lady Berwick zerknęła na znieruchomiałą jak maska twarz Helen.

– Zapewne z ulgą znalazł się pan z powrotem w Anglii po długiej nieobecności – powiedziała do Vance'a, próbując zmniejszyć napięcie.

– Wolałbym trafić do piekła, niż jeszcze raz znaleźć się w Walii.

Helen stwierdziła, że nie jest w stanie dłużej tego tolerować. Wstała i powiedziała chłodno:

– Nie wątpię, że pańskie życzenie się spełni, panie Vance.

Tego się nie spodziewał. Powoli podniósł się z fotela.

– Nie rozumiem…

– Pan wybaczy, ale mam korespondencję do przejrzenia – ucięła Helen, po czym obróciła się na pięcie i wyszła, resztką woli zwalczając odruch ucieczki.

Nie miała pojęcia, ile czasu minęło, odkąd rzuciła się na łóżko i zaczęła rozpaczliwie szlochać. Przyciskała do oczu złożoną chusteczkę, na próżno tłumiąc łzy. Gardło miała ściśnięte, a oddech płytki i urywany.

Lepiej byłoby w ogóle nie mieć ojca. Albion Vance okazał się jeszcze bardziej obrzydliwym typem, niż sobie wyobrażała, zdegenerowanym w każdy możliwy sposób. A ona była jego dzieckiem. Ta krew jak trucizna płynęła w jej żyłach.

Grzechy ojców przechodzą na synów – każdy zna tę biblijną zasadę. Wiadomo, że odnosi się ona także do córek. Niemożliwe, żeby Helen nie odziedziczyła po ojcu jakiejś skazy.

Nagle rozległo się dyskretne pukanie do drzwi. Do pokoju weszła lady Berwick, niosąc dwa kieliszki bursztynowego płynu.

– Znakomicie sobie poradziłaś – powiedziała, stając w nogach łóżka.

– Obrażając pani gościa? – mruknęła Helen.

– Nie był moim gościem – odrzekła sucho hrabina. – Vance to obrzydliwy pasożyt. Robak żywiący się wrzodziejącymi ranami Hioba. Nie miałam pojęcia, że zjawi się tu dzisiaj bez zapowiedzi.

Helen odjęła od oczu wilgotną chusteczkę i wydmuchała nos.

– Winterborne będzie wściekły – powiedziała. – Jasno dał mi do zrozumienia, że nie życzy sobie żadnych moich kontaktów z tym człowiekiem.

– Dlatego na twoim miejscu bym mu się nie przyznała.

Helen ścisnęła chusteczkę w kulkę.

– Radzi mi pani, abym nie była szczera ze swoim narzeczonym?

– Chyba oboje doskonale zdajecie sobie sprawę, że nie należy nic mówić Winterborne'owi.

Helen popatrzyła na kobietę oszołomiona. Boże, ona wie. Ona wie!

Lady Berwick podała Helen kieliszek.

– Napij się. To brandy – zachęciła.

Helen uniosła szkło do ust, ostrożnie upiła łyk, a potem drugi, już swobodniej. Alkohol miał ostry smak i palił jej wargi.

– Myślałam, że damy nie powinny pić alkoholu – powiedziała głosem ochrypłym od płaczu.

– Nie publicznie. Mogą natomiast w domowym zaciszu, zwłaszcza jeśli trzeba się wzmocnić.

Kiedy Helen popijała brandy, hrabina zaczęła mówić – tym razem bez swojego pouczającego tonu, za to ze zdumiewającą szczerością i współczuciem:

– W zeszłym roku, kiedy Vance dowiedział się ode mnie, że Kathleen dołączy do twojej rodziny, wyznał mi, że miał romans z twoją matką. I że ty jesteś jego córką. Kiedy po raz pierwszy cię zobaczyłam, zrozumiałam, że nie kłamał. Twoje włosy mają ten sam kolor, jaki kiedyś miały jego włosy, brwi i oczy też są identyczne.

– Czy Kathleen wie?

– Nie, nie ma o tym pojęcia. Nie byłam pewna, czy ty wiesz, dopóki nie zobaczyłam twojej twarzy na moment przed wejściem do salonu. Jednak błyskawicznie się opanowałaś. Masz silny charakter, Helen.

– Czy pan Vance przybył dziś z zamiarem zdradzenia mi tajemnicy?

– Tak. Na szczęście pokrzyżowałaś mu plany i uniemożliwiłaś odegranie dramatycznej sceny. – Hrabina odsunęła kieliszek od ust i dodała ponuro: – Zanim wyszedł, poprosił mnie, abym dobitnie ci potwierdziła, że jest twoim ojcem.

– Słowo „ojciec" do niego nie pasuje.

– Ja też tak sądzę. Mężczyzna nie powinien być nazwany ojcem tylko dlatego, że w odpowiednim momencie uwolnił swoje nasienie.

Helen uśmiechnęła się blado, przemagając mroczny nastrój. Tak mogłaby powiedzieć Kathleen. Podsunęła się wyżej na poduszkach i przetarła palcami kąciki oczu.

– Będzie chciał pieniędzy – powiedziała beznamiętnym tonem.

– Najwyraźniej. Wkrótce zostaniesz żoną jednego z najbardziej majętnych ludzi w Anglii. Nie mam wątpliwości, że z czasem Vance będzie także chciał mieć wpływ na decyzje biznesowe twojego męża.

– Nie mogę tego zrobić Winterborne'owi. Zresztą… nie mogłabym żyć, będąc szantażowana przez Vance'a.

– Ja muszę tak żyć od lat, dziecko. Od chwili, kiedy poślubiłam lorda Berwicka, wiedziałam, że jeśli nie urodzę męskiego potomka, będę musiała płaszczyć się przed Vance'em. Odtąd ty też będziesz musiała. Jeśli nie spełnisz jego żądań, zniszczy twoje małżeństwo. Może zrobi to, nawet zanim dojdzie do ślubu.

– Nie ma mowy – odparła stanowczo Helen. – Sama powiem o wszystkim Rhysowi.

Lady Berwick popatrzyła na nią wielkimi oczami.

– Chyba nie jesteś tak naiwna, aby wierzyć, że po czymś takim będzie cię jeszcze chciał!

– Nie jestem. Wiem, że nie będzie mnie chciał. Ale jestem mu winna prawdę.

Hrabina nerwowym łykiem dokończyła swoje brandy, odstawiła kieliszek i zaczęła mówić z gniewnym naciskiem:

– Mój Boże, dziecko… chcę, żebyś wzięła sobie do serca każde słowo, które teraz wypowiem. – Zaczekała, aż udręczone oczy Helen napotkają jej spojrzenie. – Świat jest nieprzyjaznym miejscem dla kobiet. Przyszłość każdej z nas jest zbudowana na piasku. Jestem hrabiną, Helen, ale w zimie swojego żywota mam szansę zostać ubogą wdową, nikim. Musisz zrobić wszystko, aby poślubić pana Winterborne'a, gdyż jednej rzeczy kobieta potrzebuje nade wszystko – bezpieczeństwa. Nawet gdybyś miała stracić miłość męża, najmniejszy okruch jego majątku będzie dla ciebie gwarancją, że nie zdeklasujesz się i nie stoczysz w nędzę. I lepiej, żebyś urodziła mu syna, bo tylko zdolność zapewnienia rodowi dziedzica jest źródłem wpływów i mocy kobiety.

– Pan Winterborne nie uzna dziecka, które byłoby potomkiem Albiona Vance'a.

– Jeśli już się urodzi, nie będzie miał wyjścia, nie uważasz?

Teraz to oczy Helen rozszerzyły się gwałtownie.

– Nie mogłabym tak go oszukać!

– Moja droga, jesteś niezwykle naiwna – stwierdziła sucho lady Berwick. – Czy myślisz, że w jego życiu, dawnym i obecnym, nie ma spraw, które chciałby utrzymać w tajemnicy przed tobą? Mężowie i żony nigdy nie są ze sobą do końca szczerzy. Żadne małżeństwo nie przetrwałoby takiej szczerości.

Narastające pulsowanie w skroniach i pierwsze mdłości ostrzegały Helen, że zbliża się napad migreny.

– Źle się czuję – powiedziała cicho.

– Dopij brandy. – Hrabina podeszła do okna, odsunęła zasłonę i wyjrzała na zewnątrz. – Vance chce znów się z tobą spotkać. Jutro. Jeśli odmówisz, jeszcze tego samego dnia pójdzie do Winterborne'a.

– Nie odmówię – zapewniła Helen. Z ponurym uporem pomyślała, że sama powie Rhysowi prawdę – kiedy zechce i na swoich

własnych warunkach.

– Zawiadomię go, abyśmy się spotkali na neutralnym gruncie. Nie chcę go widzieć w Ravenel House.

Helen zastanowiła się przez moment.

– British Museum – zasugerowała. – Bliźniaczki chciały obejrzeć galerię zoologiczną. Tam mogłybyśmy zamienić z nim dyskretnie parę słów.

– Tak, to dobry pomysł – przystała hrabina. – Które konkretnie miejsce byś proponowała?

Helen zatrzymała kieliszek w pół drogi do ust.

– Sekcję jadowitych węży – rzekła i upiła łyk.

Lady Berwick uśmiechnęła się krótko, lecz po chwili znów spoważniała.

– Wiem, w jaki sposób Vance przedstawi ci sytuację. Aż za dobrze wiem, jak funkcjonuje jego umysł. Będzie się wystrzegał słowa „szantaż"; zaproponuje coś w rodzaju rocznego podatku od szczęścia, jakiego zaznasz za jego sprawą, kiedy pozwoli ci poślubić pana Winterborne'a.

– Nie ma czegoś takiego jak podatek od szczęścia. – Helen potarła bolące skronie.

Hrabina popatrzyła na nią ze współczuciem.

– Moje biedne dziecko… nie obędzie się bez płacenia.

Rozdział 24

Helen, czy na pewno dobrze się czujesz? – spytała Cassandra, kiedy wysiadały z rodowego powozu. – Jesteś taka milcząca i masz nieobecne spojrzenie.

– Po prostu głowa mnie trochę boli.

– Och, współczuję. Może więc pójdziemy do muzeum innego dnia?

– Nie, w domu będzie jeszcze gorzej. Spacer dobrze mi zrobi.

Wzięły się pod ręce i ruszyły przed siebie. Tylko Pandora pędziła przed nimi w podskokach, spiesząc ku imponującemu portykowi British Museum, zdobionemu kamienną kolumnadą.

Lady Berwick z dezaprobatą pokręciła głową.

– Pandoro, nie galopuj jak wyścigowiec! – zawołała za dziewczyną.

British Museum, potężne czworokątne gmaszysko w greckim stylu, z dwuakrowym dziedzińcem, było tak wielkie, że choć wizytowały je już sześć razy, zdołały zwiedzić zaledwie jedną trzecią ekspozycji. Kiedy wieczorem poprzedniego dnia lady Berwick od niechcenia zaproponowała wyprawę do muzeum, bliźniaczki nie posiadały się z radości. Tylko Helen, wiedząc o prawdziwym celu wizyty, nie potrafiła się cieszyć.

Kiedy w rozległym holu kupiły bilety i zaopatrzyły się w podręczne plany budynku, ruszyły ku imponującym schodom, prowadzącym na wyższe piętra. Trzy żyrafy, wysokie jak wieże, efektownie upozowane u szczytu schodów, strzegły wejścia do galerii zoologicznej. Przednie nogi największego okazu były wyższe niż sama lady Berwick. Niska drewniana barierka odgradzała wypchane okazy od publiczności.

Grupka kobiet zatrzymała się, by podziwiać wspaniałe zwierzęta.

Jak można się było spodziewać, Pandora przysunęła się do barierki, wyciągając rękę.

– Pandoro – syknęła lady Berwick – jeśli dotkniesz eksponatu, zakażą nam wstępu do muzeum.

Dziewczyna odwróciła się i posłała jej błagalne spojrzenie.

– Ta żyrafa kiedyś przemierzała afrykańskie sawanny, a teraz mamy ją na wyciągnięcie ręki. Nie chciałaby pani jej dotknąć?

– W żadnym razie.

– Ale tu nie ma żadnego zakazu.

– Barierka mówi sama za siebie, nie uważasz?

– Ta żyrafa jest tak blisko… – Pandora westchnęła z żalem. – Gdyby pani przez chwilę popatrzyła w inną stronę, szybko bym jej dotknęła… i już bym wiedziała, jak to jest dotknąć żyrafy.

Lady Berwick wywróciła oczami i z rezygnacją odwróciła się, żeby sprawdzić, czy nikt nie widzi.

– Dobrze, tylko szybko – szepnęła.

Pandora błyskawicznym ruchem przechyliła się przez barierkę, dotknęła goleni zwierzęcia i potężnego kolana, po czym szybko się cofnęła.

– Ma sierść podobną do końskiej – zameldowała z satysfakcją. – Włosy nie dłuższe niż pół cala. Cassandro, chcesz sprawdzić?

– Nie, dzięki.

Pandora wzięła bliźniaczkę za rękę.

– Chodźmy. Do których zwierzaków pójdziemy, kopytnych czy pazurzastych?

– Pazurzastych!

Lady Berwick ruszyła za dziewczętami, ale zatrzymała się, żeby jeszcze raz spojrzeć na żyrafę. Nagle w paru szybkich krokach zbliżyła się do barierki, nieśmiało musnęła palcami nogę zwierzęcia, po czym cofnęła się i zawstydzona zerknęła na Helen.

Helen stłumiła uśmiech i opuściła głowę, udając, że patrzy w plan.

Kiedy hrabina dołączyła do bliźniaczek w południowym skrzydle, Helen przeszła do północnego, składającego się z pięciu wielkich sal, wypełnionych dużymi szklanymi gablotami. Skierowała się do drugiej, gdzie znajdowała się ekspozycja gadów. Przystanęła przed wypchaną jaszczurką z obfitą kryzą wokół szyi; przypominała

jej królową Elżbietę I ze słynnego portretu. Tabliczka przy gablocie informowała, że jaszczurka rozwija kryzę, aby sprawiać wrażenie większej i groźniejszej.

Nim Helen zdążyła przejść do następnej gabloty, z różnymi gatunkami węży, zatrzymał się przy niej jakiś mężczyzna. Wiedząc, że to Vance, na moment zacisnęła powieki, a jej mięśnie napięły się w odruchu niechęci.

Przez chwilę udawał, że przygląda się parze afrykańskich kameleonów. Wreszcie wymamrotał:

– Twój zapach… Takich samych perfum używała twoja matka. Storczyki i wanilia. Nigdy go nie zapomnę.

Uwaga o bliskości z jej matką na moment zbiła Helen z tropu. Nikt dotąd nie powiedział jej, że pachnie tak samo jak matka.

– Znalazłam przepis w jednym z jej dzienników.

– Pasuje do ciebie.

Helen uniosła oczy i napotkała jego oceniający wzrok.

Albion Vance stał tuż przed nią; jego rysy, wyraziste kości policzkowe, miały dziwną, androginiczną delikatność. Oczy były koloru listopadowego nieba.

– Ładna z ciebie dziewczyna, choć nie tak piękna jak ona – ocenił. – Jesteś dla mnie łaskawa. Czy matka cię nie lubiła?

– Wolałabym nie rozmawiać o niej z panem.

– Chcę ci tylko powiedzieć, że coś dla mnie znaczyła.

Helen znów przeniosła spojrzenie na jaszczurkę. Vance najwyraźniej spodziewał się odpowiedzi, ale żadna nie przychodziła jej do głowy. Jej milczenie jawnie go irytowało.

– Oczywiście nazwiesz mnie uwodzicielem bez serca – powiedział cierpko – który zostawił kochankę z nowo narodzonym dzieckiem. Jednak Jane nie zamierzała się rozstać z earlem, a ja też tego nie chciałem. Zaś co do ciebie… Nie byłem w stanie nic dla ciebie zrobić. Dla siebie też nie.

– Ale teraz, kiedy się zaręczyłam z bajecznie bogatym mężczyzną, nagle wzbudziłam pańskie zainteresowanie – rzekła chłodno Helen. – Nie traćmy czasu, panie Vance. Przygotował pan listę żądań czy po prostu poda sumę?

Kształtne ciemne brwi uniosły się w zaskoczeniu.

– Miałem nadzieję, że dojdziemy do porozumienia bez niepotrzebnych złośliwości.

Helen milczała, patrząc mu w oczy z wymuszonym spokojem, od którego czuł się nieswojo.

– Wieje od ciebie lodem – stwierdził. – Jest w tobie coś z chłodnej westalki: brak ducha. Dlatego nie masz urody swojej matki.

Nie dała się sprowokować.

– Czego chcesz, panie Vance?

– Jednym z wielu filantropijnych dzieł lady Berwick jest fundacja charytatywna przydzielająca zasiłki ubogim niewidomym. Chcę, abyś przekonała Winterborne'a do przekazania dwudziestu tysięcy funtów dla zarządu powierniczego na cele charytatywne. Wyjaśnisz, że jego hojny dar zostanie wykorzystany na zakup gruntu w West Hackney, który będzie przynosił roczne dywidendy na rzecz niewidomych podopiecznych fundacji.

– Nie ma w tym nic z dobroczynności – powiedziała powoli Helen. – Po prostu wypracowałeś sposób, żeby samemu na tym zarabiać.

– Darowizna musi być przekazana jak najszybciej. Pilnie potrzebuję kapitału.

– Chcesz, abym poprosiła o to pana Winterborne'a jeszcze przed ślubem? Nie sądzę, żeby mi się to udało.

– Kobiety mają swoje sposoby. Uda ci się.

Helen pokręciła głową.

– Nie wpłaci pieniędzy, dopóki dokładnie nie sprawdzi fundacji. A wtedy odkryje prawdę.

– Nie będzie tam żadnych dokumentów, które świadczyłyby o moim udziale – odparł gładko Vance. – Nie jestem oficjalnie powiązany ani z fundacją, ani z zakupem West Hackney; wszystkie ustalenia były ustne.

– A co ze ślepymi podopiecznymi?

– Naturalnie zostanie im przekazana pewna część pieniędzy, aby wszystko wyglądało legalnie.

– Teraz już wszystko rozumiem – powiedziała Helen. – Szantażujesz swoją córkę, aby umożliwiła ci kradzież pieniędzy, które należą się ubogim niewidomym.

– Ależ nikt nie okrada ślepców! Zacznijmy od tego, że to nie są ich pieniądze. I nie jest to żaden szantaż. Każda córka ma naturalny obowiązek pomagać ojcu, kiedy ten jest w potrzebie.

– Naprawdę uważasz, że mam wobec ciebie jakiekolwiek obowiązki? – zdumiała się Helen. – Czy kiedykolwiek coś od ciebie dostałam?

– Owszem, dar życia.

Widząc, że powiedział to z całą powagą, Helen spojrzała na niego z jeszcze większym niedowierzaniem. A potem z jej ust wyrwał się nieopanowany, niemal histeryczny chichot. Usiłowała go stłumić, przyciskając dłoń do twarzy, ale niewiele pomogło. Zwłaszcza kiedy zobaczyła zaskoczoną i urażoną minę Vance'a.

– Uważasz, że to śmieszne? – zapytał.

– W-wybacz – wykrztusiła, usiłując się opanować. – Niewiele się wysiliłeś, przyznasz. Szybki wytrysk nasienia i po wszystkim.

Vance popatrzył na nią z urażoną godnością.

– Nie oczerniaj mojego związku z twoją matką.

– Tak, jasne. „Coś" dla ciebie znaczyła. – Szalony, nerwowy chichot ustał; Helen z wysiłkiem wciągnęła powietrze. – Peggy Crewe też coś znaczyła, jak rozumiem?

Mężczyzna chłodno popatrzył jej w oczy.

– A więc Winterborne ci powiedział. Przypuszczałem, że tak zrobi.

Helen powstrzymała się od odpowiedzi, widząc, jak do gablotek z jaszczurkami podchodzi kobieta z trojgiem dzieci. Udała, że zainteresowały ją żółwie, i skierowała swoje kroki w ich stronę. Vance szedł obok niej.

– Nie ma powodu, aby Winterborne bez końca mnie nienawidził za coś, co od wieków robi wielu mężczyzn. Nie ja pierwszy sypiałem z mężatką i nie ostatni.

– Tak, ale gdyby nie ty, pani Crewe nie umarłaby przy porodzie – wytknęła mu Helen. – A jej mąż, którego pan Winterborne kochał jak własnego brata, nie skończyłby tragicznie.

– To nie moja wina, że miał chwiejny charakter i postanowił ze sobą skończyć. Ani że kobieta nie nadawała się do rodzenia dzieci. Nie byłoby całej tej sytuacji, gdyby Peggy tak chętnie nie rozłożyła przede mną nóg. Po prostu przyjąłem to, co mi ofiarowano.

Ta obrzydliwa nieczułość na moment odjęła Helen mowę. Jej ojciec miał sumienie rekina ludojada. Skąd się taki wziął? Wpatrywała się w niego w daremnym poszukiwaniu najmniejszego przejawu człowieczeństwa, poczucia winy czy żalu. Ale widziała tylko czyste zło.

– Co zrobiłeś z dzieckiem? – spytała.

Pytanie wyraźnie go zaskoczyło.

– Znalazłem kobietę, która się nim zajęła.

– Kiedy ostatni raz widziałeś córkę?

– Nigdy jej nie widziałem. I nie mam zamiaru. – Vance zaczął się niecierpliwić. – Co to ma wspólnego z naszymi sprawami?

– Nie interesuje cię jej los?

– Czemu miałby interesować mnie, skoro nawet rodzinie jej matki jest obojętny? Kogo miałby obchodzić jakiś niewydarzony bękart?

Do pewnego czasu musiał podobnie myśleć o niej. Helen nagle poczuła, że musi się zatroszczyć o tę nieszczęsną dziewczynkę, swoją przyrodnią siostrę. Czy jest odpowiednio żywiona i wychowywana? Czy żyje w nędzy? Czy dzieje się jej krzywda?

– Jak się nazywa jej opiekunka? – zapytała. – I gdzie mieszka?

– Nie twoja sprawa.

– Jak widać, twoja też nie – odparowała. – Po prostu chcę wiedzieć.

Vance uśmiechnął się chytrze.

– Po co? Żebyś mogła kiedyś użyć tego przeciwko mnie? A może chcesz mnie skompromitować?

– Czemu miałabym cię kompromitować? Nie jest w moim interesie wywoływanie skandalu, podobnie jak w twoim.

– W takim razie radzę, abyś zapomniała o tym dziecku.

– Jesteś podły – stwierdziła Helen z lodowatym spokojem. – Nie dość, że unikasz odpowiedzialności za własną córkę, to jeszcze nie chcesz dopuścić, żeby ktoś jej pomógł.

– Przez ostatnie cztery lata łożyłem na nią. Co jeszcze miałbym zrobić? Osobiście karmić ten pomiot łyżeczką?

Helen z trudem tłumiła narastającą w niej furię. Wiedziała, że jeśli chce poznać swoją przyrodnią siostrę, jeżeli chce jej pomóc, musi wyciągnąć od Vance'a jakieś informacje. Zastanawiając się

gorączkowo, jak to zrobić, przypomniała sobie rady na temat negocjacji w interesach, których udzielił jej kiedyś Rhys.

– Żądasz dużej sumy pieniędzy i oczekujesz jeszcze większych sum w przyszłości – rzekła. – Ale wszystko, co oferujesz w zamian, już posiadam. Nie zgadzam się na negocjacje bez wkładu z twojej strony. Moje oczekiwania są skromne – wystarczy, że powiesz mi, kto się zajmuje twoją córką.

Upłynęła długa chwila, zanim Vance odpowiedział:

– Ada Tapley. Jest sprzątaczką u krewnych mojego adwokata w Welling.

– Gdzie…

– To miasteczko przy głównej drodze z Londynu do Kent.

– Jak ma na imię dziecko?

– Nie mam pojęcia.

No jasne, jak mógłbyś mieć. Helen kipiała tłumionym gniewem.

– W takim razie układ stoi? – zapytał Vance. – Rozumiem, że teraz jak najszybciej skłonisz Winterborne'a do donacji.

– Jeśli chcę zostać jego żoną, nie mam innego wyjścia – powiedziała Helen oschle.

Dostrzegła, że się odprężył. Na jego twarzy pojawił się uśmieszek.

– To doprawdy smakowite. Winterborne myśli, że kupił sobie wejście do rodu Ravenelów, a tymczasem będzie przedłużał moje dziedzictwo. Niech Bóg ma was w opiece, wszyscy Vance'owie z Walii!

Przez długi czas po jego odejściu Helen stała, wpatrując się w perfekcyjnie wypchane i upozowane stworzenia. Ich puste szklane oczy były szeroko otwarte w wiecznym wyrazie zdziwienia, jak gdyby nie mogły pojąć, jak się znalazły w gablotach.

Świadomość własnego upadku objawiła się Helen w całej pełni, a wraz z nią pojawiło się nowe uczucie – pogarda dla siebie samej.

Nigdy nie poprosi Rhysa o tę fałszywą donację. I nie wyjdzie za niego. Na pewno nie teraz. Nie dopuści do niego ani Albiona Vance'a, ani siebie. Powiedzenie Winterborne'owi prawdy będzie koszmarem, najgorszym, jaki mogła sobie wyobrazić. Nie wiedziała, skąd weźmie odwagę, żeby mu ją wyznać. Jednak nie miała wyboru.

Rozpacz i żal szukały dostępu do jej myśli, ale nie mogła się im poddać. Na to dopiero przyjdzie pora. Nawet po latach.

Po powrocie z muzeum Helen usiadła przy biurku w salonie na piętrze, zanurzyła stalówkę w kałamarzu i zaczęła pisać.

„Droga Pani Tapley!

Niedawno dowiedziałam się o dziecku płci żeńskiej, które jako niemowlę zostało przed czterema laty powierzone Pani pieczy. Chciałabym się dowiedzieć, czy dziewczynka nadal przebywa u Pani, a jeśli tak, prosić o wszelkie informacje o niej…”

Rozdział 25

To niezbyt stosowne. – Lady Berwick zmarszczyła czoło, kiedy powóz Ravenelów wjechał w uliczkę dla dostawców ogromnego domu towarowego. – Zakupy o szóstej po południu i do tego w takim miejscu! Ale pan Winterborne bardzo nalegał.

– Chodzi o nasze prywatne zakupy – przypomniała jej Pandora. – Czyli o wiele bardziej dyskretne niż w południe na promenadzie.

Ten argument nie przekonał jednak hrabiny.

– Ci sprzedawcy nie będą znali mojego gustu. I mogą być impertynenccy.

– Zapewniam, że będą uczynni i pomocni – powiedziała Helen.

Powinna bardziej zachwalać Winterborne's, ale pulsujący ból w skroniach narastał, mącąc jej myśli. Nerwowe napięcie przed dzisiejszym spotkaniem z Rhysem wywołało migrenę. Nie była pewna, czy uda się jej zachować normalnie, jakby nic się nie stało. Jak ma z nim rozmawiać, uśmiechać się do niego czule, wiedząc, że nigdy nie będą małżeństwem? Ból rozlewał się w jej głowie jak brudna plama.

– Chcę tylko zobaczyć rękawiczki – stwierdziła lady Berwick. – A potem usiądę w fotelu i zaczekam, aż krawcowa weźmie z ciebie miarę, Helen.

– Nie sądzę, żeby to długo trwało – mruknęła Helen z przymkniętymi oczami. – Wolałabym jak najszybciej wrócić do domu.

– Tak cię boli głowa? – spytała z troską Cassandra.

– Niestety.

Siostra łagodnie dotknęła jej ramienia.

– Biedulka.

Pandora też na swój sposób współczuła Helen.

– Spróbuj być ponad to – poradziła. – Myśl o czymś miłym. Wyobraź sobie, że masz w głowie niebo pełne spokojnych białych obłoczków.

– Widzę raczej szufladę pełną noży – burknęła Helen, pocierając skronie. – Obiecuję, że spróbuję jakoś się trzymać. Wiem, że chcecie pobuszować po stoiskach.

– Pójdziemy z tobą do działu meblowego i położysz się na kozetce – zaproponowała Pandora.

– Damy nie kładą się publicznie – stwierdziła lady Berwick.

Zatrzymali się i stangret podprowadził je do jednego z tylnych wejść, gdzie czekał już portier w uniformie.

Helen, otępiała od bólu, szła, nie rozglądając się, kiedy przewodnik pokazywał im kolejne działy. Słyszała pełne podziwu mamrotanie lady Berwick, kiedy prowadzono ją przez wystawne i bogato zdobione przestrzenie z łukowymi arkadami i wysokimi sklepieniami, z których zwisały jarzące się kandelabry. Ich blask odbijał się w wypolerowanej podłodze. Na stołach i ladach piętrzyły się atrakcyjne towary, a rzędy szklanych gablotek kryły co bardziej luksusowe przedmioty. Zamiast małych, ciasnych butików klienci mieli do dyspozycji wielkie, przestrzenne działy, po których można było swobodnie krążyć. W powietrzu unosiła się woń wosku do podłóg, perfum i nowości – wytworny zapach współczesnych czasów.

Kiedy stanęły w centralnym holu, przebiegającym przez wszystkie sześć kondygnacji, z ozdobnymi balustradami, nakrytym szklaną, witrażową kopułą, lady Berwick już nawet nie starała się kryć zachwytu.

Pandora, podążając za jej spojrzeniem, zadarła głowę i powiedziała z podziwem:

– To prawdziwa świątynia handlu!

Hrabina była zbyt oszołomiona, aby skarcić ją za bluźnierstwo.

W końcu naprzeciw wyszedł im Rhys – uśmiechnięty, przystojny, w eleganckim garniturze. Radość na moment znieczuliła koszmar migreny, który dręczył Helen. Siła i pewność siebie promieniowały od niego w tym imponującym świecie, który sam stworzył. Ich

spojrzenia na chwilę się skrzyżowały, ale Winterborne szybko przeniósł wzrok na lady Berwick. Pochylił się i ucałował dłoń starszej damy, po czym wyprostował się z uśmiechem.

– Witaj w Winterborne's, pani – rzekł.

– To doprawdy niezwykłe miejsce. – W głosie hrabiny brzmiał niemal nabożny zachwyt. Popatrzyła na prawo i lewo, na szerokie korytarze i galerie ciągnące się po obu stronach. – Tu muszą być chyba dwa akry podłóg – dodała.

– Pięć, jeśli liczyć górne piętra – wyjaśnił uprzejmie Rhys.

– Jak można coś znaleźć dla siebie na takiej przestrzeni?

Winterborne uśmiechnął się uspokajająco.

– Wszystko jest świetnie zorganizowane, a cały oddział subiektów czeka na twoje skinienie, pani. – Pokazał gestem pracowników stojących w szeregu, nienagannie ubranych w firmowe barwy: granaty, czernie i beże. Krótkim ruchem głowy przywołał panią Fernsby. Sekretarka natychmiast stanęła przed nimi. Nosiła elegancką czarną suknię z kołnierzykiem i mankietami z kremowej koronki.

– Lady Berwick – rzekł Rhys – oto moja osobista sekretarka, pani Fernsby. Oprowadzi was i pokaże wszystko, co zechcecie.

Po pięciu minutach resztki uprzedzeń lady Berwick wyparowały, gdy pani Fernsby i subiekci dwoili się i troili, aby spełnić każde jej życzenie. Kiedy hrabina zaczęła oglądać setki rękawiczek, a Pandora i Cassandra krążyły po piętrze, podziwiając wystawy, Rhys podszedł do Helen.

– Co się dzieje? – zapytał cicho.

Jasne światło zdawało się przeszywać mózg Helen. Usiłowała się uśmiechnąć, ale okazało się to zbyt trudne.

– Głowa mnie boli – odpowiedziała.

Rhys ze współczuciem obrócił ją ku sobie i przyłożył dużą dłoń do jej czoła i boku twarzy, jakby chciał sprawdzić, czy ma gorączkę.

– Brałaś coś?

– Nie.

– To chodź ze mną. – Ujął ją pod ramię. – W dziale aptecznym na pewno znajdziemy jakieś lekarstwo.

Helen wątpiła, czy cokolwiek jej pomoże teraz, gdy migrena na dobre chwyciła ją w swoje szpony.

– Lady Berwick będzie niezadowolona, jeśli straci mnie z oczu.

– Niczego nie zauważy. Moi ludzie dopilnują, aby przynajmniej na dwie godziny zapomniała o bożym świecie.

Helen nie miała siły przeciwstawiać się Rhysowi. Na szczęście nie zadawał więcej pytań.

Dział apteczny miał podłogę z lśniących czarno-białych płytek. Było tu ciemniej, jakby po zamknięciu wygaszono główne światła. Obie strony holu wypełniały apteczne regały, szafki i stoły, a przy jednej ze ścian znajdowała się lada. Wszędzie tłoczyły się słoje ze sproszkowanymi specyfikami, pigułkami, maściami i kremami oraz buteleczki i flakoniki z tynkturami, syropami i wywarami. Na stołach wyłożono lecznicze słodycze: ślazowe cukierki na kaszel, pastylki cayenne do ssania, cukier klonowy i gumę arabską. Normalnie Helen podobałaby się mieszanina cierpkich, naturalnych woni, ale w tym stanie doprowadzała ją do mdłości.

Ktoś jeszcze urzędował w dziale, wysuwając szuflady z lekami i sprawdzając ich zawartość. Kiedy podeszli bliżej, Helen zobaczyła, że jest to kobieta, niewiele starsza od niej, odziana w bordowy biurowy strój; szczupła, o brązowych włosach, w kapelusiku na głowie.

Na ich widok uniosła wzrok i uśmiechnęła się.

– Dobry wieczór, panie Winterborne.

– Jeszcze w pracy? – zagadnął.

– Zaraz idę do naszego miejscowego sierocińca, na oddział chorobowy – odparła kobieta. – Brakuje mi leków, a doktor Havelock poradził, żebym uzupełniła zapasy w naszej aptece. Naturalnie jutro za nie zapłacę.

– Nie trzeba, sklep weźmie koszt na siebie – odrzekł Rhys bez wahania. – Cel jest szczytny, więc weź wszystko, czego ci potrzeba.

– Dziękuję.

– Lady Helen, poznaj doktor Garrett Gibson. Jest jednym z naszych dwóch etatowych lekarzy.

– Dobry wieczór – wymamrotała Helen z wymuszonym uśmiechem, przyciskając palcami prawą skroń, w której narastało

nieznośne pulsowanie.

– Miło mi poznać – odpowiedziała odruchowo kobieta, lecz przyjrzała się Helen z fachową uwagą. – Pani chyba nie czuje się najlepiej. Czy mogę w czymś pomóc?

– Helen potrzebuje leku na ból głowy – Winterborne pospieszył z odpowiedzią.

Doktor Gibson przyglądała się Helen zza lady, jakby diagnozowała ją spojrzeniem zielonych oczu.

– Czy boli panią cała głowa, czy ból skupia się w jednym miejscu?

– W skroniach – odrzekła Helen, z udręką usiłując zlokalizować w głowie ogniska bólu, rozrzucone jak płonące węgle na palenisku. – I za prawym okiem.

– Czyli migrena – rozstrzygnęła lekarka. – Kiedy się zaczęła?

– Niedawno, ale rozpędza się jak lokomotywa.

– Zalecam proszek na neuralgię. Bardzo skuteczny na migrenę, gdyż zawiera cytrynian kofeiny. Zaraz przyniosę pani lek.

– Przepraszam za fatygę – wyjąkała Helen słabym głosem, opierając się o ladę.

Rhys opiekuńczo podparł ją ramieniem.

– Migrena jest prawdziwą torturą – powiedziała doktor Gibson. Podeszła do najbliższej szafki i zaczęła przeglądać jej zawartość. – Mój ojciec na to cierpi. Normalnie jest twardy jak skóra hipopotama, ale kiedy nadchodzi atak, od razu ucieka do łóżka. – Z pełnym satysfakcji uśmiechem wyjęła z szuflady zieloną puszkę i postawiła ją na ladzie. – Po zażyciu leku może pani mieć lekkie zawroty głowy, ale to chyba lepsze niż ten straszny ból.

Helen od razu polubiła tę kobietę. Jej przyjazne i fachowe podejście do pacjenta było tak różne od zwykłego lekarskiego chłodu.

Rhys pochylił się i otworzył drewniane drzwiczki w ścianie lady; okazało się, że wewnątrz są metalowe, grube i szczelne. Za nimi znajdowała się komora, w której był druciany stojak na cztery schłodzone butelki z wodą sodową.

– Lodówka – wyjaśnił, widząc zainteresowanie Helen. – Są już takie w niektórych sklepach spożywczych.

– Nigdy nie byłam w takim sklepie – przyznała Helen, patrząc, jak Rhys wyjmuje jedną z butelek. Miały wydłużony, jajowaty kształt, podobny do torpedy, i nie mogły stać same, gdyż ich dno było zaokrąglone.

Doktor Gibson wyjęła z puszki złożony papierek i uformowała z niego tutkę, w którą nasypała porcję proszku.

– Smakuje paskudnie – uprzedziła. – Radzę wsypać proszek jak najgłębiej do gardła i szybko popić.

Rhys odciągnął druty przytrzymujące korek i podał butelkę Helen. Uśmiechnął się, widząc jej niepewne spojrzenie.

– Nigdy nie piłaś z butelki, co? – Czule musnął kciukiem jej szczękę. – Tylko nie łykaj za dużo naraz.

Helen przyłożyła tutkę do ust, odchyliła głowę i wsypała gorzki proszek do gardła. Następnie ostrożnie przyłożyła flaszkę do ust i pociągnęła łyk chłodnego, musującego płynu. Lekka kwaskowatość chininy pomogła zamaskować paskudny smak lekarstwa.

– Popij jeszcze, *cariad*. – Rhys kciukiem otarł smużkę wody, która wyciekła Helen z kącika ust. – Tylko szybciej łykaj i zamykaj buzię, żeby ci się nie ulewało.

Popiła porządnie, aż spłukała niemiły smak, i oddała mu butelkę. Już jej nie korkował, tylko odstawił do lodówki.

Doktor Gibson obrzuciła Helen współczującym spojrzeniem.

– Lekarstwo zacznie działać mniej więcej za pięć minut – powiedziała.

Helen przymknęła oczy i znów przycisnęła palcami skronie, usiłując złagodzić koszmarne kłucie. Miała wrażenie, że setki igieł wbijają się w jej czaszkę. Jak przez mgłę widziała przy sobie silną postać Rhysa; jego obecność była zarazem krzepiąca i niepokojąca. Myślała o tym, co zaraz będzie musiała mu powiedzieć. Zgarbiła się odruchowo, jakby przygięło ją zbyt ciężkie brzemię.

– Niektórzy twierdzą, że pomaga okład z lodu lub musztardy – usłyszała spokojny głos lekarki. – Jak również masaż karku.

Helen na moment zapomniała o bólu, kiedy poczuła na szyi ciepłą dłoń Rhysa.

– Och, nie tutaj…

– Cii… – Wyczuł palcami napięty węzeł bólu i zaczął łagodnie masować to miejsce. – Pochyl się i oprzyj przedramiona na ladzie.

– Ale jak ktoś zobaczy…

– Nikt nie zobaczy. Odpręż się.

Nie potrafiła poczuć się do końca swobodnie, ale spełniła jego prośbę.

Rhys kolistymi ruchami kciuków masował jej kark, uciskając napięte węzły u podstawy czaszki. Helen zniżyła głowę, czując, jak napięcie powoli ustępuje pod jego czarodziejskim dotykiem. Silne dłonie zaczęły teraz masować barki, przesuwając się, w miarę jak ustępowały kolejne punkty napięcia. Uświadomiła sobie, że oddycha coraz swobodniej i zamiast bólu zaczyna odczuwać przyjemność.

Rhys, nie przerywając masażu, zwrócił się ponad jej głową do doktor Gibson:

– Ten sierociniec, do którego się wybierasz… byłaś tam już wcześniej?

– Tak. Staram się tam bywać raz w tygodniu. Tak samo jak w przytułku. Obu placówek nie stać na opłacenie lekarza, a sale chorych są przepełnione.

– Gdzie się znajdują te placówki?

– Przytułek dla ubogich jest w Clerkenwell, a sierociniec nieco dalej, w Bishopsgate.

– Nie powinnaś się sama zapuszczać w takie miejsca.

– Znam gorsze miejsca w Londynie i nie boję się ich. W razie czego zawsze mam przy sobie laskę. Potrafię się obronić.

– Laską? – powątpiewał Rhys.

– Tak. W moich rękach zmienia się w niebezpieczną broń.

– Jest ciężka? Okuta?

– Nie. Ciężką bronią nie da się zadać tylu ciosów. Za radą mojego nauczyciela szermierki wyrzeźbiłam uchwyt tak, żeby mocno trzymać broń i sprawnie nią władać. Nauczył mnie też skutecznych technik powalania przeciwnika kijem.

– Pani się fechtuje? – zapytała Helen, nie unosząc głowy.

– Tak. Szermierka to znakomity sport dla dam. Rozwija siłę, kształtuje prostą sylwetkę i wymusza właściwe oddychanie.

Helen czuła coraz większą sympatię do tej kobiety.

– Pani jest niezwykła – powiedziała z podziwem.

Doktor Gibson zaskoczyła ją pogodnym chichotem.

– A pani przemiła. Przyznam, że spodziewałam się raczej arystokratycznej wyższości, a tymczasem poznałam uroczą, ciepłą osobę.

– Taa, cała Helen – powiedział miękko Rhys, zakreślając kciukami kręgi na karku narzeczonej.

Ku zdumieniu Helen płonące węgle w jej głowie zaczęły stygnąć, a w ich miejsce pojawił się kojący chłód. Koszmar ustępował z sekundy na sekundę. Po paru minutach wyprostowała się, mrugając jak ktoś wybudzony z głębokiego snu.

– Już prawie nie czuję bólu – powiedziała z zachwytem.

Rhys powoli obrócił ją ku sobie i przyjrzał się jej uważnie. Czułym ruchem odsunął kosmyk włosów, który opadł jej na oko.

– Wracają ci kolory – rzekł z ulgą.

– Niesamowite. Jeszcze niedawno czułam się koszmarnie, a teraz… – Euforyczne uczucie przeniknęło Helen od stóp do głów, przeganiając troski i napięcie. Była niczym upojona. Wiedziała, że powinna się martwić, ale nie mogła, nawet gdyby chciała. Wiedziała, że jest to efekt działania lekarstwa, który nie potrwa długo. Na razie jednak chciała się cieszyć chwilą bez bólu.

Odwróciła się do lekarki i zachwiała lekko, na co Rhys rzucił się, by ją podtrzymać.

– Dziękuję, doktor Gibson – powiedziała ze szczerą wdzięcznością. – Lek zadziałał idealnie.

– Cieszę się. – W oczach kobiety tańczyły wesołe iskierki. Przesunęła w stronę Helen puszkę z lekiem. – Można go zażyć jeszcze raz w ciągu dwunastu godzin, jeśli to będzie konieczne, ale nie częściej niż dwa razy dziennie.

Rhys wziął lekarstwo i uważnie przeczytał etykietę, zanim schował puszkę do kieszeni.

– Odtąd zawsze poślę po panią, jeśli będę potrzebowała lekarza albo – Helen wymownie pokazała na laskę, zaczepioną rączką o ladę – ochroniarza.

Lekarka parsknęła śmiechem.

– Proszę się nie krępować. Jeśli nie boi się pani posądzeń o spoufalanie się z niższą kastą, może pani też posłać po mnie, gdy będzie potrzebowała przyjaciółki lub w jakiejkolwiek innej potrzebie.

– Tak! – zawołała uszczęśliwiona Helen. – Tak, odtąd jest pani moją przyjaciółką! Spotkajmy się w herbaciarni, dobrze? Zawsze chciałam się umawiać z przyjaciółkami. To znaczy sama, bez moich siostrzyczek. Boże, jak mi zaschło w ustach. – Dopiero teraz zdała sobie sprawę, że od pewnego czasu tuli się do Rhysa. Fala błogiego ciepła ogarniała ją niczym promienie słońca wychodzącego zza czarnych chmur. – Mogę się jeszcze napić? Ta woda cudownie buzuje w ustach. Jakby wróżki tańczyły mi na języku.

– Taa, jasne, kochanie. – Głos Rhysa był kojąco spokojny i czuły, lecz mówiąc to, rzucił doktor Gibson pytające spojrzenie.

– Co jeszcze było w tym proszku?

– Jej stan unormuje się za parę minut – zapewniła. – Kiedy lek dociera do krwi, zwykle pojawia się moment euforyczny.

– Rozumiem. – Rhys sięgnął po drugą butelkę, otworzył ją i podał Helen. – Tylko powoli, *cariad* – ostrzegł.

– Lubię pić prosto z butelki! – Helen z rozkoszą pociągnęła długi łyk. – Zobacz, jak dobrze mi idzie! – Łapczywie przywarła ustami do szyjki, aż rozbawiony Winterborne sięgnął i delikatnie zabrał szkło.

– Nie pij tak szybko – mruknął z czułym rozbawieniem – bo od tych bąbelków dostaniesz czkawki.

– Nie musisz się o mnie martwić – powiedziała beztrosko Helen, wymownie pokazując na kobietę za ladą. – Doktor Gibson ma lekarstwo na wszystko.

– Niestety – odpowiedziała z uśmiechem medyczka, sięgając po laskę – nie wynaleziono jeszcze lekarstwa na czkawkę.

Kiedy Rhys odstawił butelkę, Helen mocno objęła go w pasie obiema rękami. Gdzieś w głowie kołatała jej myśl, że tak nie wypada, ale inaczej nie byłaby w stanie ustać.

– Czy zauważyłeś, że „czkawka” rymuje się z „trawka”? – zapytała z chichotem.

Przycisnął jej głowę do swojej piersi.

– Doktor Gibson – powiedział poważnym tonem – kiedy będzie pani wychodzić, proszę znaleźć którąś z subiektek i poprosić ją

dyskretnie, aby przełożyła na inny dzień wizytę lady Helen u naszej krawcowej.

– Za parę minut lady Helen poczuje się… – zaczęła lekarka.

– Nie chcę, aby w takim stanie brała pierwszą miarę sukni ślubnej – uciął. – Bóg wie, co by z tego wyszło.

– Tęczowa suknia – wyszeptała z rozmarzeniem Helen z twarzą w klapie jego marynarki. – I jednorożcowe pantofelki.

Winterborne rzucił lekarce wymowne spojrzenie.

– Dobrze – powiedziała szybko. – W takim razie żegnam państwa.

Helen odchyliła głowę i spojrzała na Rhysa.

– Z tymi pantofelkami to żartowałam.

Winterborne chwycił ją w objęcia. Jego usta zacisnęły się mocniej. Och, jaki był cudownie duży i silny! I taki przystojny!

– Serio? – zapytał łagodnie. – Bo właśnie zamierzam złapać dla ciebie jednorożca. Muszę tylko dobrać dla niego odpowiedni kufer.

– Och nie, nie wpychaj go do kufra, puść go wolno!

– Dobrze, *cariad*.

Helen powiodła palcem wzdłuż kuszącej, wyrazistej linii męskich ust.

– Zaraz znów będę sobą – zapowiedziała. – Koniec z tymi głupotami.

Widząc badawczy wzrok Rhysa, nie wytrzymała. Próbowała zachować powagę, lecz nie zdołała stłumić chichotu.

– Jestem p-poważna – wykrztusiła.

Już nie zaprzeczał, tylko zaczął ją całować – w czubek nosa, w policzki i w szyję.

Helen skrzywiła się zabawnie i jeszcze bardziej rozchichotała.

– Łaskoczesz! – Wsunęła palce w jego czuprynę, w burzę bujnych, sprężystych kędziorów, czarnych i lśniących jak satyna.

Wargi Rhysa dotarły do czułego miejsca pod jej wyprężoną brodą i zaległy tam, budząc u Helen rozkoszne dreszcze. Niezgrabnym gestem nakierowała jego głowę tak, aby ich usta się spotkały; w nagrodę mogła posmakować długiego, leniwego pocałunku. Jeszcze bardziej się rozluźniła i mocniej przylgnęła do Rhysa. Nie drgnęła nawet wtedy, kiedy odwrócił się razem z nią i oparł tyłem o ladę.

Przyłożył dłoń do karku Helen i znów zaczął go masować, uwalniając ukochaną od resztek bólu. Wygięła się ku niemu, spragniona i zachwycona, mrucząc z zadowoleniem niczym kotka. Cudownie było trwać w uścisku wspaniałego kochanka… który jeszcze nie wiedział, że niedługo przestanie ją kochać.

Ta ostatnia myśl sprawiła, że czar upojnej chwili natychmiast prysnął.

Rhys momentalnie wyczuł zmianę i oderwał usta od ust Helen. Miała zamknięte oczy i obrzmiałe, lekko rozchylone wargi, spragnione dalszych pocałunków.

– Czy inni mężczyźni potrafią całować tak jak ty? – wyszeptała.

Prychnął z rozbawieniem, a jego miętowy oddech musnął jej nozdrza.

– Nie mam pojęcia, skarbie. I niestety ty też nigdy się tego nie dowiesz. – Szybko, łakomie skubnął wargi Helen. – Otwórz oczy.

Posłuchała i napotkała jego badawcze spojrzenie. Cofnął ręce, pozwalając jej ustać o własnych siłach, gotów w każdej chwili interweniować.

– Prawie mi przeszło – zapewniła i obróciła się w kółko, żeby przetestować swoją równowagę. Już nie miała zawrotów głowy. Migrena została pokonana i była trzymana na dystans. – I wróciły mi siły. Doktor Gibson miała rację, mogę spokojnie iść do krawcowej.

– Zobaczymy. Jeśli w ciągu pół godziny nie poczujesz się gorzej, pójdziemy. A tymczasem chciałbym ci coś pokazać. Dasz radę wejść po schodach?

– Jasne. Nawet o tysiącu stopni!

– Dwa piętra wystarczą.

Cichy wewnętrzny głos ostrzegał Helen, że dalsze przebywanie sam na sam z Rhysem nie jest najlepszym pomysłem, bo może zrobić błąd i powiedzieć coś, czego będzie żałowała. Mimo to ufnie wzięła go pod ramię i dała się poprowadzić ku szerokim schodom z trawertynu.

– Nie poprosiłem operatora windy, żeby został po godzinach – powiedział przepraszająco Winterborne, kiedy zaczęli wspinaczkę. – Z grubsza wiem, jak to się obsługuje, i pewnie bym sobie poradził,

ale wolałbym nie ćwiczyć obsługi windy w czasie twojej pierwszej jazdy w życiu.

– I tak bym nie wsiadła do kabiny – stwierdziła Helen. – Gdyby kabel się urwał… – Wzdrygnęła się bojaźliwie. Choć winda w domu towarowym Winterborne's była nowoczesna, hydrauliczna i dużo bezpieczniejsza od parowej, myśl, że miałaby być transportowana w górę i w dół w małej kabinie, przerażała ją.

– Nie ma takiego niebezpieczeństwa – zapewnił Rhys. – Winda ma trzy dodatkowe kable zabezpieczające oraz mechanizm, który znajduje się pod kabiną i automatycznie zaciska na bocznych szynach, kiedy kabina zaczyna spadać.

– Mimo wszystko wolę schody.

Rhys uśmiechnął się i wziął Helen za rękę. Kiedy doszli do podestu pierwszego półpiętra, zagadnął:

– Co porabiałaś przez ostatnie dwa dni?

Helen starała się zachować normalny ton.

– W piątek wybrałyśmy się do British Museum. A potem lady Berwick zaprosiła swoje przyjaciółki.

– Jak było w muzeum?

– Znośnie.

– Tylko znośnie?

– Zwiedzałyśmy galerię zoologiczną, a ja zdecydowanie wolę sztukę. Nie lubię patrzeć na te wszystkie biedne zwierzęta ze sztywnymi nogami i szklanymi oczami… – Opowiedziała mu o Pandorze i żyrafach, i o tym, jak lady Berwick rzuciła się, aby potajemnie dotknąć żyrafiej nogi.

Rhys śmiał się, słuchając tej historii.

– Czy wydarzyło się jeszcze coś ciekawego? – Jego głos był zrelaksowany, ale nerwy Helen zaczęły się napinać.

– Nic specjalnego. – Nienawidziła go okłamywać. Czuła się winna i coraz bardziej spięta w obecności mężczyzny, którego tak kochała. Chciało się jej płakać.

Rhys zatrzymał się na trzecim piętrze.

– Może usiądziemy gdzieś na moment, *cariad*?

Pytanie było łagodne i pełne troski, ale kiedy uniosła głowę, zobaczyła w jego oczach wyraz, jakiego dotąd nie znała. Jak u kota,

który zobaczył mysz. Dziwne spojrzenie zniknęło tak szybko, jak się pojawiło.

Zmusiła się do uśmiechu.

– Nie, dziękuję, nie jestem zmęczona.

Rhys przez parę sekund patrzył Helen badawczo w oczy, po czym odprowadził ją w bok, z dala od schodów.

– Miało być jeszcze jedno piętro – powiedziała.

– Tak, ale reszta schodów jest w innym miejscu.

Zaaferowana Helen mijała stojaki z francuskimi, indyjskimi i perskimi dywanami oraz lady z próbkami cerat, mat i chodników. Powietrze przenikała woń cedru i benzenu, którymi odstraszano mole. W końcu Rhys doprowadził ją do czteropanelowych drzwi, ukrytych w rogu.

– Dokąd one prowadzą? – spytała, patrząc, jak wyjmuje z kieszeni klucz.

– Do klatki schodowej, łączącej tę część z naszym domem.

– Po co tam idziemy? – drążyła.

Rhys z nieodgadnioną miną otworzył drzwi i schował klucz.

– Nie martw się, to nie potrwa długo – zapewnił.

Coraz bardziej zaciekawiona, przekroczyła próg i znalazła się w wąskiej klatce schodowej, którą już znała. Jednak nie przeszli do części mieszkalnej. Rhys poprowadził ją wyżej, aż do podestu z kolejnymi drzwiami.

– Te drzwi otwierają się na jeden z dachowych tarasów naszego budynku – wyjaśnił. – Dach ma styl mansardowy, jest płaski i otoczony balustradą.

Czyżby chciał jej pokazać widok na Londyn? Sprawdzić, czy ma lęk wysokości?

– Tam będzie zimno – rzekła z niepokojem.

Rhys pochylił się i pocałował ją w czoło.

– Zaufaj mi. – Mocno ujął Helen za rękę, otworzył drzwi i przeprowadził ją na drugą stronę.

Rozdział 26

Wilgotne, gorące powietrze było jak nagły oddech lata. Helen powoli weszła do wielkiej galerii, której ściany stanowiły lśniące szklane płyty, osadzone w siatce konstrukcji z kutego żelaza.

Ze zdumieniem uświadomiła sobie, że znajduje się w ogromnej oranżerii – wielkiej dachowej szklarni! Koronkowa konstrukcja, piękna i ozdobna niczym ślubny tort, była osadzona na solidnym ceglanym fundamencie z żelaznymi filarami i dźwigarami, przyspawanymi do pionowych wsporników i łukowatych belek.

– To dla moich orchidei… – wyjąkała.

Rhys stanął za Helen, objął ją w talii, a potem delikatnie musnął za uchem czubkiem nosa.

– Mówiłem ci, że znajdę dla nich miejsce.

Szklany podniebny pałac – magiczny, inspirowany romantyczną wyobraźnią i zbudowany specjalnie dla niej! Zachwycona Helen chłonęła widok Londynu o zachodzie słońca, z poświatą na horyzoncie, płonącą czerwienią pod czaszą ołowianego nieba. Chmury były miejscami porozdzierane i przez dziury przesączało się rozjarzone, złote światło. Cztery piętra niżej rozpościerało się miasto, ze swoimi starymi ulicami oraz ciemniejącymi sylwetkami domów i wież, tłoczących się wzdłuż biegu rzeki. W oddali raz po raz pojawiały się jasne punkty, w miarę jak zapalano uliczne latarnie.

Rhys zaczął wyjaśniać, że podłoga jest ogrzewana rurami z gorącą wodą, a w kącie będzie zlewozmywak z kranikiem. Długo klarował, jak żelazne dźwigary zostały przetestowane przez prasę hydrauliczną. Helen kiwała głową, udając, że słucha, i uśmiechając się mimo woli. Tylko mężczyzna mógł się rozwodzić nad takimi

technicznymi detalami. Oparła się o niego plecami, marząc, aby pozostać tak na zawsze, aby zawiesić tę chwilę niczym jasną gwiazdę na firmamencie nad ich głowami.

Kiedy zaczął się rozwodzić nad ideą gotowych elementów, dzięki którym konstrukcja została wzniesiona w tak krótkim czasie, obróciła się w jego ramionach i zamknęła jego usta swoimi. W pierwszym momencie znieruchomiał, zaskoczony, ale w następnej sekundzie z entuzjazmem oddał pocałunek. Helen, przepełniona miłością, wdzięcznością i desperacją, całowała go niemal dziko. Serce jej pękało na myśl, że nie będzie mogła wypełnić tego pięknego miejsca swoimi orchideami. Myliła się, sądząc, że uda się jej powstrzymać łzy. Zdradziecka kropla wypłynęła z kącika oka, doprawiając solą ich pocałunek.

Gdy Rhys spojrzał na Helen, cień omroczył jego twarz. Uniósł rękę i przesunął palcem po wilgotnym śladzie na policzku.

– To ze szczęścia – szepnęła.

Sceptyczne spojrzenie Rhysa świadczyło o tym, że nie dał się zwieść. Mocniej przycisnął Helen do piersi. Niski, łagodny głos rozbrzmiał w jej uchu:

– Serce mojego serca… Nie mogę ci pomóc, jeśli nie powiesz mi, o co chodzi.

Helen zamarła.

Przyszedł moment prawdy. Rhys widział, że coś się dzieje, i słusznie domagał się wyjaśnień. Objęła go za szyję i znów zaczęła całować, aż ich języki się splątały i upojny, miętowy zapach na nowo rozpalił jej zmysły. Wszystko inne przestało istnieć, kiedy Rhys przyciągnął ją do siebie. Stanęła na palcach, z głową wygiętą do tyłu, aby mógł chłonąć jedwabistą głębię jej ust. Wsunęła mu dłonie pod marynarkę i syciła się siłą muskularnego torsu, kontrastującego z jej szczupłą, wąską talią.

Z cichym przekleństwem Rhys oderwał się od ust Helen. Ciężko dyszał i drżał, kiedy całowała jego naprężoną szyję.

– Igrasz z ogniem… – wydyszał.

Tak. Czuła jego przyczajoną żądzę, gotową w każdej chwili wyrwać się spod kontroli.

– Zanieś mnie do sypialni – zażądała, choć dobrze wiedziała, że pomysł jest fatalny. Ale nie dbała już o nic. Chciała być z nim ten ostatni raz, nawet za cenę skandalu, bo ta chwila była dla niej warta wszystko. – Tylko na parę minut. To przecież niedaleko.

Rhys pokręcił głową, zanim zdążył pomyśleć.

– Ten cholerny proszek na migrenę dodał ci brawury – mruknął.

Helen mocniej przylgnęła twarzą do jego piersi, tłumiąc śmiech.

– Ty dużo wcześniej podsycałeś moją brawurę.

Nie podzielał jej rozbawienia.

– Dzisiaj nie jesteś sobą, *cariad*. Czym się tak przejęłaś, że aż dostałaś migreny?

To pytanie momentalnie ją otrzeźwiło.

– Niczym.

Ujął ją palcami pod brodę i zmusił, aby popatrzyła mu w oczy.

– Powiedz mi.

Widząc rosnący niepokój w jego spojrzeniu, Helen postanowiła szybko coś wymyślić.

– Tęskniłam – powiedziała, co zresztą było prawdą. – Nie przypuszczałam, że to będzie dla mnie aż tak trudne – być w Londynie, tak blisko ciebie, i nie móc być z tobą.

– Przecież możesz być ze mną, kiedy tylko zechcesz.

Kącik jej ust zadrgał.

– Chcę teraz – szepnęła i zaczęła wsuwać płaską dłoń pod pasek jego spodni.

– Na Boga, Helen, doprowadzasz mnie do szaleństwa! – Rhys gwałtownie wciągnął oddech, kiedy namacała budzącą się gwałtownie do życia długą, twardą kolumnę. Twarz mu się zmieniła, a w czarnych oczach rozgorzał piekielny płomień.

Zachwycała ją ta cudowna, ochocza gotowość, z jaką reagował na jej bliskość; twarda, atrakcyjna męska fizyczność, kryjąca duszę – takim go kochała.

Ostatni promień czerwonego światła przesunął się po nich i rozpłynął w cieniu, podczas gdy zimowy księżyc zmagał się z chmurami w odległym kącie nieba. Byli tylko we dwoje w tej ciemniejącej przestrzeni, a miasto milcząco słało się pod nimi.

Helen ujęła w dłonie twarz Rhysa. Jakże był witalny, prawdziwy, trzymający się ziemi! Stał nieruchomo, jakby zaczarował go jej delikatny dotyk, a jego ciało drążył głód żądzy. Czuła, że mężczyzna za moment straci nad sobą kontrolę. W niej także pożądanie iskrzyło jak rozpalający się fajerwerk, siejąc elektryczne iskry w końcach wszystkich palców, w kolanach… wszędzie. Pieściła go zachłannie i już nie mogła dłużej wstrzymywać słów, których nie powinna wypowiadać.

– Kocham cię.

Rhys, poruszony do głębi, wpatrywał się w Helen. Jej oczy, podobne do księżycowych kamieni, jarzyły się szalonym, eterycznym blaskiem. Była tak piękna, że gotów był paść przed nią na kolana.

– *Dw i'n dy garu di* – wyszeptał, kiedy wreszcie odzyskał oddech. Po raz pierwszy powiedział do kogoś te słowa. A później pocałował Helen mocno, pożądliwie, niemal brutalnie.

Świat wokół skurczył się, zamykając ich dwoje w lśniącej magicznej kuli, w której wnętrzu były tylko mrok, ciała i doznania. Rhys, nie bardzo zdając sobie sprawę, co robi, przyparł Helen do płaskiego żelaznego wspornika w rogu. Przylgnęła do niego, wijąc się, jakby chciała na niego wpełznąć. Pragnął poczuć jej nagą skórę, naturalne kobiece kształty, a tymczasem jak zwykle skrywały je warstwy złośliwych ubrań.

Rozpalony żądzą, chwycił jej spódnice i zadarł je, po czym sięgnął do długiej szpary w pantalonach. Wcisnął kolano pomiędzy uda Helen, a ona skwapliwie rozwarła je jeszcze szerzej, gwałtownie wciągając oddech, kiedy pieścił jej intymne, rozpalone miejsce. Przywarła plecami do słupa, jęcząc z rozkoszy przy pocałunku. Kędziorki w trójkącie jej ud były gorące i wilgotne, a kiedy nakrył to miejsce dłonią, miał wrażenie, że sparzy go żar buchający z jej wnętrza. Jakież było delikatne i gładkie! Dziwił się, jak może się zmieścić cały w tej słodkiej, ciasnej dziurce.

Delikatnie rozdzielił palcami rozpulchnione, śliskie zewnętrzne wargi; jego dotyk wywołał nową falę gorącej wilgoci. Biodra Helen

falowały, poddając się jego ruchom. Opuszkiem jednego palca dotknął perełki wieńczącej je u góry, wyczuwając drżenie delikatne jak drganie skrzydeł malutkiego ptaszka. Helen kurczowo chwyciła go za szelki i odchyliła głowę do tyłu. Biel jej napiętego gardła majaczyła w tropikalnym mroku oranżerii. Rhys, pieszcząc szyję Helen wargami i językiem, jednocześnie gorączkowymi ruchami rozpinał spodnie. Pragnął już tylko uwolnić swoje miłosne narzędzie, domagające się natychmiastowego użycia. Kiedy było gotowe, chwycił kolano Helen, uniósł i pokazał jej, że ma opleść go nogami w pasie. Oboje stłumili okrzyki, kiedy twardy członek wdarł się w rozpalony kanał. Rhys, w poszukiwaniu właściwego kąta natarcia, ugiął kolana, lekko obniżając swoją pozycję, po czym jednym ruchem wsunął oręż w pochwę na całą długość. Helen krzyknęła; zawahał się na moment, bojąc się, że sprawił jej ból. Z ulgą poczuł jednak, że jej ciało przejmuje inicjatywę – i to tak skutecznie, że z ust Rhysa wydarł się głośny pomruk pożądania. Pozwolił, by nasunęła się na niego głębiej, kciukiem i palcem wskazującym rozchylając jej gorące, śliskie wargi. Stęknęła, kiedy przywarł do niej mocniej i zaczął rytmicznie w nią wchodzić, przy każdym ruchu unosząc ją lekko.

Teraz było już tylko słychać spazmatyczne oddechy, szelest ubrań i od czasu do czasu cmoknięcia, kiedy wilgotne ciała stykały się, zasysając powietrze. Unoszeni narastającą falą, robili wszystko, żeby ani na moment nie opadła, żądając coraz więcej i więcej. Rhys chwycił Helen za biodra i coraz gwałtowniej nasadzał ją na siebie, dyktując szalony rytm. Jęczała, ściskając go za szyję, aż wreszcie zamilkła, zamarła i owładnęło nią niekontrolowane drżenie. Moment jej ekstazy przyniósł Rhysowi spełnienie tak całkowite, że miał wrażenie, jakby stracił przytomność albo umarł i urodził się na nowo.

Jęczał cicho z ustami przy policzku Helen i trzymał ją mocno, choć drżały mu kolana. Wreszcie uszło z niej całe napięcie i zsunęła jedną, a potem drugą nogę wzdłuż jego uda. Kiedy z ociąganiem chciał z niej wyjść, chwyciła go za pośladki i przyciągnęła do siebie. Przez chwilę stali tak, wtuleni w siebie i ciągle jeszcze zespoleni, z pulsującymi, ciągle płonącymi ciałami. Rhys powoli błądził ustami po twarzy ukochanej.

W końcu głowa Helen opadła na jego ramię.

– Nie wiedziałam, że tak można…

Uśmiechnął się i skubnął zębami jej ucho, a potem polizał jego krawędź. Delikatna słoność potu podnieciła go na nowo jak afrodyzjak. Nigdy nie będzie miał dosyć tej kobiety.

– Nie musisz mnie zachęcać, *cariad* – rzekł chrapliwie. – Ktoś powinien mi zwrócić uwagę, że mam się zachowywać jak dżentelmen. To twoja rola, prawda?

Helen zsunęła dłoń na jego prawy pośladek.

– Nigdy ci tego nie powiem.

Wciąż jej nie puszczał. Wiedział, że Helen chroni jakąś tajemnicę i jest zbyt przerażona, aby ją wyznać. Ale wiedział też, że nie powinien naciskać. Jeszcze nie.

Jednak taki stan nie mógł trwać długo.

Podtrzymał biodra Helen i niechętnie się z niej wysunął. Westchnęła, gdy poczuła pustkę. Uspokoił ją kojącym pomrukiem. Wyjął z kieszeni chusteczkę, złożył ją i delikatnie wsunął pomiędzy jej wargi sromowe, a potem pomógł Helen uporządkować pantalony i halki. Nie widział, jak czerwieni się w mroku, ale czuł żar bijący od jej policzków.

– Nadal musimy porozmawiać – ostrzegł łagodnym głosem, zapinając spodnie. Niespiesznie pocałował Helen w czoło, po czym dodał: – Choć przyznaję, że podoba mi się sposób, w jaki odciągasz mnie od pewnych spraw.

Przez resztę wieczoru Helen działała jak w transie, niezdolna rozróżnić, na ile ten stan jest skutkiem działania leku, a na ile jej upojnych chwil z Rhysem.

Kiedy wyszli z oranżerii, zaprowadził ją do łazienki, gdzie umyła się, na ile mogła, i uczesała włosy. Następnie udali się do pracowni krawieckiej i Rhys przedstawił jej panią Allenby – wysoką, szczupłą kobietę o miłym uśmiechu. Bardzo współczuła Helen z powodu migreny i zapewniła, że szybko zdejmie z niej miarę. Zaproponowała,

aby Helen odwiedziła ją ponownie, kiedy tylko poczuje się lepiej, i wtedy zaczną projektować ślubne stroje.

Kiedy miara została wzięta, Helen pożegnała krawcową i wyszła. Rhys, który czekał pod drzwiami, odprowadził ją na pierwsze piętro. Na jego widok natychmiast przypomniała sobie szaloną schadzkę w oranżerii i spłonęła rumieńcem.

Widząc to, uśmiechnął się od ucha do ucha.

– Staraj się nie wyglądać tak, jakbyś coś przeskrobała, *cariad*. Ostatni kwadrans zajęło mi tłumaczenie lady Berwick, dlaczego tak długo nas nie było.

– I co jej powiedziałeś?

– Wszystko, co przyszło mi do głowy. W paru przypadkach nie minąłem się z prawdą.

– Uwierzyła? – Helen była przerażona.

– Przynajmniej udawała, że tak.

Ku wielkiej uldze Helen w drodze powrotnej lady Berwick miała wyraźnie dobry nastrój. Kupiła co najmniej tuzin rękawiczek i jeszcze parę drobiazgów w innych działach. Mało tego – z ociąganiem przyznała, że zamierza wkrótce wrócić do Winterborne's na kolejną rundę zakupów, nawet gdyby musiała się tam zjawić w godzinach otwarcia i ocierać się o pospólstwo. Pandora i Cassandra z entuzjazmem wyliczyły Helen wszystkie nowinki, które według subiektek będą *à la mode* w nadchodzącym roku. Absolutnym krzykiem miały być fantazyjne szpile do woalek oraz złote i srebrne plecione szamerowania do sukien i kapeluszy. Panie mają obowiązywać fryzury *à la Récamier* – burza drobnych kędziorków jak u pudla.

– Biedna Helen – współczuła siostrze Pandora – my wracamy do domu z górą pudeł i toreb, a ty masz tylko puszkę z proszkiem od bólu głowy.

– Niczego więcej nie potrzebuję – zapewniła Helen, zerkając na zieloną puszkę leżącą na jej podołku.

– Podczas kiedy my szalałyśmy na zakupach, Helen się rozbierała – rzuciła druga z bliźniaczek.

Helen zerknęła na nią i krew odpłynęła jej z twarzy.

– No, u krawcowej – wyjaśniła Cassandra. – Mówiłaś, że brała miarę, tak?

– A, tak.

– To musiało być raczej nudne.

– Wcale nie. – Helen wlepiła wzrok w zieloną puszkę, czując na sobie milczące spojrzenie lady Berwick.

Powóz zajechał przed Ravenel House i stangret zaniósł do domu wielki stos kremowych pudeł, balansując nimi z kuglarską zręcznością. Kiedy dziewczęta poszły do siebie, lady Berwick nakazała lokajowi przynieść herbatę do salonu.

– Ty też się napijesz? – zwróciła się do Helen.

– Nie, dziękuję. Chyba się wcześniej położę. – Helen przez chwilę zbierała się na odwagę. W końcu zapytała: – Czy mogę z panią porozmawiać?

– Naturalnie. Przejdźmy do salonu.

W salonie panował chłód, choć na kominku płonął ogień. Lady Berwick usiadła na kanapce i wstrząsnął nią dreszcz.

– Dorzuć do ognia, dobrze?

Helen przegrzebała odkurzaczem żar, a kiedy płomienie żywo wystrzeliły, włożyła w nie polano. Wyprostowała się i obracając dłonie w cieple ognia, powiedziała:

– Jeśli chodzi nieobecność moją i pana Winterborne'a…

– Nie musisz nic tłumaczyć – przerwała jej hrabina. – Nie mam nic przeciwko temu.

Helen popatrzyła z osłupieniem na matronę.

– Naprawdę? Nic?

– Niedawno w tym samym salonie mówiłam ci, że musisz robić wszystko, aby wyjść za Winterborne'a. Naturalnie w innych okolicznościach byłabym absolutnie przeciwna. Jeśli jednak pozwolenie mu na pewne swobody ma go jeszcze bardziej do ciebie przywiązać i przybliżyć perspektywę mariażu, jestem skłonna inaczej spojrzeć na sprawy. Mądra mentorka wie, że czasem trzeba przegrać bitwę, aby wygrać wojnę.

Helen nie kryła zaskoczenia.

– Lady Berwick, jest pani niezwykle… bezpardonowa i praktyczna.

– Jeśli nie można inaczej, trzeba korzystać ze środków, które ma się pod ręką – stwierdziła hrabina z nutą rezygnacji. – Mówi się, że język to najlepsza broń kobiety. Ale musimy mieć jeszcze inne na podorędziu.

Rozdział 27

Rano, kiedy bliźniaczki były jeszcze w łóżkach, a lady Berwick śniadała w swoim pokoju, lokaj na srebrnej tacy przyniósł Helen list w taniej groszowej kopercie. Musiał być od Ady Tapley. Wzięła go drżącą ręką.

– Wolałabym, abyś nikomu nie wspominał o tym liście – powiedziała do sługi.

Lokaj rzucił jej obojętne spojrzenie.

– Tak jest, milady.

Zaczekała, aż wyszedł, i niecierpliwie rozcięła kopertę. Szybko przebiegała wzrokiem po linijkach krzywego pisma.

„Wielmożna Pani!

Pisałaś, że chcesz wiedzieć o dziecku, które powierzono mi pod opiekę. Dałam jej imię Charity, aby zawsze pamiętała, że spędziłaby życie na ulicy, gdyby nie litość dobroczynnych ludzi, i wiedziała, że musi się za to odwdzięczyć. Dobre z niej było dziecko, nie przysparzała mi kłopotów, ale z czasem zaczęło brakować grosza na jej utrzymanie. Co roku prosiłam o podwyżkę, ale dostawałam co najwyżej szeląg. Aż wreszcie pięć miesięcy temu nie miałam już innego wyjścia, jak odesłać małą do sierocińca Stepney w St. George-in-the-East.

Napisałam do prawnika, że jestem gotowa wziąć dziecko z powrotem, gdybym znów miała zapewnione środki, ale nie odpowiedział. Modlę się, aby kiedyś sprawiedliwa kara spotkała tego, kto zgotował dziecku tak okrutny los. Ponieważ dziewczynka nie

miała rodowego nazwiska, kazałam ją zarejestrować jako Charity Wednesday, na pamiątkę tamtej środy, kiedy zostawiałam ją w sierocińcu. Jeśli możesz zrobić coś dla tej dziewczynki, Pani, niech Bóg Ci to wynagrodzi. Myśl o niej bez ustanku dręczy moje sumienie.

Z poważaniem

Ada Tapley".

Helen cieszyła się, że jeszcze nie jadła śniadania. Po tym liście mogłaby je zwrócić. Zerwała się z krzesła i zaczęła chodzić wielkimi krokami po pokoju, z dłonią przyciśniętą do ust.

Jej mała siostra przyrodnia od miesięcy była zupełnie sama, zmuszona do życia w ośrodku, gdzie może być głodzona, dręczona, a może nawet chora.

Jakkolwiek Helen uważała się za osobę niezdolną do fizycznej przemocy, w tym momencie miała ochotę zamordować Albiona Vance'a w najbardziej okrutny sposób. Żałowała, że nie można uśmiercać kogoś wiele razy, bo właśnie o takiej karze dla niego marzyła.

Zmusiła się, żeby myśleć tylko o Charity. Dziewczynka musi być jak najszybciej zabrana z sierocińca. Trzeba znaleźć dla niej dom, w którym znajdzie spokój i opiekę z prawdziwego zdarzenia.

Najpierw jednak musi sprawdzić, czy dziecko w ogóle żyje.

Opanowała atak paniki. Teraz powinna myśleć racjonalnie. Musi pojechać do sierocińca Stepney, znaleźć Charity i przywieźć ją do Ravenel House. Ale jak wygląda formalne wydanie dziecka przez taką instytucję? Czy może zabrać małą bez podawania własnego nazwiska?

Potrzebowała pomocy.

Tylko do kogo miałaby się zwrócić? Na pewno nie do Rhysa ani do lady Berwick – ta kazałaby jej zapomnieć o istnieniu dziecka. Kathleen i Devon byli za daleko. Co prawda West mówił, żeby posłała po niego, jeśli zajdzie taka potrzeba, ale choć mu ufała, nie była pewna, jak odniósłby się do jej prośby. Zaobserwowała, że kryje się w nim bezwzględny pragmatyzm, podobnie jak u hrabiny.

Nagle pomyślała o doktor Gibson. „Może pani posłać po mnie, gdy będzie potrzebowała przyjaciółki lub w jakiejkolwiek innej potrzebie". Czy lekarka powiedziała to poważnie? Czy Helen mogła na nią liczyć?

Kryło się w tym pewne ryzyko. Doktor Gibson pracowała dla Rhysa i mogłaby o wszystkim mu powiedzieć. Albo odmówić pomocy z obawy przed niezadowoleniem szefa. W tym momencie Helen przypomniała sobie zielone oczy kobiety, jej energiczne, niezależne zachowanie i pomyślała, że ona niczego się nie boi. Poza tym dobrze znała Londyn i bywała już wcześniej w sierocińcach, musiała więc wiedzieć, na jakich zasadach działają.

Nie powinno się wykorzystywać przyjaźni, zanim się zaczęła, ale Helen nie miała wyjścia. Teraz już była pewna, że bez Garrett Gibson nie uratuje Charity. Poza tym instynktownie czuła, że lekarka jej pomoże.

– Dlaczego chcesz iść do lekarza? – dopytywała lady Berwick, mierząc podopieczną czujnym spojrzeniem znad sekretarzyka do listów. – Znów dopadła cię migrena?

– Nie, proszę pani – odparła Helen, stojąc w progu. – Kobiece sprawy.

Wargi hrabiny zacisnęły się niczym otwór sakiewki ściągnięty rzemykiem. Jak na kobietę, która potrafiła swobodnie i fachowo dyskutować o reprodukcji i hodowli koni, była dziwnie skrępowana, jeśli chodziło o te same sprawy u ludzi.

– Próbowałaś przykładać butelkę z gorącą wodą?

Helen zastanawiała się, jak to delikatnie ująć.

– Obawiam się, że jestem raczej… w odwrotnej sytuacji.

Lady Berwick zamarła na moment, po czym z nadzwyczajną starannością odłożyła pióro na podstawkę.

– Jeśli uważasz, że miałby to być rezultat twojego wczorajszego *rendez-vous* z panem Winterborne'em, musisz wiedzieć, iż długo jeszcze nie będzie można stwierdzić, czy to drzewo wydało owoc.

Helen, wpatrując się we wzór dywanu u swoich stóp, powoli odpowiedziała:

– Rozumiem, ale… pan Winterborne i ja mieliśmy inne… spotkania… dużo wcześniej.

– Chcesz powiedzieć, że ty i on…

– Tak, od chwili zaręczyn.

Hrabina westchnęła z rezygnacją.

– Ach, ci Walijczycy. Nawet pas cnoty nie byłby dla nich przeszkodą. Chodźmy do pokoju, dziecko. O takich rzeczach nie mówi się głośno.

Kiedy znalazły się za zamkniętymi drzwiami, zapytała:

– Twoje regularne kobiece przypadłości ustały?

– Tak mi się wydaje.

Na twarzy lady Berwick pojawiło się zadowolenie.

– W takim razie jeśli dążysz ku macierzyństwu, twój związek z panem Winterborne'em jest już praktycznie faktem dokonanym. Zaraz poślę po doktora Halla, do którego chodzi moja Bettina.

– Pani hrabina jest bardzo uprzejma, ale dałam już znać do mojego gabinetu, aby wyznaczono mi termin wizyty.

Matrona zmarszczyła brwi.

– Co to za lekarz?

– Doktor Gibson jest kobietą. Poznałam ją w poniedziałek, w Winterborne's.

– O nie, wykluczone! Kobiety nie mogą być lekarzami. Brakuje im naukowych zdolności i panowania nad nerwami. A już zwłaszcza nie można zaufać kobiecie w sprawach tak ważnych jak ciąża i poród.

– Pani, moje poczucie wstydu mniej ucierpi, jeśli zostanę zbadana przez kobietę.

Lady Berwick sapnęła z niecierpliwością i wzniosła do nieba udręczony wzrok, po czym przeniosła go na Helen i powiedziała ponuro:

– Doktor Gibson może cię zbadać tutaj.

– Uważam, że najlepiej będzie, jeśli udam się do jej prywatnego gabinetu przy King's Cross.

Brwi hrabiny podjechały niemal pod linię włosów.

– Czemu nie może cię zbadać w zaciszu twojego domu?

– Gabinet pani doktor jest wyposażony w najnowsze medyczne instrumenty – odpowiedziała Helen, przypominając sobie opowieść

Rhysa o tym, jak doktor Gibson nastawiała mu wybity bark. – Jest tam specjalny stół, który może być podnoszony i opuszczany, a także lampa ze snopem jasnego światła.

– Bardzo to dziwne. – Hrabina nie kryła niechęci. – Mężczyzna doktor, powodowany przyzwoitością, zwykle zamyka oczy w trakcie badania.

– Doktor Gibson należy do nowoczesnych lekarzy.

– Zaiste, to widać. – Mars nie znikał z czoła lady Berwick, z zasady przeciwnej wszelkim nowinkom. – Ale dobrze, skoro tak chcesz.

– Bardzo pani dziękuję. – Helen, uskrzydlona ogromną ulgą, pospiesznie wyszła z pokoju, bojąc się, żeby matrona nie zmieniła zdania.

Wizyta została umówiona na godzinę szesnastą kolejnego dnia. Helen była tak przejęta, że w nocy nie mogła zasnąć. Kiedy wreszcie przekroczyła próg gabinetu doktor Gibson, była spięta i wykończona.

– Przybywam tu pod fałszywym pretekstem – oznajmiła, kiedy lekarka powitała ją na wąskim, trzypoziomowym georgiańskim tarasie swojego domu.

– Tak? – Doktor Gibson nie wykazała zbytniej ekscytacji. – Mówiłam pani, że zawsze może do mnie wpaść, kiedy będzie w potrzebie. Albo bez potrzeby.

W skromnym wejściu pojawiła się pucołowata pokojówka.

– Czy mogę wziąć płaszcz, milady?

– Nie, dziękuję, przyszłam tylko na chwilę – odparła Helen.

Doktor Gibson obrzuciła ją uważnym spojrzeniem zielonych oczu.

– Może zamienimy parę słów w salonie? – zaproponowała.

– Dobrze.

Helen weszła za nią do niewielkiego zadbanego salonu dla pacjentów. Umeblowany był skromnie, lecz przyjemnie. Stała tam sofka, dwa fotele z biało-niebieskimi obiciami i dwa stoliczki. Jedyny obraz na ścianie przedstawiał gęsi paradujące rządkiem po wiejskiej drodze obok domku z różaną pergolą. Idylliczny obrazek przypominał Helen Hampshire. Kominkowy zegar wydzwonił cztery delikatne tony.

Doktor Gibson zaprosiła Helen, aby usiadła, a sama zajęła drugi fotel. W bladym świetle padającym z frontowego okna jej zdumiewająco młody wygląd wyjątkowo kontrastował z racjonalną, energiczną postawą. Prezentowała się nienagannie i skromnie niczym uczennica. Jasnobrązowe włosy miała upięte w kok, a jej szczupła sylwetka była odziana w ciemnozieloną suknię bez żadnych ozdób, z czarnymi lamówkami.

– Jeśli nie przyszła pani do mnie jako pacjentka – zaczęła lekarka – co w takim razie panią sprowadza?

– Potrzebuję pilnej pomocy w osobistej sprawie i pomyślałam, że tylko u pani mogę ją uzyskać, jako że sprawa jest… skomplikowana. – Helen urwała na moment. – Prosiłabym o dyskrecję.

– Ma pani moje słowo.

– Chciałam się dowiedzieć o los pewnego dziecka. Moja mentorka, lady Berwick, ma bratanka, który spłodził pozamałżeńskie dziecko i wyrzekł się go. Dziewczynka ma w tej chwili cztery latka. Mniej więcej przed pięcioma miesiącami została umieszczona w sierocińcu Stepney w St. George-in-the-East.

Doktor Gibson zmarszczyła brwi.

– Znam ten rejon. To prawdziwa jaskinia lwów. W pewnych miejscach jest niebezpiecznie nawet w środku dnia.

Helen nerwowo splotła palce dłoni w rękawiczkach.

– Mimo to muszę sprawdzić, czy Charity tam jest.

– Tak ma na imię?

– Charity Wednesday.

Lekarka uśmiechnęła się smutno.

– Imię i nazwisko typowe dla dzieci z sierocińców. – Jej spojrzenie stało się jeszcze wnikliwsze. – Czy mogę tam pojechać w pani zastępstwie? Oczywiście nie zdradzę pani nazwiska. Jeżeli Charity tam jest, sprawdzę jej stan i złożę pani raport. Z pewnością uda mi się dotrzeć na miejsce jutro, najpóźniej pojutrze.

– Dziękuję, jest pani osobą wielkiego serca, ale… Muszę tam pojechać jeszcze dziś. – Helen na moment zawiesiła głos. – Nawet jeśli pani nie znajdzie czasu.

– Lady Helen, to nie jest miejsce dla kobiet szlachetnej krwi – odparła spokojnie doktor Gibson. – Obraz ludzkiej nędzy

i nieszczęścia, jaki można tam zobaczyć, może być nie do zniesienia dla kogoś, kto żyje z dala od takich sfer.

Słowa, choć słuszne i uprzejme, zabolały Helen. Na szczęście nie była przewrażliwiona i posługiwała się rozsądkiem, toteż wiedziała, że musi być przygotowana na wszystko i znaleźć w sobie siłę, aby dopiąć swego.

– Dam sobie radę – zapewniła. – Jeśli czteroletnie dziecko jest w stanie przeżyć w takim miejscu, śmiem twierdzić, że ja też przeżyję jedną wizytę.

– A nie może pani poprosić o pomoc pana Winterborne'a? Przy jego koneksjach i środkach…

– Nie. Nie chcę, żeby o tym wiedział.

Doktor Gibson, zaskoczona twardą postawą Helen, spojrzała na nią z namysłem.

– Dlaczego musi pani sama się zmierzyć z tym problemem? Czemu chce pani podjąć ryzyko dla dziecka tak odlegle spokrewnionego z panią?

Helen milczała, bała się, że powie zbyt wiele.

Kobieta czekała cierpliwie.

– Jestem tu, aby pani pomóc, lady Helen – powiedziała po chwili. – Ale musi pani mi zaufać.

– Moje pokrewieństwo z tym dzieckiem wcale nie jest tak… odległe.

– Rozumiem. – Lekarka odczekała chwilę, po czym zapytała łagodnie: – Czy to może pani dziecko? Jeśli tak, wcale pani nie osądzam; wiele kobiet popełnia błędy.

Helen zaczerwieniła się po same uszy. Zmusiła się, żeby popatrzeć rozmówczyni w oczy.

– Charity jest moją siostrą przyrodnią. Jej ojciec, pan Vance, dawno temu miał romans z moją matką. Uwiedzenie, a potem porzucenie kobiety to dla niego rodzaj sportu.

– Ach… Nie on jeden. Stale mam do czynienia z okropnymi skutkami tego „sportu", kiedy odwiedzam kobiety i dzieci w przytułkach. Dla mnie najlepszym rozwiązaniem byłaby kastracja. – Przez moment medyczka taksowała wzrokiem Helen, jakby oceniała jej determinację, po czym rzekła: – W takim razie chodźmy.

Helen zamrugała zaskoczona.

– Pojedzie pani ze mną? Teraz?

– Nie mogę zostawić pani samej z tą sprawą. Musimy jednak się pospieszyć. Kwadrans po szóstej zacznie zmierzchać. Odeślemy pani powóz i weźmiemy dorożkę. Byłoby wielce nierozsądne zajechać tam eleganckim pojazdem; zresztą wątpię, czy stangret w ogóle pozwoliłby pani wysiąść, gdyby zobaczył, w jakiej okolicy się znajdujecie.

Helen ruszyła za gospodynią do holu.

– Elizo! – zawołała doktor Gibson, na co momentalnie pojawiła się przy niej pulchna kobieta. – Wychodzę na resztę popołudnia. Opiekuj się moim ojcem. I nie dawaj mu słodyczy. – Zerknęła na Helen i dodała ciszej: – Zaburzają trawienie.

– Ależ nie daję, pani doktor! – broniła się Eliza, podając przełożonej płaszcz. – Chowamy łakocie, ale pani tata zawsze potrafi je znaleźć.

Doktor Gibson ze zmarszczonymi brwiami założyła kapelusz i naciągnęła rękawiczki.

– W takim razie proszę, abyście bardziej uważały. Na Boga, przecież kiedy on schodzi na dół, cały dom się trzęsie!

– Kiedy myszkuje za słodyczami, skrada się jak złodziej – broniła się pokojówka.

Lekarka wyjęła ze stojaka swoją laskę i zręcznie podrzuciła ją w powietrzu.

– Może nam się przydać – powiedziała z miną wojowniczki szykującej się na zwiady. – Naprzód, moja pani!

Rozdział 28

Kiedy lokaj i stangret Helen zostali odesłani do Ravenel House z wiadomością dla lady Berwick, że wizyta się przedłuży, Helen i doktor Gibson ruszyły piechotą przez Pancras Road. Szły żwawo, a po drodze lekarka pouczała Helen, jak ma się zachować na East Endzie – zwłaszcza kiedy dojdą do doków. Komitywa pomiędzy nimi rosła. Czuły się jak konspirujące przyjaciółki i Garrett przestała się zwracać do Helen oficjalnie.

– Rozglądaj się czujnie – instruowała. – Uważaj na ludzi w bramach, w zaułkach pomiędzy budynkami czy obok stojących wozów i dorożek. Jeśli ktoś podejdzie, jakby chciał o coś zapytać, nie zwracaj na niego uwagi, nawet gdyby to była kobieta czy dziecko. Zawsze idź szybko, jakbyś zmierzała prosto do celu. Nie daj po sobie poznać, że się boisz albo nie znasz drogi, i pod żadnym pozorem się nie uśmiechaj. Jeśli z naprzeciwka idzie dwóch ludzi, nie wchodź pomiędzy nich.

Doszły do szerokiej, ruchliwej ulicy i zatrzymały się przed skrzyżowaniem.

– Tutaj zawsze można złapać fiakra – powiedziała doktor Gibson. – O, jedzie. – Pomachała ręką. – Oni zawsze pędzą, więc uważaj, żeby taki cię nie zmiótł, kiedy będzie podjeżdżał do krawężnika. Gdy się zatrzyma,trzeba szybko wsiadać. Ich konie ruszają tak gwałtownie, że jak się nie zdąży, noga może się zsunąć ze stopnia.

Helen w coraz większym napięciu kiwała głową. Serce zabiło jej szybciej na widok zbliżającego się powozu na dwóch wysokich kołach, z dorożkarzem, który kierował koniem z wysokiego siedzenia na tyle kabiny. Zatrzymał się przy nich gwałtownie. Kiedy otworzyły

się zasuwane drzwi, doktor Gibson wsiadła pierwsza, schyliwszy się, aby nie zaplątać się w lejce zwisające po obu stronach kabiny. Helen nie poszło tak dobrze. Wąski stopień był śliski, a stercząca tiurniura ciągnęła ją do tyłu. Jakimś cudem w końcu udało się jej wsiąść. Niezgrabnie opadła na siedzenie obok lekarki.

– Brawo – pochwaliła doktor Gibson, powstrzymując Helen, która chciała zamknąć za sobą drzwi. – Zostaw, on je zasunie z pomocą dźwigni. – Odchyliła klapkę w dachu i podała mężczyźnie adres. Kiedy drzwi się zamykały, wiatr wdmuchnął do środka gazetę, którą Garrett zdążyła wypchnąć czubkiem laski. Wreszcie ruszyli ostro i przyspieszając, pognali ulicą.

Jazda dorożką była rzeczą normalną dla większości ludzi, ale nie dla młodej arystokratki, którą była Helen. Było to przerażające, a zarazem niesamowicie emocjonujące doświadczenie. Chwilami nie mogła uwierzyć, że naprawdę bierze w tym udział. Dorożka mknęła z szaleńczą prędkością, przemykając pomiędzy tłumem powozów, towarowych lor, omnibusów oraz innych pojazdów. Szarpiąc i podskakując, niemal się ocierała o uliczne latarnie, pojazdy stojące przy ulicy oraz przechodniów.

– Zaraz wysiadamy – zapowiedziała po jakimś czasie doktor Gibson. – Zapłacę dorożkarzowi przez otwór w dachu, a on otworzy nam drzwi. Wysiadając, uważaj, żeby lejce nie strąciły ci kapelusza z głowy.

Fiakier zatrzymał się z szarpnięciem. Lekarka zapłaciła i trąciła Helen łokciem, kiedy drzwi zaczęły się odsuwać. Helen rzuciła się do wyjścia i postawiła nogę na stopniu, ale musiała przez chwilę kręcić biodrami, aby wyszarpnąć tiurniurę z wąskiego otworu. Wreszcie udało się jej zeskoczyć na chodnik, przy czym tylko cudem nie upadła ani nie zgubiła kapelusza. Zwłaszcza że ciężar nagle uwolnionej tiurniury pchnął ją gwałtownie w przód. Garrett tymczasem wysunęła się z dorożki zwinnie i z gracją.

– Tak łatwo ci to idzie – powiedziała z zazdrością Helen.

– Kwestia praktyki – odparła lekarka, poprawiając kapelusz na głowie. – No i brak tiurniury. A teraz pamiętaj o zasadach – dodała, zanim ruszyły przed siebie.

Okolica wyglądała zupełnie inaczej niż Londyn, który znała Helen. Nawet niebo było inne – miało burą barwę brudnej kuchennej ścierki. Sklepów było tu bardzo niewiele, a te nieliczne miały brudne szyby i obskurne fronty. Po obu stronach ulicy tłoczyły się nędzne czynszówki, gdzie ubodzy mieszkańcy żyli w warunkach urągających cywilizowanym normom. Ulice wypełniali ludzie, którzy kłócili się, pili i bili ze sobą. Helen sztywniała z grozy i obrzydzenia na widok gnijącego w rynsztoku zwierzęcego ścierwa czy wychodka pozbawionego drzwi. Nie mogła uwierzyć, że w takich warunkach mieszkają ludzkie istoty! Jedzą, piją, pracują, śpią… Jak udaje im się przeżyć? Mimo woli przysunęła się do Garrett, która zdawała się nie zauważać wszechobecnego brudu i upadku.

W powietrzu unosił się nieznośny smród, od którego nie dało się uciec. Z bocznych uliczek do głównego rynsztoka wypływały strumienie płynnej mazi – ciemnej, organicznej i cuchnącej – łącząc się z głównym strumieniem. W pewnym momencie, kiedy mijały szczególnie śmierdzący ściek, żołądek podjechał Helen do gardła.

– Oddychaj ustami – poradziła doktor Gibson, przyspieszając kroku. – To powinno pomóc.

Na szczęście mdłości minęły, choć Helen kręciło się w głowie, jakby się czymś podtruła, a w ustach miała metaliczny posmak. Skręciły za róg i zobaczyły duży ceglany gmach z wysokim ogrodzeniem z żelaznych prętów, zakończonych szpicami, i taką samą bramą.

– Oto sierociniec – powiedziała Garrett.

– Wygląda jak więzienie – szepnęła Helen.

– Widziałam gorsze miejsca. Tu jest przynajmniej w miarę czysto.

Weszły przez uchylone wrota i stanęły przed wejściem. Lekarka energicznie szarpnęła taśmę dzwonka. Usłyszały dźwięk, który rozbrzmiał we wnętrzu.

Minęła minuta i doktor Gibson znów miała zadzwonić, kiedy drzwi wreszcie się otworzyły. W progu stanęła tęga kobieta o szerokich ramionach. Sprawiała wrażenie ogromnie zmęczonej, jakby nie spała od lat. Skóra jej twarzy obwisła fałdami.

– Czy mam przyjemność z przełożoną? – zapytała Garrett.

– Tak. A z kim rozmawiam?

– Jestem doktor Gibson. A to pani Smith.

– Jestem Leech – przedstawiła się kobieta.

– Chciałybyśmy zadać parę pytań, jeśli można.

Twarz przełożonej nie drgnęła, ale było jasne, że prośba nie spotkała się z przychylnym przyjęciem.

– Co będę z tego miała? – zapytała bez ogródek.

– Jestem gotowa świadczyć pomoc lekarską dla dzieci z tej placówki.

– Nie potrzebujemy lekarki. Siostry miłosierdzia przychodzą do nas trzy razy w tygodniu, aby zadbać o chorych. – Drzwi zaczęły się zamykać.

– To za fatygę. – Helen dyskretnie wcisnęła monetę w rękę kobiety.

Przełożona zamrugała, widząc, że trzyma pół korony. Zacisnęła dłoń na metalowym krążku, cofnęła się i otworzyła drzwi przed gośćmi.

Weszły do holu w kształcie litery L. Z jednej strony znajdowały się biura, a z drugiej pomieszczenia dla dzieci. Z jednego z nich dobiegał płacz niemowlaka. Przez uchylone drzwi widać było, jak opiekunka chodzi z dzieckiem po pokoju, kołysząc je na rękach i próbując uspokoić.

Otwarte podwójne drzwi naprzeciwko nich odsłaniały jadalnię z dziesiątkami dzieci siedzących przy długich stołach. Cynowe łyżki pracowicie skrobały po miskach.

– Będą jadły jeszcze przez dziesięć minut – powiedziała pani Leech, zerkając na kieszonkowy zegarek. – Tylko tyle mamy czasu. – Parę ciekawskich dzieciaków zeskoczyło z ławek i podeszło do drzwi, żeby popatrzeć na gości. Matrona skarciła je groźnym spojrzeniem i nakazała: – Wracajcie do stołów, bo będzie niedobrze! – Dzieci natychmiast umknęły na swoje miejsca, a pani Leech pokręciła głową. – Wiele z nich oczekuje, że przyjdą po nich matki. Tak jest za każdym razem, kiedy pojawią się goście.

– Ile pani ma tu dzieci? – zapytała doktor Gibson.

– Stu dwudziestu chłopców, dziewięćdziesiąt siedem dziewczynek i osiemnaście niemowląt.

Helen zauważyła, że jedna z dziewczynek nieśmiało wygląda z jadalni, a widząc, że przełożona jest zajęta rozmową, wysuwa się

cała. Miała jasne, prawie popielate włosy. Krótko obcięte niesforne loki sterczały we wszystkie strony. W niektórych miejscach wyglądały na skołtunione, jakby nigdy ich nie czesano. Mała nie spuszczała oczu z Helen.

– Czy zdarza się, że matki odwiedzają swoje dzieci? – wypytywała doktor Gibson.

– Niektóre tak – odparła pani Leech z surową miną. – Puszczalskie cwaniaczki, które traktują to miejsce jak darmową ochronkę. Przyprowadzają dzieci, aby żyły tu z pomocy dobroczynnej, a potem zabierają je z powrotem, kiedy mają ochotę. I tak w kółko. Nazywamy je „zostaw-zabierz". Dlatego zarząd, aby temu zapobiec, skomplikował procedury przyjmowania i odbierania dzieci. Z drugiej strony obciąża to nas papierkową robotą, a jesteśmy wszak bardzo… – Nagle kobieta zauważyła dziewczynkę, która zdążyła zrobić parę niepewnych kroków w stronę Helen. – Co ja ci mówiłam?! – wybuchnęła. – Marsz na miejsce!

Dziecko jednak zdawało się nie słyszeć. Jak zaczarowane nie spuszczało z Helen spojrzenia wielkich oczu, wylęknionych i zachwyconych zarazem.

– Mama? – Cichy głosik był ledwo słyszalny w rozległym pomieszczeniu.

Nagle mała rzuciła się biegiem przed siebie na cienkich jak patyki nóżkach. Przemknęła pod karzącym ramieniem przełożonej i dopadła Helen, wczepiając się w jej spódnicę.

– Mama, mama… – powtarzała bez tchu jak litanię.

Chociaż dziecko było małe i chudziutkie, impet, z jakim w nią uderzyło, o mało nie zbił Helen z nóg. Zakłopotana patrzyła, jak dziewczynka gorączkowo szarpie krótko przycięte włosy, usiłując znaleźć pasmo na tyle długie, aby mogła mu się przyjrzeć. Helen sięgnęła w dół, żeby ją powstrzymać. Ich palce się spotkały i mała rączka ze zdumiewającą siłą chwyciła jej dłoń.

– Charity – syknęła pani Leech – zabieraj te brudne łapy od pani! – Sięgnęła, żeby wytargać dziewczynkę za włosy, ale Helen, zanim zdążyła pomyśleć, zablokowała ten ruch ręką.

– Ona ma na imię Charity? – zapytała szybko doktor Gibson. – Charity Wednesday?

– Tak – mruknęła przełożona, gromiąc dziecko wzrokiem.

Doktor Gibson w zdumieniu potrząsnęła głową i odwróciła się do Helen.

– Zastanawiam się, co sprawiło, że to dziecko… – Urwała i spojrzała uważniej na dziewczynkę. – Musiała zauważyć kolor twoich włosów, który jest tak niezwykły, że… – Jej spojrzenie pobiegło do Helen, a potem znów do Charity. – Widocznie Bóg tak chciał – dodała ciszej.

Helen odjęło mowę. Dopiero teraz zobaczyła, jak bardzo Charity przypomina ją samą: ciemne brwi i rzęsy, jasnoszare oczy i popielate, jasne włosy. A do tego tak dobrze jej znane spojrzenie zagubionego dziecka, które nie ma swojego miejsca na świecie…

Dziewczynka uniosła ku niej umorusaną buzię i nie przestając się tulić, zamknęła oczy, jakby grzała się w blasku słońca. Ulga i zarazem zmęczenie odmalowały się na drobnej buzi. Wreszcie jesteś. Przyszłaś po mnie. Wreszcie kogoś mam.

Jako dziecko Helen musiała marzyć o podobnej chwili, choć tego nie pamiętała. Wiedziała jedno: ta chwila nadeszła.

Niczym przez mgłę słyszała, jak pani Leech dopytuje, o co chodzi i czego chcą od Charity, a doktor Gibson zadaje jej następne pytania. Z oddziału noworodków dochodził płacz kolejnych dzieci, a te w stołówce zaczęły się coraz bardziej roić. Kolejne zrywały się z ławek i podchodziły do drzwi, gapiąc się na nie i paplając.

Helen pochyliła się i wzięła dziewczynkę na ręce. Drobne ciałko było lekkie, niemal niematerialne. Charity jak małpka oplotła ją ramionami i nogami. Rozpaczliwie potrzebowała kąpieli. I to niejednej. A ten strój z sierocińca – niebieską sukienkę z serży i długi szary fartuszek – należało po prostu spalić. Helen marzyła, aby jak najszybciej zabrać stąd dziecko – tam, gdzie będzie miało ciszę i spokój. Gdzie będzie można zmyć z niego brud i nakarmić je dobrym, obfitym jadłem. Przez głowę przemknęła jej przerażająca myśl o tym, jak ma wyciągnąć Charity z sierocińca i co powie lady Berwick, jeśli pojawi się w Ravenel House z przyrodnią siostrzyczką. Jednego była pewna – nie zostawi Charity w tym okropnym miejscu.

– Jestem twoją starszą siostrą, kochanie – szepnęła. – Mam na imię Helen. Nie wiedziałam, że tu jesteś, dlatego wcześniej po ciebie

nie przyszłam. Ale zabiorę cię stąd.

– Teraz? – upewniła się mała.

– Tak, teraz.

Stojąc tam – z dzieckiem w ramionach – Helen uświadomiła sobie, że właśnie w tej chwili jej życie wchodzi na nowe tory, jak pociąg, któremu zmieniono zwrotnicę. Już nie będzie kobietą bezdzietną. Ogarnął ją zamęt uczuć i emocji. Lęk, że nikt, nawet Kathleen, nie poprze jej decyzji. I żal, bo straci Rhysa – każdy krok, który odtąd uczyni, będzie ją od niego oddalać. Była też nikła, samotna nuta radości. Kiedyś, w przyszłości, los wszystko jej wynagrodzi. Kiedyś będzie szczęśliwa.

Ale już nigdy nie spotka człowieka takiego jak Rhys Winterborne.

Coraz gwałtowniejszy spór kobiet przywołał Helen do rzeczywistości.

– Pani Leech! – przerwała im ostro.

Obie umilkły i popatrzyły na nią.

Helen mówiła dalej władczym, nieznoszącym sprzeciwu tonem, zapożyczonym od lady Berwick:

– Zaczekamy w biurze, aż upora się pani z dziećmi w jadalni. Tylko proszę się pospieszyć, jeśli łaska, bo mój czas jest cenny, a musimy jeszcze załatwić formalności.

– Tak, proszę pani – odpowiedziała przełożona, nagle pokorniejąc.

– Proszę mnie tytułować „lady” – zaznaczyła chłodno Helen, z satysfakcją dostrzegając zaskoczenie w oczach kobiety.

– Tak, milady.

W obskurnym gabinecie, do którego zaprowadziła je pani Leech, Helen usiadła na krześle z Charity na kolanach. Doktor Gibson krążyła po niewielkim pomieszczeniu, bez skrępowania przeglądając papiery leżące na biurku, a nawet zaglądając do szuflad.

– Obawiam się, że to raczej niemożliwe, aby ci ją dzisiaj wydali – stwierdziła.

Charity uniosła głowę z ramienia Helen, jej oddech stał się niespokojny.

– Nie zostawiajcie mnie tutaj… – jęknęła błagalnie.

– Ciii… – Helen przygładziła jej niesforne kędziory. – Zabiorę cię stąd. Obiecuję.

Kątem oka dostrzegła, że Garrett kręci głową.

– Ja bym tego nie obiecała – ostrzegła lekarka.

– Będzie, jak powiedziałam, nawet gdybym miała złamać prawo i po prostu ją stąd uprowadzić – odrzekła twardo Helen. Poprawiła dziewczynkę na swoich kolanach i dalej głaskała ją po głowie. – Dlaczego tak krótko je strzygą?

– Często nawet golą głowy do skóry, żeby zapobiegać wszawicy.

– Skoro tak się boją wszy, to powinni częściej kąpać dzieci.

Charity zerknęła na Helen nerwowo.

– Nie lubię wody.

– Czemu, kochanie?

Malutka bródka zaczęła drgać.

– Bo kiedy jesteśmy niegrzeczne, siostry wpychają nam głowy do k-kubła z wodą do zalewania kominka. – Charity mocniej przylgnęła do Helen.

Helen z satysfakcją powitała gniew, który ją ogarnął, bo oczyścił jej myśli, wyostrzył umysł i dodał sił. Zaczęła kołysać siostrzyczkę, jakby była niemowlęciem.

Doktor Gibson przysiadła na krawędzi biurka, co było możliwe tylko dlatego, że miała suknię o nowomodnym kroju, prostą i gładką z przodu, a zebraną z tyłu, co miało zastąpić tiurniurę. Helen zazdrościła jej swobody ruchów.

– Czego wymagają do wypisu? – spytała.

Doktor Gibson zmarszczyła brwi.

– Zgodnie z tym, co mówiła mi przełożona, musisz wypełnić formularz z prośbą o tak zwaną reklamację. Warunkiem wydania dziecka jest udowodnienie pokrewieństwa z nim. A to oznacza, że powinnaś uzyskać od pana Vance'a prawne potwierdzenie jego ojcostwa, dotyczące zarówno ciebie, jak i małej. Kolejnym krokiem jest przesłuchanie przez zarząd. Dopiero kiedy uznają twoje dowody i argumenty, będą mogli wydać odpowiednią decyzję.

Furia Helen tylko wzrosła.

– Czemu tak utrudniają ludziom adopcję tych biednych dzieci?

– Podejrzewam, że zarząd woli zatrzymać dzieci, aby wysyłać je do pracy i zgarniać ich zarobki. Większość podopiecznych po ukończeniu

szóstego roku życia jest przysposabiana do pracy i zaczyna zarabiać, oddając większość zarobionych pieniędzy domowi opieki.

Helen z niesmakiem pokręciła głową, zastanawiając się, co robić. Spojrzała na niedożywione dziecko w swoich ramionach i nagle przyszedł jej do głowy pewien pomysł.

– A co, jeśli obecność Charity okazałaby się niebezpieczna dla domu? Gdybyś na przykład zdiagnozowała u niej początki zakaźnej choroby, która lada chwila może się rozprzestrzenić na wszystkie dzieci, i jedynym sposobem uniknięcia kłopotów będzie usunięcie ogniska epidemii?

Lekarka zastanawiała się przez chwilę.

– Kapitalny pomysł – pochwaliła. – Pluję sobie w brodę, że sama na to nie wpadłam! Najlepsza będzie szkarlatyna. Jestem pewna, że pani Leech bez trudu przystanie na tę sugestię, zwłaszcza jeśli wesprzesz ją szeleszczącym pięciofuntowym banknotem. – Urwała na moment, rozważając dalsze warianty. – Pozostanie jeszcze kwestia ustanowienia twojej pieczy zastępczej. Trzeba to będzie zrobić jak najszybciej, aby zarząd nie próbował odzyskać dziecka. Co prawda nie sądzę, aby śmieli się przeciwstawić komuś tak ważnemu i oddanemu sprawom społecznym jak pan Winterborne…

– Nie chciałabym w to wciągać pana Winterborne'a – przerwała jej Helen. – Nie po tym, czego dowie się ode mnie jutro.

– Och… – westchnęła Garrett. – Przykro mi to słyszeć, Helen. Z wielu powodów.

Słońce już zachodziło, kiedy opuszczały sierociniec. Świadome, że z każdą minutą rośnie ryzyko przebywania po zmroku w takiej dzielnicy, spieszyły się, jak mogły. Helen niosła Charity, która nogami oplotła ją w pasie, a rękami trzymała za szyję.

Skręciły w pierwszą przecznicę i zmierzały do następnej, kiedy zorientowały się, że idzie za nimi dwóch mężczyzn.

– Takie ładne damulki muszą mieć trochu grosiwa – powiedział jeden z nich, zachodząc je z boku.

– Idźcie swoją drogą – warknęła doktor Gibson, przyspieszając kroku.

Zarechotali głośno w sposób, który zjeżył Helen włoski na karku.

– Tak się składa, że idziemy tą samą drogą, paniusiu – powiedział drugi.

– Lumpy z doków – mruknęła Garrett do Helen. – Ignoruj ich. Zaraz dojdziemy do głównej ulicy, a tam nie będą śmieli nas zaczepiać.

Niestety mężczyźni nie zamierzali odpuścić.

– Lala, jak nam nie dasz kasy, to zabawimy się inaczej – odezwał się ten, który szedł za Helen.

Nagle twarde palce złapały ją za ramię i okręciły gwałtownie. Helen, obciążona dzieckiem, zachwiała się, choć Charity niewiele ważyła. Doker był mocno zbudowany i miał okrągłą twarz o skórze przypominającej pomarańczową skórkę. Strąki włosów nieokreślonej barwy wymykały się spod czapki, impregnowanej parafiną. Zagapił się na Helen i małe oczy błysnęły w zachwycie.

– Twarz anioła… – szepnął chrapliwie i oblizał wąskie wargi, ukazując czarne dziury pomiędzy zębami. – Rad bym posmakował, co masz pod spódnicą. – Helen się szarpnęła, ale on tylko mocniej zacisnął chwyt. – Nigdzie nie pójdziesz, cipeńko… Szlag! – wrzasnął przeraźliwie, gdy laska z twardej hikory śmignęła w powietrzu i z trzaskiem walnęła go w przegub.

Helen cofnęła się szybko, a laska znów poszła w ruch, tym razem trafiając zbira w bok głowy. W następnej sekundzie dzielna lekarka wraziła mu okuty szpic swej broni w żołądek, aż napastnik z jękiem zgiął się wpół. Na koniec zręcznie przerzuciła laskę w ręku, zahaczyła jego nogę wygiętą rączką i mocno pociągnęła. Mężczyzna upadł na chodnik i legł tam, zwinięty jak zbyt mocno wysmażona krewetka. Cała akcja trwała nie więcej niż pięć, może sześć sekund.

Doktor Gibson natychmiast zamachnęła się na drugiego dokera, który rzucił się na nią. Ale zanim zdążyła zrobić ponowny użytek ze swojej broni, ktoś złapał mężczyznę od tyłu i obrócił ku sobie.

Nieznajomy obrońca okazał się piekielnie szybki. Kiedy zbir go zaatakował, zrobił płynny unik, po czym z morderczą siłą zaaplikował mu brutalną kombinację: lewy prosty, prawy sierpowy, lewy hak

i nokautujący, potężny prawy prosty, po którym mężczyzna padł na chodnik obok swojego kompana.

– Już dobrze – szepnęła Helen do przerażonej Charity. – Już po wszystkim.

Doktor Gibson, wciąż ściskając laskę, czujnie przypatrywała się nieznajomemu. Odwzajemnił jej spojrzenie, poprawiając kapelusz na głowie.

– Czy nic się paniom nie stało? – zapytał.

– Nic – odparła krótko lekarka. – Dziękujemy za pomoc, choć poradziłabym sobie sama.

Helen miała wrażenie, że Garrett jest niezadowolona, bo pozbawiono ją szansy rozprawienia się z drugim oprychem tak samo sprawnie jak z pierwszym.

– Nie wątpię, szanowna pani – odparł dżentelmen, podchodząc bliżej. Okazał się dobrze ubranym młodym człowiekiem, o wzroście wyższym niż przeciętny i silnej, wysportowanej sylwetce. – Kiedy jednak zobaczyłem dwie damy w opresji, nie mogłem postąpić inaczej.

Miał osobliwy akcent, trudny do określenia, co było dziwne, gdyż zwykle dało się odgadnąć region, z którego ktoś pochodził, czy nawet kraj. Helen nie omieszkała zauważyć, że jest bardzo przystojnym, niebieskookim szatynem o regularnych, mocnych rysach.

– Co pan robi w tej okolicy? – zapytała podejrzliwie Garrett.

– Umówiłem się z przyjacielem w tawernie.

– W której?

– The Grapes – padła natychmiastowa odpowiedź. Mężczyzna przeniósł wzrok na Helen, tulącą dziecko w ramionach. – Tutaj nie jest bezpiecznie – rzekł z troską. – I zaraz zapadnie noc. Czy mogę przywołać dla pań dorożkę?

– Nie trzeba, dziękujemy – odparła cierpko lekarka. – Milady, idziemy.

Helen wahała się przez chwilę.

– Czy zechcesz nam zdradzić swoje nazwisko, sir, abyśmy wiedziały, komu mamy być wdzięczne? – zapytała.

Ich spojrzenia spotkały się i rysy mężczyzny złagodniały.

– Wybacz, pani, ale wolałbym nie.

Uchylił kapelusza gestem pełnym szacunku, uśmiechając się kącikami oczu. Helen odpowiedziała mu uśmiechem, pamiętając słowa Westa o obcych i bohaterach w przebraniu. Nie mogła się doczekać, kiedy mu o tym opowie.

– Miałaś się nie uśmiechać – upomniała ją Garrett.

– Ale on nam pomógł.

– Nie ma pomocy, kiedy ktoś jej nie potrzebuje.

Gdy dochodziły do głównej drogi, doktor Gibson dyskretnie obejrzała się przez ramię.

– Ciągle za nami idzie – powiedziała z irytacją.

– Jak anioł stróż – dodała Helen.

Lekarka prychnęła.

– Widziałaś, jak fachowo załatwił tego zbira? Ciosy miał szybkie jak myśl. Widać, że zna sztukę walki. Zastanawiające jest, jakim cudem taki człowiek pojawił się we właściwym czasie i miejscu.

– Moim zdaniem ty dałaś swojemu przeciwnikowi lepszą nauczkę – stwierdziła Helen, nie kryjąc podziwu. – Fantastycznie śmigasz tą laską. W życiu nie widziałam czegoś podobnego.

– Odrobinę chybiłam – odparła z niezadowoleniem Garrett. – Nie udało mi się trafić w nerw łokciowy. Muszę skonsultować się z moim trenerem, żeby ulepszyć technikę.

– Dla mnie to było mistrzostwo – zapewniła Helen. – Biada temu, kto popełni błąd, nie doceniając cię, Garrett.

Rozdział 29

Choć ostatnio można było odnieść wrażenie, że Helen lubuje się w szokowaniu ludzi, sama była przekonana, że jest w tym wiele przesady. Bardzo zatęskniła za czasem w Eversby Priory, kiedy dni płynęły spokojnie i nic się nie działo. Teraz działo się aż za wiele.

Wydawało się, że mieszkańców Ravenel House dotknął zbiorowy paraliż, kiedy Helen wróciła do domu tuż przed nocą, z przemoczoną sierotą w ramionach – niewiadomego pochodzenia, brudną i zabiedzoną. Postawiła dziecko w holu i wzięła je za rączkę. Mała przylgnęła do niej lękliwie. Służba stała, gapiąc się na nich. Pani Abbott, która w tym momencie weszła do holu, także zamarła. Pandora i Cassandra, które, wesoło paplając, schodziły na dół, nagle zamilkły.

Najtrudniejsza do zniesienia była reakcja lady Berwick. Hrabina wyłoniła się z salonu i zatrzymała tuż za progiem. Jej spojrzenie wędrowało od Helen do dziecka; chłodnym wzrokiem oceniała sytuację niczym generał strateg, który patrzy na swoje siły wycofujące się po przegranej bitwie i zastanawia się, jak je na nowo przegrupować.

Jak było do przewidzenia, koszmarną ciszę tego żywego obrazu przerwała Pandora:

– To zupełnie jak w sztuce teatralnej, kiedy wszyscy zapomnieli tekstu.

Bez słowa, z kamienną twarzą, lady Berwick obróciła się na pięcie i zniknęła w salonie.

Helen znów poczuła w ustach ohydny, metaliczny smak. Nie miała pojęcia, co ma jej do powiedzenia hrabina, ale wiedziała, że nie

będzie to nic miłego. Podeszła z Charity do schodów, gdzie stały bliźniaczki.

Na widok dziewcząt dużo większych od siebie mała schowała się za spódnicą Helen.

– Co mamy robić? – spytała rzeczowo Cassandra.

Helen jeszcze nigdy nie kochała swoich sióstr tak bardzo jak w tym momencie, kiedy zamiast pytań zaoferowały jej pomoc.

– To jest Charity – powiedziała spokojnie. – Dzisiaj przywiozłam ją z sierocińca. Trzeba ją umyć i nakarmić.

– Zajmiemy się tym. – Pandora pochyliła się i wyciągnęła rękę do dziewczynki. – Chodź z nami, Charity, będziemy się bawić – zachęciła. – Znam różne gry, piosenki i…

– Pandoro – przerwała jej Helen, widząc, jak dziecko cofa się przed rozentuzjazmowaną panną – spokojnie. Nie wiemy, co ona przeżyła. – Przeniosła spojrzenie na Cassandrę i szepnęła: – Boi się kąpieli. Spróbujcie ją umyć wilgotnymi ściereczkami.

Cassandra bez przekonania kiwnęła głową.

Wtedy podeszła do nich pani Abbott.

– Pani, przyniosę gorącą zupę i chleb dla was.

– Tylko dla małej – odparła Helen. – Ja nie jestem głodna.

– Powinna pani coś zjeść – nalegała gospodyni. – Wygląda pani, jakby za chwilę miała zemdleć.

Zanim Helen zdążyła odpowiedzieć, poczciwa kobieta w pośpiechu zawróciła do kuchni.

Helen spojrzała w stronę salonu i dreszcz przebiegł jej po plecach. Skupiła uwagę na dziewczynce.

– Kochanie – powiedziała cicho – to są moje siostry, Pandora i Cassandra. Chcę, żebyś z nimi poszła. One się tobą zajmą, a ja muszę teraz z kimś porozmawiać, dobrze?

Charity na nowo się przeraziła.

– Nie zostawiaj mnie!

– Nigdy już cię nie zostawię. Zaraz do ciebie wrócę. Proszę, Charity.

Jednak dziecko tylko przylgnęło do niej jeszcze mocniej.

Sprawę uratowała Cassandra. Przykucnęła przed Charity i uśmiechnęła się do niej.

– Pójdziesz z nami? – zapytała łagodnie. – Jesteśmy bardzo miłe, wiesz? Pokażę ci śliczny pokój na górze. Tam się pali kominek, jest cieplutko, a pozytywka wygrywa melodyjki. Sześć różnych melodii! Chodź ze mną, to ci pokażę.

Mała z wahaniem wysunęła się zza Helen i wyciągnęła wątłe ramionka. Cassandra zamrugała niepewnie, ale wzięła dziecko na ręce i ruszyła na górę.

Pandora uśmiechnęła się z rezygnacją.

– Zawsze mówiłam, że ty jesteś milsza – powiedziała do siostry.

Helen odczekała, aż znikną, i skierowała się do salonu. Szła jak na ścięcie, przekonując siebie, że obojętnie, co jej powie lady Berwick i jak będzie rozgniewana, jest to nic w porównaniu z tym, co dzisiaj widziała. Prześladowały ją obrazy ludzi skazanych na nędzę i cierpienie. Wiedziała, że odtąd, patrząc na luksusy swojego otoczenia, zawsze będzie miała przed oczami śmierdzące ulice Stepney i twarze dzieci z sierocińca.

Zawahała się w progu. Lady Berwick siedziała w jednym z dwóch foteli ustawionych przed kominkiem. Jej twarz była nieruchoma niczym maska z gipsu, którą suszyła w cieple ognia. Nie raczyła podnieść wzroku.

Helen usiadła w drugim fotelu.

– Pani, dziecko, które przyprowadziłam…

– Wiem, kim jest – warknęła hrabina. – Skóra zdjęta z ojca. Mam rozumieć, że teraz będziesz przygarniała wszystkie jego bękarty jak bezdomne koty?

Helen milczała, wpatrując się w ogień, tymczasem hrabina łajała ją tonem, który byłby w stanie ściąć bieżnik z koła powozu. Padły kąśliwe uwagi na temat jej charakteru i wychowania, na temat samego rodu Ravenelów oraz niebezpiecznej głupoty niektórych kobiet, którym się wydaje, że nie muszą przestrzegać zasad ani zważać na opinię społeczną. Osobnej porcji zjadliwej krytyki doczekał się Albion Vance, a z nim cały męski ród.

Wreszcie matrona spojrzała na Helen. Nozdrza jej falowały, a podbródek drgał z gniewu.

– Nie spodziewałam się tego po tobie. Taka intryga! Taki wstyd! Jesteś na krawędzi upadku. Czy nie widzisz, lekkomyślna

dziewczyno, że próbuję cię odwieść od porzucenia drogi życia, na której mogłabyś czynić dobro dla ludzi? Mogłabyś pomóc tysiącom sierot, a nie tylko jednej! Czy masz mnie za człowieka bez serca? Chwalebna jest twoja troska o to stworzenie, chcesz jej pomóc i możesz to zrobić, ale nie w ten sposób. Ona jest dla ciebie niebezpieczna, Helen. Jej podobieństwo do ciebie jest rujnujące! Każdy, kto was zobaczy, natychmiast dojdzie do jednego wniosku. I nieważne, że nie będzie to prawda. Plotka nie musi być prawdziwa, ona musi być interesująca.

Helen patrzyła na starszą kobietę. W pewnym momencie uświadomiła sobie, że jakkolwiek lady Berwick kipi furią, o czym świadczyła mowa jej ciała, oczy zdradzały coś zupełnie innego. W spojrzeniu hrabiny kryły się szczera troska, współczucie i zrozumienie.

Lady Berwick nie walczyła z Helen – ona walczyła za nią.

To dlatego Kathleen tak ją kocha…

Wreszcie hrabina skończyła tyradę i zamilkła. Helen parzyła na nią z mieszaniną wdzięczności, czułości i melancholii.

– Ma pani rację – przyznała. – W każdym aspekcie. Ale chodzi o to, że… Charity musi kogoś mieć. Musi być przez kogoś kochana. A kto ją pokocha, jeśli nie ja? – W nagłym odruchu zerwała się z fotela, przyklękła przed matroną i przylgnęła czołem do jej kolan. Poczuła, że starsza pani sztywnieje. – Przygarnęłaś Kathleen, która była zaledwie rok starsza od Charity. Pokochałaś ją, kiedy nikt inny jej nie chciał. Powiedziała mi, że uratowałaś jej życie…

– Ale nie kosztem własnego. – Hrabina z trudem wciągnęła powietrze i Helen poczuła lekki dotyk dłoni na swojej głowie. – Dlaczego ty mnie nie słuchasz, dziecko?

– Muszę słuchać mojego serca – odparła spokojnie Helen.

Jej słowa wywołały gorzki śmiech.

– Upadek każdej kobiety od czasów Ewy zaczynał się właśnie od tych słów. – Dłoń się cofnęła i Helen usłyszała nierówny oddech. – A teraz pozwól, że zostanę sama.

– Przepraszam, że przydałam pani zmartwień – szepnęła Helen, po czym złożyła szybki pocałunek na chłodnej, pomarszczonej dłoni.

Podniosła się powoli i zobaczyła, że lady Berwick szybkim ruchem odwróciła twarz. Łza zalśniła na jej pergaminowym policzku.

– Idź już – rzuciła hrabina.

Dopiero kiedy Helen zaczęła wchodzić po schodach, poczuła, jak bardzo boli ją dół pleców i jak straszliwie jest zmęczona. W chwilach słabości musiała chwytać za poręcz, aby iść dalej. Spódnice ciążyły jej jak ołów. Z każdym krokiem jej zmęczonych nóg z brudnych rąbków unosiła się niemiła woń ulicznego błota i brudów.

Kiedy była już prawie na górze, usłyszała wesołe, delikatne, melodyjne dźwięki. Znana jej muzyka pochodziła z pozytywki z różanego drewna, którą podarował jej kiedyś Rhys. Była tak duża, że stała na osobnym stoliku ze specjalną szufladą do przechowywania wymiennych mosiężnych wałków z igłami, na których były zapisane melodie. Muzyka zaprowadziła Helen do rodzinnego salonu.

Kiedy stanęła w progu, zobaczyła Pandorę. Na jej widok siostra przyłożyła palec do ust. Niebieskie oczy jarzyły się rozbawieniem.

Stały obok siebie i patrzyły, jak Cassandra kołysze się i obraca w rytm muzyki, a obok niej pląsa Charity, ubrana w białą koszulkę z podpiętymi ramiączkami, o wiele na nią za dużą. Helen nie widziała jej twarzy, ale tańcowanie boso po dywanie wyraźnie podobało się dziewczynce. Była taka filigranowa, kości sterczały jej pod skórą, wydawało się, że wystarczy dmuchnąć, a odleci jak nasionko dmuchawca. Teraz była jednak dużo czystsza, a włosy, uczesane na mokro, bardziej przylegały do jej głowy.

Mała, próbując naśladować Cassandrę, wykonywała niezgrabne podskoki i chwiejne obroty, niczym elfie dziecko. Stale sprawdzała, czy Cassandra widzi jej wyczyny, jakby spodobała się jej zabawa z dorosłą osobą.

Ten widok podniósł Helen na duchu.

Pandora chwyciła ją za łokieć i po cichu wyprowadziła na zewnątrz.

– W twoim pokoju czeka już taca z jedzeniem – szepnęła. – Jak widzisz, na razie nie musisz się zajmować Charity. I błagam cię, weź

kąpiel. Nie wiem, co to za zapach, ale Charity też tak woniała. Coś okropnego, jakby połączyć wszystkie smrody w jeden.

– Jak poszło mycie?

– Nie za dobrze. Ta mała ma na sobie brud w skali geologicznej. Trzeba go zdrapywać warstwami. Przydałyby się nam skrobaczki. Nie pozwoliła normalnie umyć sobie głowy, ale odkryłyśmy, że kiedy dało się jej szmatkę, żeby zasłoniła nią oczy, odchylała głowę na tyle, aby można jej było wylać filiżankę wody na włosy. Pozwoliła nam na to dwa razy, nie więcej. Dzieciaki potrafią być uparte.

– Teraz to odkryłaś? – spytała cierpko Helen.

– Zjadła cały talerz zupy i chleb z masłem. Nie było problemu z myciem zębów, smakował jej proszek do czyszczenia. Dziąsła ma czerwone i opuchnięte, ale ząbki są jak perełki. O ile widziałam, żaden nie jest zepsuty. Obcięłam jej paznokcie u rąk i nóg, ale brud tak się pod nie wżarł, że nie dał się wyskrobać. Na noc dałam jej jedną z moich koszulek, tylko skróciłam ramiączka. Pani Abbott pierze jej rzeczy. Chciała je spalić, ale poprosiłam, żeby tego nie robiła, bo przecież Charity nie ma innego ubrania.

– Jutro jej kupimy – powiedziała Helen nieobecnym głosem.

– Helen, czy mogę cię o coś zapytać?

– Tak, kochanie.

– Kim ona jest? Skąd pochodzi, dlaczego ją tu przywiozłaś i co zamierzasz z nią dalej robić?

Helen westchnęła ciężko.

– Długo by wyjaśniać.

– Możesz mówić, jedząc zupę.

– Nie, wolę zaczekać na Cassandrę. Za dużo tego, żeby opowiadać dwa razy.

Helen zjadła, po czym wykąpała się, włożyła koszulę i szlafrok. Usiadła na łóżku, a Charity wtuliła się w nią. Razem patrzyły, jak bliźniaczki odgrywają opowieść o trzech niedźwiadkach. Naturalnie Cassandra grała Złotowłosą, a Pandora wcielała się we wszystkie trzy miśki. Charity, zafascynowana opowieścią i wygłupami dziewcząt,

patrzyła szeroko rozwartymi oczami, jak największy z niedźwiedzi wygania Złotowłosą z pokoju.

Kiedy przedstawienie dobiegło końca, dziewczynka aż sapała z podekscytowania.

– Jeszcze, jeszcze! – zawołała.

– Teraz ja ci opowiem – powiedziała Helen.

Bliźniaczki ułożyły się na łóżku, zajmując całe wolne miejsce, i słuchały, jak ciągnie opowieść, przedłużając ją, jak to tylko możliwe. Mówiła cichym, łagodnie usypiającym głosem, obserwując, jak powieki Charity zaczynają opadać.

– Złotowłosa leżała w łóżeczku najmniejszego, malutkiego, tyciego niedźwiadka. Było bardzo przyjemne, czyste i mięciutkie, z lnianą pościelą i ciepłym kocem z wełny puchatej białej owieczki. Położyła główkę na poduszce z pierza i czuła się, jakby unosiła się na chmurce. Cieszyła się, że będzie miała cudowne sny w tym ciepłym, wygodnym łóżeczku, a rano będą przysmaki na śniadanie i kubek słodkiej czekolady dla jej głodnego brzuszka… – Przerwała, kiedy zobaczyła, że długie rzęsy opadły i spokojny oddech rozchylił usteczka dziewczynki.

– Twoja wersja była długa jak makaron, Helen – powiedziała cicho Pandora. – Jak ktoś może dosłuchać do końca, kiedy tak jednostajnie szemrzesz?

Helen się uśmiechnęła. Ostrożnie wstała z łóżka, żeby nie obudzić śpiącej dziewczynki, i starannie okryła ją kołdrą.

– Ona się nie uśmiecha – powiedziała szeptem, patrząc na małą, poważną buzię.

– Nauczy się – pocieszyła ją Pandora. – Coś czuję, że następna bajka na dobranoc będzie naprawdę ciekawa.

Helen zaczęła opowieść od niedokończonego listu, który znalazła pomiędzy notatnikami swojej mamy, a skończyła na wizycie w sierocińcu. Każda inna młoda dama o wysokich moralnych standardach, słysząc taką opowieść, byłaby wstrząśnięta i oburzona. Ale jej siostry dorastały poza kręgiem socjety i nie miały pojęcia, jak

należy stosownie zareagować, słysząc rzeczy niestosowne dla ich uszu. Helen poczuła ogromną ulgę, widząc, że choć są zaskoczone i współczują jej, przyjęły jej opowieść normalnie, bez żadnych uprzedzeń.

– Zawsze będziesz naszą siostrą – powiedziała Pandora. – Dla mnie nie jest ważne, czy spłodził cię nasz stary, straszny ojciec, czy twój nowy, straszny ojciec.

– Jakby ten jeden mi nie wystarczył – mruknęła ponuro Helen.

– Słuchaj – odezwała się Cassandra. – Jesteś pewna, że pan Winterborne nie zechce się z tobą ożenić, kiedy się o tym dowie?

– Tak, jestem pewna. I uważam, że małżeństwo ze mną nie byłoby dla niego dobre. Od dzieciństwa ciężko harował, żeby dojść do swojej obecnej pozycji. Kocha piękne, szlachetne rzeczy i zasługuje na żonę, która podwyższy jego status, a nie go zaniży.

– Ty na pewno nie zaniżysz jego statusu – zapewniła z przekonaniem Pandora.

Helen uśmiechnęła się smętnie.

– Wszystkim będę się kojarzyła ze skandalem i moralnym brudem. Kiedy ludzie będą mnie widzieli z Charity, nasze podobieństwo sprawi, że zaczną ją uważać za moją nieślubną córkę. Będą szeptać, że żona pana Winterborne'a przyprawia mu rogi. Udając, że mu współczują, za plecami będą go obmawiać i szydzić z niego.

– Głupie plotki nie mogą cię zranić – powiedziała stanowczo Pandora.

Cassandra z ubolewaniem spojrzała na siostrę.

– Plotki mogę cię wypatroszyć i sfiletować jak dorsza.

Pandora skrzywiła się, ale nie zaprzeczyła.

– Po prostu zrujnowałabym jego wizerunek – podsumowała Helen.

– Jego czy domu towarowego? – spytała rzeczowo Cassandra.

– Obu. Winterborne's to świątynia elegancji i perfekcji, a ja byłabym rysą na tym obrazie. Gorzej, ja i Charity byłybyśmy wstrętną plamą, szpecącą ideał.

– Kiedy zamierzasz z nim porozmawiać?

– Myślę, że jutro. – Helen mimo woli przyłożyła dłoń do brzucha, bo na myśl o rozmowie poczuła ostre ukłucie w żołądku. – A potem

zabiorę Charity do Eversby Priory i zostaniemy tam, dopóki Kathleen i Devon nie wrócą z Irlandii.

– Pojedziemy z tobą – oświadczyła Cassandra.

– Nie, lepiej, żebyście zostały w Londynie. Tutaj się więcej dzieje, a zresztą lady Berwick jest dla was dobra. Ona naprawdę się stara, żebyście odniosły sukces. Ja ogromnie ją rozczarowałam, więc będzie potrzebowała was jako pocieszenia i towarzystwa.

– Czy zamieszkasz z Charity w Eversby Priory? – dopytywała Cassandra.

– Nie – odparła spokojnie Helen. – Lepiej będzie dla nas wszystkich, jeśli Charity i ja wyniesiemy się gdzieś daleko, gdzie nikt nie będzie nas znał. Poza wszystkim innym, jeśli zniknę, odium mojego upadku nie zniweczy waszych małżeńskich perspektyw.

– Och, o to nie musisz się martwić – zapewniła z przekonaniem Cassandra. – Pandora w ogóle nie zamierza wyjść za mąż, a ja nie wyobrażam sobie, iż miałabym poślubić mężczyznę, który będzie mi wymawiał, że moja siostra jest lafiryndą.

– Helen, nie musisz mieszkać gdzieś daleko. – Pandora otoczyła starszą siostrę ramionami. – Ty i Charity będziecie mogły zamieszkać ze mną. Wkrótce zacznę zarabiać duże pieniądze i kupię dla nas wielki dom.

Helen przyciągnęła ją do siebie.

– Myślę, że odniesiesz wielki sukces – szepnęła.

Cassandra zamknęła je w uścisku.

– Ja też z wami zamieszkam.

– No pewnie. – Pandora uśmiechnęła się. – Po co komu mąż?

Rozdział 30

Helen obudziła się, kiedy pokojówka Agatha, która obsługiwała ją i bliźniaczki, weszła do jej sypialni ze śniadaniem na tacy.

– Dzień dobry, milady.

– Dzień dobry – odpowiedziała sennie Helen, przeciągając się w łóżku. W pierwszej chwili zaskoczył ją widok leżącego obok dziecka.

A więc to nie był sen.

Charity spała tak mocno, że nie słyszała pobrzękiwania filiżanek na tacy. Helen przyglądała się jej buzi z rosnącym zachwytem. Mimo niedożywienia policzki małej pozostały po dziecięcemu zaokrąglone. Powieki zakrywające duże oczy były cieniutkie jak papierek i poznaczone błękitnymi żyłkami. Cerę miała gładką i delikatną niczym porcelana. Helen nie zdawała sobie sprawy, jak subtelna może być taka mała istota – krucha konstrukcja złożona z kości lekkich jak u ptaka, delikatnych ścięgien, żyłek i odrobiny ciała.

Usiadła ostrożnie, a Agatha postawiła jej tacę na kolanach. Była tam filiżanka parującej herbaty, srebrny dzbanuszek z gorącą czekoladą i druga, pusta filiżanka.

– Czy mała zasnęła bez kłopotów, milady?

– Tak. I chyba nie kręciła się w nocy. Prosiłam wczoraj o herbatę do łóżka na rano, bo tego nie pamiętam? – Zawsze Helen schodziła na dół na śniadanie.

– Nie prosiła pani – odparła Agatha. – Hrabina kazała mi przynieść herbatę i czekoladę dla dziecka.

– To miło z jej strony.

W pierwszym odruchu Helen uznała ten gest za wyciągnięcie ręki do zgody po wczorajszej bardzo niemiłej rozmowie. Za moment przekonała się jednak, jak bardzo się myli.

Spod talerzyka wystawała zapieczętowana, złożona kartka. Helen wyjęła ją, rozłożyła i zaczęła czytać:

„Helen!

Po namyśle uznałam, że jest tylko jeden sposób wyciągnięcia Cię z bagna, w które się wpędziłaś. Dziecko i odpowiedzialność za nie to sprawa pana Vance'a, nie Twoja. Najwyższy czas, żeby rozwiązał problemy, które sam stworzył. Dziś rano posłałam mu wiadomość, że jak najszybciej ma odebrać swoją córkę i zająć się nią, jak należy.

W ten sposób zostałaś uwolniona od niepotrzebnego obowiązku.

Spodziewam się, że pan Vance przybędzie tu w ciągu godziny. Każ ubrać dziecko, żeby było gotowe. I postaraj się uniknąć scen, gdy będzie odjeżdżać.

Tak będzie najlepiej. Jeśli nie rozumiesz tego teraz, zrozumiesz wkrótce".

Helen spazmatycznie wciągnęła powietrze i odłożyła list. Pokój zdawał się wirować wokół niej. Vance przyjedzie, bo chce, żeby wyszła za Winterborne'a, a Charity jest przeszkodą dla jego planów. A jeśli zabierze dziecko ze sobą, mała może umrzeć! Nie chodzi o to, że Vance ją zabije, tylko znów zostawi w miejscu, gdzie nie będzie miała szans na przeżycie. Przecież już raz omal do tego doprowadził.

Po moim trupie! Helen sięgnęła po filiżankę, ale ręka drżała jej tak, że nie była w stanie podnieść jej do ust. Drgnęła, kiedy gorące krople spadły na jej koszulę.

– Czy coś się stało, milady? – zapytała Agatha.

– Nie, nic. – Helen ostrożnie odstawiła filiżankę na tacę. – Ale lady Berwick prosiła, żebym szybko ubrała Charity i przygotowała ją do wyjścia. Potrzebne mi jest jej ubranie. Czy możesz przysłać do mnie panią Abbott? Muszę z nią porozmawiać.

– Tak, milady.

Kiedy pokojówka wyszła, Helen wyskoczyła z łóżka i pobiegła do garderoby. Zdjęła z półki gobelinową torbę podróżną i zaczęła do niej wrzucać najpotrzebniejsze rzeczy, jak szczotka do włosów, chusteczki do nosa, rękawiczki, pończochy i słoiczek z maścią. Dorzuciła jeszcze puszkę proszku przeciwmigrenowego. Nie sądziła, żeby potrzebowała go w podróży, ale po przyjeździe – owszem.

– Helen? – Charity obudziła się, usiadła na łóżku i rozejrzała po pokoju. Oczy miała wielkie i widać było, że się wyspała. Kępka niesfornych kosmyków sterczała na jej główce jak ptasie pióra.

Helen uśmiechnęła się, przemagając dławiącą panikę, i podeszła do niej.

– Dzień dobry, kurczaczku. – Uścisnęła dziewczynkę. Chude ramionka objęły ją ufnie. – Ładnie pachniesz.

Helen pogładziła małą po główce, po czym podeszła do tacy, którą odstawiła na stolik, i nalała czekoladę do filiżanki. Czubkiem małego palca sprawdziła, czy nie jest za gorąca.

– Napijesz się czekolady, Charity?

Odpowiedziała jej pełna zakłopotania cisza.

– W takim razie spróbuj. – Helen podała małej filiżankę i pomogła cienkim paluszkom przytrzymać ciepłą porcelanę.

Dziewczynka upiła łyczek, oblizała się i popatrzyła na Helen z promiennym uśmiechem. Zaczęła pić małymi łykami, jakby nie chciała za szybko kończyć.

– Zaraz wrócę, kochanie – mruknęła Helen. – Muszę obudzić moje zaspane siostrzyczki.

Niespiesznie podeszła do drzwi, ale gdy tylko znalazła się na korytarzu, pognała do pokoju Cassandry.

Siostra spała jak zabita.

– Cassandra – szepnęła Helen, chwytając ją za ramię i potrząsając. – Proszę, obudź się. Musisz mi pomóc.

– Jest za wcześnie…

– Za godzinę będzie tu pan Vance. Ma zabrać Charity. Błagam, pomóż mi. Muszę szybko uciekać z Ravenel House.

Cassandra usiadła gwałtownie i popatrzyła na siostrę wielkimi oczami.

– Co?

– Pędź po Pandorę i zaraz bądźcie u mnie. Tylko cicho.

Po pięciu minutach bliźniaczki stawiły się w pokoju Helen. Dała im do przeczytania liścik od hrabiny.

Po chwili na twarzy Pandory pojawił się gniew.

– Zostałaś uwolniona od niepotrzebnego obowiązku – zacytowała i rumieniec rozpalił jej policzki. – Nienawidzę jej.

– Niesłusznie – powiedziała łagodnie Helen. – Lady Berwick działa w dobrej wierze, choć błądzi.

– Nie obchodzi mnie jej dobra wiara, jeśli ma doprowadzić do nieszczęścia.

Nagle ktoś dyskretnie zapukał do drzwi.

– Lady Helen? – usłyszały głos pani Abbott.

– Proszę, wejdź.

Gospodyni wniosła do pokoju stosik świeżo upranych rzeczy.

– Czyste i pocerowane – oznajmiła. – W pończoszkach same dziury, ale jakoś je połatałam.

– Dziękuję. Charity się ucieszy. – Helen pokazała na łóżko, aby uświadomić wszystkim, że mała słyszy każde słowo. Potem podsunęła gospodyni wiadomość od lady Berwick i zaczekała, aż kobieta przeczyta. – Nie miałam okazji ci tego wyjaśnić, ale… – zaczęła przepraszającym tonem.

– Jesteś z rodu Ravenelów, milady – odparła z przekonaniem pani Abbott. – Tyle mi wystarczy. Co pani zamierza?

– Jadę na stację Waterloo, żeby złapać najbliższy pociąg do Hampshire.

– Powiem stangretowi, żeby przygotował powóz.

– Nie, to za długo potrwa. Poza tym mogą nas zauważyć. Muszę wyjść drzwiami dla służby i przy głównej ulicy złapać dorożkę.

Pani Abbott zrobiła wielkie oczy.

– Ależ, milady, dorożka…

– Nie musisz się martwić. Problem w tym, że kiedy pan Vance zobaczy, że mnie tu nie ma, pojedzie na dworzec. Będzie dla niego oczywiste, że zabrałam Charity do Eversby Priory.

– Będziemy grać na zwłokę – zapewniła Pandora. – Zamkniemy drzwi twojej sypialni i będziemy udawały, że pomagamy ci przy

Charity.

– A ja porozmawiam ze stangretem – dodała pani Abbott. – Kiedy pan Vance będzie chciał odjechać, okaże się, że z koła wyleciał sworzeń.

Helen impulsywnie chwyciła dłoń gospodyni i pocałowała ją. Pani Abbott nerwowo cofnęła rękę.

– Nie trzeba, milady. Przyślę Agathę, żeby pomogła pani się ubrać.

– A my zajmiemy się resztą – powiedziała Cassandra.

Następne kilkanaście minut wypełniły szepty oraz gorączkowa, dziwna aktywność. Kiedy przyszła Agatha, Helen zdążyła już włożyć bieliznę i zmagała się z gorsetem, w pośpiechu walcząc z haftkami. Pokojówka podeszła i sprawnie dokończyła zapinanie.

– Moja mama zawsze mówiła „spiesz się powoli" – mruknęła.

– Spróbuję zapamiętać – obiecała Helen.

Kiedy gorset był zapięty, Agatha przeszła do garderoby.

– Nie, zostaw – powstrzymała ją Helen, widząc, czego szuka. – Nie biorę tiurniury.

– Milady? – Agatha wyraźnie była w szoku.

– Po prostu upnij moją podróżną suknię z tyłu – nakazała Helen. – Muszę się dziś swobodnie poruszać, a nie drobić kroczki.

Agatha wróciła szybko z czarną podróżną spódnicę i białą bluzką.

W drugiej części pokoju Cassandra błyskawicznie ubierała Charity, opowiadając jej z uśmiechem, że zaraz pojedzie do miasta razem z Helen.

– Pandoro, ona nie ma płaszcza ani niczego na głowę – zauważyła nagle. – Możesz przynieść szal albo coś podobnego?

Pandora skoczyła do swojego pokoju, by po chwili wrócić z szalem oraz niewielkim kapelusikiem wiązanym pod brodą. Na szczęście dziecięce nakrycia głowy niewiele się różniły od damskich.

Kiedy Helen była już ubrana, Agatha spytała:

– Może polecę do kuchni i spakuję pani coś na drogę, milady?

Cassadra, słysząc odgłosy z zewnątrz, rzuciła od strony okna:

– Nie ma czasu. – W jej głosie brzmiało napięcie. – Powóz pana Vance'a właśnie tu jedzie.

Pokojówka zgarnęła rozpuszczone włosy swojej pani, w pośpiechu skręciła je parę razy, zwinęła w kok i wyciągając szpilki z własnej

fryzury, upięła go pospiesznie. Pandora skoczyła do garderoby po kapelusz, cisnęła pokojówce, a ta szybko nasadziła go Helen na głowę.

– Masz pieniądze? – upewniła się Cassandra.

– Tak. – Helen wyjęła rękawiczki z torby podróżnej i zamknęła zameczek. – Charity – zmusiła się do uśmiechu – jedziemy do miasta?

Dziecko kiwnęło głową. W kapelusiku przykrywającym niesforne włosy i szalu, pod którym nie było widać stroju z sierocińca, wyglądała całkiem ładnie i schludnie.

Cassandra spojrzała na Helen.

– Podziwiam twoje opanowanie.

– Daj spokój, serce mi się trzepocze – odparła Helen. – Szybko, pożegnajmy się.

Cassandra cmoknęła ją w policzek.

– Kocham cię – szepnęła i przykucnęła, żeby uścisnąć Charity.

Pandora także pocałowała Helen, a potem pochyliła się nad dziewczynką i na moment ujęła jej buzię w dłonie. Mała najwyraźniej stwierdziła, że Pandora, tak jak poprzedniego wieczoru, chce sprawdzić, czy ma czyste ząbki, i wyszczerzyła się do niej.

Pandora się uśmiechnęła. Delikatnie zamknęła dziewczynce buzię i cmoknęła ją w nosek, po czym wstała i skinęła głową w stronę Helen.

– Zyskamy dla ciebie tyle czasu, ile się da – obiecała.

Helen chwyciła gobelinową torbę, wzięła dziecko za rękę i w krok za Agathą wyszła z pokoju. Zaledwie przekroczyła próg, zgrzytnął klucz w zamku.

Rozdział 31

Dorożka pędziła jak szalona na dworzec Waterloo, kołysząc się, podskakując i wykonując samobójcze manewry. Helen zauważyła, że bardziej dzielna czuje się w obecności dziecka, niż gdyby była sama. Nie chciała, żeby Charity zaczęła się niepokoić, więc zagadywała ją bez przerwy, wygłaszając głupie komentarze typu „Cudownie, prawda?", kiedy koło wpadło w dziurę i powóz na moment wyskoczył w powietrze, albo: „Ale zabawa!", kiedy omal nie zderzyli się z omnibusem. Charity milczała, wpatrzona w ruchliwy, chaotyczny świat za oknem. Było jasne, że należy do dzieci, które nie marudzą i nie skarżą się, choćby się bały albo czegoś by im brakowało. Helen była bardzo podobnym dzieckiem i często ją za to chwalono. Dzisiaj nie miała pewności, czy to dobra cecha.

Fiakier zatrzymał się przy Waterloo Road, przed jednym z wielkich, zadaszonych peronów. Helen zapłaciła, chwyciła torbę, wyszła z powozu, po czym sięgnęła po dziecko. Gdy Charity wpadła w jej ramiona, opuściła ją na chodnik i uśmiechnęła się z triumfem. Nie zrobiłabym tego w tiurniurze, pomyślała. Ruszyła przed siebie, w jednej ręce trzymając torbę, a drugą ściskając małą dłoń dziecka. Szybko otoczył ją tłum wlewający się na stację.

Do kas prowadziła wąska alejka, wijąca się pomiędzy wiatami, budkami i innymi tymczasowymi konstrukcjami. Stacja ciągle się rozbudowywała, czego rezultatem była jedna wielka prowizorka. Helen mocniej ścisnęła rączkę siostrzyczki i stanęła z nią w długiej kolejce po bilety. Z nudów obserwowała, jak bagażowi, porządkowi, konduktorzy i inni pracownicy dworca kręcą się wśród podróżnych.

Kiedy wreszcie dopchała się do okienka, kasjer poinformował ją, że pociąg do Alton odchodzi za półtorej godziny.

Kupiła dwa bilety w pierwszej klasie. Ucieszyła się, że nie przepuściła pociągu, ale była niezadowolona, że będą musiały tak długo czekać. Liczyła jednak, że bliźniaczki i służba zdołają przetrzymać Vance'a na tyle długo, by nie zastał ich tu, kiedy dotrze na dworzec.

Podeszła z Charity do stojaków, na których kiosk wystawił gazety, groszowe powieści i periodyki. Można też było dostać kanapki w pudełeczkach, przekąski i herbatę. Helen zapłaciła za kubek mleka i bułeczkę dla Charity, po czym wybrała spośród książek ilustrowaną bajkę dla dzieci.

Przeszły do poczekalni pierwszej klasy, gdzie jedyne umeblowanie stanowiły proste, drewniane ławki bez oparć. Niektórzy oczekujący pasażerowie narzekali, że nie ma wyścielanych kanapek, a ściany są gołe i odrapane. Reszta siedziała ze stoickim spokojem. Helen wypatrzyła pustą ławkę w kącie. Usiadła tam wraz z dzieckiem, postawiwszy torbę na podłodze. Kiedy dziewczynka wypiła i zjadła, Helen położyła sobie książkę na kolanach i zaczęła przewracać kartki.

Podekscytowana Charity pokazała na ilustrację z trzema niedźwiadkami.

– Poczytaj mi tę bajkę – poprosiła. – O misiach.

Helen się uśmiechnęła.

– Jeszcze ci się nie znudziła?

Charity pokręciła głową.

Helen, szukając początku bajki, zauważyła inny tytuł: *Czerwone pantofelki*. Znieruchomiała i zmarszczyła brwi.

– Zaczekaj, muszę coś zrobić – powiedziała i gwałtownym ruchem wydarła z książki kartki ze znienawidzoną bajką. Niestety razem z nią zniknął też *Jaś Fasolka*, ale Helen uznała, że nie ma wyjścia.

Słysząc dźwięk rozdzieranego papieru, kobieta siedząca obok spojrzała na nich z dezaprobatą. Helen w buntowniczym odruchu odpowiedziała jej wyzywającym spojrzeniem i zmięła kartki w kulkę. Wrzuciła ją do torby i powiedziała z satysfakcją:

– No, teraz dobrze.

W końcu wróciła do bajki o niedźwiadkach i cichym głosem zaczęła ją czytać dziecku.

Płynęły minuty. Helen co chwila zerkała na wejście, bojąc się, że zobaczy w nim Albiona Vance'a. Co zrobi, jeśli je odnajdzie? Czy będzie próbował odebrać jej dziecko siłą? W miejscu publicznym, w sporze z eleganckim, szacownie wyglądającym dżentelmenem jako kobieta miała nikłe szanse na obronę swoich racji. Nikt nie kiwnie palcem w jej sprawie.

Pomieszczenie było nieogrzewane. W lodowatych przeciągach Helen marzły nogi. Zaczęła poruszać zdrętwiałymi palcami, aż przeszyły je igiełki bólu. Ławka wydawała się coraz twardsza, a Charity straciła zainteresowanie książką. Tuliła się do Helen, trzęsąc się z zimna. Helen ciaśniej owinęła szalem szczupłe ciałko dziewczynki, żałując, że nie wzięła kocyka. Ludzie wychodzili na peron, przychodzili nowi, a one wciąż siedziały. Gwizdy pociągów i pokrzykiwania zaczęły działać Helen na nerwy.

Nagle zobaczyła, że ktoś wyraźnie zmierza w ich stronę. Nerwowo uniosła głowę, serce zaczęło jej walić z przestrachu. Na szczęście nie był to Vance, tylko drobny, starszy kasjer – ten sam, który sprzedał jej bilet. Miał miłą twarz oraz szary wąs z końcami wygładzonymi woskiem i podkręconymi do góry, który nadawał jego obliczu wiecznie uśmiechnięty wyraz.

– Przepraszam szanowną panią – powiedział zniżonym głosem. – Czeka pani na pociąg do Alton?

Helen nieznacznie skinęła głową, zaskoczona, że nie zatytułował jej „milady", ale w porę przypomniała sobie, że kupiła bilet jako zwykła pani Smith.

– Jest przynajmniej o godzinę opóźniony – oznajmił kasjer.

Nie zdołała ukryć zawodu.

– Czy mogę wiedzieć z jakiego powodu?

– Musi czekać na wjazd przed dworcem, gdyż mamy za mało peronów. Pociąg specjalny wywrócił nam cały rozkład jazdy.

Kolejna godzina czekania. Dodatkowy czas dla Albiona na znalezienie jej.

– Dziękuję, że mnie pan powiadomił.

Urzędnik jeszcze bardziej ściszył głos:

– Szanowna pani, w świetle nowych okoliczności i wziąwszy pod uwagę, że pani jedna jest tu z małym dzieckiem… czy nie wolałaby pani poczekać w wygodniejszym miejscu? Nie oferujemy tego każdemu, ale ponieważ malutka trzęsie się z zimna…

– Czy ta poczekalnia jest niedaleko? – spytała nieufnie Helen.

Uśmiech jeszcze wyżej uniósł wąsy mężczyzny.

– To pomieszczenie biurowe na zapleczu kas. Tam jest dużo cieplej i spokojniej. Będzie pani mogła poczekać na wygodnej kanapie.

Oferta była nie do odrzucenia. Nie dość, że będą miały lepsze warunki, to jeszcze nie znajdzie ich tam Vance.

– Nie chciałabym przegapić pociągu – rzekła niepewnie.

– Powiadomię panią, kiedy będzie pora.

– Dziękuję. – Helen poprawiła Charity szal i kapelusz. – Poczekamy na pociąg w innym pokoju, gdzie będzie cieplej – szepnęła do dziecka.

Wstała i sięgnęła po torbę, starając się nie zwracać uwagi na dolegliwości zesztywniałego, zmarzniętego ciała.

Wyszli z poczekalni, minęli kasy i znaleźli się w korytarzu z wewnętrznymi biurowymi pomieszczeniami. Kasjer otworzył przed Helen ostatnie drzwi.

Pomieszczenie wyglądało przyjemnie i było czyste. Na ścianach wisiały mapy, biurko było zawalone rozkładami jazdy, książkami i gazetami, a zza okiennej żaluzji było widać jeden z głównych peronów. Przy biurku stało niewielkie krzesło, a w rogu duży, wygodny fotel z zagłówkiem.

– Czy odpowiada pani to miejsce, milady? – zapytał mężczyzna.

– Tak. Bardzo panu dziękuję. – Helen uśmiechnęła się do niego, choć jej nerwy zadrgały w nagłym uczuciu niepokoju.

Gdy kasjer wyszedł, zajęła się Charity. Posadziła ją w fotelu z torbą, żeby mogła się o nią oprzeć, i przykryła szalem. Dziewczynka z zadowoleniem skuliła się w kłębuszek.

Helen podeszła do okna i popatrzyła na zatłoczony peron. Nagle coś ją zaniepokoiło. Czy ten człowiek zatytułował ją „milady”? Tak. Do tego stopnia przywykła do owej arystokratycznej formy, że nie od razu zwróciła na nią uwagę. A przecież nie mógł wiedzieć o jej pochodzeniu. Nie podała mu prawdziwego nazwiska.

Poczuła chłód w żołądku.

W paru krokach dopadła drzwi i otworzyła je. Okazało się, że wyjście blokuje stojący za progiem mężczyzna w ciemnym surducie i kapeluszu z wąskim rondem. Najpierw poznała ten kapelusz, a potem niebieskie oczy.

To był ten sam młody człowiek, który stanął w obronie jej i doktor Gibson, kiedy zostały napadnięte w drodze z sierocińca Stepney!

Helen była w szoku.

– Co pan tu robi? – zapytała niepewnie.

Odpowiedział nieznacznym uśmiechem, który miał jej dodać otuchy.

– Strzegę twojego bezpieczeństwa, milady.

Helen z trudem wciągnęła powietrze.

– Chcę stąd wyjść. Z dzieckiem.

– Obawiam się, że to niemożliwe.

– Jak to?

– Musisz pani jeszcze trochę poczekać.

Drzwi zamknęły się jej przed nosem.

Bezsilnie zacisnęła pięści, wściekła na niego, na całą sytuację, ale przede wszystkim na siebie. Nie powinna ufać nieznajomemu. Ależ była głupia! Łzy napłynęły jej do oczu, musiała wytężyć całą siłę woli, żeby się opanować. Odetchnęła kilka razy i spojrzała na Charity. Dziewczynka spała, zmęczona nadmiarem nowych doświadczeń.

Helen podeszła do okna, rozchyliła żaluzję i popatrzyła na peron ósmy. Akurat nadjechał pociąg. Miał ten sam numer, który widniał na jej bilecie. A więc wcale nie był opóźniony! Dopadła fotela, chwyciła torbę i sapiąc z wysiłku, drugą ręką uniosła śpiące dziecko. Podeszła do drzwi i z całych sił w nie kopnęła.

Otworzyły się z impetem. Młody mężczyzna po drugiej stronie rzucił jej pytające spojrzenie.

– Czy potrzebujesz czegoś, milady?

– Tak, muszę wyjść. Mój pociąg właśnie wjechał na peron.

– Musi pani zaczekać jeszcze parę minut.

– Nie mogę czekać! Kim pan jest? Dlaczego pan to robi?

Drzwi znów się zamknęły, jednak tym razem, ku wściekłemu zaskoczeniu Helen, klucz obrócił się w zamku. Z desperacją zacisnęła

powieki.

– Przepraszam… – szepnęła z ustami przy główce dziecka. – Przepraszam. – Zaniosła małą z powrotem na fotel, umościła ją tam i okryła, po czym zaczęła wielkimi krokami przemierzać pokój.

Po kilku minutach na korytarzu dały się słyszeć dwa męskie głosy, prowadzące przyciszoną rozmowę.

Gdy klucz w zamku ponownie zgrzytnął, Helen skoczyła w stronę Charity i zasłoniła ją własnym ciałem. Serce łomotało jej z przerażającą siłą, kiedy ośmieliła się unieść głowę i zobaczyć, kto stoi w progu.

– Rhys…? – wyjąkała, niebotycznie zdumiona.

Wszedł do pokoju, nie spuszczając z niej twardego spojrzenia obsydianowych oczu. Lekko przechylił głowę, gdy dostrzegł za jej plecami śpiące w fotelu dziecko.

Helen uświadomiła sobie, że nigdy dotąd nie był na nią zły. Teraz był naprawdę wściekły. Nie mogąc znieść męczącej atmosfery, odezwała się niepewnie:

– Miałam wsiąść do pociągu do Hampshire…

– Możesz pojechać następnym. A teraz masz mi wyjaśnić, o co w tym wszystkim chodzi, do jasnej cholery! – Jego źrenice niebezpiecznie się zwęziły. – Zacznijmy od wyjaśnienia, co robisz tu z córką Albiona Vance’a?

Rozdział 32

Pomyślała, że to upokarzające, jak łatwo dała się osaczyć i wmanewrować. Wzbierała w niej wściekłość. Zerknęła na Charity, która wciąż smacznie spała w fotelu.

– Nie chcę jej budzić. Czy możemy porozmawiać w innym pokoju? – zapytała.

Rhys bez słowa wyprowadził ją na korytarz. Helen nienawidziła sposobu, w jaki nią sterował dłonią trzymaną na jej karku – jakby była bezbronnym kociakiem. Na dodatek robił to na oczach swojego… pomagiera czy kimkolwiek był ten młody mężczyzna. Poprowadził ją do innego biurowego pokoju po drugiej stronie korytarza. Po drodze przystanął na moment i rzucił do człowieka w kapeluszu:

– Ransom, nie dopuszczaj nikogo do dziecka.

– Tak, proszę pana.

Pokój był mniejszy; mieściły się w nim tylko biurko, krzesło i regalik. Helen miała wrażenie, że Rhys wypełnił całą jego przestrzeń. Był skupiony, pewny siebie i przyglądał się jej czujnym, kalkulującym spojrzeniem. Tak musiał wyglądać, kiedy siadał do rozmów o interesach.

Cofnęła się, by zająć jedyne wolne miejsce pod ścianą, pomiędzy biurkiem a oknem.

– Ten człowiek w korytarzu… pracuje dla ciebie?

– Tak.

– Wynająłeś go, żeby mnie śledził?

– Początkowo miał śledzić Vance'a. Doszły mnie słuchy o jakichś szemranych interesach, w które się zaangażował. W ten sposób

wszedł mi w drogę. Przy okazji, i ku mojemu zaskoczeniu, dowiedziałem się z raportu, że Vance nie tylko odwiedził Ravenel House, ale i spotkał się z tobą ponownie następnego dnia. Odbyliście prywatną rozmowę w muzeum. – Zamilkł na moment, mierząc Helen chłodnym wzrokiem. – Zainteresowało mnie, że nie uznałaś za stosowne wspomnieć mi o tym.

– Dlaczego mnie nie spytałeś? – odparowała.

– Bo chciałem, żebyś sama mi powiedziała. Mogłaś to zrobić sto razy wtedy, w oranżerii.

Helen poczuła, że policzki jej płoną, kiedy przypomniała sobie tamten wieczór. Widząc to, Rhys uśmiechnął się z ironią, jednak litościwie powstrzymał się od komentarza.

– Ale nie powiedziałam – stwierdziła Helen. – To wtedy kazałeś Ransomowi mnie śledzić?

– Nie miałem innego wyjścia – odparł z nieskrywanym sarkazmem. – Zwłaszcza po tym, jak ty i doktor Gibson wypuściłyście się do doków East Endu tuż przed nastaniem zmroku.

– Czy powiedziała ci, kim jest Charity?

– Nie. Ransom przekupił przełożoną sierocińca. Kiedy przycisnąłem doktor Gibson w tej kwestii, kazała mi iść do diabła.

– Proszę, żebyś jej nie karał. Towarzyszyła mi, bo powiedziałam, że pojadę tam sama, jeśli nie zechce mi pomóc.

O dziwo, na te słowa lodowata bariera Rhysa stopniała.

– Helen, na litość boską! – Dziko potoczył wzrokiem po pokoju, jakby szukał czegoś, na czym mógłby się wyżyć. – Powiedz mi, że nie pojechałabyś tam sama! Powiedz mi, bo jeśli nie, to…

– Nie pojechałabym – zapewniła pospiesznie. – I nie pojechałam. Przecież towarzyszyła mi doktor Gibson.

Rhys spiorunował ją spojrzeniem, które mogło zabić. Teraz jemu także zapłonęły policzki.

– Mówisz o niej tak, jakby mogła ci zapewnić odpowiednią ochronę! Na samą myśl o tym, że biegłyście przez Butcher Row wśród tłumów dziwek, złodziei i…

– Nie biegłyśmy, tylko normalnie szłyśmy – sprostowała Helen z irytacją. – Pojechałam tam, bo nie miałam wyboru. Musiałam sprawdzić, czy Charity jest bezpieczna, i okazało się… że nie jest.

Sierociniec był koszmarny, a dziecko trafiło do niego, bo nikt go nie chciał. Zjawiłam się w samą porę. Chcę zatrzymać Charity i zająć się nią.

– Do licha, czemu?! Przecież nic cię z nią nie łączy!

– Ona jest moją siostrą! – wyrzuciła z siebie Helen, po czym spazm zdławił jej gardło.

Ciemna cera Rhysa poszarzała niczym popiół. Popatrzył na Helen, jakby widział ją po raz pierwszy w życiu, i powoli oparł się o krawędź biurka.

– Vance i moja matka… – Niekontrolowany szloch zdławił jej słowa w gardle.

Ciasne pomieszczenie wypełniła pełna napięcia cisza.

Minęła dobra minuta, zanim Helen zdołała się opanować na tyle, by mówić dalej:

– Przepraszam. Nie powinnam ukrywać przed tobą tych spraw, ale kiedy dowiedziałam się o wszystkim, nie wiedziałam, jak ci to powiedzieć. Wybacz mi…

Wzburzenie wyparowało z mężczyzny. Sprawiał wrażenie oszołomionego i zdezorientowanego.

– Kiedy się dowiedziałaś?

Helen zaczęła od początku, choć miała już dosyć opowiadania o tym kolejny raz. Przepełniały ją rezygnacja, smutek i spokój. Czuła się jak skazana dusza w swoich ostatnich momentach. Strasznie było słowo po słowie odcinać więzy, które ich łączyły, aż do ostatniego. Ale przyszła też ulga. Kiedy stanie się najgorsze, nie będzie już czego się bać.

Rhys słuchał z pochyloną głową; jego dłonie z miażdżącą siłą ściskały krawędź biurka.

– Chciałam jeszcze przez chwilę być z tobą, zanim na zawsze cię stracę – wyznała Helen. – Wiem, to było samolubne z mojej strony. Powinnam była już wtedy wyznać ci prawdę. Tylko… utrata ciebie jest jak powolna śmierć, a ja nie miałam siły, aby… – Urwała, bo uderzyło ją, jak bardzo melodramatycznie brzmi, jakby chciała coś jeszcze uzyskać, choć przecież niczego nie udawała. Wzięła się w garść i mówiła dalej, już spokojniejszym głosem: – Ty dasz sobie radę beze mnie, ale Charity nie. Oczywiście to dla mnie jasne, że

nasze małżeństwo nie może dojść do skutku. Myślę, że byłoby najlepiej dla nas obojga, gdybym na stałe wyjechała z Anglii.

Czekała, aż Rhys wreszcie coś powie. Nie chciała, żeby tak na nią patrzył. A już na pewno nie chciała, by tak ciężko oddychał, jakby zaraz miał stracić nad sobą kontrolę i zrobić coś strasznego.

– Czy to twoje ostateczne postanowienie? – upewnił się, nie podnosząc głowy.

– Tak. Zamierzam wyjechać z Charity do Francji. Tam zajmę się jej wychowaniem. A ty będziesz mógł nadal robić swoje… I nikomu już nie będę przeszkadzała.

Rhys wymamrotał coś pod nosem.

– Co? – spytała Helen, pochylając się ku niemu.

– Powiedziałem „tylko spróbuj". – Oderwał się od biurka, z przerażającą szybkością dopadł Helen i oparł dłonie płasko o ścianę po bokach jej głowy, zamykając ją w pułapce swojego ciała. Mężczyzna wbił spojrzenie w jej przerażoną twarz. – Tylko spróbuj mnie porzucić, a zobaczysz – zagroził. – Jedź sobie do Francji albo nawet na koniec świata, a przekonasz się, jak szybko cię odnajdę. Nawet nie zdążysz odetchnąć! – Nie spuszczając z niej wzroku, wziął parę głębokich oddechów. – Kocham cię, Helen. I nic tego nie zmieni, choćby twój ojciec był samym diabłem! Jeśli chcesz, możesz mi wbić nóż w serce, a umrę z twoim imieniem na ustach.

W tym momencie Helen sama wolałaby umrzeć. Twarz Rhysa rozpływała się jej przed oczami.

– Chyba… przecież nie chcesz spędzić życia z dwiema córkami Albiona Vance'a? – Nie chciała tego powiedzieć, lecz sądziła, że powinna. Szloch odbierał jej oddech.

– Wiem, czego chcę. – Winterborne przyciągnął ją do siebie i nachylił głowę ku jej twarzy.

Bez przekonania próbowała mu się wywinąć. Nie zdążyła, bo palące wargi przesunęły się po jej szczęce. Wparła się pięściami w jego pierś z takim samym skutkiem, jakby chciała odepchnąć ceglany mur.

– Puść mnie… – załkała zdesperowana, bo wiedziała, że Rhys działa pod wpływem chwili. Ale nawet siła jego woli i pożądania nie

mogła zmienić faktów. Będzie musiał się z nimi zderzyć, czy tego chce, czy nie.

Zaczął całować jej szyję, drapiąc zarostem delikatną skórę. Czułe wargi muskały pulsującą pod skórą żyłkę.

– Przecież mówiłeś, że jego potomstwo jest diabelskim pomiotem…

Rhys gwałtownie uniósł głowę i wbił w Helen płonące spojrzenie.

– Nie miałem na myśli ciebie. Nawet jeśli mówiłem jakieś cholernie przykre rzeczy, nie myślałem o tobie.

– Ile razy na mnie spojrzysz, będziesz pamiętał, że mam w sobie połowę jego krwi.

– Nie. – Uniósł rękę i kciukiem starł łzę z policzka Helen. – Ty jesteś tylko moja. – Głos miał niski i nabrzmiały od emocji. – Każdy włos na twojej głowie jest mój. Każda część ciebie istnieje po to, żebym cię kochał.

Znów się nad nią pochylił. Helen próbowała go odepchnąć, ale nie miała szans w starciu z podnieconym, silnym ciałem. W zamęcie tych zmagań zapomniała, co chciała mu powiedzieć. Stopniowo przestawała walczyć; jej wola słabła i Rhys natychmiast to wykorzystał, przypuszczając namiętny atak na każde czułe miejsce, którego mógł dosięgnąć. Jednak stopniowo łagodniał i dotykał Helen delikatniej, bardziej czule, choć z równą namiętnością, aż przylgnęła do niego z jękiem. Poczuła, jak wyciąga szpilki, podtrzymujące jej kapelusz, a potem ściąga go z głowy i odrzuca. Ujął twarz Helen w dłonie i wygłodniały rzucił się na jej usta.

– Rhys… – wyszeptała, z wysiłkiem wykręcając się w jego ramionach. – Przestań. To… niczego nie rozwiązuje. Musisz jeszcze raz przemyśleć swoje słowa.

– Nie muszę. Chcę ciebie.

– To nie wystarczy, żeby wszystko naprawić.

– Oczywiście, że wystarczy – odpowiedział z arogancją i uporem, które ją zmroziły. Wpatrywał się w rozchylone wargi Helen, a jego oczy pociemniały w taki sposób, że przeszyły ją lodowate i zarazem palące dreszcze. Kiedy znów się odezwał, głos miał niski i chrapliwy: – Nie wiem, jak mogłaś pomyśleć, że mógłbym dalej żyć bez ciebie. Będę cię musiał za to ukarać, *cariad*. Godzinami będę się mścił… –

Niemal zmiażdżył ustami jej usta w szalonym, zmysłowym pocałunku, pełnym obietnic, które rozpalały jej krew.

Po długiej chwili sięgnął do kieszeni płaszcza i wyjął miękką białą chusteczkę. Podał ją Helen i opiekuńczo otoczył ją ramieniem, kiedy wycierała oczy, a potem nos.

– Powiedz mi, czego się obawiasz – poprosił spokojnie.

– Skandal zawsze będzie nad nami wisiał – odparła Helen znękanym głosem. – Ludzie będą nas obmawiać za plecami i mówić złe rzeczy, najgorsze rzeczy…

– Jestem do tego przyzwyczajony.

– Miałam ci pomóc w społecznym awansie, ale to już stracone. Charity i ja… – płacz powrócił w gwałtownym spazmie – …tylko pociągniemy cię w dół.

– Nie w moim świecie, *cariad*. W twoim tak. W tej cienkiej warstwie, do której tak bardzo chciałem się wcisnąć. – Ironiczny uśmieszek pojawił się na ustach Winterborne'a. – Bo pchała mnie do tego głupia duma. Chciałem im zagrać na nosie, pokazać, że Walijczyk może mieć wszystko, co zechce. Ale teraz to już się nie liczy. Liczysz się tylko ty.

– A Charity?

Żar Rhysa przygasł.

– Ona też.

Helen wiedziała, że usiłuje się przyzwyczaić do myśli o dziecku. Zdawała sobie sprawę, jak wielkie jest to dla niego wyzwanie. Być może zbyt wielkie. Ale nie mogła ustąpić.

– Nie wystarczy, że będziesz ją tolerował. Mój ojciec był zimny i mnie nie kochał, więc… – Urwała i westchnęła boleśnie.

– Popatrz na mnie. – Rhys uniósł jej podbródek. – Mogę ją pokochać, Helen. – Kiedy chciała uciec spojrzeniem w bok, przytrzymał ją mocniej. – Czy to takie trudne? Przecież połowa Charity jest tym samym, co połowa ciebie.

– A nasze drugie połówki są dziełem Albiona Vance'a – przypomniała mu z goryczą. – Nie możesz tak po prostu o tym zapomnieć i udawać, że nie ma kwestii.

– *Cariad*, nic nie jest dla mnie proste. Ale nie licz na głęboką rozmowę o moich uczuciach. W tym ci nie pomogę. Pochodzę

z Północnej Walii, gdzie wyrażamy swoje uczucia, ciskając kamieniami w drzewa. W ciągu ostatniej półtorej godziny szarpało mną więcej uczuć niż w całym moim życiu i chyba zbliżam się do kresu wytrzymałości.

– Dobrze, ale…

– Kocham cię bez względu na twoje dziedzictwo. Taką, jaka jesteś.

Rhys najwyraźniej sądził, że tymi słowami zakończył sprawę.

– Jednak…

– Przestań się ze mną spierać. Albo znajdę lepszy użytek dla twoich ust.

– Rhys, nie możesz…

Zamknął jej usta swoimi, spełniając groźbę. W pierwszym momencie Helen usiłowała się upierać, ale kiedy Rhys zaczął ją całować z pasją i żarem, szybko się poddała i bezradnie do niego przylgnęła. Pocałunek się pogłębił, rozpalając ją takim żarem, że poddała mu się całkowicie, aż uleciało zwątpienie i została czysta przyjemność.

Wtedy rozległo się pukanie do drzwi.

Helen jęknęła, protestując przeciwko nachalnemu dźwiękowi, który wdarł się w jej świat. Rhys, nie wypuszczając jej z objęć, z pomrukiem irytacji namacał klamkę. Oderwał od niej głodne wargi i rzucił mordercze spojrzenie Ransomowi, który stał w progu, taktownie patrząc w bok.

– Mam nadzieję, że to pilne – warknął Winterborne.

Helen oparła płonący policzek o jego pierś. Nad jej głową odbyła się wymiana zdań, której nie słuchała.

Krótkie westchnienie uniosło pierś Rhysa.

– Dobrze. – Niechętnie odsunął od siebie Helen i łagodnie zachęcił ją, żeby stanęła o własnych siłach. Była jak otumaniona i drżały jej nogi. – Kochanie – szepnął – chcę, żebyś wzięła Charity i poszła teraz z Ransomem. Zaprowadzi was do mojego powozu. Tam na mnie zaczekacie.

– Dokąd idziesz? – zapytała z niepokojem.

– Muszę załatwić pilną sprawę. Wkrótce do was dołączę.

– Czy chodzi o pana Vance’a? On tu jest?

Rhys popatrzył w jej zmartwione oczy, uśmiechnął się lekko i pocałował ją w czoło.

– Muszę zamienić z nim parę słów, to wszystko.

Helen stanęła w progu i odprowadziła spojrzeniem Rhysa, który wielkimi krokami przemierzał korytarz.

– Na pewno ma tylko porozmawiać? – zwróciła się do Ransoma.

Zerknął na nią z ukosa.

– Tak powiedział. Ale na miejscu pana Vance'a… starałbym się być miły dla pana Winterborne'a.

Rhys zamienił parę słów z siwowłosym urzędnikiem kolejowym i wręczył mu złoty suweren, po czym wszedł na peron ósmy. Ostatni pasażerowie wsiadali do pociągu, bagażowi wyładowywali ostatnie wózki z kuframi i walizami.

Śnieżne włosy Albiona jaśniały spod ronda melonika. Stojąc w grupie umundurowanych kolejarzy – zawiadowcy, kierownika pociągu i konduktora – władczym gestem pokazywał na wagony. Najwyraźniej żądał, aby poszukali Helen i wyprowadzili ją z pociągu. Był spokojny i racjonalny, jak drapieżnik na łowach, który nie ma pojęcia, że ściga go inny drapieżnik, dużo groźniejszy.

Obserwując go z drugiego końca peronu, Rhys mimo woli zastanawiał się, czy gdyby w momencie poznania Helen dowiedział się, że ten człowiek jest jej ojcem, bardziej by się tym przejął. Może z początku tak. Ale nie był tego pewien. Wiedział tylko, że szybko uległby jej czarowi, któremu nigdy nie potrafił się oprzeć. Teraz też nie łączył Helen z Vance'em, pomimo ich fizycznego podobieństwa i dziedzictwa krwi. Dla niego w Helen było samo dobro. Subtelny i dzielny duch; idealna mieszanka łagodności i siły, która decydowała o jej absolutnej wyjątkowości.

Nadal wzdrygał się na myśl, że wczoraj wieczorem ośmieliła się pojechać do slumsów East Endu. I choć Ransom spełnił swoją rolę, Rhys szalał z przerażenia, słuchając jego raportu. „Jesteś pewien, że nic jej się nie stało?", dopytywał po kilkanaście razy, ale żadne zapewnienia go nie zadowoliły.

W ciągu ostatnich osiemnastu godzin wiele myślał o nieszczęsnym Ioanie Crewe i wyborze, jakiego dokonał po śmierci Peggy. I dopiero teraz naprawdę go zrozumiał. A Helen musi zrozumieć, że ryzykując swoje życie, ryzykowała także jego życie. Gdyby ją stracił, załamałby się. Nie przeżyłby tego.

Na razie jednak najważniejsze było, aby uchronić Helen przed człowiekiem, który stał na peronie. Patrząc na Albiona Vance'a, Rhys pomyślał, że ludzka, lepsza część jego własnej natury została w tym momencie zepchnięta w kąt przez tę drugą, którą tak bardzo zwalczał i starał się ukryć. Stanowiła dziedzictwo jego poprzedniego, gorszego życia, w którym przemoc była chlebem codziennym i koniecznością. Lepiej, żeby nikt nie wiedział, do czego może być zdolny… A to, co chciałby zrobić Albionowi Vance'owi, zaliczało się do najgorszej kategorii.

Z wolna zbliżył się do grupy mężczyzn. Zawiadowca zauważył go pierwszy; lekko zaskoczony, zmierzył wzrokiem postawnego mężczyznę o gniewnej twarzy, bez płaszcza, kapelusza ani rękawiczek. Pozostali podążyli za jego spojrzeniem.

Kiedy Vance rozpoznał Rhysa, na jego twarzy odmalował się cały kalejdoskop uczuć – zaskoczenie, gniew, zdenerwowanie i niepokój.

– Nie ma jej w pociągu – oznajmił Rhys. – Ja ją mam.

Vance z westchnieniem zwrócił się do kolejarzy:

– Dziękuję, nie ma potrzeby was więcej trudzić. Możecie odejść.

Natarczywy dźwięk dzwonka przeszył powietrze i lokomotywa wydała dwa krótkie, przeraźliwe gwizdy.

Ponieważ nie było innego wyjścia z peronu, Vance był zmuszony przejść obok Rhysa.

– Powinienem był powiedzieć Helen, że ten bachor zmarł – odezwał się po paru krokach. – Nie przyszło mi do głowy, że może się do tego stopnia przejąć jej losem. No, ale takie są kobiety, uczucia górują u nich nad rozumem.

Winterborne milczał. Słysząc imię Helen w ustach tego drania, z trudnością hamował pragnienie, by go chwycić, połamać mu kości gołymi rękami i cisnąć na tory.

– Co zamierzasz z nią zrobić? – zapytał Vance.

– Z sierotą?

– Nie, z Helen.

Rhys zacisnął pięści. Przestań wymawiać jej imię!

– Zamierzam się z nią ożenić.

– Teraz? Po tym wszystkim? Nie do wiary! Będzie z tego niezła banda kundli! – W głosie Vance'a zabrzmiało rozbawienie. – Ale dobrze, bo moje wnuki odziedziczą twój majątek.

Kiedy doszli do kładki dla pieszych, wznoszącej się nad peronem, Rhys chwycił Vance'a za klapy i przyparł do żelaznych filarów.

Albion poczerwieniał gwałtownie, a oczy wyszły mu z orbit. Chwycił Rhysa za przeguby, kurczowo łapiąc powietrze.

Rhys pochylił się ku niemu i zaczął mówić z przerażającym spokojem:

– Kiedy byłem chłopcem, ojciec popołudniami wysyłał mnie do pracy u rzeźnika, który zranił się w rękę i potrzebował pomocy przy oprawianiu małych zwierząt. Większość mężczyzn w naturalny sposób wzdraga się przed taką robotą. I rzeczywiście, początkowo człowiekowi wywraca się żołądek. Wkrótce jednak nauczyłem się jednym ruchem rozcinać jeże wzdłuż kręgosłupa, wycinać owcze żebra czy łamać szczękę cielęciu, aby wyciąć język. Po pewnym czasie, robiąc to, myślałem o czymś innym. – Z rozmysłem na moment zawiesił głos. – Jeśli kiedykolwiek spróbujesz choć na krok zbliżyć się do mojej żony, wykroję z ciebie comber jak z jagnięcia. Zajmie mi to nie więcej niż dziesięć minut i zanim skończę, będziesz mnie błagał, żebym cię zabił. – Zwolnił chwyt i krótkim ruchem odepchnął od siebie Vance'a.

Albion wygładził płaszcz i posłał mu nienawistne, pełne wzgardy spojrzenie.

– Myślisz, że się ciebie boję? – warknął.

– Powinieneś. Mało tego, powinieneś wyjechać z Anglii. Na zawsze.

– Jestem dziedzicem tytułu earla, ty plebejska świnio. Chyba do reszty postradałeś rozum, jeśli myślisz, że zmusisz mnie do wyjazdu.

– Bardzo dobrze. Marzę, żebyś został.

– Jasne – odrzekł sarkastycznie Vance. – Abyś mógł spełnić swoje marzenie i z przyjemnością wyciąć ze mnie comber, jak rozumiem.

– Rozumiesz? – Rhys wbił w niego mordercze spojrzenie. – Przez lata głosiłeś wszem wobec, jak nienawidzisz wszystkiego, co

walijskie. Jacy jesteśmy brutalni i niecywilizowani. Jacy dzicy. Ale to tylko drobna część prawdy. Nigdy nie zapomnę straszliwych krzyków Peggy Crewe, kiedy umierała w trakcie porodu. Jakby ktoś zaczepił jej wnętrzności wędkarskim haczykiem na linie i wyszarpnął z niej. Pewnego dnia zrobię to samo z tobą, Vance. I przekonamy się, czy potrafisz krzyczeć jeszcze głośniej.

W głosie Winterborne'a zabrzmiała tak przerażająca szczerość, że uśmiech Vance'a zniknął jak zdmuchnięty płomień świecy. Teraz na jego twarzy pojawił się prawdziwy strach, widoczny w rozszerzonych źrenicach i drganiu napiętych rysów.

– Wyjedź z Anglii – poradził mu Rhys ściszonym głosem. – Bo jeśli nie, długo nie pożyjesz.

Rozdział 33

Zamieniwszy parę słów z Ransomem, który czekał obok powozu, Rhys wsiadł do środka i zastukał w sufit, dając znak stangretowi, że mogą ruszać. Sam zajął miejsce obok Helen, która siedziała w kącie z dziewczynką na kolanach. Włosy miała w niezwykłym dla siebie nieładzie i było po niej widać nerwowe napięcie.

– Czy udało ci się załatwić sprawę? – spytała niepewnym głosem.

– Tak. – Rhys musnął palcami policzek ukochanej i spojrzał jej w oczy. – Odpręż się – dodał szeptem. – Ze mną jesteś bezpieczna. On już nie będzie cię niepokoił.

Nie spuszczał z niej spojrzenia, aż napięte rysy się wygładziły, a z piersi umknęło pełne ulgi westchnienie. Uwierzyła mu i przestała się niepokoić.

– Dokąd nas wieziesz? – spytała, kiedy powóz toczył się po Waterloo.

– A dokąd byś chciała?

– Wszystko mi jedno, byle z tobą.

Zadowolony z odpowiedzi, nagrodził ją pocałunkiem. Gdy poczuł, jak dziewczynka poruszyła się pomiędzy nimi, odsunął się i po raz pierwszy przyjrzał dokładnie dziecku, które obiecał wychować jak własne. Dziewczynka miała takie same niewinne, duże oczy i platynowe włosy jak jej siostra. Uśmiechnął się z rozbawieniem, widząc, jak się odwraca i zachłannie tuli do Helen, posławszy mu kose spojrzenie. Przy tym ruchu spadł jej kapelusik, odsłaniając strzechę niesfornych kędziorów, które wyglądały, jakby w pośpiechu obcięto je ogrodniczym sekatorem.

– Pojedziemy do domu przy Cork Street i tam się zatrzymamy – oznajmił. – A ja wydam dyspozycje, abyśmy mogli jeszcze dzisiaj wyjechać w moim prywatnym wagonie do Północnej Walii.

– Uciekamy?

– Taa. Musisz być bezpieczna. Mam do wyboru: albo cię poślubić i mieć cię cały czas na oku, albo wynająć tuzin detektywów, żeby za tobą chodzili. – Rhys oparł ramię na siedzeniu za głową Helen i od niechcenia zaczął się bawić jasnym lokiem, który wymknął się spod kapelusza. – Możesz napisać wiadomość do lady Berwick i bliźniaczek, żeby wiedziały, co się stało. – Gorzki uśmiech pojawił się na jego wargach. – A skoro już chwycisz za pióro, napisz do Treneara i Ravenela. Staraj się tak dyplomatycznie dobrać słowa, aby nie zaczęli mnie od razu ścigać niczym demony zemsty.

– Oni zrozumieją – zapewniła Helen, pocierając policzek o jego dłoń.

Znów chciał ją pocałować, ale Charity obróciła się na jej kolanach i wpatrzyła w niego z niekłamanym zaciekawieniem.

– Kto to? – zapytała.

– On… – Helen się zawahała – …niedługo zostanie moim mężem.

Rhys, czując na sobie uważne spojrzenie dziewczynki, sięgnął do kieszeni płaszcza i wyjął pudełko z miętówkami. Włożył sobie jedną do ust i podsunął otwarte pudełko Charity.

– Poczęstujesz się cukiereczkiem, *bychan*?

Dziewczynka nieufnie wzięła miętówkę. Kiedy wsunęła ją do ust, na jej buzi odmalowało się zaskoczenie graniczące z zachwytem.

Widząc ślady brudu pod jej paznokciami i resztki woskowiny w uszach, Rhys ściszonym głosem zapytał Helen:

– Czy nikt jej porządnie nie wykąpał?

Helen spoważniała.

– Ma uraz do wody… po karach w sierocińcu.

Wolał nie myśleć, co robiono tam z małym dzieckiem, że tak się bało wody.

– Niech to – mruknął, tłumiąc przekleństwo.

Za moment usłyszał ciche:

– Niech to.

Spojrzał na Charity, która idealnie naśladowała jego ton, i uśmiechnął się nieznacznie.

– A próbowałaś kąpieli z pianą? – znów zwrócił się do Helen.

– Z pianą?

– Taa, z mydlaną pianą. Z bąbelkami, którymi można się bawić.

Charity po raz pierwszy powiedziała całe zdanie:

– Nie lubię kąpieli.

Rhys mrugnął do niej wesoło.

– Nawet takiej milutkiej i ciepłej?

– Nie.

– Wolisz pachnieć jak kwiatek czy jak owca?

– Owca – padła zdecydowana odpowiedź.

Z trudem powstrzymywał uśmiech. Postanowił spróbować przekupstwa.

– A chcesz mieć taką słomkę, żeby puszczać wielkie bańki, które fruwają w powietrzu?

Charity przełknęła wyssaną miętówkę i skinęła głową.

– To dobrze. Dostaniesz słomkę, jak usiądziesz w wannie z wodą i pianą.

– Żadnej wody.

– Tylko troszeczkę, *bychan* – kusił. – Bez wody nie ma bąbelków, piany ani baniek. – Rhys płasko przybliżył dłonie jedna do drugiej. – Tyle. Nie więcej.

Dziecko wyraźnie się zastanawiało. Powoli wyciągnęło rączki i ścisnęło dłonie Rhysa, zmniejszając odległość pomiędzy nimi.

Teraz już nie zdołał się powstrzymać i parsknął śmiechem.

– Jesteś urodzoną negocjatorką!

Helen z rosnącym zachwytem obserwowała tę sytuację. Zaskoczona patrzyła, jak Charity zsuwa się z jej kolan i wdrapuje na kolana Rhysa. Nie poruszył się, z uśmiechem obserwując jej poczynania.

– Nie jesteś złodziejką? – upewnił się z udawaną obawą, kiedy zapuściła rękę w fałdy jego płaszcza. Wyczuła przyzwolenie i ochoczo zaczęła myszkować w kieszeniach. W końcu znalazła pudełko z miętówkami i triumfalnie je wyciągnęła. – Wolno ci wziąć tylko jedną – ostrzegł. – Jeśli się je za dużo słodyczy, psują się zęby.

Charity wzięła białą landrynkę, zamknęła wieczko i zwróciła mu pudełko. Ruchy miała delikatne i staranne.

Rhys przyglądał się małej osóbce, która już zdążyła wprowadzić wielkie zmiany w jego życiu. Charity. Nie leżało mu to imię. Takie imiona, symbolizujące dobroczynność lub inne cnoty, modne w przytułkach i sierocińcach, nadawały piętno osobom, które je nosiły. Dziecku z dobrej rodziny nie groziła podobna stygmatyzacja, ale w przypadku sieroty imię wprost mówiło o jej pochodzeniu.

Córka Winterborne'a, nawet przybrana, nie może być upokarzana.

– Charity nie jest imieniem, które nadajemy dziewczynkom w Walii – powiedział oględnie. – Wolałbym coś bardziej swojskiego.

Dziewczynka popatrzyła na niego wyczekująco.

– Carys – podsunął. – Oznacza „kochane maleństwo". Podoba ci się?

Mała kiwnęła głową i w końcu na dobre rozsiadła się na jego kolanach. Ważyła niewiele więcej od kota. Rhys, mile zdziwiony, że tak szybko go polubiła, poprawił ją, żeby siedziała wygodniej.

– Taa, Carys Winterborne. Ładnie brzmi, nie? – Spojrzał na Helen i zobaczył, że oczy jej się zaszkliły. – Oczywiście jeśli wolisz inne…

– Nie, jest piękne – powiedziała, uśmiechając się przez łzy. – Piękne. – Wyciągnęła rękę, żeby pogłaskać jego twarz, a potem przytuliła się do niego.

Przez resztę drogi do domu tulili się do siebie. Nic już nie musieli mówić. Po prostu było im dobrze.

Rozdział 34

Fernsby, uciekam z Helen.

Gdy tylko Rhys umieścił Helen i Carys w swoim apartamencie, niezwłocznie przeszedł do biura i wezwał sekretarkę.

Pani Fernsby przyjęła oświadczenie szefa z imponującym spokojem i zimną krwią.

– Kiedy i dokąd? – zapytała, poprawiając binokle na nosie.

– Dzisiaj. Do Północnej Walii.

Gdyby mógł, wyjechałby zaraz. Teraz, kiedy ślub z Helen był w zasięgu ręki, parł do niego za wszelką cenę. I miotał się w obawie, że zaraz zrobi coś szalonego.

Ten dziwny stan przypomniał mu pewne późne popołudnie zeszłego lata, kiedy popijał w pubie z Tomem Severinem i innymi kumplami. Patrzyli na osy zlatujące się przez otwarte okno do cynowego kubka, w którym na dnie została resztka rumu. Raczyły się tym trunkiem, a potem, upojone, usiłowały wzlecieć w górę ciężkim, zataczającym się lotem. Jedna z nich opadła na dno kubka i leżała w kałuży rumu, bezsilnie przebierając nogami. Ten widok tak ich rozbawił, że ryczeli ze śmiechu, choć sami byli w nie lepszym stanie.

Obecnie Rhys dużo bardziej współczułby owadowi, bo wiedział, jak się może czuć. Takie rzeczy miłość robi z mężczyzną – zsyła na niego upojenie, które czyni go bezradnym i zabiera mu rozum.

– Jeśli zamierza pan zawrzeć związek małżeński na podstawie specjalnego zezwolenia, może być z tym problem – powiedziała pani Fernsby.

Rhys spojrzał na nią pytająco.

– O ile mi wiadomo – ciągnęła sekretarka – arcybiskup udziela specjalnych pozwoleń tylko parom królestwa oraz ich żonom, członkom parlamentu, doradcom rządowym i sędziom. Wątpię, aby lady Helen zaliczała się do nich, ponieważ jej tytuł jest honorowy. Ale spróbuję się dowiedzieć.

– Powiedz arcybiskupowi, aby w razie potrzeby uczynił dla mnie wyjątek. Przypomnij mu, że ma wobec mnie zobowiązania.

– Jakie zobowiązania?

– Już on będzie wiedział jakie. – Rhysa roznosiła taka energia, że nie mógł usiedzieć. Zaczął więc chodzić wokół biurka. – Zadbaj, aby przygotowano mój prywatny pociąg na trasę do Caernarvon. I zarezerwuj apartament w hotelu Royal, na razie na tydzień.

– Chce pan, żeby pojechał z nim Quincy?

– Taa, i zorganizuj mi pokojówkę.

Zatroskanie pani Fernsby pogłębiło się.

– Szefie, w dzisiejszych czasach nie da się na zawołanie „zorganizować" pokojówki. To jest cała procedura, która zaczyna się od ogłoszenia w prasie, potem są rozmowy z kandydatkami, sprawdzanie referencji…

– Fernsby, tylko mi nie mów, że pośród setek kobiet, które zatrudniam, nie znajdzie się taka, która potrafi uczesać pani i zapiąć jej gorsetu!

– Żeby to były tylko takie proste zadania – odparła kobieta z westchnieniem. – Ale dobrze, spróbuję kogoś znaleźć.

– I jeszcze nianię – dorzucił.

Pani Fernsby przerwała notowanie poleceń.

– I jeszcze nianię – powtórzyła ze zrezygnowaną miną.

– Taa, przecież mamy ze sobą czteroletnie dziecko. No właśnie, mała pilnie potrzebuje ubrań i zabawek. Oddeleguj do tego którąś ze sprzedawczyń.

– Rozumiem.

– Lady Helen też musi mieć całą nową garderobę. Tym niech się zajmie pani Allenby. Powiedz jej tylko, że nie chcę widzieć lady Helen w czarnych kolorach. Wszystkie inne mogą być. – Rhys usiadł i przez chwilę bębnił palcami w biurko, coraz bardziej rozmarzony. – Czy to byłoby za wiele, gdybym poprosił o suknię ślubną…

– Panie Winterborne! – wykrzyknęła pani Fernsby. – Czy uważa pan, że to wszystko zdąży się załatwić do wieczora?

– Fernsby, do wieczora jeszcze daleko, choć to prawda, że nie powinnaś marudzić przy obiedzie. – Kiedy sekretarka zaczęła protestować, dodał łaskawie: – Dobrze, ja załatwię pociąg.

– A co z resztą? – zawołała za nim, gdy wielkimi krokami wyszedł z biura. – Z kwiatami? Z tortem? I jeszcze…

– Nie zawracaj mi głowy szczegółami – rzucił przez ramię. – Po prostu je załatw.

– A więc znów jesteśmy przyjaciółmi – rzekł z satysfakcją Tom Severin, opierając stopy na dużym biurku.

Siedzieli w gabinecie na piątym piętrze kamienicy, w której mieściła się jego firma.

– Tylko dlatego, że czegoś od ciebie chcę – odparł Rhys. – Nie dlatego, że choć trochę cię lubię.

– Moi przyjaciele nie muszą mnie lubić – stwierdził Severin lekko. – W sumie nawet wolę, jak mnie nie lubią.

Rhys z trudem skrywał uśmiech.

– Przyjaźń zależy od tego, czy możesz coś do niej wnieść – przypomniał Tomowi.

Mężczyzna zbył go gestem.

– Chwila. – Podniósł głos: – Barnaby! Gdzie te informacje, o które prosiłem?

– Proszę, sir. – Osobisty sekretarz Severina, przysadzisty mężczyzna w wymiętym ubraniu, z burzą niesfornych, chyba nigdy nieczesanych kędziorów, wbiegł do biura z naręczem papierów i starannie położył je na biurku przed szefem. – Jak dotąd znalazłem cztery prywatne stacje, sir. Czekam na potwierdzenie co do piątej.

Wybiegł z gabinetu równie szybko, jak do niego wpadł.

Severin sięgnął po dokumenty i przekartkował je.

– Ten – powiedział, wręczając jeden z nich Rhysowi. – Mała prywatna stacja z torem, który łączy ją z Wielkim Zachodnim Szlakiem Kolejowym. Stamtąd możemy wysłać specjalny pociąg do

Caernarvon. Budynek stacji jest piętrowy, z wygodną poczekalnią. Żadnych tłumów, biletów, opóźnień. Mój zarządca osobiście dopilnuje, aby twoje prywatne salonki dostały najlepszy tabor, w tym nową lokomotywę i dodatkowy wagon z przedziałami dla służby.

Rhys uśmiechnął się, przebiegając wzrokiem kartki.

– Żaden inny człowiek w Anglii nie byłby w stanie zorganizować tego w tak cholernie krótkim czasie.

– Przesada, jest jeszcze dwóch – odrzekł skromnie Severin. – Ale oni, w przeciwieństwie do mnie, nie potraktowaliby tej usługi jako ślubnego prezentu dla ciebie.

– Dzięki, Tom.

Severin wyciągnął rękę po dokument.

– Barnaby! – po raz kolejny przywołał sekretarza, który zjawił się, jakby czekał w blokach startowych. – Ta stacja będzie dobra. Wszystko ma być gotowe na dzisiejszy wieczór. Upewnij się, żeby w salonce pana Winterborne'a były lód i woda.

– Tak, proszę pana. – Barnaby potrząsnął czupryną i wybiegł.

Severin spojrzał dociekliwie na Rhysa.

– Skoczysz ze mną na lunch do barku? A może wypijemy tu szybką whisky?

Rhys z żalem pokręcił głową.

– Stary, za dużo mam do załatwienia. Spotkamy się po moim powrocie z Walii. – Nagle uświadomił sobie, że wtedy będzie już żonatym mężczyzną. Będzie co noc dzielił łoże z Helen, a rano jadł z nią śniadanie. Na moment się rozmarzył, wyobrażając sobie codzienne życie z ukochaną i mnóstwo drobnych przyjemności, które nigdy mu się nie znudzą.

– Jasne. – Zielononiebieskie oczy Severina patrzyły badawczo i przyjaźnie zarazem. Promień słońca z okna padł mu na twarz i jedno oko rozjarzyło się zielenią. – Będę się musiał do tego przyzwyczaić. Do tych twoich uśmiechów i życiowego zadowolenia. Nigdy nie należałeś do osób beztroskich.

– Dalej nie jestem beztroski… bo teraz mam się o kogo troszczyć.

Tom obdarował Rhysa życzliwym uśmiechem, kiedy ściskali sobie ręce na pożegnanie.

– Zazdroszczę ci takiej troski – rzekł.

Kiedy Rhys wrócił do Winterborne's, większość jego pracowników była w gorączce załatwiania spraw. Subiektki i asystentki krawieckie ciągnęły do jego biura, dźwigając stosy białych pudeł i naręcza ubrań, a druga sekretarka, panna Edevane, pakowała je i sporządzała szczegółowy spis zawartości bagażu. Z satysfakcją stwierdził, że wszystko idzie sprawnie. Postanowił odnaleźć Fernsby i sprawdzić, co u niej na froncie.

Po drodze dogonił doktora Havelocka. Starszy pan dziarsko kroczył korytarzem, niosąc tacę, na której stało parę srebrnych przykrytych naczyń, szklanka lemoniady z lodem i wazonik ze świeżą, na wpół rozkwitłą różą.

– Havelock?

Siwa, lwia głowa obróciła się powoli.

– Winterborne – odparł doktor bez entuzjazmu.

– Dla kogo to niesiesz? – zapytał Rhys.

– Nie dla ciebie. – Havelock wszedł do sekretariatu i postawił tacę na biurku Fernsby. – Doszły mnie słuchy o szaleństwie, jakie tu wznieciłeś, przez co całe twoje biuro i trzy działy handlowe zaraz się zaharują na amen. I jak zwykle wszystko wybuchło nagle. Czy musisz porywać pannę w takim dzikim pośpiechu?

– Porwanie nie może się odbywać niespiesznie – przypomniał mu Rhys.

– A co? Rodzice cię ścigają? Czy rywal się szykuje, żeby przerwać ślub? Założę się, że nic z tych rzeczy. Po prostu niecierpliwy narzeczony, zamiast ochłodzić rozpaloną głowę, tak goni swoją sekretarkę, że biedaczka nie ma czasu na lunch!

W tym momencie do biurka podeszła pani Fernsby. Jej spojrzenie skupiło się na Rhysie.

– Znalazłam pokojówkę – oznajmiła. – To jedna z asystentek pani Allenby z działu krawieckiego. Pani Allenby wycofała z zamówienia dwie gotowe suknie, uszyte dla klientki o wymiarach podobnych do lady Helen. Klientka się zgodziła, gdy zaproponowaliśmy, że uszyjemy jej za darmo nowe, jeszcze bardziej wystawne kreacje. Co do niani, panna Edevane ma młodszą siostrę, która bardzo by

chciała towarzyszyć lady Helen i zająć się… – Zamilkła, bo dopiero teraz zauważyła drugiego mężczyznę stojącego przy biurku. – Doktor Havelock? Czy coś się stało?

– Nie, pani Fernsby – zaprzeczył żywo. – Ale z pewnością się stanie, jeśli zaniedba pani pożywny posiłek, zwłaszcza w tym szalonym galopie, do jakiego zmusił panią Winterborne. – Lekarz podprowadził kobietę do fotela i zmusił, żeby usiadła.

– Pan mi przyniósł lunch? – Zdumiona pani Fernsby wzięła z tacy złożoną białą serwetkę i rozłożyła ją sobie na kolanach.

– Na to wygląda. – Havelock obserwował ją skrycie, czekając na reakcję. Błysk triumfu pojawił się w jego oczach, kiedy zobaczył, jaka jest zachwycona. Natychmiast postarał się zatuszować swoją słabość, znów atakując Rhysa: – Gdyby to zależało tylko od Winterborne'a, za chwilę pukałaby pani do drzwi mojego gabinetu w stanie zagłodzenia i nerwowego wyczerpania. Myślę zresztą, że będę miał więcej takich pacjentów. – Zdjął srebrne pokrywy i poprawił różę w wazoniku, aby zaprezentowała się w całej swej krasie.

– Jestem dość głodna – przyznała pani Fernsby głosem tak słabym, jakby nie miała siły utrzymać w dłoni widelca. – Czy dotrzyma mi pan towarzystwa, doktorze Havelock?

– Obawiam się, że nie mam innego wyjścia – rzekł z entuzjazmem. – Muszę przecież dopilnować, żeby ten nieznośny Winterborne dał ci kwadrans spokoju.

Rhys udał, że zgadza się z najwyższą niechęcią.

– Dobrze, Fernsby – burknął. – Możesz jeść. Ale tylko dlatego, że Havelock wiercił mi o to dziurę w brzuchu.

Zanim odwrócił się do wyjścia, rzucił pani Fernsby porozumiewawcze spojrzenie. Ledwo dostrzegalnie puściła do niego oko.

Rozdział 35

Prywatny pociąg Rhysa składał się z dwóch wagonów połączonych ruchomym korytarzem. Były wytwornie urządzone, z luksusowymi kanapami, obitymi brązowym pluszem, i podłogami pokrytymi strzyżonym dywanem. Znajdował się tam salon z panoramicznymi oknami i jadalnia z rozkładanym mahoniowym stołem. Rhys i Helen mieli spać w dużej sypialni, umiejscowionej na początku drugiego wagonu, podczas gdy Charity, to znaczy Carys, razem ze swoją nianią miała do dyspozycji dwie mniejsze sypialnie, położone w dalszej części wagonu.

Początkowo Helen się martwiła, że Carys może narzekać, że nie będzie z nią spała, ale dziewczynka od razu nawiązała świetną komitywę z Anną Edevane, młodszą siostrą drugiej sekretarki Rhysa. Anna była młoda, śliczna, żywa i miała doświadczenie w opiece nad dziećmi, gdyż zajmowała się czwórką młodszego rodzeństwa. Gdy tylko wsiedli, zabrała Carys do ich przedziałów, gdzie na dziewczynkę czekała cała kolekcja nowych książek i zabawek. Oszołomiona taką ilością pięknych, kolorowych rzeczy – była wśród nich porcelanowa lalka w liliowej jedwabnej sukience oraz miniaturowa arka Noego – Carys nie bardzo wiedziała, co ma z nimi robić. Siedziała na podłodze, nieśmiało biorąc do rączki wyrzeźbione z drewna i malowane zwierzęta, jakby się bała, że może je połamać.

Wreszcie też została porządnie wykąpana. Pomysł Rhysa z pianą zadziałał znakomicie i teraz była czysta i pachnąca. Ślicznie wyglądała w różowej sukience z dzierganą wierzchnią spódnicą, zdobioną maleńkimi różyczkami.

– Jest już jedenasta – powiedziała Helen do Anny. – Carys musi iść do łóżka. Ma za sobą długi dzień, a w południe tylko krótko drzemała.

– Nie chcę spać! – zaprotestowała Carys.

– Poczytam jej bajeczkę – powiedziała niania. – Słyszałam, że ma swoją ulubioną. Myślę, że to… *Czerwony Kapturek*?

– *Trzy niedźwiadki* – sprostowała dziewczynka.

Anna udała, że nie słyszy.

– A może… *Titelitury*? – zastanawiała się głośno.

Carys zerwała się i przylgnęła do jej spódnicy.

– *Trzy niedźwiadki*!

– Powiedziałaś *Trzy świnki*, tak? – Anna chwyciła małą w ramiona i padła z nią na łóżko.

Dziewczynka zanosiła się chichotem.

– Misie, misie, misie!

Helen pomyślała, że ten dziecięcy śmiech jest jak najpiękniejsza muzyka.

Reszta świty Winterborne'a, czyli pokojówka, Quincy, stangret i kucharka, jechała na końcu prywatnego pociągu, w eleganckich wagonach, dostarczonych przez Toma Severina.

– Cieszę się, że odnowiłeś swoją przyjaźń z panem Severinem – powiedziała Helen, oglądając podróżny apartament, który miała dzielić z narzeczonym. Przystanęła, aby podziwiać złoconą ścienną lampę. – „Przebaczenie! Żaden akt tak szybko nie przyniesie nagrody", zacytowała popularny poemat.

– Taa – przytaknął Rhys. – Jak ten darmowy pociąg.

– Przecież nie tylko dlatego mu przebaczyłeś.

Przyciągnął ją do siebie i pocałował w szyję.

– *Cariad*, czy chcesz przekonać siebie samą, że w głębi duszy jestem człowiekiem honoru i mam ukryte zalety? Zaraz się przekonasz, jak bardzo się mylisz!

Helen szarpnęła się w proteście, gdy zgarnął dłonią tył jej sukni. Miała prosty podróżny strój, naprędce dopasowany przez jedną ze szwaczek pani Allenby. Suknia była skromna, uszyta z jasnoniebieskiego jedwabiu i kaszmiru, z krótkim żakietem. Zamiast tiurniury miała dużą, ozdobną kokardę. Spódnice, upięte z tyłu,

podkreślały smukłe kształty Helen. Owa kokarda osobliwie spodobała się Rhysowi. Za każdym razem, kiedy kobieta obracała się ku niemu, czuła, że usiłuje ją rozwiązać.

– Rhys, przestań!

– Nie mogę. Ona mnie kusi.

– Jakbyś nie widział kokard na sukniach.

– Ale nie w takim miejscu. I nie na tobie. – Z ociąganiem cofnął ręce i zerknął na swój kieszonkowy zegarek. – Pociąg powinien już ruszyć. Mamy pięć minut opóźnienia.

– Czemu tak ci się spieszy?

– Chcę do łóżka – odparł krótko i szczerze.

Helen z uśmiechem wspięła się na palce i pocałowała go w policzek.

– Przed nami tysiące wspólnych nocy.

– Taa, ale ciągle nam ich brakuje.

Odwróciła się, żeby podnieść swoją małą, podręczną walizkę, stojącą na podłodze. Wtedy usłyszała trzask rozdzieranego materiału. Zanim zdążyła się wyprostować i spojrzeć na swój tył, już wiedziała, co się stało. Kokarda wisiała na paru nitkach.

Rhys, skarcony jej oburzonym spojrzeniem, zrobił minę jak uczniak złapany na kradzieży jabłek z sadu.

– Nie wiedziałem, że się pochylisz.

– I co teraz powiem pokojówce?

Zastanawiał się przez moment.

– „Przepraszam, niechcący”? – podpowiedział.

Usta Helen zadrgały z rozbawienia.

W końcu ostry dźwięk dwóch gwizdków oznajmił odjazd. Lokomotywa szarpnęła wagony i pomknęła po torach. Jechała wolniej niż ekspres, którym Helen kursowała na trasie do Hampshire; jazda prywatnego składu była bardziej płynna. Gdy pociąg wyjechał z zabudowanej strefy i nie wstrzymywały go już semafory, wyrównał bieg, wchodząc w jednostajny rytm. Pasażerowie wreszcie mogli odpocząć po długim, męczącym dniu.

Rhys przeszedł do innego przedziału, podczas gdy pokojówka przygotowywała Helen do łóżka.

– Kokarda mi się rozwiązała – powiedziała Helen, kiedy kobieta zbierała jej ubrania. – O coś nią zaczepiłam. – Wolała nie tłumaczyć, że to „coś" było niecierpliwymi męskimi palcami.

– Jutro ją przyszyję, milady.

Stała naga przy rozsuwanych drzwiach sypialni. Gdy pokojówka podała jej nowiutką nocną koszulę, Helen przesiała w palcach cienki, miękki jedwab.

– To dla mnie? – spytała z niedowierzaniem.

– Tak, milady – odparła dziewczyna. – Pani Allenby wybrała to dla pani. Podoba się?

– Och tak… Jest cudowna. – Helen podniosła materiał pod światło małej nocnej lampki, podziwiając łagodną, jedwabną poświatę. Koszula miała głęboki dekolt i rozchylała się z przodu bardziej, niż wypadało. Helen zarumieniła się, wkładając ją przez głowę; dotyk chłodnego jedwabiu, opływającego ciało, na moment zaparł jej dech w piersi.

– Czy potrzebuje pani jeszcze pomocy?

– Nie, dziękuję – zapewniła Helen, czując się nieprzyzwoicie obnażona. – Pójdę już spać. Dobranoc.

Weszła do łóżka i z błogim westchnieniem wsunęła się pod lniane prześcieradła i ciepłe koce. Całe ciało bolało ją ze zmęczenia, a kołysanie pociągu działało kojąco. Odprężyła się i przymknęła oczy.

Nagle ktoś odsunął drzwi sypialni. Ciemny, duży kształt przesunął się w jej polu widzenia. Helen przewróciła się na plecy i podłożyła rękę pod głowę.

Rhys stanął nad nią i zaczął powoli ściągać koszulę; przyćmione światło podkreślało cieniami twarde zarysy mięśni torsu. Delikatnie odchylił okrycia, zachłannym spojrzeniem ogarniając kryjące się pod nimi kobiece ciało. Sięgnął i pogładził palcami gładki jedwab koszuli.

– Moja miła, moja piękna… – wyszeptał.

Lampa zgasła, a potem czułe ręce rozebrały Helen. Spod przymkniętych powiek śledziła ruchy w mroku, czuła na ciele delikatny dotyk Rhysa… wilgoć jego ust na jej ustach, a potem jego język w najbardziej wrażliwych miejscach, wprawiający ją w drżenie. Bawił się kędziorkami w magicznym trójkącie kobiecych ud, przeczesując je palcami, łaskocząc językiem i chuchając na nie

gorącym oddechem, aż Helen zapomniała o skromności i rozchyliła uda. Rhys roześmiał się z satysfakcją i odpowiedział na to zaproszenie szaloną pieszczotą warg i języka.

Pojękiwała, zapuściwszy palce w jego włosy. Dłonie Rhysa były wszędzie, sunęły po skórze opuszkami palców. Ujął sutek pomiędzy kciuk a palec wskazujący i uciskał go w tym samym rytmie, w jakim ssał i pieścił językiem jej dolne wargi.

Kiedy poczuł, że dłużej już nie wytrzyma, wsunął się na Helen, powoli i delikatnie wciskając w nią twardy członek. Łoże kołysało się w rytmie ruchów wagonu i Rhys mimo woli dopasował do niego swoje ruchy, wrażliwy na każdą potrzebę ukochanej. Helen na oślep szukała jego ust, więc ułatwił jej zadanie. Teraz był już głęboko w niej i Helen, zalewana falami rozkoszy, czuła go w sobie i na sobie. W szczytowym momencie wygięła się w łuk, niemal podnosząc Rhysa, i drżącą dłonią przeciągnęła po jego grzbiecie.

– Teraz – szepnęła. – Weź mnie teraz!

Posłuchał i z jękiem, jednym silnym pchnięciem, wlał w nią swój żar.

A potem trzymał ją tak, jakby miał jej nigdy nie puścić.

Hotel Royal w Caernarvon był dostojną trzypiętrową budowlą w georgiańskim stylu. Rhysowi zależało, aby zabrać Helen do tego portowego miasta na wybrzeżu Północnej Walii, gdyż znajdowało się ono w pobliżu jego rodzinnego Llanberis. Poza tym liczył, że Helen spodoba się tamtejszy romantyczny klimat. Mity i baśnie rodziły się tu w naturalny sposób, pośród malowniczych ruin, głębokich zielonych dolin, szumiących wodospadów, stawów i jezior. Nad tym wszystkim królowały ostre szczyty masywu Snowdon – góry, o której mówiono, że ten, kto na nią wejdzie, skończy albo jako szaleniec, albo jako poeta.

Dzięki znakomitej logistyce pani Fernsby podróż przebiegała idealnie. Po przyjeździe Rhys i Helen zajęli obszerny hotelowy apartament, z przyległymi pokojami dla Carys i jej niani. Służba także miała eleganckie kwatery i była nimi zachwycona.

Pastor miejscowej parafii zgodził się udzielić im ślubu w malowniczych ruinach kaplicy na wzgórzu, znajdującym się niedaleko hotelu. Stare mury ozdobiono bogatymi dekoracjami z białych i różowych kwiatów, które przywieziono tam wózkami, gdyż do kaplicy powadził jedynie pieszy szlak z wąskim mostkiem. Ze wzgórz roztaczał się widok na zamek Caernarvon, miasto, góry i odległy niebieski przestwór Morza Irlandzkiego.

Rankiem następnego dnia powitało ich jasne, słoneczne niebo – rzecz raczej niespotykana w tym miejscu o tej porze roku. Ślubny orszak miał się zebrać na kamiennym tarasie z tyłu hotelu, następnie przejść do kaplicy i wrócić na wystawne śniadanie.

Rhys, ubrany w elegancki surdut z kamizelką i krawatem w pastelowych kolorach, czekał w oranżerii na parterze. Postanowili z Helen, że spotkają się tam i razem dołączą do gości. Z trudem powstrzymywał się przed ciągłym wyciąganiem z kieszeni zegarka i zerkaniem na niego. Jeszcze nie całkiem do niego dotarło, że zapłacił dziesięć tysięcy funtów, aby w ciągu godziny Helen została jego żoną, i że odtąd już na zawsze będą razem.

Drgnął, kiedy usłyszał za sobą szelest jedwabiu.

Odwrócił się i zobaczył Helen w sukni z cienkich, lśniących warstw śnieżnobiałego jedwabiu, obszytych koronką. Kreacja uwydatniała jej smukłą postać; spódnice, udrapowane z tyłu, opinały linię bioder i spływały kaskadą falban. Uniosła rąbek prześwitującego białego welonu, obszytego koronką i perełkami, odchyliła go i uśmiechnęła się do swojego ukochanego. Wyglądała wprost nieziemsko pięknie; była niczym ulotny, zjawiskowy blask tęczy w porannej mgle.

Rhys poczuł suchość w ustach. Przyłożył dłoń do rozszalałego serca, jakby się bał, że wyskoczy mu z piersi.

– Nie wiedziałem, że moje pracownice zdobyły dla ciebie ślubną suknię – wyjąkał wreszcie.

– Pani Allenby dokonała cudu. Kiedy wrócimy, muszę ją zapytać, jak to zrobiła.

– Jesteś taka piękna, że… – Nie dokończył. – Naprawdę jesteś moja?

Helen uśmiechnęła się i podeszła do niego.

– W każdym sensie poza prawnym.

– Zaraz i to załatwimy – mruknął i wyciągnął do niej ramiona.

Pokręciła głową i delikatnie przyłożyła palec do jego ust.

– Dopiero po przysiędze – powiedziała z błyskiem w oczach. – Chcę, aby następny pocałunek należał do mojego męża.

– Bóg mi świadkiem – odpowiedział z uczuciem Rhys – że jeszcze żaden mężczyzna tak niecierpliwie nie czekał na ślub.

Uśmiech Helen przybladł.

– Skoro mowa o ślubie… widziałeś ten tłum przed hotelem?

Winterborne potrząsnął głową, nieznacznie marszcząc czoło.

– Obawiam się, że będziemy mieli więcej gości, niż się spodziewaliśmy. Kiedy goście hotelu i mieszkańcy miasta dowiedzieli się, że sam Rhys Winterborne przyjechał tu na swój ślub, od razu uznali, że będą nam towarzyszyć do kaplicy. Słyszałam, że w Północnej Walii wszyscy sąsiedzi tradycyjnie zjawiają się na ślubie i nikt ich nie pyta o zaproszenie.

Rhys westchnął.

– Tak właśnie jest. I nie możemy się ich pozbyć. Bardzo mi przykro. Nie będziesz zła, *cariad*?

– Oczywiście, że nie. Z przyjemnością zobaczę tych wszystkich ludzi, patrzących na ciebie w zachwycie.

– Będą patrzyli w zachwycie nie na mnie, tylko na ciebie.

Rhys sięgnął do kieszeni, wyjął z niej gładki biały kamyk i położył go na swojej dłoni.

Twarz Helen rozjaśnił uśmiech.

– Kamyk przysięgi?

– Carys znalazła go wczoraj, kiedy wyszliśmy na spacer.

– Jest idealny! Gdzie go wrzucimy po ceremonii?

– Wybór zostawiam tobie. Morze Irlandzkie jest tam. – Rhys schował kamień i pokazał kierunek. – A tam cieśnina Menai. Mogę też zabrać cię nad któreś z pięknych walijskich jezior. Na przykład takie, o którym mówią, że na jego dnie spoczywa Ekskalibur.

Oczy Helen zalśniły, kiedy usłyszała wszystkie te propozycje. Ale za moment przygasły, gdy inna myśl przyszła jej do głowy.

– Teraz dopiero uświadomiłam sobie, że nie ma kto doprowadzić mnie do ołtarza i oddać tobie.

Rhys opuścił głowę, aż ich czoła się zetknęły, i z bliska popatrzył w księżycowy blask jej oczu.

– Serce mojego serca, nie potrzebujesz mężczyzny, który by mi cię oddał. Po prostu przyjdziesz do mnie sama, z własnej woli. Kochasz mnie takim, jakim jestem, a ja kocham cię taką, jaka jesteś. Nasz związek będzie trwał, aż pogasną gwiazdy.

– Dobrze – szepnęła Helen.

Rhys wyprostował się i uśmiechnął.

– Wobec tego chodźmy, *cariad*. I weźmy ślub. Bo nie mogę dłużej czekać na ten pocałunek.

Epilog

Osiem miesięcy później

…i Pandora powiedziała, że jeśli jej gra dobrze się sprzeda, nie pójdzie na żaden bal dla debiutantek w tym sezonie – mówiła Helen, z wprawą zapylając ręcznie kwiaty wanilii. – Oświadczyła lady Berwick, że nie ma zamiaru być ciągana na kolejne bale jak ogłupiała owca.

Rhys, który stał oparty plecami o ceglaną kolumnę, uśmiechnął się leniwie, obserwując żonę. Jego męska uroda pięknie się prezentowała na tle niekończących się rzędów orchidei.

– I co na to lady Berwick?

– Oczywiście była wściekła. Ale zanim znów zaczęły się kłócić, kuzyn Devon przypomniał, że Pandora dopiero wypełniła wniosek patentowy i zanim zostanie on rozpatrzony, sezon towarzyski na pewno się zacznie. Zatem może zaliczyć parę balów i przyjęć, choćby po to, by dotrzymać towarzystwa Cassandrze.

– Trenear ma rację. Droga do wydania gry jest daleka, nawet jeśli autor otrzyma patent i zaniesie projekt do drukarni. Jeśli Pandora serio myśli o swoim przedsięwzięciu, musi wziąć pod uwagę, że gra może trafić do sprzedaży nie wcześniej niż za rok.

– Och, Pandora myśli o tym bardzo poważnie – potwierdziła Helen.

Właśnie wróciła z Carys z porannej wizyty w Ravenel House. Pojechały zobaczyć maleńkiego synka Kathleen, Williama, który był dorodnym i zdrowym dzieckiem. Carys była zachwycona dwutygodniowym niemowlakiem i przez kilkanaście minut gruchała do niego słodko, aż zjawiła się Pandora i namówiła ją, aby pomogła

jej przetestować grę. Gra bardzo się spodobała Carys. Nazywała się Zakupy i polegała na tym, że gracze przesuwali swoje piony po okręgu, wzdłuż którego stały domy towarowe, zbierając po drodze karty zakupowe. Pandora uparła się, żeby jej gra nie uczyła żadnych zasad i nie wpajała morałów. Miała po prostu bawić.

– Wiesz, mam przeczucie, że gra Pandory odniesie handlowy sukces – ciągnęła Helen. – Lady Berwick i Carys świetnie się dziś przy niej bawiły. Nie masz pojęcia, jak je wciągnęło kolekcjonowanie pięknie narysowanych, kolorowych kart z zakupami, takimi jak pantofle czy parasolka.

– Człowiek jest z natury zachłanny – odpowiedział Rhys tonem znawcy. – Taa, ja też myślę, że gra dobrze się sprzeda.

– Jak dobrze? – Helen z pomocą wykałaczki przeniosła pyłek na znamię słupka.

Rhys zaśmiał się cicho.

– Nie jestem wyrocznią, *cariad*.

– W tych sprawach jesteś. – Zapyliła ostatni kwiat wanilii, odłożyła wykałaczkę i popatrzyła pytająco na męża.

– Zarobi fortunę – powiedział. – Ten rynek dopiero się rozwija i jest bardzo chłonny, a produkt dzięki drukowi litograficznemu rozejdzie się w ogromnym nakładzie. Do tego sama wspomniałaś, że gra się podoba.

Helen uśmiechnęła się, choć prowadziła ze sobą wewnętrzną walkę. Z jednej strony chciała, żeby talent i pracowitość jej siostry zostały nagrodzone. Z drugiej – martwiło ją parcie Pandory do niezależności i zamiar utrzymywania się z własnych zarobków. Miała wrażenie, że jej siostra nie zamierza dać szansy żadnemu mężczyźnie, aby się w niej zakochał. Dlaczego tak bardzo nie chce słyszeć o dzieleniu z kimś życia?

– Mam nadzieję, że będzie szczęśliwa – powiedziała.

Rhys oderwał się od kolumny i powoli podszedł do żony. Ciepłe światło wrześniowego słońca, koloru dojrzałej cytryny, wlewało się przez szyby oranżerii, spływając po jego czarnych włosach.

– Z doświadczenia mogę powiedzieć, że początkowo Pandora będzie upojona sukcesem. Z czasem jednak poczuje się samotna i zrozumie, że w życiu liczy się nie tylko sukces finansowy.

Helen z uśmiechem objęła go za szyję.

– Czy czułeś się samotny, zanim mnie poznałeś?

Mąż popatrzył na nią z ogromną czułością.

– Taa, byłem samotny jak każdy mężczyzna, który usiłuje iść przez życie z połową duszy. – Zniżył głowę i zaczął muskać jej usta wargami, za każdym razem pogłębiając pocałunek, aż stał się długi i namiętny. – Chodźmy do łóżka – szepnął, kiedy ich usta się rozdzieliły.

Helen wstrzymała oddech, kiedy poczuła jego dłoń na piersi.

– Zaraz będzie lunch.

– Ty jesteś moim lunchem. – Znowu zniżył głowę, żeby ją pocałować, ale Helen ze śmiechem się wykręciła.

– Nie mogę… naprawdę… Umówiłam się na herbatę u Garrett Gibson.

– Umów się kiedy indziej – mruknął, całując jej szyję. – Ja potrzebuję cię bardziej niż ona.

– Ale tu nie chodzi o herbatę. To znaczy… będziemy ją piły, ale w tej wizycie nie chodzi o zwykłe pogaduszki, tylko… – Helen urwała i zarumieniła się. – Mam… objawy.

Rhys zmarszczył czoło.

– Źle się czujesz, *cariad*?

Helen, rozczulona tym przypływem troski, pogładziła go uspokajająco po karku.

– Czuję się zupełnie dobrze.

Wciąż patrzył na nią nieufnie.

– Dlaczego w takim razie… – Urwał, tknięty nagłą myślą, po czym otworzył usta i zaraz je zamknął, jakby zapomniał mowy.

Helen z rozbawieniem patrzyła na zbaraniałego Rhysa.

– Nie ma pewności, dopóki Garrett nie zbada mnie i nie potwierdzi – powiedziała, przeczesując palcami gęste, czarne włosy męża. – Ale myślę, że w przyszłym roku na wiosnę rodzina Winterborne'ów się powiększy.

Rhys przyciągnął Helen do siebie i wtulił twarz w delikatne zagłębienie jej szyi. Widać było, jakim wstrząsem były dla niego te słowa.

– Helen… Helen, mój skarbie… Co mogę dla ciebie zrobić? Czego potrzebujesz? Chyba nie powinnaś stać na tej gołej, twardej podłodze… Nosisz gorset… czy nie uciska dziecka?

– Teraz jeszcze nie – uspokoiła go, wzruszona i zaskoczona, kiedy poczuła, jak drży. – Nie musisz się tak przejmować. To nowe zadanie wykonam celująco, obiecuję. Dziecko i ja będziemy silni i zdrowi.

Odsunął się nieznacznie i owionął ją miętowy oddech.

– Trzymam cię za słowo – powiedział chrapliwie. – Bo jesteś dla mnie całym światem, *cariad*. Bicie mojego serca jest tylko echem twojego.

– Zapewniam cię, że dam radę, najdroższy. – Helen stanęła na palcach i musnęła jego wargi. – Przecież jestem Winterborne, prawda?

Od autorki

Zbierając materiały na temat mody i ubiorów (jeden z moich ulubionych etapów pisania historycznych romansów), dowiedziałam się, że epoka tiurniury z końca XIX wieku dzieliła się na dwa okresy. Pierwsza wersja, z lat 1870–1875, składała się ze sporej poduszki, wypełnionej słomą lub końskim włosiem. Wyobrażam sobie, że czułabym się w tym tak, jakby mi przyczepiono z tyłu poduszkę od kanapy. Po kilkunastu latach tiurniura zaniknęła i nastała moda na smukłą i prostą kobiecą sylwetkę. Spódnica była wąska i zdobiona z tyłu udrapowanymi fałdami. Tę fazę nazwano okresem naturalnej formy. Moim zdaniem nie jest to dobre określenie, gdyż do takiej sylwetki nadal konieczny był gorset. Jednakże tiurniura nie dała za wygraną i powróciła w latach 1883–1889 w nowym, jeszcze bardziej przesadnym kształcie. Z drugiej strony była lżejsza i na tyle miękka, że pozwalała biednej właścicielce usiąść na krześle, nadal jednak musiała być niewygodna!

„Torpedowy" kształt butelek z wodą sodową (opatentowanych przez Williama Hamiltona w 1809 roku) powodował, że musiały one być przechowywane w pozycji leżącej, co zapobiegało wysychaniu korka. Ponadto, w przeciwieństwie do butelek szampana, które zazwyczaj były wykonane ze szkła lepszej jakości, butelki wody sodowej, zrobione z taniego szkła, były narażone na pękanie na skutek ciśnienia gazowanej zawartości. Stąd forma torpedy, która była wytrzymalsza i mocniejsza od tradycyjnej formy butelki o płaskim dnie.

Nadałam doktor Gibson imię Garrett w hołdzie dla doktor Elizabeth Garrett Anderson – pierwszej w Anglii lekarki i chirurga. W 1873 roku została ona członkiem Brytyjskiego Towarzystwa Medycznego i przez dziewiętnaście lat była tam jedyną kobietą, gdyż konserwatywna męska organizacja przegłosowywała inne kobiece kandydatury. Doktor Anderson została też burmistrzem Aldeburgh i tym samym pierwszą kobietą burmistrzem w Anglii. Więcej o tej niezwykłej damie można się dowiedzieć z książki Jo Manton *Elizabeth Garrett Anderson*.

A oto minisłownik słów i zdań walijskich, użytych w książce:

Annwyl: drogi
Cariad: najmilsza, ukochana
Diolch i Dduw: dzięki Bogu
Dw i'n dy garu di: kocham cię
Eistedfodd: festiwal walijskiej literatury, muzyki, tańca i teatru
Hwyl fawr am nawr: a teraz żegnaj
Iesu Mawr: Wszechmogący Jezus
Owain Glyndŵr: książę walijski; uosobienie walijskiego nacjonalizmu i ostatni rodowity Walijczyk, posiadający tytuł Księcia Walii. Żył w latach 1349–1416.

Kiedy dowiedziałam się o ulubionych słodyczach epoki wiktoriańskiej – miętówkach – nie znalazłam niczego podobnego w sklepach. Niestety! Jednak nie dałam za wygraną i wraz z córką wypróbowałyśmy rozmaite przepisy, aż trafiłyśmy na ten właściwy, który lekko zmodyfikowałyśmy. Większość wymagała surowych białek, ale my uzyskałyśmy lepszy (i bezpieczniejszy) efekt, zastępując je proszkiem bezowym, czyli substytutem kurzego białka. Kluczem do sukcesu jest wysokiej jakości ekstrakt miętowy. Przekonałyśmy się bowiem, że sztuczne esencje mają pewną

goryczkę. Naturalnie jeśli ktoś nie lubi miętowego smaku, może go zastąpić innym. Godna polecenia jest wanilia!

Miętówki Winterborne'a

Składniki

1 filiżanka cukru pudru
1 łyżka proszku bezowego
1 szczypta soli
1 łyżka esencji miętowej (albo więcej, jeśli lubisz intensywny smak)
1 łyżka mleka

Przygotowanie

Wymieszaj ze sobą suche składniki; dodaj esencję miętową i mleko. Dalej mieszaj i ucieraj łyżką aż do uzyskania konsystencji ciastoliny. W razie potrzeby, jeśli masa będzie za gęsta, można dolać mleka, ale tylko parę kropli.

Uformuj masę w niewielkie kulki i każdą z nich obtocz w cukrze pudrze. Następnie połóż je na woskowanym papierze i zostaw do wyschnięcia na co najmniej 15 minut. Na koniec można jeszcze raz obtoczyć kulki w cukrze pudrze, lecz nie jest to konieczne.

Pocałuj kogoś, kogo kochasz!

Spis treści

Rozdział 1
Rozdział 2
Rozdział 3
Rozdział 4
Rozdział 5
Rozdział 6
Rozdział 7
Rozdział 8
Rozdział 9
Rozdział 10
Rozdział 11
Rozdział 12
Rozdział 13
Rozdział 14
Rozdział 15
Rozdział 16
Rozdział 17
Rozdział 18
Rozdział 19
Rozdział 20
Rozdział 21
Rozdział 22
Rozdział 23
Rozdział 24
Rozdział 25
Rozdział 26
Rozdział 27
Rozdział 28
Rozdział 29
Rozdział 30
Rozdział 31
Rozdział 32

Rozdział 33
Rozdział 34
Rozdział 35
Epilog
Od autorki